

WSTĘP

„Człowiek człowiekowi bogiem” - wydaje się, że ta maksyma starego Feuerbacha mogłaby posłużyć za motto do tej książki, której autor, z niemałą erudycją sprzęgając wielowątkowe opowieści mitologii indyjskiej, usiłuje przedstawić proces narodzin mitu. W tym szczególnym przypadku jest to mit o Majtreji - Buddzie Przyszłości, który - jak wierzą wyznawcy buddyzmu mahajana - ma przyjść przy końcu czasu i położyć kres historii. Z opowieści Żelaznego, której akcja toczy się, jak można sądzić, na odległej, skolonizowanej onegdaj przez ludzi planecie, odżywa legenda Wielkiego Nauczyciela. Choć zbliżony do swego historycznego (i ziemskiego) prototypu - Siddharthy Gautamy czyli Buddy Siakjamuniego (563-483 p.n. e.), założyciela buddyzmu - nasz tytułowy Pan Światła jest zarazem lwórcą wielkiej utopii społecznej, która podzielonemu na bogów i ludzi społeczeństwu ma przynieść wyzwolenie, wolność, równość i... powszechne ubóstwienie. Oto bowiem, w myśl nauki Sama - Tathagaty- Siddharthy-Buddy (tych imion pojawia się w powieści nieco więcej, bowiem postać jej głównego bohatera nosi cechy wielu różnych historycznych reformatorów, także Jezusa Chrystusa, na co warto zwrócić uwagę) niebo, zamieszkałe przez utrzymujących w nieśmiertelności aferzystów, posiadających dostęp do technologii oraz wszelkich innych osiągnięć odziedziczonych w spadku po ziemskiej cywilizacji, powinno wyrzec się monopolu na dobrobyt. Niebo powinno zstąpić na ziemię - jeśli nie dobrowolnie, to pod przymusem. Niebo, trzymające ludzkość w ciemności i strachu, posiadające doskonale zorganizowany aparat kontroli i przemocy, musi *zrezygnować ze swej boskości*. W ten właśnie sposób człowiek człowiekowi stanie się bogiem, a żadnych innych bogów już nad nim nie będzie.

W tym miejscu, po przywołaniu nazwiska Feuerbacha, należałoby także zwrócić uwagę na marksizujący charakter tej doktryny, którą ustami swych bohaterów zdaje się głosić Żelazny: bóstwo jako przedmiot pierwotnego strachu, alienacja jako główna siła tworząca bóstwa, przewyciężenie alienacji jako warunek powrotu do stanu pierwotnej wolności, równości i... boskości. O tym, czy Pan Światła rzeczywiście jest bohaterem utopii społecznej, a jego pragnienia pochodzą z repertuaru jednostronnie optymistycznych doktryn, z uporem godnym lepszej sprawy prących ku „lepszemu”, „przebudowanemu”, „opartemu na sprawiedliwych stosunkach” ustrojowi społecznemu, zechce zdecydować sam Czytelnik, sięgając po tę książkę. My tutaj, żeby zakończyć te wywody, powiemy jedynie, że jak w Panu Światła kumulują się niezliczone wątki wiefu mitologii, czyniąc tę postać bardzo niejednoznaczną, niekiedy nawet trudną do umieszczenia we właściwym miejscu struktury fabularnej powieści, tak sam finał tej książki nie jest ani prosty, ani jednoznaczny. Bo i jakżeby można dać jednoznaczną odpowiedź na pytanie o narodziny mitu? „Śmierć i Światło są zawsze i wszędzie, one zaczynają i kończą...” - pisze Żelazny. W tym odwiecznym sporze Światło i Ciemności są skazane na trudne, lecz nieuniknione współistnienie.

WYDAWCA

ROZDZIAŁ I

Powiadają, że pięćdziesiąt lat po swym uwolnieniu powrócił ze Złotego Obloku, by ruszyć na zastępy Niebios i walczyć przeciwko Porządkowi Życia oraz bogom, którzy go ustanowili. Wyznawcy modlili się o jego powrót, choć ich modlitwy były hłuźnierzce. Bo przecież błagalnik nie ma prawa niepokoić tego, który przeszedł do nirwany, a jego modlitewne westchnienia nie powinny dotyczyć niczego, co ma związek z bezcielesnym byciem. Ale ubrani w oponcze koloru szafranu wierni nie ustawali z mott/ach, prosząc, by Pan Miecza - Manjursi - zechciał zstąpić wśród nich. I powiadają, że Bodhisattwa ich wysiuchał...

Ten, który stłumił swe pożądliwości,
który jest wolny od wszelkiej żądzdy,
którego pokarmem jest Pustka -
bez zobowiązań, wolny -

jego drogi są nieodgadnione
niczym szlaki ptactwa na niebie.

Dhammapacia (93)

WYZNAWCY zwali go Mahasamatman i twierdzili, że jest bogiem. On jednak wolał opuszczać początkowe *M aha-* i końcowe *-atman*, poprzestając na zwykłym *Sam*. Nigdy nie ogłosił się bogiem. Ale też nikt nie słyszał, by mówił, że nim nie jest. Niezależnie od okoliczności, ani potwierdzenie, ani zaprzeczenie własnemu bóstwu nie mogło mu przynieść korzyści. Milczenie - owszem.

A zatem, skrywała go zasłona tajemnicy.

Było to w porze deszczowej...

Miało się już ku wielkim deszczom...

I zdarzyło się w tych deszczowych dniach, że ich modlitwy wzbły się ku niebu, lecz wcale nie za sprawą upartego przybierania gruzełkowatych sznureczków różańców, ani też nie dzięki wirowaniu młynków. Wzbły się z wielkiej maszyny modlitewnej, zbudowanej i ustawionej w klasztorze Ratri - Bogini Nocy. Modły wysokiej częstotliwości przepływały przez warstwę atmosfery, za czym wznosiły się wprost ku Złotemu Obłokowi, zwanemu Mostem Bogów. Obłok opływał cały świat i był widziany w nocy jako brązowy łuk tęczy, górujący w miejscu, gdzie czerwone o wschodzie słońce przybiera w południe barwę pomarańczą.

Co niektórzy z mnichów poważnie wątpili w prawowierność tej formy modlitwy, lecz przecież w końcu maszynę zbudował sam Jama-Dharma, który onegdaj spadł z Niebiańskiego Grodu. A mówiło się też, że przed wiekami Jama-Dharma zbudował ognisty rydwan Pana Siwy - pojazd, który pędząc zostawiał na niebie ślad ognistego warkocza.

Choć popadł « nielaskę, Jama ciągle cieszył się sławą najpotężniejszego i mistrzów. Nikt jednak nie wątpił, że i jemu bogowie kazaliby umrzeć prawdziwą śmiercią, gdyby tylko się dowiedzieli, co za maszynę zbudował. Skoro już o tyrn mowa, trzeba dodać, że Bogowie Grodu kazaliby mu umrzeć prawdziwą śmiercią nie zważając na sarno dzieło Jamy - nawet wówczas, gdyby znalazł się pod opieką swej maszyny, śmierć i tak by go dosięgła. O tym, w jaki sposób Jama dojdzie do porozumienia w tej sprawie Panami Karmy, nikt me miał pojęcia, lecz nikt też nie wątpił, że w stosownym czasie znajdzie jakiś sposób, fen, o kim mowa, by i niemal równie wiekowy jak sam Niebiański Gród, a przecież nie więcej niż dziesięćciu bogów pamiętało moment jego powstania. Jama miał opinię mądrzejszego od samego Pana Kubery, wszakże był to jeden z jego pomniejszych przymiotów. Najlepiej znano go z innych umiejętności, niewielu jednak ludzi mogło o tym coś powiedzieć. Szczupły - acz bez przesady masywnie zbudowany - lecz nie zwałisty. Poruszał się powoli, krok ?a krokiem. Ubierał się na czerwono i mówił mało.

Podszedł do maszyny, a gigantyczny lotos z metalu, zatknięty na szczycie klasztornego dachu, nieustannie wirował w swych łożyskach.

Deszcz światła padał na cały klasztor, lotos i na dżunglę u stróż gór. Przez sześć dni Jama zdążył już ofiarować cale kilowaty modłów, ale zakłócenia atmosferyczne sprawiały, że Najwyższy nie mógł go usłyszeć. Pólszeptem wzywał więc co znaczniejsze spośród obecnie czczonych bóstw płodności, wabiąc je litaniami ich najszczytniejszych przymiotów.

Głuchy pogłos grzmotu był odpowiedzią na jego prośby, tak, że asystująca mu mała małpa zachichotała. -Wasze modlitwy i przekleństwa na jedno się zdały, Panie Jamo. - Nic więcej nie da się tu powiedzieć.

- Czy aż siedemnaście inkarnacji trzeba było, by dojść do tej konstatacji?

••••• wykrzywił się w złośliwym grymasie Jama. - Jeśli tak, 1o już rozumiem. czemu ciągle odbywasz karę w tej małej postaci.

- To me jest dokładnie tak, jak mówicie ••••• odparła małpa, której na i mię było

Tak. --- Mój przypadek, choć mniej rzucający się w oczy niż wasza sprawa.

Panie Jamo, zawiera wszakże elementy osobistej niechęci, by me rzec złośliwości w tym. co się tyczy...

--- Dość! - warknął krótko Jama, odwracając się plecami do swego rozmówcy.

Tak uświadomił sobie, że ten szyderczy tom mógł mocno urazić mistrza
Z zamiarem znalezienia innego przedmiotu rozmowy podszedł do okna
uskoczył na szeroki parapet i spojrział w górę.

-- Na zachodzie się przejaśnia.

Jama zbliży się do okna. popatrzył we wskazanym kierunku, zmarszczył brwi i kiwnął grową.

-• Tak jakby •- mruknął. •- Zostań tu i mów, co będziesz widział.

Ruszył do tablicy rozdzielczej.

Lotos na dachu przestał nagle wirować, po czym skierował się płatkami kł obnażonemu niebu.

- Bardzo dobrze - szepnął Jama. - Wreszcie udało nam się coś złapać.

Rękami szybko przebiegał po konsoli modułu kontrolnego, naciskając przełączniki i ustawiając pokrętki.

Tymczasem sygnał został już odebrany na dole, w kamiennych celach klasztoru, gdzie rozpoczęto inne przygotowania, praca nad ciałem była w pełnym toku.

- Chmury znowu się zbierają! - krzyknął Tak

- Teraz to już nie ma znaczenia - odparł mistrz. - Ptaszek wpadł w sidła.

Wyszedszy z nirwany wejdzie do lotosu.

Grzmoły przybrały na sile, g deszcz tłukł o płatki metalowego kwatu dudniąc niczym grad. Spirale błękitnej światłości z sykiem skręcały się nad graniami. Jama zamknął ostatni obwód.

- Jak sądzisz... - zainteresował się Tak. - Czy i tym razem przybierze cielesną postać?

- Idź lepiej obierać nogami banany!

Tak uznał, że można to przyjąć za nakaz odejścia, opuścił więc komnatę, pozostawiając Jamę zamkniętego sam na sam? maszynerią, Ruszył opustoszałym korytarzem, po czym szeroką estakadą schodów zszedł na dół. Na półpiętrze przystanął, dobiegły go bowiem odgłosy jakiejś rozmowy, którym towarzyszył stukot sandałów - dźwięki wyraźnie się zbliżały. Miał wrażenie, że dobiegają z zewnątrz, z bocznego hallu.

Nie zastanawiał się długo - natychmiast wdrapał się po ścianie, w czym niemałą przysługę oddały mu wykute w skale dwa rzędy panter i stoni, bowiem w nierównościach powierzchni mógł znaleźć dobre punkty zaczepienia. Kiedy już dotarł do krokwi, obrócił się, tak by nie patrzeć w otchłan niebieskości, zastygł w bezruchu i czekał.

Z bramy wyszło dwóch ciemno ubranych mnichów.

- Dlaczego więc nie może sprawić, by niebo się rozchmurzyło? - spytał pierwszy z idących.

Drugi, starszy, lepiej zbudowany mężczyzna wzruszył ramionami, - Nie jestem mędrcem, ażeby móc odpowiadać na podobne pytania. Ze budzi obawy... to pewne, podobnie jak fakt, iż nie powinna być podarować im tego sanktuarium, ani nie wolno jej było pozwolić Jamie na korzystanie z klasztoru. Któż jednak potrafi wytyczyć granice Nocy?

- Albo przewidzieć kobiece humory - dodał kąśliwie drugi. - Słyszałem, że nawet kapłani nie wiedzą, kiedy się zechce tu zjawić.

- Całkiem możliwe... - zamyslił się pierwszy. - W każdym razie wydaje się, że to dobry znak,

- Tak się wydaje,,

Obaj mężczyźni zniknęli w drugiej bramie, zaś Tak wsłuchiwał się w odgłosy ich kroków aż do chwili, gdy całkowicie pochłonęła je cisza.

Ciągle jednak nie opuszczała swej grzędy.

Owa „ona”, o której rozmawiali mnisi... to słowo mogło się odnosić jedynie do bogini Ratri, czczonej przez zakon łac ta, która ofiarowała swe sanktuarium to tylko broń, nic więcej. Jego największa siła tkwiła w jego zakłamaniu. Jeśli więc będziemy mieli go tutaj z powrotem...

- Pani - przerwał jej. - Czy święty, czy szarlatan, lecz on już tu powrócił.

- Nie żartuj ze mnie, Tak.

- Pani i bogini, opuściłem Pana Jamę, gdy właśnie kończył prace przy swej machinie, a na jego twarzy widziałem zapowiedź sukcesu.

- To bardzo nierówna próba sił... - zamysliła się kobieta. - Pan Agni powiedział kiedyś, że coś podobnego nigdy się nie uda.

Tak wstał.

- Któż jednak - zaczął pewnym głosem - bóg to, czy człowiek, czy jakiś byt pośredni, zna się na tym lepiej niż Pan Jama?

- Nie odpowiadam na to pytanie, bo nikogo takiego nie ma. Skąd jednak u ciebie ta pewność, że nasze ptaszek wpadnie nam w sidła?

- Bo sidła zastawił Jama - odparł krótko.

- W takim razie podaj mi ramię, Tak, i zechciej mnie odprowadzić, jak dawniej, to czyniłeś. Obyśmy śnili o śpiącym Bodhisattwie.

Wyszli z komnaty, ruszyli schodami w dół, do pokoju poniżej.

Grotę wypełniało śmiało, zrodzone wszakże nie z pochodni, lecz z generatorów Pana Jamy. Łóżko, ulokowane nad platformą, z trzech stron skrywały ciężkie, płócienne zasłony. W ogóle, większość z nagromadzonych tu urządzeń maskowały kotary i draperie. Ubrani w szafranowe opończe mnisi, obsługujący skomplikowaną maszynę, poruszali się po komnacie szybko i cicho. Jama

- wielki mistrz - stał przy łożu.

Lecz nawet ci zdyscyplinowani mnisi o kamiennych twarzach nie potrafili powstrzymać krótkiego okrzyku zdumienia, gdy ujrzeli wchodzącą do pomieszczenia osobliwą parę. Tak zatem zwrócił się do kobiety u swego boku, a ujrzawszy ją, zrobił krok do tyłu czując, jak dech zatyka mu w gardle.

Miał oto za towarzyszkę już nie tę przysadzistą staruszkę, z którą przed chwilą rozmawiał przez okno. Znowu stał u boku Nieśmiertelnej Nocy, o której napisano: „Przestrzeń bezmierną wypełnia obecność bóstwa, jej wysokość i jej kroki. Jej blask przenika ciemności”.

Spoglądał na nią tylko przez chwilę, po czym zamknął oczy. Ciągle otaczała ją aura niedostępności.

- Bogini... - zaczął.

- Idziemy do śpiącego - ucięła mu. - Właśnie się budzi.

Ruszyli w stronę łoża.

Teraz więc miała natąpić scena, przedstawiana później na freskach, pokrywających ściany, ku którym prowadziły długie tunele niezliczonych korytarzy, wyobrażam na licznych płaskorzeźbach pokrywających mury świątynne, malowana na platformach wielu pałaców - scena przebudzenia tego, który był znany jako Mahasamatman, Manjursi, Siddhartha, Tathagatha, Spoiwo, Maitreja. Oświecony, Budda i Sam. Po lewicy miał boginię Nocy, po prawicy - Śmierć. Tak - małpa - kucnął u stóp łoża, świadcząc* o wiecznym współistnieniu tego, co zwierzęce i tego, co boskie.

Ubrany był zwyczajnie. Średniego wzrostu, w średnim wieku, ciemnowej cery, regularnych acz pospolitych rysów twarzy. Kiedy otworzył oczy, można się było przekonać, że były ciemne.

- Bądź pozdrowiony, Panie Światta! - przemówiła Ratri.

Zamrugał. Przebudzony, wzrok miał jeszcze zamglony snem. W komnacie wszyscy zastygli w bezruchu.

- Bądź pozdrowiony, Mahasamatman - Buddo! - powiedział Jama.

Patrzył przed siebie niewidzącym spojrzeniem ślepcy.

- Cześć, Sam - powiedział Tak.

Czoło pokryła mu siateczka drobnych zmarszczek, zamrugał: ciężkie, ciemne spojrzenie spadło najpierw na Taka, potem dotknęło pozostałych.

- Gdzie jestem?... - zapytał szeptem.

- W moim klasztorze - pospieszyła z odpowiedzią Ratri.

Zmierzył jej urodę drętwym, taksującym spojrzeniem.

Później zamknął oczy. Powieki zacisnął tak mocno, że w kącikach oczu uformowały się zmarszczki. Grymas bólu wykrzywił mu wargi, przez niektórych porównywane do łuku. Zacisnął zęby, wielokrotnie opisywane jako groty strzał.

- Zaprawdę jesteś tym, którego wzywaliśmy? - zapytał Jama.

Nie odpowiedział.

- Czy jesteś tym, który zatrzymał armię Niebios na brzegach Vedry?

Wargi straciły nieco ze swej stanowczości.

- Czy jesteś tym, który ukochał Boginię Śmierci?

W oczach rozbłysły dwa ogniki. Przez wargi przebiegł delikatny uśmiech.

- To on - odpowiedział sobie samemu Jama. Zaraz jednak dorzucił kolejne pytanie. - Kimże jesteś, człowieku?

- Ja?... - odezwał się w końcu mężczyzna na łożu. - Niczym. Liściem

unoszonym w wirze rzeki, piórkiem na wietrze...

- Przesada... - przerwał mu Jama. - Rzeki i wiatr mają dość zwykłych liści

i piór. Nie po to tak długo wysiadywałem w laboratorium, żeby powiększyć ich ilość. Potrzebny mi ktoś, kto byłby w stanie kontynuować wojnę przerwana wskutek jego odejścia... potrzebowałem człowieka pełnego mocy, który mógłby przeciwstawić ją woli i mocy bogów. Wiem, że ty nim jesteś.

- Tak, jestem nim - ponownie przyknuła oczy. - Ja jestem Sam. Sam. Kiedyś... dawno temu... stoczyłem walkę, czyż nie mam racji? Tak, dawno temu walczyłem...

- Byłeś znany jako Sam Wielkoduszny, Sam Budda. Pamiętasz?

- Kto wie, może to i prawda... - w oczach zaigrały mu dwa małe ogniki.

- Tak - westchnął w końcu. - Istotnie, byłem nim. Najpokorniejszym z dumnych, najdumniejszych z pokornych, tym byłem. Walczyłem. Później przez czas jakiś nauczałem Drogi, I znowu walczyłem, i znowu nauczałem, bywało, że brałem się za politykę, próbowałem magii, trucizny... W pewnej wielkiej bitwie tak straszliwie robiłem mieczem, że samo Słońce zakryło twarz na widok tej rzezi... Słońce i ludzie, i bogowie, zwierzęta i demony, duchy ziemi i powietrza, ognia i wody, konie, broń i rydwany...

- I przegrałeś - wtrącił Jama.

- Owszem - skinął głowę. - Przegrałem, a jakże, Trzeba było jednak widzieć, jaką nauzkę dałem mym wrogom. Ty, śmierci, byłaś mym woźnicą. Tak, teraz wracają do mnie te wspomnienia. Wzięli nas do niewoli, a Panowie Karmy byli naszymi sędziami. Uciekłaś im przez własną śmierć, drogą Czarnego Koła. Ja nie mogłam.

- To prawda - Jama spojrział na mnichów, którzy zajęli miejsce na podłodze, siedzieli w kucki i kołysali głowami. - Twoja przeszłość została wyłożona przed Panami Karmy. Ujrzał ją, i zostałeś osadzony - obniżył głos.

- Skazać cię na prawdziwą śmierć znaczyłoby: zrobić z ciebie męczennika. Skazać cię na wieczną tułaczkę po świecie, nieważne, w jakim ciele, znaczyłoby: zostawić ci otwartą furtkę, pozwolić ci na myśl o powrocie. Gdy zatem ty ukradłeś swe nauki od Gottamy z innego miejsca i czasu, oni ukradli opowieść o końcu jego dni wśród ludzi. Zostałeś zatem skazany na nirwanę. Twój atman przeniesiono nie do innego ciała, lecz do wielkiego magnetycznego obłoku, który opływa tę planetę. Było to ponad pół wieku temu. Oficjalnie uzano cię za awatarę Wisznu, którego nauki zostały błędnie zinterpretowane przez nazbyt gorliwych jego uczniów. Teraz więc toczysz swój żywot w lornie samornadulującej się fali, a ja miałem szczęście ją schwytać.

Sam zamknął oczy.

- Odważyłeś się przywrócić mnie światu?

- Tak właśnie się stało.

- Ale ja cały czas miałem świadomość mego żywota.

- Tak też i przypuszczałem.

Podniósł ciężkie powieki. Na dnice oczu płonęły ognie. - I odważyłeś się przywołać mnie stamtąd?

- Tak.

Sam skłonił głowę. - Słusznie zwą cię bogiem umarłych, Jama-Dharnno. Przemocą pozbawiłeś mnie nawet tego ostatecznego doświadczenia Pustki. O ciemny kamień swej woli zdołałeś rozbić to, co jest poza wszelkim rozumem i pustymi wdziękami śmiertelników. Dlaczego więc nie pozwoliłeś mi odejść, powrócić do stanu, w którym przebywałem, zatopiony w oceanie bytów?

- Ponieważ świat potrzebował twej pokory, twej pobożności, twego nauczania oraz machiavellicznych sztuczek, z kórych słynałeś.

- Ale ja jestem stary - westchnął Sarn. - Jestem tak stary, jak rodzaj ludzki, zamieszkujący ten świat. Byłem przecież, co dobrze wiesz, jednym z Pierwszych... przybywszy tu, by budować, by rządzić, wyprzedziłem mejeanego. Dziś ci inni pomarli, lub stali się bogami... *dei ex machinae*... Sam też miałem szansę dołączyć do nich. lecz przepuściłem ją, zresztą nie raz jeden. Nigdy nie chciałem zostać bogiem, Jamo, a już na pewno nie chciałem zostać prawdziwym bogiem. Dopiero po jakimś czasie, gdy dość już napatrzyłem się, co wyczyniają moi boscy krewniacy, zaczęłam skupiać w **sobie** moc. Wszakże zaczęłam nie w porę. Moi rywale byli zbyt silni. Teraz więc pragnę znów zasnąć snem wieków, ponownie zatopić się w Wielkim Odpocznieniu, po raz wtóry zasmakować nieskończonej błogości, usłyszeć pieśń, którą gwiazdy nucą

u wybrzeży wielkiego morza.

Ratri pochylała się ku przodowi. Spojrzała mu w oczy. - Potrzebujemy cię, Sam.

- Wiem, wiem - mruknął, - To się nazywa "prawo wiecznego obiegu zgranego kawału". Jeśli masz rączego konia, przeleć się nim każdą milę - choć dowcip naprawdę był już w obiegu od niepamiętnych czasów, uśmiechnął się, a Ratri pocałowała go w czoło.

Tak dał susa i wylądował na łożu.

- Rodzaj ludzki znajduje upodobanie w figlach - zauważył Budda.

Jama podał mu opończę, zaś Ratri zajęła się poszukiwaniem odpowiedniego rozmiaru pantofli.

Porównując ilość czasu, jaką zabrały pertraktacje, z błogim spokojem, który nastąpił potem, można było powiedzieć, że przetargi z bogiem trwały wcale nie krótko Teraz Sam spał. Śpiąc, śnił. Śniąc, głośno krzyczał, lub tylko mówił coś przez sen. Choć proponowano mu coś do zjedzenia, nie miał apetytu, a Jama nie nastawał, jak zauważył bowiem Jama, był zdrowy i w świetnej kondycji - jego ciało świetnie zniosło cały ten proces psychosomatycznej konwersji z boskiego regresu.

Siedział tak, nieporuszony, wbiwszy wzrok w kamyczek, ziarenko czy liść. Nie wolno było wyrywać go z tego zapatrzenia.

Jama widział w tym pewne niebezpieczeństwo, podzielił się zatem swymi obawami z Ratri i Takiem. - Niedobrze, bardzo niedobrze, że powrócił tutaj w ten sposób - szepnął, uważnie patrząc na zastygłą w bezruchu postać. - Co prawda mogłem z nim rozmawiać, ale równie dobrze mógłbym przemawiać do wiatru. Niestety, Sam nie jest w stanie przypomnieć sobie całej własnej przeszłości. Gdy podejmie zbyt wielki wysiłek, by poruszyć swą pamięć, natychmiast opada 2. sil.

- Może źle interpretujesz jego staranie - wtrącił się Tak.

- To znaczy...?

- Popatrz, jak spogląda na ten kamyk... Zwróć uwagę na zmarszczki w kąciach oczu...

- Tak..., no i co?

- Widzisz, jak mruży oczy? Czyżby wizja straciła na wyrazistości?

- Z pewnością nie.

- W takim razie dlaczego mruży oczy?

- Żeby lepiej studiować kamyk.

- Studiować? - z niedowierzaniem skrzywił się Tak. - Kamyk to nie Droga, której onegdaj nauczał - przerwał by zaczerpnąć tchu. - Mimo wszystko, masz rację. Sam rzeczywiście studiuje, lecz nie wprost, bez zatopienia się bez reszty w przedmiocie tak, by w końcu wyjść z siebie. Nie, to nie to.

- A co? Co wobec tego robi?

- Coś całkiem przeciwnego.

- Przeciwnego...?

- Oczywiście... - w głosie Taka można było usłyszeć ton pobłażliwości, na jaką stać kogoś, kto jest zmuszony do wyjaśniania rzeczy najzwyklejszych pod słońcem. - Sam kontempluje ten kamyk w wysiłku scernentowania własnego istnienia. Studiuje przedmiot nie po to, by wyjść poza siebie, lecz by znaleźć powód dalszego życia. Spójrz... oto jak usiłuje raz jeszcze zaplątać się w zasłonę Maj i, pani iluzji tego świata.

- Hm... tak, z pewnością masz rację! - to był głos Ratri. - Gdybyś jeszcze powiedział, w jaki sposób moglibyśmy mu pomóc...

-- Tutaj nie mam żadnej pewności, Mistrzynie.

Jama skinął głową, jego ciemne włosy zaśliznęły w smudze światła, sączącego się przez wąski łuk okna.

- Ukazałeś mi rzeczy, których nie potrafiłem dostrzec - zwrócił się z uznaniem do Taka. - Rzeczywiście, Sam nie powrócił jeszcze w pełni.

Przybrał ciało, porusza się tak, jak my, mówi naszym językiem, lecz umysłem jest daleko stąd.

- Cóż więc zrobimy? - powtórzyła Ratri.

- Weźmiemy go na długą przechadzkę po okolicy - zaczął Jama. - Będziemy go karmić smakołykami. Wzmocnimy jego ducha poezją i śpiewem

pieśni. Znajdziemy specjalnie dla niego odpowiednio mocne napoje... tu, w klasztorze, takich nie mają... ubierzemy go w jaskrawo barwione jedwabie. Sprowadzimy mu bajaderę... albo trzy bajadery. Zatopimy go w strumieniu życia. To jedyny sposób, aby uwolnić go z kajdan boskości. Ze też byłem na tyle głupi, by nie zrozumieć tego wcześniej...

- Nieprawda, Panie Śmierci - przerwał ma Tak.

Błysk, który był czarny, zaigrał w oczach Jamy. - Jestem ci wdzięczny, maleńki, za tę gorliwość - uśmiechnął się. - Twoja uwaga dotarła do mych owłosionych uszu, choć, niewykluczone, że jedynie wskutek mej bezmyślności. Przepraszam cię, małpeczko. Naprawdę jesteś człowiekiem, i to nie w ciemni bitym.

Tak skłonił się nisko.

Ratri chrząknęła.

- Powiedźże nam, zmyślny Taku... bo być może już zbyt długo byliśmy bogami i wobec tego brak nam trzeźwego spojrzenia na sprawę... w jaki sposób powinniśmy postępować w tym dziele ucłowieczenia Sama, by jak najlepiej przysłużyć się pomyślnemu obrotowi rzeczy, na czym nam bardzo zależy? Teraz więc Tak skłonił się nisko Ratri.

- Dokładnie w ten sposób, jak to zaproponował Jama. Dzisiaj, Mistrzynie, zechciej pójść z nim na spacer na wzgórze. Jutro Pan Jama przespaceruje się z nim po lesie. Pojutrze pójde z nim ja i pokażę mu drzewa, trawy, kwiaty i winorośle. A później... zobaczymy. Na efekty trzeba będzie poczekać.

- Tak też się stanie - potwierdził Jama. Tak też się stało.

W następnym tygodniu Sam spacerował. Początkowo traktował te przechadzki z jakimś uprzedzeniem, później zaczął wykazywać umiarkowany entuzjazm, wreszcie - zaangażował się w to z całej duszy. Teraz już nie potrzebował towarzystwa: wychodził sam, spacerował coraz to dłużej. W ciągu kilku pierwszych dni przechadzki ograniczały się do paru rannych godzin. Później - odbywały się także wieczorem, by na ostatku przejść w całodzienną, wielogodzinną włóczęgę, o ile możliwości kontynuowaną także nocami. Pod koniec trzeciego tygodnia, we wczesnych godzinach rannych, Jama i Ratri spotkali się na ganku, by omówić wyniki swych usiłowań.

- Nie powiem, żeby mi się to podobało - zaczął Jama. - Nie możemy obrazić go, natrętnie narzucając się; z naszym towarzystwem, skoro wyraźnie sobie tego nie życzy. Wszakże widzę tu poważne niebezpieczeństwo, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z kimś, kto powstał w tak osobliwy sposób jak nasz Sam. Życzyłbym sobie wiedzieć, jak spędza cały swój czas.

- Cokolwiek by nie robił - zauważyła Ratri - z pewnością pomaga mu to odzyskać pamięć - połknęła cukierka i powachlowała się mięsistą dłonią.

- W każdym razie powoli zaczyna wychodzić z regresu. Więcej mówi, nawet żartuje, pije wino, sprowadzone dla niego, wrócił mu też apetyt.

- Owszem, lecz jeśli spotka agenta Trimurtiego, może nastąpić koniec świata.

Ratri przez kilka chwil rozmyślała w milczeniu.

- Choć to mało prawdopodobne - westchnęła wreszcie - nie sposób wykluczyć, że w tym kraju, właśnie teraz, coś podobnego może mieć miejsce. Drapieżniki ujrzą w nim dziecko i nie wyrządzą mu krzywdy. Ludzie uznają go za świętego pustelnika. Demony pamiętają jeszcze, jak straszny był kiedyś i trzymają się odeń z daleka.

W tym momencie Jama potrzęsnałą głowę. - To nie jest takie proste, jak chciałabyś to przedstawić, Pani, Choć znaczną część mej maszyny rozebrałem na części i ukryłem w miejscu oddalonym setki stóp stąd, tak ogromne nagromadzenie energii nie mogło pozostać nie zauważone. Prędzej czy później, na pewno jednak możemy spodziewać się tutaj jakichś gości. Imałem się różnych sztuczek, zastosowałem wiele środków, by wyprowadzić w pole przeciwnika, lecz to nie dosyć. Pewne kwatery są w posiadaniu map całego tego obszaru. Wkrótce musi się okazać, że na mapnikach hulał Ogień Powszechny. Lada dzień, a trzeba będzie ruszać. Wolałbym poczekać, aż nasz wojownik w pełni odzyska pamięć, lecz...

- Czy ta sama energia, którą uzyskałeś dzięki swym maszynom, nie może zostać wytworzona w sposób naturalny?

- Oczywiście, że może. Nasi wrogowie myślą w ten sam sposób. Na tym

przypuszczeniu oparłem całą strategię. Niewykluczone zatem, że wszystkie ich plany spalą na panewce. Szpiedzy, których rozesałem po wioskach, nie donoszą mi na razie o żadnych podejrzanych ruchach. Lecz w dniu, gdy powrócił Sam, niesiony powiewem burzy, dostałem parę meldunków o tym, że tysiąc rydwanów przewaliło się po niebie, co było widać w całym kraju. Chociaż to daleko stąd, trudno mi uwierzyć, że było to dziełem przy- padku.

- Ale więcej już o tym nie słyszeliśmy.

- Że o czymś nie słyszeliśmy, nie znaczy, że to coś w ogóle się nie wydarzyło. Obawiam się...

- Pozwól Jamo, że wreszcie damy spokój twym obawom... - przerwała mu Bogini Nocy tonem lekkiej irytacji. - Zdaję sobie sprawę, jak rzadko mylą cię przeczucia i szanuję je. Spośród wszystkich Wygnańców ty jeden masz największej mocy, bo już na przykład dla mnie przyoblekanie dowolnego kształtu na dłuższej niż kilka minut to naprawdę wielki wysiłek...

- Moc, którą posiadam - odrzekł Jama, napełniając filiżankę herbata - pozostała przy mnie nietknięta tylko dlatego, że jest to energia całkiem innego rodzaju niż ta, którą wy dysponujecie.

Poczym uśmiechnął się, błyskając dwoma rzędami białych, zdrowych zębów. Ten uśmiech Boga Śmierci zaczynał się od blizny na lewym policzku i sięgał aż do kącika oka. Jama zamrugał, jakby w ten sposób chciał położyć kres własnej wesołości i ciągnął dalej. - Wiele z tego, co stanowi moją moc, to po prostu wiedza, umiejętności, których nawet Panowie Karmy nie byli w stanie mnie pozbawić. Ale siła większości bogów jest na trwałe związana z fizjologią postaci, pod jaką występują. Kiedy przyjmują więc nowy kształt, tracą część swej mocy. Umysł, w dziwny sposób zapamiętujący wszystkie postaci, po upływie pewnego czasu wymienia niektóre elementy ciała, doprowadzając organizm do nowej równowagi, przez co umożliwia stopniowy powrót mocy. Moja powraca bardzo szybko, jak choćby właśnie teraz, przepelniając mnie całego. Lecz nawet gdyby tak się nie stało, mam przecież moją wiedzę. To, co potrafię, obroni mnie równie skutecznie, jak broń z żelaza... i to właśnie jest moja moc.

Ratri łyknęła herbaty. - W końcu i tak nieważne, gdzie biją jej źródła

- westchnęła. - Gdy twa moc rzuci hasło wymarszu, ruszamy. Pytanie tylko, jak długo mamy jeszcze czekać?

Jama otworzył kapciuch i słuchał, skręcając papierosa. Te ciemne, zwinne palce - pomyślała bogini, obserwując tę czynność. Zawsze gdy na nie patrzyła, przypominały jej ruchy palców muzyka, grającego na instrumencie.

- Sądzę, że nie powinniśmy tu bawić dłużej niż tydzień, góra dziesięć dni. Przedtem musimy jeszcze zabrać stąd Buddę i przenieść go do nowej kryjówki.

Ratri kiwnęła głową. - Pewnie, tylko gdzie?

- Może gdzieś na południe? - Jama myślał na głos. - Małe państewko, jakieś królestwo, gdzie można byłoby bez przeszkód wejść i poruszać się w miarę swobodnie...

Zapalił papierosa. Zaciągnął się dymem.

- Mam lepszy pomysł - rzuciła nagle bogini. - Wiecie zapewne, że jako śmiertelniczka jestem właścicielką Pałacu Karny w Khaipur?

- Tego burdelu, madame?

Drgnęła, wyraźnie ze wstrętu. - Owszem, prostytutki tak to nazywają...

- przełknęła ślinę - I nie nazywaj mnie, proszę, „madame”, bo brzmi to jak bardzo zgrany kawał. Pałac Karny w Khaipur to miejsce wytchnienia, dom rozkoszy, świętości i pewne źródło dochodów - wyrecytowała jednym tchem. - I tak mi się zdaje, że byłoby to również dobre miejsce schronienia dla naszego wojownika w czasie, gdy dochodzi do siebie, oraz znakomitej kryjówka dla nas. Tam możemy układać nasze plany w całkowitym spokoju.

Jama z uciechy aż klepnął się po udzie. - No, no! - roześmiał się. - Świetna myśl, bo i komu przyjdzie do głowy szukać Buddy w takiej melinie? Znakomite! Wyborne! A więc, do Khaipur, bogini, do Khaipur! Prowadź nas do Pałacu Miłości!

Ratri zerwała się z miejsca, tupiąc w kamienne płyty. - Nie waż się mówić w ten sposób o moich interesach! Żebym tego więcej nie słyszała!
Jama spuścił wzrok i z widocznym bólem przegnał z twarzy resztki uśmiechu. Wstał, po czym nisko się skłonił. - Błagam o wybaczenie, droga Ratri, lecz ta wiadomość przyszła zupełnie zniecka i... - z trudem dawił napady śmiechu. Wbił wzrok gdzieś w ścianę. Gdy później sięgał pamięcią wstecz i przypomniał sobie ten moment, musiał przyznać, że był wówczas uosobieniem powściągliwości i rozwagi. - No i zupełnie się zapomniałem. Teraz jednak, gdy już mogę zdobyć się na trzeźwy sąd, doceniam w pełni całą głęboką mądrość twego pomysłu. Tak, to znakomita kryjówka. Zapewnia nie tylko świetne schronienie, lecz, co ważniejsze, daje dostęp do informacji, o które nigdy nie trudno w miejscu tak licznie odwiedzanym przez kupców, żołnierzy i kapłanów. Tam, gdzie skupia się życie całego miasta, łatwo wyrobić sobie jakąś pozycję, nie mówiąc już o wglądzie we wszystkie sprawy mieszkańców. Być bogiem... oto najstarszy zawód świata. A przeto, ponieważ strącono nas z Nieba, jedyne, co nam pozostaje, to przekonać tę obrazę i umieć się odnaleźć w tradycji, która, choć inna, jest równie czcigodna. Oddaję ci cześć Ratri. Dziękuję za mądrość i dalekowzroczność. Nie będę już nigdy więcej obmawiał niczego, co należy do mojej pani, tak wiele dobra mi świadczącej. W rzeczy samej, już teraz cieszę się na wizytę w Pałacu Kamy.

Ratri uśmiechnęła się i usiadła. - Przyjmuję te przeprosiny, synu węża. Choć mocno je osłodziłeś, nie wiem, czy mam się czuć usatysfakcjonowaną czy jeszcze bardziej się obrazić. W każdym razie nie sposób się na ciebie gniewać. Czy mogę dostać nieco herbaty?

Rozsiedli się wygodnie, Ratri cedząc herbatę, Jama pałac papierosa. Burzowe chmury nadciągały z dali i horyzont w połowie zasnuła ołowiana zasłona. Choć słońce ciągle świeciło, na ganku dały się już odczuć podmuchy zimnego wiatru.

- Widziałeś ten pierścień, ten żelazny pierścień, który nosi Budda? - zapytała Ratri, biorąc do ust kolejnego cukierka.

- Tak.

- A wiesz może, skąd go ma?

- Nie wiem.

- Ja też nie, Ale mam wrażenie, że powinniśmy się dowiedzieć.

- Aha.

- Tylko jak się do tego wziąć?

- Tak ma się zabrać do tej roboty - odparł Jama. - Lepiej zna lasy niż my.

Właśnie w tej chwili tropi zwierza.

Ratri skinęła głową z aprobatą. - Świetnie.

- Słyszałem - zaczął Jama - że bogowie ciągle odwiedzają pałace Kamy, korzystają z lada okazji byle tam wpaść, a choć zwykle przybierają na tę chwilę inne postacie, zdarzało się jednak, że przybywali w pełnej chwale. Czy to prawda?

- Prawda - Ratri przeknęła cukierka. - Przed rokiem Pan Indra odwiedził Khaipur. Trzy lata temu złożył tam wizytę fałszywy Kryszna. On zresztą z całej partii Niebian, ten Kryszna-Niez mordowany wywołał wśród personelu niemałe zamieszanie. Przez miesiąc uprawiał rozpustę, a kiedy wreszcie opadł z sił, okazało się, że większość mebli jest połamana, zaś medycy mają pełne ręce roboty. Opróżnił z wina całą piwnicę, opustoszył spiżarnię. A potem wyjął flet i grał całą noc. Prawdziwy Kryszna taką grą osiągnąłby przebaczenie wszystkich swych win, niemal wszystkich. Ale to nie był prawdziwy Kryszna ani prawdziwa magia. Prawdziwy Kryszna ma smagłą cerę i jest owłosiony, jego oczy są czerwone i błyszczą. Ten, który się za niego podawał, wywołał zaledwie straszne spustoszenie swymi podrygami na stole, a muzyka. Którą grał, była pusta.

- Czy zapłacił za tę burdę czymś więcej niż pieśnią?

Ratri uśmiechnęła się. - Dość już tych pytań, Jamo. Niechże odpowiedź na ostatnie pozostanie kwestią natury retorycznej.

Jama wypuścił kłęb dymu.

- Surja. Pan Słońca, jest już niemal otoczony - rzekła bogini, wpatrzona

gdzieś daleko przed siebie - A Indra zabija smoka. W każdej chwili: można się spodziewać deszczu.

Fala szarości podeszła pod klasztor i szczelnie go otoczyła. Wiatr przybrał na sile, a na murach dały się słyszeć pierwsze szmery tańczącego deszczu. Niczym wilgotna kurtyna perliste strugi zamknęły otwartą przestrzeń ganku. W miejscu, skąd przed chwilą rozpościerał się widok na całą okolicę, było teraz widać jedynie szare płaszczyzny.

Jama dolał sobie herbaty. Ratri zjadła następnego cukierka.

Tak przebiegał się przez las. Skakał z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałąź pilnując, by nie stracić z oczu zwierzyny, którą tropił. Sierść miał już zupełnie mokrą od rosy, która strącała z potrąconych w biegu liści. Gdy spojrzął za siebie dostrzegł, że z tyłu zbierają się chmury, lecz słońce nie przestawało świecić, był ciepły poranek, cały las drżał w czerwono-złoty blaskach wschodu. W górze, w płataninie gałęzi śpiewały ptaki. Wesole dźwięki budzącego się lasu dolatywały zewsząd, z pnączy winorośli, spomiędzy liści, z wysokiej trawy, lafc wysokiej, że ten, który szedł dołem, poruszał się otoczony z obu stron jak gdyby murem. A więc ptaki śpiewały, brzęczały owady a od czasu do czasu aał się słyszeć jakiś pomruk. Drżało kołysane lekkim powiewem listowie. Zwierzyna nagle skręciła i wyszła na polanę. Tak zeskoczył na ziemię. Gdy doszedł na drugi skraj przesieki, ponownie wdrapał się na drzewo. Spostrzegł, że ścigany biegnie równoległe do pasma gór, a nawet lekko zbacza w stronę widocznego z dali łańcucha. Z daleka dobiegło go głuche dudnienie grzmotu, po chwili poczuł chłodny powiew wiatru. Dał susa z drzewa na drzewo. Wpadł w pajęczynę i cały był teraz oblepiony cienką siatką. Przestraszone ptaki podniosły wielki rwetes, krzycząc i bijąc szerokimi skrzydłami. Ten, którego ścigał, nieprzerwanie zdązał w stronę gór, co jakiś czas oglądając się za siebie. Niekiedy zwierz spotykał się z innymi ciężko objuczonymi, żółtymi osobnikami. Ich tropy krzyżowały się, rozchodziły i schodziły. W takich chwilach Tak zeskakiwał na ziemię - oglądał ślady. Tak, Sam skręcił tutaj. Przy tym strumieniu zatrzymał się, by ugasić pragnienie, tu, gdzie pomarańczowe grzyby wielkością przerastały wysokiego mężczyznę, a szerokie kapelusze mogłyby służyć schronieniem przed deszczem dla paru osób. Tu, przy ścieżce, poruszył tę gataż. Tutaj zatrzymał się, by zawiązać sandały. A znowu tutaj oparł się o drzewo, noszące wyraźne ślady, że zamieszkiwała je driada.

Tak podążał za Samem nieco z tyłu. o pół godziny drogi, jak sądził. Nie chciał rnu deptać po piętach. Dawał mu dość czasu, by szedł, gdzie go oczy poniosą i robił to, na co tylko ma ochotę. Suchy trzask błyskawicy odbił się od grzbietu gór i powrócił echem. Zaraz potem zadudnił grzmot. Sam wziął kurs na podgórze, tam, gdzie las już się przerzedzał. Tak musiał teraz przedzierać się na czworaka przez wysoką trawę, bo drzew już było za mało. Ten, którego ścigał, wyraźnie zmierzał w stronę gór. Teren z wolna się wznosił, na drodze przybywało prześwitujących z trawiastych kęp skał. Choć iść było coraz trudniej. Sam nie zwalniał kroku. Tak podążał za nim.

Most Bogów zniknął już w kłębiastych chmurach, nieprzerwanie ciągnących na wschód. Na moment wszystko sta-ięło w upiornym świetle błyskawicy. Potem uderzył grom. Drzewa już się skończyły, dał wiec ostry wiatr, przyginając do ziemi wysokie trawy. Zdało się, że temperatura raptownie spadła.

Tak poczuł pierwsze krople deszczu. Rzucił si[^] między skały, ścisłą palisadą odgradzające wąski skrawek ziemi od potoków wody, którą za chwilę miało lunąć niebo. Tak zdołał dotrzeć do kryjówki niemal w ostatnim momencie, gdy wraz z ostatnim skrawkiem błękitu deszcz zmył ze świata wszystkie kolory.

W górze rozszalała się orgia światła i trzy razy w kamień leżący (jr[^]ed pochyłością, niespełna ćwierć mili od skalnej kryjówki, uderzał piorun. Błada psswiała wyrwała z mroku zakrzywiona, stercząca skałę, po czym wszystko okrywała znowu czernią, pędząca wściekłymi porywami wiatru. Z jviat[^]erv odchodziło szalone kreszendo grzmotu.

Gdy Tak powoli przyzwyczaił wzrok do mroku, pojął to czego wcześniej nie mógł zrozumieć. Było to, jak gdyby każdy piorun, kory uderzył z nieba, zostawił na ziemi część samego siebie, to stojąc, to kołysząc się w powietrzu, pulsując w szarym półmroku zimnym, bladym ogniem, mimo gęstych strumieni deszczu. ciągle siekącego z ołowianego nieba.

A później usłyszał Tak śmiech - choć może był to wrzask duchów, ciągle dźwięczący mu w uszach od uderzenia ostatniego pioruna?

Nie. To był śmiech - potworny, nieludzki rechot!

Po jakiejś chwili doszedł go czyjś wściekły skowyt. A potem następna błyskawica, jeszcze jeden grzmot.

Jeszcze jeden słup ognia kołysał się u stóp skał. Potem na pięć minut zaległa cisza, I znowu to samo - skowyt, któremu towarzyszyły trzy ogromne błyskawice i rumor grzmotu.

Teraz już siedem słupów ognia kołysało się w powietrzu.

Czy będzie miał na tyle odwagi, by podejść bliżej, przedelfilować przed siedmioma kolumnami płomieni i zerknąć, co się dzieje na szczycie skały z drugiej strony?

A gdyby nawet był dość odważny, co mógłby dzięki temu osiągnąć? Sam wpadł w jakieś tarapaty i skoro Oświecony nie może sobie dać rady, to czy jego pomoc coś tu zmieni?

Nie udzielił sobie odpowiedzi na te pytania, lecz ani się zorientował, gdy jednym susem wyskoczył z kryjówki, przykucnął na moment w mokrej trawie, po czym odbił się i śmignął na lewo.

Gdy był w połowie drogi, słupy ognia ponownie zawirowały w powietrzu, zabłyśły czerwienią i złotem, to odpływały, to znowu powracały, powracały i odpływały jak gdyby zapaściły korzenie w ziemię. Tym razem było ich dziesięć. Tak trwał w półprzysiadzie, cały mokry, drżąc z zimna, a wystawiwszy swe męstwo na próbę mógł się teraz przekonać, że w istocie nie było czego wystawiać. Lecz wbrew własnemu tchórzostwu, co musiał przyznać, zrobił jeszcze parę kroków naprzód, przemykając obok ognistych słupów. Teraz miał je za plecami.

Wyprostował się. Powiódł wzrokiem dokoła. Stwierdził, że znajduje się w samym środku kręgu utworzonego przez duże, podłużne głazy. Zadowolony, iż znalazł nie tylko schronienie przed deszczem, ale też dobrą kryjówkę przed spojrzemieniami niepowołanych oczu - z dołu był niewidoczny- ruszył przed siebie, co chwilę spoglądając na wejście.

Znajdował się w czymś w rodzaju jaskini. U stóp głazów utworzyła się płytka, sucha grota. Wewnątrz klęczały jakieś dwie postacie. Pustelnicy pogrążeni w modlitwie? Był zaskoczony.

I wtedy stało się. Od nieba oderwała się oślepiająco biała błyskawica i uderzyła w kamienie, ale nie jeden raz czy razy kilka. Język trupiobladego ognia lizał głazy, ślizgał się po kamiennych płaszczyznach, wgryzał się w litą skałę i trwało to tak dobre ćwierć minuty. A wszystko przy nieustannym dudnieniu grzmotów.

Gdy przerażony Tak otworzył oczy, naliczył dwadzieścia wirujących słupów ognistych.

Jeden z pustelników wychylił się z jaskini, żywo gestykułując. Drugi wybuchnął śmiechem tak głośnym, że dźwięk dotarł aż do miejsca, gdzie leżał Tak. Później dały się słyszeć słowa: - Oczy Węża, a teraz ja!

- Ile? - zapytał ten drugi. Był to głos Wielkodusznego Sama.

- Dwa razy tyle albo i nic! - wrzasnął zapytany, wyjrzał na zewnątrz, znowu cofnął się w głąb niszy i wykonał gest, który przedtem uczynił Sam.

- Nina ze Strinagina! - zaintonował, pochylił się, zakolysał, po czym wykonał ów gest raz jeszcze.

- Święta siódemka - szepnął Sam.

Drugi zawył.

Tak zamknął oczy i nastawił uszy, czekając, co będzie potem.

Nie, nie przesłyszał się.

Gdy przestało się błyskać i ucichło dudnienie grzmotów, spojrzął w dół, w miejsce, które już wcześniej przypominało rześcicie oświetloną scenę. Nie miał kłopotów z liczeniem. W powietrzu unosiło się już czterdzieści słupów ognia, siejąc wokół niesamowity blask: było ich dwukrotnie więcej.

Obrzęd trwał nadal. Żelazny pierścień na lewym ręku Buddy płonął bladym, zielonkawym blaskiem.

- Dwa razy tyle albo i nic! - dobiegły go raz jeszcze powtórzone słowa, a Budda w odpowiedzi powtórzył: - Święta siódemka.

Tym razem myślał, że to góry przesuwają się obok. Choć zamknął oczy,

oślepiająca jasność przedarła się przez spuszczone powieki, wywołując na siatkówce świetliste widziadła. Wziął przyczynę za skutek, ale mylił się. Kiedy spojrzął w dół ujrzał przed sobą deszcz piorunów. Ostry blask kłuł go w oczy. Musiał zasłonić twarz ręką.

- Co dalej, Raltariki? - zapytał Sam, a szmaragdowa poświata rozbłysła na jego lewicy.

- Jeszcze raz, Siddhartho. Dwa razy tyle albo i nic.

Deszcz zelżał na chwilę. W bijącym od podnóża wzniesienia świetle Tak ujrzał, że ten, którego zwano Raltariki, ma głowę bawoła i dodatkową parę rąk. Zadrżał.

Zamknął oczy, dłońmi zatkał uszy, zacisnął zęby. Czekał.

Minęło nieco czasu, w końcu jednak stało się: łoskot i oślepiający blask, pioruny i błyskawice trzaskały, grzmiały i wstrząsały ziemią, aż Tak stracił wreszcie przytomność.

Kiedy wrócił do siebie, tylko ściana szarówki i drobna mżawka oddzielały go od skalnej niszy. U podnóża skały dostrzegł tylko jedną postać, bez rogów na czole, bez dodatkowej pary rąk.

Tak ani drgnął. Czekał.

- Oto - rzekł Jama, wręczając mu pojemnik z aerozolem - oto antidotum na demony. A na przyszłość radziłbym samemu postarać się o coś podobnego, jeśli zamierzasz oddalać się z klasztoru na taką odległość. Myślałem zresztą, że ten teren jest czysty, w przeciwnym razie wcześniej bym cię w to zaopatrzył.

Tak wziął pojemnik i postawił go na stole.

Rozmowa toczyła się w komnacie Jamy przy lekkim posiłku. Jama siedział rozparty w fotelu. W lewej ręce trzymał kieliszek z winem - tym samym, które specjalnie sprowadzono dla Buddy - w prawej dzierżył karafkę.

- A więc ten, którego zwano Raltariki, jest prawdziwym m demonem? - spytał Tak.

- I tak, i nie - odparł Jama. - Jeśli mówiąc „demon” masz na myśli złowrogie moce, stworzenia które posiadały wielką siłę, zostały obdarzone darem życia i zdolnością przybierania na jakiś czas dowolnych kształtów, to moja odpowiedź brzmi: „nie”. Wszakże, choć ta definicja jest powszechnie przyjęta, w rzeczywistości nie odpowiada prawdzie.

- Czyżby? A dlaczego?

- Ponieważ demon nie jest siłą nadnaturalną.

- Ale wszystkie inne cechy, wymienione przed chwilą, posiada?

- Tak.

- Może więc jeszcze by mi ktoś powiedział, czym różni się siła nadnaturalna od stwora, który jest owładnięty żądzą czynienia zła, posiada wielkie moce, obdarzony jest życiem i w dodatku może przybierać dowolne kształty?

- zirytował się Tak,

- Chętnie ci to powiem - w głosie Jamy dały się słyszeć pobłażliwość i ton lekceważenia. - Różnica jest podstawowa, taka jak między rzeczą znaną a nie znaną, między obiektem badań nauki a tworem wyobraźni. Oto i cała istota rzeczy. Cztery punkty kompasu to logika, wiedza, mądrość i niewiedza.

Wyobraźmysobie, że ktoś hołduje tylko jednemu z nich, ostatniemu. Czapkować niewiedzy znaczy zatem: stracić z pola widzenia trzy inne kierunki. Mogę się pogodzić z czymś, czego nie znam, lecz nigdy nie ugnę się przed czymś, czego nie da się poznać. Człowiek, który zdąża szlakiem Niepoznawalnego, jest świętym lub szaleńcem. Co mi z nich za pożytek?

Tak wzruszył ramionami i pociągnął wina. - Aż demonów?...

- One przynajmniej mogą być przedmiotem badań. Kiedyś, przed laty, nieco z nimi eksperymentowałem. Jestem przecież jednym z Czterech, którzy zstąpili do Piekielnej Studni, o ile jeszcze o tym pamiętasz, Archiwisto. Było to wówczas, gdy Pan Agni udał się do Palmaidsu po Tarakę.

- Pamiętam.

- W takim razie pewnie czytałeś o najwcześniejszych próbach kontaktu Rakaszą?

- Czytałem opowieść o dniach, gdy był uwięziony...

- Zatem musisz wiedzieć, że demony zamieszkują ten świat jeszcze od czasów, zanim Człowiek zdążył przybyć z Urath.

Tak wyciągnął się w fotel u, przygotowany na dłuższy wykład. Jama pociągnął

wina.

- Wiem.

- W takim razie ciągnął dalej gospodarz - powinieneś wiedzieć również i to, że są to stwory utworzone raczej z energii niż z materii. Ich własne legendy powiadają, że dawniej miały ciała i mieszkały w miastach. Ale namiętność w poszukiwaniu nieśmiertelności kazała im pójść inną drogą niż ta, którą kroczył Człowiek. W końcu znalazły sposób na wieczne trwanie w formie pól stałej energii. Porzuciły więc swe ciała by żyć wiecznie jako wiry mocy, Lecz nie są czystym intelektem. W wiecznotrwaniu zachowały swe Ja, a jako zrodzone z ciała, żyją w nieustannym pragnieniu przyobleczenia się w materię, I chociaż mogą przybrać dowolne kształty, nie są w stanie uczynić tego bez czyjejś pomocy. Mijały stulecia, a demony bez celu błąkały się po świecie i dopiero przybycie Człowieka wytrąciło je z tej beczynnej błogości. Przyoblekły na siebie kształty nocnych mar, by go stąd przegnać. Dlatego zostały pokonane i uwięzione. Teraz, gdy zbudowałem maszynę do inkarnacji, pragną skorzystać z niej i przybrać ciała. Nie możemy do tego dopuścić, by raz pojmane, zamknięte w butlach magnetycznych, wyszły na świat.

- Zaś Sam uwolnił je, by mu służyły - dokończył Tak.

- No właśnie - westchnął Jama, po czym nerwowo poruszył się w fotelu.

- Zawarł pakt z demonami, a teraz pewna ich ilość znów błąka się po świecie. Nikomu nie są posłuszne, może z wyjątkiem Siddharthy. Za to z wszystkimi są gotowe oddawać się pewnemu nałogowi.

- Są namiętnymi hazardzistami... są gotowe grać o wszystko, jeśli zaś można mówić, że mają punkt honoru, to tylko w jednej sprawie: długów. Muszą płacić, w przeciwnym razie nie znalazłyby godnych siebie partnerów, tracąc jedyną rozrywkę. Wielka jest ich moc, nawet księżęta zasiadają z ni mi i do stolika w nadziei, że wygrywając wpręgą je do służby. W ten sposób przegrywano całe królestwa.

- Hm... - zamyślił się Tak, przywołując na pamięć scenę, której był świadkiem. - Jeśli, jak twierdzisz, Sam grał z Ralatrikiem w jedną z tych dawnych gier, to co mogło być stawką?

Jama jednym haustem opróżnił kieliszek. Dolał wina z karafki. - Sam jest głupcem. Albo nie; Sam jest graczem. Rakaszą może sprawować kontrolę nad pomniejszych bytami energii. Sam, dzięki pierścieniowi, który nosi, jest w stanie podporządkować sobie siły ognia. To właśnie jego wygrana. Siły ognia... bezmóźnie, podrzędne istoty, lecz każda z nich wytwarza moc pioruna.

Teraz Tak dopił wina. - A jaką stawkę mógł wnieść Sam?

Jama westchnął ciężko. - Oczywiście, tylko jedno: całą moją pracę, wysiłek ponad pięćdziesięciu lat prób i rozmyślań.

- Swoje ciało?

Jama pokiwał głową. - Ludzkie ciało... oto największa pokusa, na jaką może wystawić demona człowiek.

- Dlaczego ryzykował aż tyle?

Jama popatrzył nań niewidzącym spojrzeniem. - Był to zapewne jedyny sposób, by mógł wzbudzić, w sobie wolę życia... jedyna metoda związania się z własnym losem. Tylko w ten sposób, ryzykując wszystkim za każdym obrotem kości, mógł wczuć się w swe nowe życie.

Tak bez pytania napełnił kieliszek, głośno przełknął kolejny łyk i spojrzał na rozmówcę nieco nieprzytomnie,

- To, co mówisz, jest nie do pojęcia. To Niepoznawalne... w każdym razie, gdy o mnie chodzi.

Ale Bóg Śmierci potrząsnął głową. - Nie, to jedynie nieznanne. Sam ani nie jest szaleńcem, ani świętym... przynajmniej nie całkiem...---zakończył. A gdy zapadła noc, błąkał się po klasztorze, rozpylając swój specyfik przeciwko demonom.

Następnego dnia rano koło klasztoru pojawił się mały człowieczek. Podeszedł do drzwi, usiadł na progu i zaczął bić pokłony, czołem dotykając stóp. Ubrany był pospolicie w wytarty, brązowy habit z samodziału, zwisający aż do kostek. Czarna przepaska zasłaniała mu lewe oko. To, co pozostało mu z włosów, było bardzo ciemne i bardzo długie. Ostry nos, mały podbródek, wysokie, płaskie czoło - miał jakąś taką lisią twarz. Był ogorzały, miał szorstką, twardą skórę. Zdawało się, że to jedyne oko, którym patrzył, nigdy nie mrugało.

Siedział tak przed głównym wejściem może dwadzieścia minut, aż jeden z mnichów Sama go zauważył i dał znać któremuś z ludzi Ratri. Ubrany w czarny habit mnich bogini znalazł kapłana i przekazał mu informację. Ten znowu, Pragnąc zasłużyć sobie na opinię gorliwego wyznawcy, posłał po żebraka, kazał go wpuścić do środka, nakarmić, przyodziać! ulokować w cel i, gdzie może spać do woli i pozostać tak długo, jak zechce.

Żebrak przyjął jadło z manierami bramina, lecz sprawiał wrażenie, jakby jadalne było wszystko poza chlebem i owocami. Przyjął też ciemną opończę - habit zakonu Ratri - ubrał się, a swe dawne fachimany cisnął do kąta. Po czym rozejrzał się po celi, zwłaszcza zaś starannie przyjrzał się macie do spania, którą przed nim rozłożono.

- Dziękuję, czcigodny - zwrócił się do kapłana głosem dźwięcznym i o pięknym brzmieniu i u, choć może zbyt donośnym jak na człowieka tak marnej postury.

- Dziękuję i modłę się do bogini za was, za waszą dobroć i szlachetność.

Kapłan uśmiechnął się, ciągle nie tracąc nadziei, że może jednak Ratri przechodzi gdzieś w pobliżu i ma okazję docenić jego szlachetne porywy dobroci, którą wyświadczył w jej imieniu. Ale nie przechodziła. Tylko nieliczni z zakonu mogli ją widywać, a i to tylko w nocy, kiedy rosła w siłę i przechadzała się po klasztorze. Jedynie ci oraz tych kilku mnichów, którzy asystowali przy przebudzeniu i u Sama, znał i jej prawdziwą twarz. We dnie nie było łatwo ją ujrzeć, ponieważ wychodziła ze swych komnat na ogół wtedy, gdy mnisi spędzali czas na modlitwach, albo gdy po zapadnięciu zmroku kładli się spać. Ratri spała raczej w dzień. Nawet gdy pokazywała się w klasztornych kruzgankach, gesty welon szczelnie ukrywał jej twarz. Życzenia i rozkazy odbierała od niej osobiście przeor zakonu, Gandidzi - starzec dziewięćdziesięcioletni i półślepy.

Ten stan rzeczy sprawiał, że zarówno mnisi w szafranowych, jak ciemnych opończach z równą niecierpliwością wyglądali jej nadejścia oraz robili wszystko, by zasłużyć na łaskę w jej oczach. Mawiano, że jej błogosławieństwo wystarczy, by w przyszłym wcieleniu narodzić się braminem. Jedynie sędziwy Gandidzi nie wyprosił go dla siebie, bowiem pogodził się z koniecznością prawdziwej śmierci.

Ponieważ Ratri ciągle nie nadchodziła, kapłan starał się przedłużyć rozmowę.

- Jestem Balarma - oznaimił, rozglądając się, czy nie widać bogini.

- Wolno mi, łaskawy panie, zapytać o twe imię oraz dowiedzieć się, jakież to losy przywiodły cię tutaj?

- Jestem Aram - doparł żebrak. - Nałożyłem na siebie ślub dziesięcioletniego ubóstwa i siedmioletniego milczenia. Szczęśliwie, siedem lat już minęło, tak że mogę rozmawiać z moim dobroczyńcą i odpowiadać na jego pytania. Podążam w góry, gdzie chcę znaleźć jaskinię, odpowiednią na medytację i modły. Ale niewykluczone, że za waszym łaskawym przyzwoleniem, zatrzymam się tu na kilka dni, nim ruszę dalej.

-- W rzeczy samej - skłonił się Balarma -- czuliśmy się zaszczytami, gdyby tak święty maż zechciał swą obecnością błogosławić nasz klasztor.

Witamy i pozdrawiamy. Jeśli w czymkolwiek moglibyśmy ci pomóc, rzeknij, proszę, choć słowo, a życzenie zostanie spełnione.

Aram zmierzył go dziwnie nieruchomym spojrzeniem swego jednego oka.

- Owszem - rzekł, dotykając ciemnej szaty, w którą go przyodziano. - Otóż mnich, który przyglądał mi się przed bramą, nie nosił stroju waszego zakonu... wydaje mi się, że moje biedne, samotne oko ujrzę inny kolor.

- I nie mylił cię wzrok - skwapliwie potwierdził Balarma. - Grupa wyznawców Buddy znalazła u nas schronienie. Odpoczywają, nabierając sił przed dalszą wędrówką.

- Zaprawdę, ciekawe - wykrzyknął Aram. - Chętnie porozmawiałbym z nimi... może dowiedziałbym się czegoś więcej o ich Drodze.

- Nie zabraknie ci sposobności po temu, o ile zechcesz tu dłużej zabawić.

- Tak też zrobię. A jak długo oni zechcą tu pozostać? - zainteresował się nagle.

- Nie wiem - powiedział zgodnie z prawdą Balarma.

Aram pokiwał głową. - Kiedy mógłbym zacząć dysputę?

- Dzisiaj wieczorem jest właśnie czas, gdy wszyscy mnisi zbierają się razem i nieskrępowanie rozmawiają o tym, co ich interesuje. Oczywiście,

z wyjątkiem tych, którzy złożyli śluby milczenia.

- Dobrze, niech i tak będzie - rzekł przybysz. - Czas, który mi pozostał, chciałbym spędzić na modlitwie. Dziękuję za gościnę. Obaj zgieśli się w niskich ukłonach, po czym Aram poszedł do przydzielonej mu celi.

Tego wieczoru Aram dołączył do gromady mnichów. Byli to członkowie obu zakonów, którzy przyszli by wziąć udział w dyspucie. Sam nie wziął w niej udziału, nie przyszedł też Tak - Jama z reguły nie pojawiał się na zgromadzeniach tego rodzaju, choć miał swoje sposoby, ażeby wiedzieć, o czym rozprawiano.

Aram zasiadł przy długim stole w refektarzu. Usadził się tak, by mieć przed sobą kilku mnichów Buddy. Przez jakiś czas rozmawiał z nimi o doktrynie i praktyce, kastach i teologii, pogodzie i o tym wszystkim, co właśnie stało na porządku dziennym.

- Wydaje się rzeczą dziwną - rzekł w końcu po dłuższej chwili milczenia - że tak wielu z waszego zakonu wywędrowało na południe i na zachód tak daleko, i tak nagle.

- Jesteśmy zakonem żebraczym i musimy wędrować - odpowiedział ten, z którym rozmawiał. - Idziemy z wiatrem. Idziemy, gdzie prowadzi nas serce.

- Do krainy spalonej ziemi w porze błyskawic? Czy może stało się tutaj coś, co może umocni mnie w duchu, gdy pójdę za głosem objawienia?

- Jedność Wszechświata jest wystarczająco wielkim objawieniem - odrzekł mnich. - Wszystko podlega przemianom, lecz istota pozostaje niezmienna... Dzień podąża za nocą... każdy dzień jest inny, lecz w tym, co go różni od nocy, zawsze jest taki sam. Świat to złudzenie, lecz nawet te ztudne formy powstają z wzorów, które są częścią boskiej wieczności.

- Tak, tak... - westchnął Aram. - W odróżnianiu iluzji od rzeczywistości mam już całkiem niemałą wprawę, lecz pytając cię o nowe objawienie chciałem się dowiedzieć, czy też nie słyszałeś o nowym Nauczycielu, który miał się pojawić w tej okolicy, albo o którymś z dawnych mistrzów czy boskich inkarnacji, których obecność byłaby zbawienna dla duszy mej.

Mówiąc ta k, żebrak podniósł ze stołu czerwonego żuka wielkości kciuka, zdjął sandał i wykonał ruch, jak gdyby chciał zgnieść przebiegającego nóżkami robaka.

- Módl się, bracie, a nie zabijaj - rzekł buddysta.

- Co? - zdziwił się Aram. - Przecież wszędzie pełno tego robactwa, a Pan Karma twierdzi, że kto się już raz narodził człowiekiem, nie może się odrodzić jako robak. Wobec tego tępienie robactwa nie jest czynem obciążającym karmicznie.

- Mimo tego- upierał się mnich w pomarańczowej opończy - każde życie jest niepowtarzalne. A w tym klasztorze praktykuje się ahimszę i chroni wszelkie żywe stworzenie.

- Zgoda -- pokiwał głową Aram. - Lecz Patańdzali wyraźnie powiada, że animsza to raczej intencja niż akt woli. Jeśli więc zabiję tego żuka ze współczuciem, a nie z nienawiścią, będzie to mi poczytane tak, jakbym nie zabił. Wyznaję, że miałem złe zamiary, ale w świetle nauk Patańdzalego nawet jeśli ich nie spełniłem, zostaję uznany za winnego, skoro liczy się sama intencja. Zatem, czy zabiłem, czy nie, wcale nie jestem lepszy ani wcale nie jestem gorszy, zgodnie z tym, co mówi doktryna. Ponieważ jednak jestem u was gościem, nie rozgniotę tego robaka, bo jako gość szanuję zwyczaje gospodarzy - co rzekłszy, włożył sandał na nogę. Tymczasem żuk stał nieruchomy, wysunąwszy jedynie swe czerwone czułki.

-- Prawdziwy mędrzec z niego - szepnął któryś z mnichów Ratri.

Aram odwzajemnił się uśmiechem. - Dziękuję, ale to niecałkiem tak. Jestem jedynie pokornym poszukiwaczem prawdy, a w dalekiej przeszłości miałem to szczęście, że mogłem przysłuchiwać się dysputom uczonych mistrzów. Oby niebiosy zechciały obdarzyć mnie tym przywilejem raz jeszcze! Jeśli jest tu wśród was nauczyciel mądrości czy inny uczony mąż, chętnie pobiegnę na bosaka po rozpalonych węglach, byle tylko móc usiąść u jego stóp, słuchać jego nauk i naśladować jego przykład. Jeśli...

Nagle urwał, ponieważ spojrzenia wszystkich skupiły się gdzieś z tyłu, tam.

gdzie za jego plecami znajdowały się drzwi. Nie odwrócił się, by sprawdzić, co wywołało takie zainteresowanie, lecz za to wyciągnął rękę i jednym ruchem zgniótł czerwonego żuka, który ciągle zajmował to samo miejsce na stole. Spomięczy chitynowych kawałków zgniecionego pacerza wysypała się strużka drobnych kryształów. Wypadły też dwa cienkie druczki.

Dopiero teraz się obrócił, typiąc zielonym okiem w stronę drzwi, od których oddzielał go długi rząd siedzących mnichów. W progu stał Jama, ubrany w bryczesy, buty z cholewami, koszulę, przepasany szarfą i w płaszczu, narzuconym na ramiona. Jaskrawoczerwony strój aż kłuł w oczy; także turbari na głowie Jamy był koloru krwi.

- JeśM?... - podchwycił Jama. - Czy nie powiedziałaś „jeśli”? Jeśli jacyś mędrcy czy awatary bogów osiedli w tej okolicy, chętnie zawarłbyś z nimi bliższą znajomość, prawda? Czy to właśnie powiedziałaś, obcy przybyszu? Żebrak zerwał się od stołu i zgiął się w pół w ukłonie. - Jestem Aram... wyrecytował. - Przygodny poszukiwacz mądrości i towarzysz wszystkich, którzy zdążają do Oświecenia.

Jama nie oddał pozdrowienia. - Czemuż to jeszcze ukrywasz swe prawdziwe imię, Panie Złudzeń, skoro twe słowa i czyny zdradzają cię na miłą?

Żebrak drgnął. - Nie rozumiem, o czym mówisz.

Zaraz jednak na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Szukam tylko Drogi i Cnoty.

-- Trudno w to uwierzyć, zwłaszcza gdy wspomnieć twe tysiącletnie matactwa.

- Mówisz o czasach, kiedy jeszcze żyli bogowie.

-- Tak, niestety. Popeliłeś poważny błąd, Maro.

- Co takiego?

-- Wydaje ci się, że powinienes ująć stąd z życiem...

- Przypuszczam - przerwał mu Mara, rezygnując już zupełnie z incognito

-- że gdybym tak nie myślał, nie przyszedłbym tutaj.

- Ale nie uwzględniłeś, że w tym dzikim kraju samotny podróżnik wystawia się na poważne niebezpieczeństwa.

Mara był jednak bardzo pewny swego. -Samotnie podróżuję już od wielu lat, a wypadki... wypadki grożą każdemu.

- Może ci się wydawało, że nawet gdy twe ciało ulegnie tutaj zniszczeniu, twój atman przeniesie się do jakiegoś innego ciała, nieważne gdzie. Wiedz jednak, że już dawno temu wykryłem, iż ktoś zdołał odczytać moje tajne notatki i że zechce wyciąć mi tę sztuczkę.

Żebrak poruszył się niespokojnie i zmarszczył brwi.

- Nie wyzwolisz sił, skupionych w tej budowlu, bowiem zrobiłem wszystko, by uniemożliwić transfer twej nieśmiertelnej istoty.

Mara przeszedł na środek refektarza. - Jamo - zaczął, wyraźnie pobladł.

- Jeśli przypuszczasz, że ta odrobina mocy, która ci pozostała, wystarczy by zmierzyć się z siłami, Tego, Który Śni, to zaprawdę wielki z ciebie głupiec.

---• Kto wie, Panie Maro - uśmiechnął się Bóg Śmierci. - Zbyt długo czekałem na tę okazję, by teraz odkładać wszystko na potem. Czy pamiętasz, co ci przyrzekłem przy Keenset? Jeśli chcesz nadać pleść łańcuch swej egzystencji, będziesz musiał przejść przez wrota, którymi ja jestem. Za progiem czeka na ciebie komnata. Nie wejdiesz do niej inaczej, jak tylko przeze mnie i nic nie zdoła ci pomóc.

Mara wyrzucił nagle ręce w powietrze i stał się ogień.

Wszystko stanęło w płomieniach. Języki ognia lizały ściany z kamienia, stoły i mnisie tuniki. Jama stał w samym centrum morza ognia, lecz ani drgnął.

-• JeśM to ma być wszystko, co potrafisz... - mruknął w końcu. - Wszędzie pełno ognia, ale nic się nie pali.

Mara złożył ręce. Płomienie znikły.

Na ich miejsce pojawiła się mekobra wysokości dwóch mężczyzn. Zwinięta w og-omne S unosiła ogromny srebrny kaptur niemal tuż pod sufitem.

Jama zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył. Wbił tylko ponure spojrzenie w jedyne oko Mary, zapuszczając je niczym sondę.

Mekobra znikła. Jama zrobił krok naprzód.

Stali tak może nie dłużej niż trzy uderzenia serca, później Jama dał dwa kroki do przodu, a Mara znowu się cofnął. Ich czoła zaperliły się kropelkami potu.

Mara jakby stał się wyższy, miał jakby nieco bujniejsze włosy, był teraz cieńszy w talii i szerszy w ramionach. W jego ruchach był widoczny pewien wdzięk, choć może nie rzucał się w oczy.

Znowu dał krok do tyłu.

- Tak, Maro, masz do czynienia z Bogiem Śmierci - syknął Jama przez zęby. - Strażony z Nieba, czy nie, widzisz jednak, że śmierć czai się w mych oczach... i musisz się z nią spotkać. Tak, to ściana. Doszedłeś do ściany, dalej się już nie cofniesz. Czujesz, jak opuszczają cię wszystkie siły. Czujesz, jak twe ręce i stopy opada fala zimna.

Mara zazgrzytał zębami. Kark miał gruby jak u byka. Mięśnie nabrzmiały mu do grubości męskiego uda. Płuca wzdęły się niczym miechy, nogi urosły do wielkości drzew.

- Zimno? - zapytał, rozkładając ręce. - Mogę złamać kark gigantowi, a czymże ty jesteś, podły banito? Zostaw te swoje groźby dla staruszków i dzieci.

Twe spojrzenie mrozi krew w żyłach zwierząt i pariasów. Przewyższani cię, jestem o tyle wyższy, o ile gwiazda góruje nad głębią oceanu.

Dłonie Jamy, ubrane w czerwone rękawiczki, zacisnęły się na szyi Mary niczym uścisk kobry. - Poczuj więc na sobie tę siłę, z której tak kpisz, Panie Złudzeń. Dotychczas tylko pokazywałeś przejawy swej mocy. Teraz masz okazję, żeby jej użyć! Zrób coś! Nie zwódź mnie słowami!

Policzki i cała twarz Mary okryły się purpurą, gdy Jama zacisnął chwyt.

Zdawało się, że lada moment a oczy wyskoczą mu z orbit. Cały świat oblało zielone, przenikliwe światło.

Mara upadł Bogu Śmierci do kolan. - Dość już, Panie Jamo! - wykrztusił.

- Chcesz udusić samego siebie?

Wyraźnie się zmienił. Twarz lśniła mu potem, jak gdyby przed chwilą wyszedł z wody.

Jama spojrział w dół i ujrzał swą własną twarz, przyjrzał się własnym czerwonym dłoniom, która pan Złudzeń kurczowo szarpał za nadgarstki.

- Widzę, Maro, że powoli opuszczają cię wszystkie nadzieje, a życie zaczyna z ciebie uchodzić. Lecz Jama to nie dziecko, które boi się stłuc zwierciadło, jakim się stałeś, by mnie przerazić. Dobrze więc, daję ci ostatnią szansę, albo umieraj jak człowiek, a zresztą co za różnica między jednym a drugim, skoro i tak wszystko ma ten sam koniec.

Raz jeszcze dokonała się przemiana.

Tym razem Jama zawahał się i jego moc osłabła.

Na jego ręce słały się jej ciemne włosy. W jej zmętniałych oczach wyczytał rozpaczliwą prośbę. Na jej szyi kołysał się naszyjnik z kości słonowej, tylko nieznacznie przewyższający alabastrową bielą jej cerę. Jej sari było koloru krwi. Jej dłonie opierały się jego dłoniom, lecz jakby pieszczośliwie...

- Bogini! - syknął Jama.

- Chyba nie zechcesz udusić Kali... Durgi?... - wykrztusiła.

- Kolejny błąd, Maro - szepnął. - Czy i tego też nie wiesz, że każdy człowiek zabija to, co kocha najbardziej? - co rzekłszy zacisnął ręce na szyi Pana Złudzeń. Rozległ się trzask łamanych kości.

_ Dziesięciokroć bądź przeklęty- rzekł, zamknąwszy oczy. - Odrodzenia nie będzie.

Opuścił ręce.

Szczupły, szlachetnie zbudowany mężczyzna leżał na podłodze w bezruchu, wsparty na prawym ramieniu.

Zza opuszczonych powiek nie było już widać jedyne, martwo wpatrzonego w jeden punkt, nieruchomego oka.

Jama obrócił trupa czubkiem buta.-Wzniescie stos i spalcie to ciało - rzekł do mnichów, zwrócony do nich plecami. - Nie zaniedbajcie żadnego z obrzędów. Dziś umarł jeden z nieśmiertelnych.

Po czym spuścił wzrok z dzieła swych rąk, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Tego wieczoru niebo przeszyły smugi światła i spadł rzęsimy deszcz.

Ich czworo siedziało w komnacie na wysokiej baszcie, strzelającej w górę z północno-wschodniego rogu klasztoru.

Jama ciężkim krokiem przemierzał pokój, zatrzymując się przy oknie za każdym razem, gdy do niego podszedł.

Pozostali siedzieli, śledząc każdy jego ruch. Słuchali.

- Podejrzewają - mówił Jama - ale nie wiedzą. Nie rzucają na klasztor swych dywizji, zwłaszcza że ludzie by je ujrzeni, a tego pragną uniknąć. Walka grozi nam dopiero wówczas, gdy nabiorą pewności. Na razie jednak mogą tylko podejrzewać, co znaczy, że przynajmniej w najbliższym czasie nie musimy się niczego obawiać.

Pozostali pokiwali głowami na znak zgody.

- Bramin, który wyrzekł się świata, by znaleźć własną duszę, przebył swą drogę, cierpiąc i znosząc nieszczęścia, aż umarł tu prawdziwą śmiercią. Jego ciało zostało spalone, a prochy wrzucono do rzeki, płynącej do morza. Oto, jak można zinterpretować to, co się tu stało... W tym samym czasie w klasztorze gościli mnisi Oświeconego. Zaraz potem wyruszyli w dalszą wędrówkę. Kto zgaarrie, dokąd prowadzi ich droga?

Tak zerwał się na równe nogi, o ile było to w ogóle możliwe w jego przypadku.

- Panie Jamo - zaczął. - To historyjka, którą nam zgrabnie opowiedział, może się ostać przez tydzień, może miesiąc... może nieco dłużej. Lecz gdy dostanie się w ręce Mistrza ktokolwiek, kto przebywa dzisiaj w klasztorze, i Pan Sadu zacznie badać jego duszę, cała to opowieść straci jakąkolwiek wartość. Przypuszczam zresztą, że w tej sytuacji Panowie Karmy specjalnie powołają Któregoś z mnichów nieco wcześniej, niż mu to było sądzone. A co wtedy?

•Jama z niezrównaną precyzją skrzył papierosa. - Trzeba więc zrobić wszystko, by to, co powiedziałem, miało wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

--- Ale jak? Skoro mózg ludzki niczym taśma zapisuje karmiczne skutki czynów człowieka, a później, w chwili sądu, wszystkie one są odtwarzane i Podlegają osądowi, nie mamy żadnych szans!

- Prawda - skinął głową Jama. - Czy jednak nigdy, Taku Archiwisto, nie słyszałeś o palimpseście? Otaśmie, którą, gdy zostanie raz zapisana, czyści się i używa po raz drugi?

- Oczywiście, słyszałem. Lecz umysł to nie taśma!

- Czyżby? - uśmiechnął się Bóg Śmierci. - Przecież to ty pierwszy użyłeś tego porównania, nie ja. W każdym razie, przypadkowo trafiłeś w dziesiątkę.

Zapalił papierosa. - Mnisi przeżyli rzeczy dziwne i zatrważające... - zaczął.

- Widzieli mnie, gdy ujawniałem me postacie i ukazywałem przymioty, które posiadam jako bóg. Widzieli też Marę, jak robił to samo i to tu, w tym klasztorze, gdzie wskrzesiliśmy zasadę ahimsy. Co prawda już wcześniej widzieli, że bóg może złamać tę zasadę bez żadnych negatywnych skutków karmicznych, lecz to, co zobaczyli, wywarło na nich silne wrażenie, a wstrząs był wielki. Lecz ognisty finał jeszcze nie nastąpił. Zanim nadejdzie, historyjka, którą wam opowiedziałem, musi zostać zaszczerpiona w ich umysły jako prawda.

- Ale jak? - spytała Ratri.

- Tej nocy, tej godziny- rozpoczął Jama - gdy widok płomieni, pożerających ciało, przepali ich umysły, a ich myśli zostaną zmaćcone, to, co ostatecznie przeżyli, odejdzie w niepamięć i nowa prawda zajmie wolne miejsce... Sam, dość już odpoczywałeś. Teraz trzeba wziąć się do dzieła. Musisz wygłosić kazanie. Masz zaapelować do ich najszlachetniejszych uczuć i do najważniejszych władz ducha, masz poruszyć w nich to, co sprawia, że człowieka ogarnia pragnienie dorównania bogom. Później ja z Ratri wytyżymy siły i w ten sposób powstanie nowa prawda.

Sam westchnął. Przymknął oczy. - Nie wiem, czy potrafię. Już tyle czasu minęło...

- Kto raz był Buddą, zawsze nim pozostanie. Odkurz nieco swe dawne porównania, przypomnij stare sztuczki. Masz na to kwadrans.

Sam wyciągnął rękę w stronę Jamy. - Tytoń i bibułki!

Wziął kapciuch, skrzył papierosa. - Ma tu kto ogień?... Dziękuję.

Zaciągnął się dymem i wpadł w długi, głęboki kaszel.

- Już mnie męczą te ciągłe kłamstwa.- wykrztusił. - Naprawdę, nie żartuję.

- Kłamstwa? - zdziwił się Jama. - A kto ci każe kłamać? Zacytuj więc *Kazanie na Górze*, jeśli wola. Albo wygłoś przed nimi parę fragmentów z *Popul Voh*, albo z *Iliady*. Nie zależy mi na tym, co powiesz. Wystarczy, jeśli ich trochę

wzruszysz, ukoisz... to wszystko, o co cię proszę.

- A co potem?

- Potem?... Potem już ja tak zrobię, że ocalę i ich, i nas!

Sam powoli pokiwał głową. - Skoro tak... tylko że ja zawsze tracę fason, gdy dzieją się podobne rzeczy. Oczywiście, skleczę parę zgrabnych morałów i ubiorę je w ładne słowa... ale potrzeba mi na to dwadzieścia minut.

- W porządku, masz dwadzieścia minut. A potem do wal iż. Jutro ruszamy do Khaipur.

- Tak wcześnie? - zdziwił się Tak.

- Tak późno! - potrząsnął głową Jama.

Mnisi siedzieli na podłodze w refektarzu. Stoty usunięto pod ściany. Robaki gdzieś się schowały, bo nie było widać żadnego. Na dworze ciągle padał deszcz.

Wielkoduszny Sam - Oświecony - wszedł i usiadł przed nimi.

Weszła też Ratri, w woalce, w sukni mniszki buddyjskiej.

Jama i Ratri usiedli nieco z tyłu. Gdzieś w kącie siedział Tak.

Sam przez kilka minut trwał w milczeniu, zamknąwszy oczy, po czym przemówił łagodnym głosem.

- Mam wiele imion, lecz żaden z nich nie oddaje głębi mej istoty - powoli otworzył oczy, ale nadal trwał w bezruchu. Patrzył przed siebie, gdzieś w pustkę.

- Imiona nie są ważne - podjął po chwili. - Mówić znaczy; nazywać, ale mówienie jest bez znaczenia. Jeśli już się coś zdarzy, to znaczy, że nie zdarzyło się jeszcze nigdy przedtem, a widzieć to, znaczy, ujrzeć rzeczywistość. Człowiek nie może powiedzieć innym, co widział. Inni wszakże chcą wiedzieć, co widział, i pytają: „A do czego było podobne to coś, co widziałeś?” I wtedy usiłujemy powiedzieć, co widzieliśmy, porównywać rzeczy jedną do drugiej. Lecz co zrobił ten człowiek, który jako pierwszy ujrział ogień? Powiedział: „To jest czerwone jak mak, lecz przeświłtują przez to także inne kolory. Nie ma kształtu, jak woda, która wszędzie płynie. Jest ciepłe jak słońce w lecie, ale jest także cieplejsze. Istnieje tak długo, jak ów kawałek drewna, z którego wyrasta. A kiedy drewno się kończy, jak gdyby pożarte, pozostawia po sobie coś, co jest czarne i sypkie jak piasek. Gdy drewno się kończy, ono także przestaje istnieć”. Po wysłuchaniu tej opowieści słuchacze muszą pomyśleć, że rzeczywistość jest jak mak, woda, czy słońce, jak wszystko to, co je i wydała. Słuchacze myślą, że to coś, czego nie znają, a co widział ów człowiek, jest podobne do wszystkiego, o czym im ów człowiek mówił. A przecież ani razu nie widzieli ognia, nie mogą więc znać go takim, jakim jest. Mogą tylko o nim wiedzieć. Lecz ogień znowu pojawił się na świecie i znowu ktoś go widział, coraz więcej ludzi wie, czym on naprawdę jest. I z biegiem czasu ogień powszednieje, staje się rzeczą zwykłą, niczym trawa i chmury, i powietrze, którym każdy oddycha. Teraz ludzie już wiedzą, że choć ogień jest podobny do maku, to jednak nie jest makiem, a chociaż jest jak woda, nie jest wodą, a chociaż jest jak słońce, nie jest słońcem, a chociaż przypomina to wszystko, co je i trawi, nie je, ani nie trawi. Jest czymś innym od każdej z tych rzeczy osobno i wszystkim razem. Zatem patrząc na tę nowość ludzie wymyślają nowe słowo i nazywają to coś, czego przedtem nie znali. Nazywają to „ogień”.

A kiedy spotykają człowieka, który jeszcze nie widział ognia i opowiadają mu o tym, co widzieli, on nie jest w stanie pojąć, o co im chodzi. Wtedy oni zaczynają mu opowiadać, do czego podobny jest ogień. Opowiadając zaś wiedzą z własnego doświadczenia, że to, co mówią, nie jest prawdą, lecz tylko połowicznością prawdy. Wiedzą, że z ich słów ów człowiek nie pozna rzeczywistości, o której mówią, choć mogą czynić użytek ze wszystkich słów, jakie znają. Lecz ów człowiek musi ujrzeć ogień na własne oczy, musi powąchać dym, ogrzać ręce, popatrzeć w jego serce, w przeciwnym razie na zawsze pozostanie w niewiedzy. Dlatego „ogień” nie znaczy, tak jak pozbawione są znaczenia „ziemia”, „powietrze”. „woda”. „Ja” też nie znaczy. Żadne słowo nie znaczy. Zapamiętując słowa zapominamy o rzeczywistości. Im więcej słów zdola spamiętać człowiek, tym większym cieszy się szacunkiem. Spogląda na

wielkie przemiany świata, lecz nie jest w stanie spostrzec je takimi, jakimi były widziane w chwili, gdy człowiek patrzył na nie po raz pierwszy. Człowiek wymawia nazwy rzeczy uśmiechając się, jakby je dotykał, myśląc, że w czynności nazywania zawiera się także poznanie. Nie można powiedzieć, że coś się zdarzyło, ponieważ wszystko ciągle się zdarza. Rzeczy nie przestają się dziać, i to jest cud- Wielki płonący kwiat rośnie, faluje na skraju świata, spopiela się, a jednak nie jest zad na z rzeczy, które wymieniłem, choć jednocześnie jest nimi wszystkimi, i to jest rzeczywistość... Bezimienna.

Zatem napominam was: zapomnijcie nazwy, które tworzycie, zapomnijcie słowa, które wypowiadam i które znikają, gdy zostaną wypowiedziane. Spójrzcie w to Bezimienne, które jest w was, które powstaje, gdy się do niego zwracam. Ono nie słucha mych słów. lecz tego, co we mnie rzeczywiste, czego część samo stanowi. Oto atman, słuchający mnie, a nie mych słów. Wszystko inne jest nierzeczywiste. „Definiować” znaczy: „tracić”. Istotą wszystkiego jest Bezimienne: Bezimienne jest niepoznawalne, bardziej niż Brahma. Świat przemija, lecz istota rzeczy pozostaje. Jeśli więc tu siedzicie przede mną, wiedźcie, że to sam środek złudzenia, snu, który się wam śni.

Istotą snów stanowi marzenie o kształcie, formie rzeczy. Formy przemijają, istota trwa, śniąc nowe formy. Człowiek nadaje tym złudzeniom nazwy, myśląc, że schwytał istotę rzeczy, nie wiedząc, że wzywa Nierzeczywiste Te kamienie, te ściany, leciąca, w których tu jesteście i siedzicie, one wszystkie to maki. woda i słońce. Oto sny o Bezimiennym. To ogień, tak jak. wy.

Zdarza się, że pojawia się człowiek, który śniąc wie, że śni. Taki człowiek może sprawować kontrolę nad materią snów, kształtując ją wedle swej woli, albo może się przebudzić w wielkim samopoznaniu, Jeśli wszedł na drogę poznania samego siebie, chwala jego jest wielka i rozbrzyśnie wśród wieków niczym gwiazda. Lecz jeśli wybrał drogę tantry, usiłując połączyć w jedno samsarę i nirwanę, usiłując poznać świat i żyć w nim, ten jest największym ze śniących. Potężny w dobru lub złu, zapomina, że tak dobro, jak zło to nic nieznaczające terminy, złudzenia samsary.

Przebywać w samsarze *znaczy*: być przedmiotem, którym posługują się najpotężniejsi ze śniących. Gdy śniący są potężni w dobru, nastaje Złoty Wiek. Gdy śniący są potężni w złu, nastaje wiek ciemności. Sen może przemienić się w koszmar.

Napisano: żyć to cierpieć. Powiadają, że aby osiągnąć Oświecenie, trzeba odpokutować za winy karmiczne, i stąd właśnie cierpienie. Wobec tego, powiadają mędrcy, jakąż korzyść przyjdzie człowiekowi z walki z cierpieniem, skoro jest to walka ze złudą? Jaką korzyść może odnieść człowiek walcząc z cierpieniem, skoro jest ono jego losem, jest ścieżką, którą musi iść, jeśli chce osiągnąć wyzwolenie? W świetle wartości wiecznych, mówią mędrcy, cierpienie nie istnieje. W terminologii samsary, mówią mędrcy, cierpienie prowadzi do tego, co bywa określane mianem „dobra”. Jakież więc usprawiedliwienie znajdzie człowiek walczący z tymi, którzy są potężni w złu? - Sam przerwał na moment, uniósł głowę.

- Noc Pana Złudzeń zaległa nad wami... noc Mary, najmocniejszego wśród śniących, potężnego w złu. On to przyszedł do tych, którzy jak on pracują w materii snów, lecz w inny sposób. Przyszedł do Dharmy, który umie wyrwać śniącego z jego snu. Stoczyli walkę i Pan Mara już nie istnieje. Spytacie: czemu walczyli, dlaczego Bóg Śmierci stanął do pojedynku z Panem Złudzeń? I zapewne odpowiecie, że ich drogi są niezbadane, bowiem nieznanne są drogi bogów, lecz to nie jest odpowiedź.

Odpowiedź, usprawiedliwienie uczynków jest takie samo zarówno gdy chodzi o ludzi, jak bogów. Dobra czy zła, powiadają mędrcy, nie wyrokują o żadnej rzeczy, która pochodzi z samsary. Możemy się zgodzić z mędrkami, bowiem uczyli nasz lud od tak dawna, jak daleko sięga ludzka pamięć. Zgadamy się, lecz zechciejcie rozważyć sprawę, której mędrcy nie poruszają. Tym, czego mędrcy nie dotykają w swych dysputach, jest „piękno”. Tak, to tylko słowo, spójrzcie jednak, co się za nim kryje i rozważcie Drogę Beziminnego. Czym jest Droga Beziminnego? To Droga Snu. A dlaczego Bezimienne śni? Tego nie wie żaden z mieszkańców samsary. Zapytajcie więc raczej, co śni Bezimienne? Bezimienne, którego jesteście częścią, może śnić kształty, formy rzeczy. A cóż jest najważniejszym atrybutem rzeczy? To piękno. Zatem Bezimienne jest

artystą. Czyli możemy powiedzieć, że problem, który rozważamy, nie należy do kwestii dobra lub zła, lecz jest zagadnieniem czysto estetycznym. Walczyć przeciwko tym, którzy są potężni wśród śniących, którzy są potężni w złu, grzechu i szpetocie, nie znaczy wcale, wbrew temu, co mawiali mędrcy, walczyć o to, co niewyraźne w terminach samsary czy nirwany. Jest to raczej walka o symetrię w śnieniu snu, wyrażalną w terminach rytmu i akcentu, równowagi i antytezy, właściwych przedmiotom estetycznym. O tym mędrcy nie mówią nic. Ta prawda, którą wam wyłożyłem, jest aż tak oczywista, że mędrcy, rzecz jasna, musieli ją przeoczyć. Z tego powodu czuję się zobowiązany zwrócić waszą uwagę na tę sprawę. Walki przeciwko śniącym, którzy śnią szpetne zło, niezależnie od tego, czy są ludźmi czy bogami, nie można toczyć w imię Bezimiennego. Z walki tej powstanie bowiem cierpienie, a uwalniając od brzemienia negatywnych skutków karmicznych będzie miało takie samo działanie, jak cierpliwe znoszenie zła. Powiem wam jednak, że cierpienie tego rodzaju ma znacznie wyższą wartość, prowadzi bowiem do owocnego końca, i to w świetle wiecznych wartości, o których tak często rozprawiają mędrcy. Powiadam wam: estetyka tego, coście przeżyli dzisiaj wieczorem, jest pięknem wyższego porządku. Owszem, możecie mnie zapytać: „Askąd mam wiedzieć, co jest piękne, a co jest złe i grzeszne, i jak mam rozpoznać, co ma mnie pobudzić do działania?”. Na to pytanie, powiadam wam, każdy musi sam znaleźć odpowiedź. Żeby ją znaleźć, najpierw musicie zapomnieć o tym, co ode mnie usłyszeliście, albowiem nic wam nie powiedziałem. Rozmyślajcie o Bezimiennym. Podniósł prawe rękę i pochylił głowę.

Jama wstał, wstała Ratri, na stole pojawił się Tak.

Wyszli we czworo, wiedząc, że machina karmy została na jakiś czas uszkodzona.

Szli w drżącym blasku wstającego dnia, w pobliżu Mostu Bogów. Na smukłych paprociach, lśniących kropelkami nocnej rosy, załamywały się promienie wschodzącego słońca. W porannej mgle kołysały się wierzchołki drzew, falowały szczyty dalekich gór. Dzień zapowiadał się bezchmurny. Nieśmiały powiew porannego wiatru usuwał wszelkie ślady nocnego chłodu. Stukot, brzęczenie, ćwierkotanie - wszystkie te odgłosy budzącej się dżungli towarzyszyły wędrownym mnichów. Klasztor, skąd niedawno wyszli, był już widoczny zaledwie częściowo, skryty za wierzchołkami drzew. W powietrzu unosiła się cienka smuga dymu.

Służba Ratri dźwigała jej lektykę, otoczoną przez szeregi mnichów, pokojowców i mały oddział żołnierzy. Sam i Jama szli na czele pochodu. Tak skałał z gałęzi na gałąź, a gęste listowie i małpia zręczność sprawiały, że żaden znak ani nawet najmniejszy szmer nie zdradzały jego obecności.

- Stos ciągle płonie - mruknął Jama.

- Płonie - potaknął Sam.

- Tak oto ogień trawi szczątki wędrowca, który szukając w klasztorze wytchnienia umarł na atak serca..,

- W rzeczy samej, to prawda.

- A ty, wzruszony nagłym odejściem wędrowca, wygłosiłeś porywającą mowę żałobną...

- Dzięki za uznanie.

- Naprawdę wierzysz w to, co mówiłeś?

Sam roześmiał się. -Gdy chodzi o wszystko, co zdarza mi się powiedzieć, to muszę przyznać, że jestem bardzo łatwowierny. Wierzę w każde moje słowo, choć wiem, że kłamię.

Jama odchrząknął. - Bicz Triumurtiego ciągle chłoscze ludzkie karki. Nirriti powstał ze swej nory i grasuje na morskich szlakach Południa. Czy myślałeś już może o tym, by następne życie spędzić na rozważaniach metafizycznych, poszukując nowej formy usprawiedliwienia walki, którą ciągle toczysz ze swymi wrogami? Ostatniej nocy mówiłeś w ten sposób, jakbyś, powrócił do pytania *dlaczego*, odwracając uwagę od kwestii *jak*,

- Nie... - uśmiechnął się Sam, jak gdyby wzruszony naiwnością rozmówcy.

- Po prostu chciałem się przekonać, czy można trafić do słuchaczy w inny niż zazwyczaj sposób. Bo zauważ, że jest rzeczą trudną wzniecić bunt wśród ludzi, którzy sądzą, iż wszystko, co się dzieje, jest jednako dobre. W ich umysłach nie ma miejsca, gdzie można byłoby zasiać ziarna zła, pomijając już fakt, że jako

mnisi ciągle z nim walczą. Zauważ też, że inaczej wygląda niewolnik rozpięty na kole tortur, jeśli wie, iż narodzi się po raz drugi... może jako tłusty kupiec... a inaczej wygląda człowiek, który ma tylko jedno życie do przeżycia. Niewolnik zniesie wszystko, przekonany, że choć strasznie cierpi, jego przyszłe radości będą większe niż ból. Jeśli więc taki człowiek nie może wybrać między wiarą w dobro lub zło, może przynajmniej wiara w piękno lub brzydotę przyda mu się bardziej niż cokolwiek innego. W końcu to tylko zmiana nazw.

- Czy mam uważać, że jest to nowy oficjalny program twego stronnictwa?

- spytał Jama.

- Tak - skinął głową Sam. - Możesz tak uważać.

Jama sięgnął ręką do jakiejś ukrytej kieszeni w obszernym chałacie, poczym wyciągnął długi, bogato zdobiony sztylet o lśniącym ostrzu i złożył się do salutu.

- Za piękno! - krzyknął. - Bierz diabli brzydotę!

Fal a ciszy przeszła dżunglą. Umiarkowało wszystko, a w powietrzu unosił się tylko ten jeden okrzyk.

Jama jedną ręką schował sztylet do ukrytej w fałdach szaty pochwy, drugą wyciągnął przed siebie.

- Stać! - zwrócił się do pochodu.

Spojrzał ku niebu, mrużąc oczy od słońca, głowę lekko przechylił na prawo.

- Za mną... w las! - zawołał.

Kolumna ludzi, ubranych w wiejące na wietrze szafranowe opończe, powoli zaczęła znikać między drzewami. Także lektyka Ratri zakotyła się wśród gałęzi i wkrótce skryła ją gęsta zieleń. Sama bogini pojawiła się u boku Jamy.

- Co się dzieje? - spytała z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Posłuchaj...

Spod chmur popłynął na ziemię cały potok dźwięków. Szczyty gór stanęły w ogniu błyskawic, których długie zygzaki krzyżowały się nad klasztorem. Smugi dymu snuły się gdzieś w nieskończoność, poza granicę widoczności. Eksplozja dźwięków poprzedzała każde błysniecie, powietrze drgało, targane wiatrem i salwami oślepiającej jasności.

- Przybywa Niszczyciel... - rzekł Jama, spoglądając na wielkie języki ognia, które zakryły pół nieba.

- Ognisty rydwan! - krzyknął jeden z najemników, czyniąc znak ręką.

- Siwa przemierza niebo - szepnął mnich, którego źrenice rozszerzyły się ze strachu. - Niszczyciel...

- Gdybym w swoim czasie wiedział, w jaki sposób będzie korzystał z tego rydwanu, który wykułem własnymi rękami - odezwał się Jama - sprawiłbym że jego dni byłyby policzone. Tymczasem wypada mi żałować własnego geniuszu...

Ognisty rydwan Pana Siwy dotarł do Mostu Bogów, zawisł na chwilę nad dżunglą, po czym nagle ruszył na południe. W miarę jak znikał z pola widzenia, przeraźliwy hałas powoli ustępował miejsca ciszy. W końcu zaległo milczenie. Minęło parę chwil i nieśmiało zakwilił jakiś ptak. Odpowiedział mu drugi. Wreszcie cała dżungla powróciła do życia, a wędrowcy wrócili na swój dawny szlak.

- Na pewno to jeszcze nie koniec - westchnął Jama.

Miał rację. Tego dnia dwukrotnie musieli szukać kryjówki pod gęstym listowiem drzew, gdy na niebie ukazywał się ognisty rydwan. Ostatnim razem pojazd zatoczył duże koło nad klasztorem Ratri, gdzie właśnie kończono ceremonie żałobne. Później skierował się w stronę gór i zniknął w chmurach. Tej nocy rozbili obóz pod gwiazdami, a następnej nocy uczynili to samo. Trzeciego dnia dotarli do rzeki Deeva i do małego portu zwanego Kooną. Tutaj wsiedli na barkę i popłynęli na południe, aż do miejsca, gdzie Deeva wpada do Vedra. Tutaj ruszyli w dół rzeki i dali się nieść prądowi ku brzegom Khaipur - portu ich przeznaczenia.

Gdy tak płynęli, Sam przysłuchiwał się odgłosom, które niosła ze sobą rzeka. Stał na pokładzie, wsparty o nadburcie. Patrzył przed siebie, na fale, które

37

podnosiły się i opadały jedna za drugą, patrzył na ciemne niebo, na gwiazdy, które zostawił i z tyłu za sobą. I wydawało mu się, że noc przemawia doń głosem Ratri.

- Już kiedyś przemierzałeś tę drogę, Tathagata.

- Nieraz - odparł.

- Deeva, jej fale i zmarszczki, to część piękna podgwiezdnego świata...
- W istocie, tak jest.
- Płyniemy do Khaipur, do Pałacu Karny. Co zamierzasz zrobić, gdy już tam będziemy?
- Chciałbym spędzić czas na medytacji, bogini.
Roześmiała się. - A o czym chcesz rozmyślać?
- O mych przeszłych żywotach i wszystkich błędach, które popełniłem.
Muszę przejrzeć moją własną taktykę... muszę znać samego siebie równie dokładnie, jak wroga.
- Jama uważa, że Złoty Obłok bardzo cię zmienił.
- Niewykluczone.
- Uważa też, że pobyt w Złotym Obłoku bardzo nadwątlili twe sity... Zawsze udawałeś mistyka, iecz teraz naprawdę nim jesteś... ku własnej niemocy... na naszą zgubę...
Potrzęsnał głową. Rozejrzał się wokół, ale w pobliżu nikogo nie dostrzegł.
Czyżby stała tu gdzieś niewidzialna, czy też poszła już do siebie? Zaczął mówić: łagodnym, jakby nieco monotonnym głosem.
- Zerwę z nieba te gwiazdy i rzucę je w twarze bogów, jeśli będzie trzeba...
- wymawiał każde słowo z osobna bardzo powoli, starannie, bezbarwnie.
- Dopuszczę się bluźnierstwa w każdej ze świątyń. Będę wiódł życie na wzór rybaka, chwytającego ryby do sieci. Jeśli będzie trzeba, ponownie wstąpię do Niebiańskiego Grodu, lecz każdy mój krok będzie niczym płomień lub nagi miecz, a rnej drogi strzec będą tygrysy. Pewnego dnia bogowie spojrzą z góry i ujrzą mnie wśród gwiazd, i przyniosę im to, czego najbardziej się boją, a ów dzień będzie początkiem nowej Jugi. Ale najpierw muszę mieć czas na medytację - zakończył.
Odwrócił się i znowu zatopił wzrok w wodzie.
Spadająca gwiazda przecięła niebo. Statek ruszył. Noc westchnęła w powiecie wiatru.
Sam spoglądał przed siebie, snując wspomnienia.

ROZDZIAŁ II

Pewnego razu pomniejszy radża z pomniejszego księstwka przybył Wraz ze swym orszakiem do Maharathy, do miastu zwanego Bramą Południa i Stolicą Wschodu. Przybył, bo chciał sprawić sobie nowe ciało. Działo się to w owych dniach, gdy jeszcze można było zerwać nic przeznaczenia. Bogowie nie przykładali znaczenia do formalności, uwięzione demony nie były groźne, a Niebiański Gród bywał niekiedy dostępny dla ludzi. Oto opowieść o tym, jak księżę zastawił zasadzkę na uzbrojonego kapłana, ściągając, na siebie nielaskę Niebios, zgorszonych ludzka arogancji...

Wiele bytów odradza się jako ludzie wśród ludzi, lecz jeszcze liczniejszy jest zastęp istnień, odradzających się gdzie indziej i w innych postaciach.

Anguttara-nikaja I,35

Księżę wjechał do Stolicy Wschodu wczesnym popołudniem. Jechał na białej klaczy, przemierzał szeroką ulicę Surja z setką dworaków z tyłu, po lewicy mając swego głównego doradcę Strąka. Wielki buiat koiyaar s;g w pochwie, przytroczony do szerokiej szarfy. W orszaku konie ugiwały się pod tobołami z cennym ładunkiem.

Żar lał się z nieba, wyciskając z ludzi ostatnie krople potu, minio turbanów ochraniających rozgrzane głowy. Spiekota podnosiła się lakże z drogi wraz z gęstym kurzem.

Rydwan zmierzał powoli w przeciwnym kierunku. Woźnica spoglądał z ukradka na bogato złożony sztandar, chwiejący się na wszystkie strony w zmęczonych rękach jednego z ważniejszych dostojników. U wejścia do małego domu stała kurtyzana, z wyraźnym nudzeniem spoglądając na niemrawe życie ulicy. Sfora kundli z przeraźliwym ujadaniem cisnęła się za orszakiem.

Księżę był wysoki i smukły, miał wąsy koloru dymu. Jego dłonie koloru kawy przecinała gęsta siateczka nabrzmiałych żył. Zawsze trzymał się prosto, a jego oczy przywodziły na mysy spojrzenie dawno wymarłych ptaków jasne i bystre. Od strony miasta wyszedł naprzeciw tłum ludzi, którzy chcieli obejrzeć

okazały pochód. Dosiadać koni mogli tylko ci, co byli w stanie je kupić-- kilka wierzchowców kosztowało całą fortunę.

Tak więc księżę jechał, strażnicy czuwali, brama Stolicy wschodu stała otwarta na oścież.

Zaraz za bramą pochód zjechał u głównej ulicy i skierował się w wąski, ponury zaułek. Mijali niskie, przycupnięte do ziemi sklepiki, kontrastujące wyglądem z wyniosłymi siedzibami wielkich kupców, bankami, świątyniami, oberżami, wielką ilością lupanarów. W ten sposób dotarli do miejsca, gdzie dzielnica handlowa graniczyła z peryferiami. Tam - na granicy miasta - wznosił się książęcy zajazd Hawkanyg -- Oberżysty Doskonałego. Ściągnęli cugle: w bramie pojawił się sam gospodarz - prosto ubrany, dość korpulentny i niezmiernie uśmiechnięty człowieczek czekał, aż będzie mu dane osobiście wprowadzić białą klacz w mury domostwa.

- Witaj, Panie Siddhartho! -zawołał donośnym głosem, tak ażeby nikt nie miał wątpliwości, że zna swego gościa. - Witaj w tej okolicy, gdzie głośno od śpiewów słowików, witaj w pachnących ogrodach i marmurowych komnatach tego skromnego domu! . Także niech będą pozdrowieni twoi jeźdźcy! Niemały kawał drogi musieliście zrobić, panie... ty i twój dwór, z pewnością zatem pragniecie godziwie jedzenia i miłego odpoczynku. Mam nadzieję, że w środku znajdziecie wszystko, czego dusza zapagnie, jak o tym już wielokrotnie mogliście się przekonać w przeszłości, łaskawy panie, gdy wraz ze swymi książęcymi gośćmi..., zbyt wielu ich, bym mógł uczcić wspomnieniem każdego z osobna... zechciałeś nawiedzić te progi...

- Dobry wieczór, Hawkano! - krzyknął księżę, dzień był bowiem upalny, a potok wymowy oberżysty zdawał się nie mieć końca. - Pozwól, że wejdziemy do środka, gdzie wraz z innymi gośćmi... zbyt wielu ich, bym wspomniał każdego z osobna... znajdziemy wreszcie miłą ciału ochłodę.

Hawkana skłonił się żwawo, po czym - chwyciwszy klacz za uzdę - wprowadził księcia i jego wierzchowca na dziedziniec. Następnie przytrzymał strzemię, gdy księżę zsiadał z konia, powierzył lejce stajennemu i rozkazał chłopakowi, by sprowadził z ulicy resztę orszaku.

Gości zaprowadzono do wyłożonej marmurami łaźni. Tutaj służcy pomogli im w kąpieli, polewając rozgrzane ciała strugami letniej, rześkiej wody. Ubrawszy się w świeże szaty weszli do jadalni.

Posiłek przeciągnął się do późnego popołudnia, trwał do momentu, gdy wojownicy stracili rachubę pochłanianych potraw. Po prawicy księcia, siedzącego na honorowym miejscu przy długim, niskim stole, trzy tancerki wyginały się w skomplikowanych pozach, przebierając palcami na cymbałach, wykrzywając twarze w pełnych ekspresji minach dla podkreślenia co ważniejszych momentów, a cztery inne, o twarzach skrytych za grubymi zasłonami, przygrywały im z boku. Stół był wybity piękną materią w kolorach błękitu, brązu, żółci, purpury i zieleni. Bogate hafty przedstawiały polowanie i sceny bitewne: mężczyzn uzbrojonych w dzidy i łuki, odpierających ataki dzikich bestii, zielone małpy pomykające w gęstwinie listowia, Ptaka Garudę, ściskającego w szponach demony, uderzającego w nie dziobem lub skrzydłami, albo znowu armię dziwnych ryb, z rogami na łbach, wyczołgującą się na suchy ląd. Trzymając w złożonych płetwach kawałki różowego koralu sprawiały, że szereg żołnierzy, w zbrojach, z hełmami na głowach, z dzidami w zaciśniętych dłoniach nagle się złamał, ruszył do odwrotu w stronę lasu.

Księżę jadł z umiarkowanym apetytem. Guzdrał się z jedzeniem, zasłuchany w muzykę. Niekiedy, gdy dobiegł go jakiś dowcip, opowiedziany przez któregoś z dworzan, wybuchał śmiechem.

Pociągał chłodny sorbet, uderzając bransoletami o szklany puchar.

Nagle u jego boku pojawił się Hawkana. - Czy jesteś, Panie, zadowolony!

- schylił się w niskim ukłonie.

- Tak, mój ty pocziwcze, niczego mi nie brakuje - odparł Siddhartha.

_ pozwól zauważyć, Panie, że nie jesz z takim apetytem jak twoi ludzie.

Czyżby jadło ci nie smakowało?

- Rzeczywiście, masz rację - uśmiechnął się księżę. Ale to nie wina jedzenia, które jest wyśmienite, ani znakomitej obsługi. Po prostu, drogi Hawkano, apetyt ostatnio mi nie dopisuje, to wszystko.

- Ach! - wykrzyknął oberżysta, kiwając głowę ze zrozumieniem. - Teraz

rozumiem. Lecz pozwól mi rzec, Panie, o pewnym specyfiku, który jakby specjalnie na ciebie czekał, Wasza Wysokość. Ten niezwykły napój podarował mi z wdzięczności za gościnę sam bóg Kryszna i to już przed wieloma laty. Troskliwie chroniłem go w piwnicy na specjalną okazję i oto, jak widzę, ta chwila wreszcie nadeszła. Przyniosę ten kordiał, Panie.

Ponownie zgiął się w ukłon i wyszedł.

Gdy wrócił, dźwigał przed sobą sporych rozmiarów gąsiorek. Nie musiał pokazywać księciu etykiety, by ten rozpoznał zawartość omszałego naczynia.

-- Prawdziwe wino burgundzkie! - wykrzyknął.

- Twa przenikliwość, Panie, nie ma sobie równej! - westchnął Hawkana.

- Tak, brugund, i to z zaginionej Urathy. Bardzo sędziwy rocznik.

Pociągnął nosem i uśmiechnął się. Po czym nalał parę kropli do pucharu w kształcie gruszki i podał go księciu.

Siddhartha długo smakował bukiet, wreszcie przytknął oczy i umoczył usta.

W jadalni zapadła absolutna cisza - tak oto dworzanie czcili ten wzniosły moment, gdy ich pan raczył oddawać się przyjemności.

Opróżniwszy puchar do dna, książę podał go oberżystcie. Hawkana z prawdziwym upodobaniem napełnił kielich ciemnokrwistym *pinot noir*, napojem, który w tym kraju nie był, niestety, wytwarzany.

Ale gość nie tknął pucharu. - Kto jest najstarszym muzykiem w tym domu?

---- spytał, lekko zwrócony w stronę gospodarza.

- Mankara, ten tutaj... -szepnął Hawkana, wskazując siwego mężczyznę, który siedział przy barku w kącie.

- Pytam o człowieka starego nie ciałem, lecz stażem - dodał książę.

- Ah, w takim razie Wasza Wysokość zechce spojrzeć na Dele - poprawił się Hawkana. - O ile tego człowieka w ogóle można uznać za muzyka...

w każdym razie twierdzi, że kiedyś nim był.

- Dele?

- Chłopak stajenny...

- Aha, rozumiem... poślij po niego.

Hawkana klasnęła, a gdy pojawił się służący, kazał mu pójść do stajni, zawołać stajennego, doprowadzić jego wygląd do ładu i migiem wyprawić go na pokoje.

-- Błagam, nie doprowadzaj go do ładu, tylko po prostu przyprowadź tutaj

-- westchnął książę.

Po czym wyciągnął się na sofie w pozie pełnej wyczekiwania. Gdy wreszcie stajenny stanął w progu, zwrócił się doń z pytaniem.

- Powiedz mi, Dele, jaką muzykę grasz?

-- Tę. w której bramini nie znajdują upodobania już od wielu, wielu lat

- odparł chłopak.

-- A twój instrument?... -zawiesił głos książę.

- Grałem dawniej na fortepianie...

-- Czy wobec tego mógłbyś się obyć którymś z tych? - gość wskazał na podium, gdzie stały różne instrumenty muzyczne, w tej chwili zupełnie bezużyteczne.

Chłopak spojrział we wskazanym kierunku. - Sądzę, że flet byłby dobry.

- Umiesz walca?

-- Tak.

-- A zagrałbyś mi „Nad pięknym modrym Dunajem?”

Ponura dotychczas twarz stajennego jakby się rozjaśniła, za to pojawiło się na niej coś w rodzaju zakłopotania. Rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę oberżysty -- Hawkana skinął przyzwalająco głowę.

- Siddhartha jest księciem wśród ludzi, jednym z Pierwszych - oznajmił gospodarz.

- I o ma być "Nad pięknym modrym Dunajem"... na flecie? - zapytał raz jeszcze, szukając ostatecznego potwierdzenia.

- Jeśli łaska,...

Chłopak wzruszył ramionami. -- Spróbuję - mruknął. Ale ostatnim razem razem strasznie dawno temu... jeśli macie odporne uszy,...

Podszedł do podium. Wybrał flet, zamienił kilka słów z właścicielem instrumentu, który pokiwał głową. Później podniósł lśniący przedmiot do ust i wydobyl kilka dźwięków tytułem próby. Przez chwilę stał w skupieniu, ponownie zagrał triadę, z dołu do góry i na odwrót.

Opuścił ręce, potem znowu przyłożył ustnik do warg i zakotłosał się w płynnym rytmie walca. Popłynęły pierwsze takty. Książę wychylił tyk wina.

Gdy zrobił przerwę, by zaczerpnąć tchu, Siddhartha ruchem ręki kazał mu grać dalej. I tak płynął ton po tonie, dźwięk po dźwięku zakazanej melodii, a zawodowi grajkowie jeden po drugim przyoblekli swe twarze w grymas zawodowego szyderstwa. Lecz kto by spojrzał pod stół, ujrzałby, jak stopami cicho wystukują powolny rytm zakazanej muzyki.

i tak Książę opróżnił puchar. Nad Maharathą zapadał zmierzch. Siddhartha rzucił chłopcu brzęcząca sakiewkę i nie spojrzał na lzy w jego oczach, gdy opuszczał jadalnię. Powstał z sofy, przeciągnął się, ziewnął i grzbietem dłoni przysłonił półotwarte usta.

• Wracam do *sypialni* - powiedział do dworzan. - Grając w kości, gdy mnie nie będzie, nie przepuście zbyt wiele z waszych spadków.

Rozesrniali się, a. złożwszy mu życzenia dobrej nocy zakrzyknęli o mocne napoje i słone paluszki. Zaledwie wyszedł, rozległ się grzechot kości.

Książę udał się na spoczynek wcześniej, chciał bowiem wyruszyć jeszcze przed *pierwszym* świtem. Pouczył sługę, by następnego dnia czuwał cały czas przed drzwiami sypialni i odprowiał każdego interesanta z kwitkiem, mówiąc, że pan czuje s?ę niedysponowany. !

Zanim pierwsze kwiaty otwały swe kielichy w oczekiwaniu na pierwsze owady, książę opuścił zajazd, a świadkiem jego odejścia była tylko stara zielona papuga. Nie ubrai się w jedwabie wyszywane perłami, lecz przywdział ostatnie łachmany, jak to zwykł czynić w podobnych chwilach. Nie poprzedzał go ani dźwięk trąby, ani dudnienie bębna, lecz tylko cisza szła przed nim przodem, gdy przemierzał ulice miasta. Wszędzie było jeszcze pusto i tylko od czasu do czasu w załomach murów mignął cień człowieka - lekarza lub kurtyzany, wracających z nocnego dyżuru. Gdy długim krokiem mijał dzielnicę kupiecką, zdążając w stronę portu, przyplątał się skądś jakiś kundel i nie opuszczał go aż dotarł do celu.

Zatrzymał się na molo. Usiadł na jakiejś pace. Świt wstawał powoli, lecz nieustępliwie, przepędzając ze światła ciemności. Patrzył na statki kołysane przyplływem i odpływem fal, licząc sterzące ku niebu ogołocone maszty, osnute cienką pajęczyną takielunku, spoglądał na dzioby, zdobione rzeźbami potworów i dziewic. Zawsze, gdy gościł w Maharathą, nie omieszkiał zajrzeć do portu, choćby na chwilę.

Świt otwierał swój różowy parasol nad postrzępionymi koronkami chmur, w dokach powiało chłodem. Mewy piszczały chrapliwie, podrywając się z holowników na pierwszy poranny oblot zatoki.

Śledził wzrokiem statek wyruszający na pełne morze, podobne do skrzydeł płachty żagli, drżące w przesyconym solą powietrzu. Także na pokładach tych statków, które bezpiecznie zacumowały w przystani, wszczynął się ruch: załogi czyniły przygotowania do załadunku lub rozładunku skrzyń z wonnościami, koralem, beczek z oliwą, pakunków z wszelkiego rodzaju towarami, żelazem, drewnem, przyprawami, klatek z bydłem. Wciągał w nozdrza woń handlu i słuchał pokrzykiwań marynarzy - i jedno, i drugie zawsze sprawiało mu przyjemność. Pierwsze - dlatego, że pachniało bogactwem. Drugie - dlatego, że było osobliwym połączeniem dwóch dziedzin, którymi dawniej w szczególny sposób się interesował: anatomii i teologii.

Tak minęło nieco czasu, a wtedy nawiązał rozmowę z pewnym zamorskim kapitanem, który schroniwszy się w cieniu mola nadzorował rozładunek worków ze zbożem.

- Dzień dobry - zaczął. - Oby twój rejs bogowie zachowali od sztormów i zapewnił ci bezpieczny port, gdzie mógłbyś z zyskiem sprzedać cały towar. Marynarz skinął głową, usiadł na brzegu i zaczął nabijać tytoniem małą, glinianą fajkę.

- Dziękuję, starcze - mruknął. - Choć sam z własnego wyboru modliłem się w Świątyni, chętnie przyjmuję dobre słowo od każdego i wszystkich. Błogosławieństwa nigdy dość, zwłaszcza takiemu wilkowi morskemu jak ja.

- Miałeś trudny rejs?

- Mogło być gorzej - odparł kapitan. - Ten bulgocący kociołek ognia, ta wiecznie kopcząca góra Kannon z Nitri znowu zwróciła ku niebu płomieniste groty kamiennych strzał.

- Ach, przybywasz z południowego zachodu?

- Tak, z Khatiszan, a dokładniej mówiąc z Ispor. O tej porze roku wiatry na ogół sprzyjają żegludze, lecz popioły wyrzucone przez Kannon z głębi ziemi zupełnie ograniczyły widoczność, tak że przez sześć dni płynęliśmy po omacku. Odór otchłani ciągnął się naszym śladem, sine mgły otulały nas cuchnącą, nieprzeniknioną zasłoną, a jado i woda tak przesiąkły smrodem, że nikt nie

43

chciał ich **tknąć. Niezdrowy wapory wyciskały nam lzy z oczu, gardła paliły żywym ogniem, tak że gdy wreszcie wydostaliśmy się z tej strefy śmieci, nie żałowaliśmy ofiar dziękczynnych. Spójrz tylko, jak osmalone są burty... o żaglach już nie wspomnę, bo poczerniały niczym włosy Ratri.**

Książę pochylił się do przodu, by lepiej ujrzeć to, o czym mówił marynarz.

- Ale samo morze było spokojne?

Żeglarz potrząsnął głową. - W pobliżu Solnej Wyspy mijaliśmy krążownik i wtedy dowiedzieliśmy się, że gdybyśmy wypłynęli sześć dni wcześniej, to trafilibyśmy na okres największego gniewu Kannon. jednym słowem mieliśmy więc szczęście. W przeciwnym razie oczekiwały nas płonące obłoki i fale wielkości góry, który zdołały zatopić dwa wielkie statki wojenne... o nich ludzie z krążownika wiedzieli na pewno, że przepadły, podejrzewano jednak, że zginął jeszcze jakiś jeden statek... - kapitan oparł się o murek i zapalił fajkę. - Jak zatem widzisz, człowieku wilk morski zawsze potrzebuje błogosławieństwa... i nieco szczęścia.

- Szukam właśnie prawdziwego wilka morskiego - powiedział książę.

- Chciałbym znaleźć pewnego kapitana... nazywa się Jan Olvegg, ale jest też znany jako Olvagga. Może go spotkałeś?

- Tak, znam go - odparł marynarz, pykając z fajki. - Ale już od wielu lat nie pływa.

- Czyżby? - zdziwił się Siddhartha. - A co się z nim dzieje?

Żeglarz odwrócił się i rzucił w jego stronę długie, badawcze spojrzenie.

- Kimże jesteś, skoro o niego pytasz? - zapytał w końcu, lekko zirytowany.

- Na imię mam Sam. Jan jest moim starym przyjacielem.

- Jak bardzo "starym"?

- Poznaliśmy się wiele, wiele lat temu, w innych czasach i w innym miejscu. Znałem go, gdy dowodził jeszcze stateczkiem, który nie byłby w stanie przepłynąć tego oceanu.

Nagle kapitan schylił się, podniósł kawałek drewna i cisnął nim w psa, który ciągle kręcił się przy palach falochronu. Zwierzę zawył krótko, po czym pobiegło w stronę magazynów, szukając schronienia w załomach murów. Był to ten sam kundel, który towarzyszył księciu w drodze z oberży do portu.

- Strzeż się posłańców piekiel - mruknął kapitan.

- Tu psy, i tam psy, i jeszcze ówdzie psy... Są trzy rodzaje psów. Nie bój się od rzeczy, gdy zechcą się od nas trzymać z daleka, zwłaszcza w tym porcie - co rzekłszy, jeszcze raz zmierzył wzrokiem księcia. - Twe ręce... - wskazał fajką na przeguby dłoni Siddharthy. - Na pewno jeszcze całkiem niedawno temu nosiłeś pierścienie... wyraźnie widać ślady.

Sam obejrzał wskazane miejsca i bez trudu dostrzegł różnicę w opaleniznie. - Masz rację, żeglarzu. Nic się nie skryje przed twym bacznym spojrzeniem - uśmiechnął się. Trudno ukrywać rzeczy oczywiste: tak, nosiłem pierścienie.

- Jesteś więc jak te psy: choć wydajesz się być żebrakiem, w istocie nie jesteś nim... w dodatku pytasz o Olvagga, nazywając go imieniem, którego już od lat nie nosi. Jak powiadasz, na imię ci Sam. Może przypadkiem należysz do książęcego rodu?

44

Sam nie udzielił mu odpowiedzi, lecz przyglądał mu się, jak gdyby w oczekiwaniu, że usłyszy coś więcej.

Jakby spełniając to nieme życzenie, kapitan ciągnął swój monolog dalej.

- Olvagga, jak pamiętam, też pochodził ze świetnego rodu, był policzony między Pierwszymi, ale nigdy o tyrn nie wspominał. Kimkolwiek więc byś nie był, czy jednym z Pierwszych, czy może jednym z Mistrzów, z pewnością wiesz, że i Olvagga był jednym z nich. Niech ci się tylko nie zdaje, że zdradzę go, bo taka jest wola nieznanego przechodnia. Muszę wiedzieć, do kogo mówię: do

wroga czy do przyjaciela.

Sam drgnął, jakby ostatnie zdania mocno go uraziło.

- Jan znany był przecież z tego, że nigdy nie miał wrogów, ty zaś mówisz o nim w ten sposób, jak gdyby ci, których nazywasz Mistrzami, czyhali na jego życie.

Żeglarz nie spuszczał go z oczu. - Nie, ty na pewno nie jesteś Mistrzem - stwierdził w końcu. - Poza tym przybywasz z daleka.

- Racja - kiwnął głową Sam. - Lecz skąd o tym wiesz?

- Po pierwsze - zaczął kapitan - jesteś stary. Mistrz, choć mógłby przybrać ciało starca, nigdy tego nie uczyni, bowiem jego strach przed prawdziwą śmiercią jest zbyt wielki. Już raczej woli włożyć się w ciele psa. Skoro żaden Mistrz nie przybierze ciała starego człowieka, nie jest więc rzeczą możliwą, by pozostawał w nim na tyle długo, że bransolety i pierścienie pozostawiłyby na jego rękach i palcach trwałe ślady. Poza tym przedmioty zbytku nigdy nie skaziły ciała żadnego z nich. Dlatego - podsumował swój wywód - myślę, że choć z pewnością jesteś kimś ważnym, nie jesteś jednak Mistrzem. Skoro zaś znasz Olvagga już od tak dawna, jak mówisz, pochodzisz zapewne z Pierwszych, podobnie jak on. Z pytań, które zadajesz, wnioskuję, że przybywasz z daleka. Gdybyś pochodził z Maharatha, słyszałbyś o Mistrzach, a wiedząc o nich, nie pytałbyś, dlaczego Olvagga już nie żeglują.

- Jak na kapitana statku, który dopiero co zawinął do portu, twa wiedza o tym, co się tu dzieje, jest zaiste olbrzymia.

- Przyznaję, przybywam z daleką - rzekła marynarz uśmiechając się pod wąsem. - Lecz nie zapominaj, że podczas rocznego bez mała rejsu zarzucałem kotwicę w wielu portach i słyszałem, co się dzieje na świecie. Najświeższe nowiny, plotki, opowieści ze wszystkich stron... tego nigdy nie brak żeglarzowi, który zawija do dwakroć dwunastu portów. Słyszałem o intrygach w Pałacu i o wydarzeniach w Świątyni. Słyszałem najtajniejsze sekrety opowiadane szeptem złotym dziewczętom pod łukiem Karny, wzniesionym z trzciny cukrowej. Słyszałem o bitwie pod Khshartija i o interesach, które zawierają możni kupcy, sprzedawcy zboża i wonności, kamieni szlachetnych i jedwabiu. Piłem przy jednym stole z bardami i astrologami, aktorami¹ służącymi, woźnicami i krawcami. Niekiedy zdarzało mi się, że zawijałem do portu korsarzy, a wtedy mogłem poznać los tych, którzy utrzymują się z okupów. Niech więc nie wydaje ci się dziwne, że ten, kto spędza cały rok na morzu, wie więcej o Maharatha niż ty, który mieszkasz być może zaledwie kilka dni drogi stąd. Zdarzało mi się nawet słyszeć o tym, co porabiają bogowie.

45

- Mógłbyś zatem opowiedzieć mi o Mistrzach i wyjaśnić, dlaczego policzono ich między wrogów? - spytał Sam.

- Owszem - kiwnął głową kapitan. - Mogę ci co nieco opowiedzieć, bo nie powinieneś odejść stąd nie ostrzeżony. Mistrzami Karny zostali teraz handlarze ciał. Ich prawdziwe imiona trzymane są w tajemnicy, jak to bywało z imionami bogów, tak że sprawiają wrażenie czegoś ponadosobowego, sami zaś głoszą, że reprezentują na tym świecie Wielkie Naczynie Prawa. Nie są już handlarzami ciał, gdyż weszli w przymierze z ludźmi Świątyni. Ci z kolei zajęli miejsca swych kuzynów, Pierwszych, a oni znowu zostali uznani za bogów takich samych, jak ci dawni, z nieba. Jeśli naprawdę wywodzisz się z Pierwszych, nie masz wyboru: albo zostaniesz na siłę ubóstwiony, albo będziesz musiał odejść, gdy tylko staniesz twarzą w twarz z nowymi Mistrzami Karny.

- Jak to się stanie? - spytał Sam.

- O szczegóły pytaj gdzie indziej - uśmiechnął się smutno kapitan. - Nie mam pojęcia, jak to się dzieje. Pytaj o Jannavega, tego, który szyje żagle. Mieszka na ulicy Tkaczy.

- Pod tym nazwiskiem ukrywa się Jan?

Kapitan potwierdził skinieniem głowy.

- I strzeż się psów - dodał. - I w ogóle wszystkiego, co może dać cię poszukującej schronienia, bezcielesnej inteligencji.

- Jak się nazywasz? - spytał Sam.

- W tym porcie - szepnął marynarz - nie znają mego imienia, a jeśli się do mnie zwracają, to posługują się fałszywym. Nie widzę powodu, by cię

okłamywać. Do widzenia, Sam.

- Do widzenia, kapitanie. Dziękuję.

Książę wstał i ruszył z powrotem w stronę dzielnic handlowej, której wąskie uliczki powoli zaludniały się tłumem kupców i kupujących.

Słońce wisiało na niebie niczym wielka czerwona tarcza, zdążająca na spotkanie Mostu Bogów. Siddhartha przemierzał ulice budzącego się miasta, torując sobie drogę w tłumie oszustów, usiłujących drobnymi sztuczkami przyciągnąć uwagę spieszących się przechodniów i sprawiać wrażenie ludzi, którzy ciężko harują na swój kawałek chleba. Sprzedawcy pudru i pachnidła, balsamu i wonnych olejków uwijali się jak w ukropie. Kwiaciarze rozkładali swe girlandy na bruku. Wszyscy głośno zachwalali swój towar, tylko winiarze siedzieli na ławkach z wielkimi bukłakami wina, czekając, aż przyjdą pierwsi klienci - zawsze tak czynili. Poranek pachniał gotowaną strawą, piżmem, mięsem, ekskrementami, oliwą i kadzidłem, a wszystkie to zapachy otaczały wędrowca niczym gęsty, przejrzysty obłok.

Ponieważ sam był ubrany jak żebrak, nie wydawało się rzeczą niestosowną przystanąć i przemówić do garbusa, klęczącego z miską na jałmużny.

- Pozdrowienia, bracie - mruknął, pochylając się nad garbusem. Przychodzę tu w pewnej sprawie... mógłbyś mi powiedzieć, jak dojść do ulicy Tkaczy?

46

Żebrak pokiwał głową, a jednocześnie jeszcze mocniej potrząsnął miseczką na datki.

Wygrzebał miedziaka z sakiewki ukrytej pod postrzępioną szatą. Moneta nie zdążyła dotknąć dna żebraczej skarbonki, gdy znikła gdzieś, jakby rozwiła się niczym dym.

- Tedy - garbus skinął głową. Dojdiesz do trzeciej przecznicy i skrócisz w lewo. Potem miniesz jeszcze dwie przecznice i dojdiesz na plac Fontanny przed świątynią Waruny. Jedna z ulic, które rozchodzą się od placu, to właśnie ta, kierej szukasz, oznaczona godłem Szydła.

Książę kiwnął głową w podzięcie, poklepał żebraka po garbie, po czym ruszył przed siebie.

Gdy dotarł do placu Fontanny, przystanął. Zatrzymał go dziwny widok kilkudziesięciu ludzi, stojących w długim, pofalowanym ogonku przed świątynią najbardziej surowego, ale i najczciodszejszego z bóstw. Ta dość liczna grupa bynajmniej nie oczekiwała na wejście do świętego przybytku, lecz była zajęta czymś, co wymagało cierpliwości i przynosiło dochód. Ponieważ usłyszał brzęk pieniędzy, podszedł bliżej.

Przyczyną tego zbiegowiska była maszyna - lśniąca, błyszcząca chłodnym połyskiem metalu.

Jakiś człowiek wrzucił monetę do paszczy stalowego tygrysa. Maszyna zaczęła mruzczeć. Wtedy człowiek nacisnął kilka guzików o kształtach zwierząt i demonów, a wówczas wzdłuż zwojów dwóch świętych węży, wijących się z przodu maszyny, rozeszły się silne błyski.

Książę przysunął się bliżej.

Ten sam mężczyzna, który przedtem naciskał guziki, pociągnął teraz w dół małą dźwignię, rzeźbioną w kształcie rybiego ogona.

Błękitny blask świętego ognia wypełnił wnętrze maszyny. Węże pulsowały purpurową, opalizującą poświata. Pogrążony w dziwnym świetle, ukołysany iagodną muzyką mężczyzna popadł w zachwycenie i zaczął wirować we wściekłym rytmie.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ostatecznej błogości. Uplłynęło kilka minut. Maszyna przestała pracować, a wtedy mężczyzna przerwał swój taniec, wrzucił jeszcze jeden krążek i jeszcze raz przesunął dźwignię, co sprawiło, że ludzie wojacy bliżej końca kolejki zaczęli szeptać z oburzeniem Książę zorientował się z tych utyskiwań, że ów człowiek wrzucił już siedemnaście żetonów, a że dzień był upalny, kolejka długa, zaś każdy czekał na możliwość odbycia modłów, podobne praktyki wzbudzały powszechne niezadowolenie. Bo nawet jeśli chciał wzbogacić świątynię godnym darem, to nie musiał zabierać czasu innym - mógł wręczyć swój datek kapłanowi, a nie zmuszać tłum ludzi do czekania w skwarze. Ktoś z kolejki rzucił, że widocznie ma do odprawienia wielką pokutę. Uwaga ta pociągnęła całą lawinę spekulacji na temat grzechów, które mógł popełnić, a co

zabawniejsze domysły kwitowano salwami hucznego śmiechu.

Gdy ksiązę spostrzegł, że w kolejce czeka kilka żebraków, podszedł ku nim i przystanął obok.

Kiedy wreszcie długi sznur ludzi posunął się nieco do przodu, zauważył, iż niektórzy naciskają jakieś guziki, podczas gdy inni jedynie wsuwają płaskie

47

metalowe kółka do pyska drugiego tygrysa - tego po przeciwnej stronie obudowy. Gdy maszyna kończyła pracę, krążek wpadał do stojącego niżej pucharu i z powrotem wędrował do kieszeni właściciela. Postanowił zaryzykować drobne śledztwo.

Zwrócił się do pierwszego z brzegu człowieka - tego, który stał przed nim w kolejce.

- Jak to się dzieje, że niektórzy otrzymują żetony z powrotem? - spytał.

- Ponieważ są zarejestrowani - odparł ten, który stał przed nim, lecz nie odwrócił głowy.

- Zarejestrowani? - zawiesił głos. - Aha, chodzi ci o to, że są zarejestrowani w Świątyni?

- Tak.

- Hm...

Odczekał pół minuty, po czym zadał kolejne pytanie.

- A ci, którzy nie są zarejestrowani... ci muszą naciskać guziki?

- Tak - odrzekł sąsiad. -- Muszą też podać imię, nazwisko, zawód i adres.

- A jeśli ktoś jest przyjezdny, tak jak ja?...

- To musi podać miasto skąd przybywa.

- A jeśli ktoś jest niepiśmienny... jak ja... to co wtedy?

Dopiero teraz mężczyzna odwrócił się w jego stronę.

- Wtedy byłoby chyba lepiej - rzekł - gdybyś pomodlił się w zwykły sposób, to znaczy poszedł do Świątyni i dał pieniądze kapłanom. Albo pójdz się zarejestrować, a wtedy dostaniesz swój żeton.

- Rozumiem - mruknął Sam. - Tak, z pewnością dobrze mi radzisz.

Muszę to przemyśleć. Dziękuję.

Wyszedł z kolejki, Zrobił rundę dookoła fontanny i doszedł do kolumny oznaczonej symbolem Szydła. Ruszył w dół ulicy Tkaczy.

Trzykroć pytał o Jannauega - tego, który tka żagle - i za trzecim razem krępa kobieta o potężnych ramionach, z drobnym wąsikiem pod nosem wskazała mu adres. Przedtem jednak zmierzyła go z góry na dół i z dołu do góry badawczym spojrzeniem aksamitno-brązowych oczu, nie przerywając ani na chwilę pracy przy tkaniu dywanu.

Ruszył w dół krętej uliczki, zszedł po długich schodach, biegnących wzdłuż pięciopiętrowej budowli, aż dotarł do drzwi, z których wchodziło się do ciemnej, tchnącej stęchlizną sieni.

Zapukał do trzech drzwi od lewej. Minęło kilka sekund. Skrzypnęły zawiasy.

W progu stanął mężczyzna. - Słucham?...

- Czy mogę wejść? - zapytał ksiązę. - To dość pilna sprawa...

Widać było, że gospodarz wahał się przez chwilę, lecz nagle skinął głową i usunął się na bok, robiąc przejście.

Ksiązę wszedł do pokoju. Na podłodze leżały rozłożone ogromne płachty żagli, w kącie stał stółek, na którym usiadł gospodarz, wskazując gościowi drugi taboret.

Był małego wzrostu, szeroki w ramionach, miał śnieżnobiałe włosy, a zasnutę jakby pajęczyną źrenice jego oczu mówiły, że jest we wczesnym stadium jaskry. Miał krótkie, mocne, opalone ręce, grube superkowate palce.

48

-. Tak?... - zawiesił głos.

- Jan Olvegg - powiedział ksiązę.

Gospodarz nie mógł ukryć zdziwienia i przestraszenia, zaraz jednak zmrużył oczy, tak że nie było już widać trwogi, rozszerzającej mu źrenice. W dłoni trzymał nożyce i co chwila lekko podrzucał je do góry.

- Do Tipperary droga daleka - mruknął ksiązę.

Mężczyzna zmierzył go badawczym spojrzeniem i nagle się uśmiechnął.

- Jeśli nie zostawiłeś tam serca - odparł, kładąc nożyce na przedziałni. - Ile to już lat minęło, Sam?

~- Straciłem rachubę czasu.

- Ja też. Ale chyba coś koło czterdziestu... czterdziestu pięciu? Sporo wody upłynęło w rzece, że tak powiem, prawda?

Sam pokiwał głową.

-- Nawet nie wiem, od czego by tu zacząć... - rzekł prawdziwie zakłopotany.

- W taki m razie... - ksiązę zamyślił się na chwilę - w takim razie powiedz mi, co to za historia z tym „Jannavegą”.

- Czemu nie? - gospodarz odchrząknął, jakby przygotowując się na dłuższe opowiadanie. - Jest w tym imieniu pewna powaga, nie mówiąc już o tym, że brzmi bardzo po robociarsku, ot i wszystko. A co u ciebie? Nadal bawisz się w księcia?

- Jestem nadal sobą - powiedział Sam. - Lecz gdy już trzeba mnie jakoś nazwać, mówią na mnie „Siddhartha”.

- I „Zaklinacz Demonów” - dodał gospodarz, chrząkając znacząco.

- Świetnie. Zakładam, że dawnym zwyczajem, o ile los nie zmusza cię do aktorstwa, sam sobie tworzysz role i budujesz dekoracje, czy nie tak?

Ksiązę potwierdził krótkim skinieniem głowy. - I wszystko byłoby w porządku, gdybym nie natknął się na wiele spraw, których nie mogę zrozumieć - dodał.

- Aha... - mruknął kapitan. - Wiem, do czego zmierzasz, ale naprawdę nie mam pojęcia, od czego zacząć. Jak zacząć? Oczywiście, mogę ci opowiedzieć o sobie, to znaczy... Chyba zebrałem zbyt wiele złej karmy, bym mógł dokonać odpowiedniego transferu...

•••-- Co?! - ksiązę omal nie zleciał ze stołka.

- Mówię, że chyba zebrałem zbyt wiele złej karmy - powtórzył ten drugi,

- Stara religia to nie tylko mity, lecz także coś, co w swoim czasie zostało objawione i narzucone ludziom, zaś teraz zostało dowiedzione z zastraszającą oczywistością. Przed kilkunastu laty Sobór postanowił, że ci, którzy stoją już na drodze do odrodzenia, którym wiek każe myśleć o powtórny przybraniu ciała, powinni się poddawać sondowaniu umysłu, tak zwanym psychopróbnom. Było to po schizmie, z której wyłoniły się odłamy akceleratorystów i deikratów, w czasie, gdy święta Koalicja wytępiła wszystkich techników i uchwaliła prawo o dalszych prześladowaniach. Wtedy to najprostszym sposobem na przeżycie tych ciężkich czasów była walka o zwykłe przetrwanie. Skupieni wokół Świątyni deikraci zaczęli ubijać interesy z handlarzami ciał. Klientom pobierano mózgi, Poddawano je dokładnym badaniom, a po zbadaniu był już tylko krok do

transferu umysłu. Z czasem handlarze ciał stali się Mistrzami Karmy i częścią struktury Świątyni, oni to bowiem odczytywali z zapisów mózgu wszystkie dane o przeszłym życiu klienta, oni to sprawdzali, czy ciężką, czy lekką ma karmę, oni to wreszcie podejmowali decyzje o przyszłym życiu klienta. Manipulując zapisem karmicznym, deikraci oraz handlarze ciał mogli utrzymać kastową strukturę społeczeństwa i zachować pełną kontrolę nad ludźmi. Partia bogów szybko pojęła, że w ten sposób otrzymuje do rąk nieograniczoną bez mała władzę i umiała z tego skorzystać. Akceleratorystom odmówiono powtórnych narodzin... dzisiaj nie żyje ich zbyt wielu.

- O, Boże! - jęknął Sam.

- Chciałeś powiedzieć, „bogowie” - poprawił go Jan. - Ciągłe bowiem uznaje się bogów ze wszystkimi ich atrybutami i przymiotami, choć kult stał się potwornie oficjalny. Każdy zaś, kto miał to cholerne szczęście, że urodził się wśród Pierwszych, musi się szybko decydować, co mu milsze: czy kanonizacja, czy stos. Ciało nigdy nie było dosyć, dlatego gdy teraz wzywają kogoś do Dworu Karmy, lepiej już wiedzieć, czego się chce: szybkiego ubóstwienia i wianuszka nad głową albo ostatecznego zniszczenia i prawdziwej śmierci. W ten sposób wielu z naszych dawniejszych przyjaciół zostało zredukowanych do swych własnych aureoli...tyle z nich pozostało... - zamilkł na chwilę, po czym spojrzął na gościa z wyraźnym zaciekawieniem. - Może i tobie wyznaczili już termin wizyty w Dworze Karmy?

-- Tak - odrzekł Sam. - Jutro po południu... Po twej opowieści jednego

wszakże nie mogę zrozumieć... Skoro wywodzisz się z Pierwszych i mieszkasz tutaj już od lat, to czemu ciągle jeszcze chodzisz po świecie, zamiast błąkać się w postaci własnej aureoli lub być pękiem błyskawic?

- Ponieważ mam dwóch przyjaciół, którzy poradzili mi, bym raczej wybrał spokojne życie niż poddał się próbie we Dworze Karmy. Wziąłem sobie ich radę do serca i teraz szyję żagle, za jedyną rozrywkę mając pijatyki, jakie od czasu do czasu wyprawiam w pobliskich knajpkach... W przeciwnym bowiem razie...

- wyciągnął rękę, strzelając palcami - w przeciwnym razie czeka mnie jeśli już nie prawdziwa śmierć, to na pewno nie więcej niż interesujące życie wykastrowanego bawoła albo...

- ... albo psa? - dokończył Sam.

- Właśnie - pokiwał głową Jan, po czym z głośnym bulgotem nalał do dwóch szklanek jakiegoś alkoholu.

- Dziękuję.

- Niech nam sprzyja piekielny ogień - podniósł swoją szklankę, odstawiając na warsztat tkacki butelkę.

- Tak na pusty żołądek?... - zawahał się Sam. - To własnej produkcji?

- Oczywiście. Aparatura stoi w drugim pokoju.

- Zgadłem. Gdybym miał ciężką karmę, ta odrobina ginu powinna ją chyba rozpuścić.

- Definicja ciężkiej karmy to coś, czego nasi ubóstwieni przyjaciele szczególnie nie lubią... - smutno uśmiechnął się Jan.

- W takim razie co cię skłania do przypuszczeń, że i twoja karma nie jest inna? - zdziwił się książę?

50

- Ponieważ chciałem, by wprowadzić maszyny do życia naszych potomków. Potępiony przez Sobór, wypartem się mych poglądów, mając nadzieję, że wszyscy szybko zapomną o tej sprawie. Ale nie zapomnieli. Doktryna akceleracjonizmu jest dzisiaj tak szeroko znana, że za mego życia nie mam co liczyć na zapomnienie. A szkoda. Tak bardzo chciałbym jeszcze raz podnieść żagle i ruszyć do horyzontu...

- To próba jest aż tak dokładna, że ci ze Świątyni są w stanie wykryć coś równie nieuchwytnego, jak sprzyjanie akceleracjonizmowi?

- Próba w Dworze Karmy - gorzko uśmiechnął się Jan - jest na tyle szczegółowa, że możesz się z niej dowiedzieć, co jadłeś na śniadanie jedenaście lat temu, albo w którym miejscu zaciałeś się podczas golenia w dniu, gdy Andorran mruczał hymn narodowy.

- Niemal tu eksperymentowano podczas mojej nieobecności - zamyślił się Sam. - A pamiętasz te dwa pakunki, które tu przynieśliśmy? Były tam urządzenia przekładające na język słów zapis fal mózgowych. Ciekawe, kiedy przestały działać?

- Posłuchaj mnie, drogi krajanie - zaczął Jan. - Może pamiętasz takiego smarkacza wątpliwego pochodzenia imieniem Jama? Łobuz z rodzaju tych, które zawsze wcinają generatory... pewnego dnia któryś w końcu wybuchł i chłopak został tak ciężko poparzony, że musiał sobie zmienić ciało... dostał ciało pięćdziesięcioletnie, choć miał zaledwie szesnaście lat. Pamiętasz, jak zawsze lubił bawić się bronią? Jak zawsze rozbierał na części wszystko, co się ruszało, a małe zwierzątka poddawał „sekcjom”, tak że nazwaliśmy go z powodu tych zamiłowań „bogiem śmierci”?

- Tak - kiwnął głową Sam. - Pamiętam go. On jeszcze żyje?

- Można to i w ten sposób określić - roześmiał się Jan. - Teraz jednak „bóg śmierci” to nie tylko jego przezwisko, lecz tytuł. Jama jest rzeczywiście Bogiem Śmierci. Wystarczyło, że udoskonalił nieco studia, którym oddawał się czterdzieści lat temu... dekraci trzymali tę wiadomość w ścisłej tajemnicy aż do całkiem niedawna. Teraz już się o tym nie mówi. Słyszałem na przykład, że Jama wymyślił parę zabawnych urządzeń, które pozostają na służbie bogów... na przykład coś, co nazywa się „mechaniczna kobra”, a co jest zdolne zarejestrować encefalogram na odległość mili, wystarczy że podniesie i rozłoży swój kaptur. Może wyłowić z tłumu kogo chce, niezależnie od ciała, które ów ktoś przybierze. Na razie nikt jeszcze nie wynalazł antidotum na jej jad... cztery sekundy i po wszystkim. Albo ogniste berło, chłoszczące Księżyc przez trzy dni, gdy Pan Agni stał u brzegów i falował wody morza. Wiem też, że Jama właśnie

kuje coś w rodzaju ognistego rydwanu dla Pana Siwy...

- Och... - westchnął Sam.

- I co? Ciągle jeszcze zamierzasz poddać się próbie?

- Nie lękam się - odparł. - Powiedz mi jednak, czy te maszyny do modlitwy... jedną z nich widziałem przed chwilą na placu... są bardzo powszechne w użytku?

- Tak - potwierdził Jan. - Po raz pierwszy użyto ich dwa lata temu, a wymyślił je pewnej nocy młody Leonardo, siedząc nad szklaneczką somy. Teraz, ponieważ idea karmy i reinkarnacji przeżywa swój renesans, więcej jest

51

tych maszyn niż poborców podatków. Ale też nic dziwnego, bo nigdy jeszcze modlitwa nie była tak potrzebna jak dzisiaj. W przededniu swych sześćdziesiątych urodzin każdy mieszczuch wędruje do kliniki, prowadzonej przez kościół, do którego należy, zaś tam porównuje się konto modlitw z kontem, gdzie zapisywane są grzechy. Wynik tego badania, podobnie jak wiek, płeć i stan zdrowia ciała, które chce przybrać, decydują o rodzaju kasty, do której delikwent zostaje zaliczony. Właściwie nic w tym zdrożnego. Sprawa zupełnie czysta.

- Gdy o mnie chodzi... - zaczął Sam - to i tak wiem, że nie przejdę tej próby, nawet gdyby moje konto modlitw pękało w szwach. Wpadnę, gdy tylko spojrzą na moje grzechy.

- Co za rodzaj grzechów popełniłeś?

- Jeszcze ich nie popełniłem, ale wkrótce popełnię, I mimo, że jeszcze nie popełnione, są już zapisane w moim umyśle od chwili, gdy postanowiłem je popełnić.

- Zamierzasz przeciwstawić się bogom?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Tego jeszcze nie wiem. Ale zacznę od tego, że najpierw wejdę w kontakt z nimi. Kto tam rządzi?

- Trudno mi powiedzieć - gospodarz wzruszył ramionami. - Wiadomo, że wszystkim kręci Trimurti, czyli trójca złożona z Brahmy, Wisznu i Siwy. Który z nich trzech jest najważniejszy, nie wiem. Jedni mówią, że Brahma...

- Kim tak naprawdę oni są?

Jan potrząsnął głową. - Skąd mógłbym to wiedzieć? Co pokolenie przyjmuje inne ciała. Wszyscy używają imion bogów.

Sam podniósł się. - Wrócę później, albo przyślę po ciebie kogoś.

- Mam nadzieję... Jeszcze drinka?

Sam odmówił gestem ręki. - I znowu muszą się stać Siddharthą, muszą pospieszyć się do oberży Hawkany i niezwłocznie oznajmić, że mam pragnienie odwiedzić Świątynię. Jeśli nasi dawni przyjaciele są teraz bogami, to muszą jakoś porozumiewać się ze swymi kapłanami. Siddharthą idzie się modlić.

- Niech ci chociaż nie przyjdzie do głowy wspomnieć mnie w tych modlitwach - powiedział Jan, wychylając kolejnego drinka. - Nie jestem pewien, czy przeżyłbym boską wizytację tu, u siebie w domu.

Sam roześmiał się. - Przecież nie są wszechmogący.

- Mam nadzieję - mruknął gospodarz. - Obawiam się jednak, że dzień, gdy się to stanie faktem, jest już niedaleko.

- Dobrych wiatrów, Janie.

- Skaal.

Po drodze do Świątyni Brahmy książę Siddharthą zatrzymał się na ulicy Kowali. Pół godziny później wyszedł ze sklepu w towarzystwie Strake'a oraz trzech dworzan i miał tak zadowolony wyraz twarzy, jak gdyby otrzymał wizję

52

tego, co miało się zdarzyć. Pięciu mężczyzn przeszło przez centrum miasta, aż w końcu stanęli przed wysoką, ogromną Świątynią Stworzyciela.

Nie zważając na natrętne spojrzenia ludzi, wyczekujących na swoją kolejkę do automodłów (jak powszechnie zwano popularne urządzenia), książę ruszył

w górę schodów, prowadzących do głównego wejścia, gdzie miał go oczekiwać najwyższy kapłan, któremu zaanonsował swą wizytę odpowiednio wcześniej. Siddharthą oraz jego ludzie weszli do środka, lecz zanim mogli się zwrócić wprost do kapłana, złożyli hołd bóstwu, czyniąc głęboki ukłon w stronę głównej komnaty, jak kazał zwyczaj. Po czym Strake i trzech dworzan wycofało się, by zachować pełne szacunku dystans, zaś ksiązę złożył w ręce kapłana nabitą sakiewkę i odezwał się niskim głosem:

- Chcę mówić z Bogiem.

Kapłan zmierzył go ostrym spojrzeniem, lecz w jego słowach nie dało się wyczuć najmniejszego wzruszenia. - świątynia jest otwarta dla wszystkich, Panie Siddhartho - odezwał się z namaszczeniem. - Każdy, kto ma takie życzenie, może tutaj pozostawać w łączności z Niebem tak długo, jak tylko chce.

- Prawdę mówiąc, nie to miałem na myśli - przerwał mu ksiązę.

- Myślałem o czymś bardziej osobistym niż składanie ofiar czy klepanie litanii.

- Nie jestem pewien, czy nadażam za twymi myślami, Panie - skłonił się kapłan.

- Ale co do wagi sakiewki nie masz wątpliwości, prawda? - roześmiał się Siddharthą. - Ta, którą już otrzymałeś, pełna jest srebra. Możesz dostać jeszcze jedną, tym razem ze złotem... ale płatne po zawarciu transakcji. Chciałbym bowiem skorzystać z telefonu.

- Tele... co?

- 2 waszego systemu łączności - wyjaśnił ksiązę. - Jeśli pochodzisz z Pierwszych, tak jak ja, z pewnością zrozumiesz, o co mi chodzi.

- Niestety, ...

- Zapewniam cię, że nic z tego, co powiem, nie będzie zwrócone przeciwko tobie ani twemu urzędowi. Wiem, co mówię a moja dyskrecja była zawsze znana wśród Pierwszych jako przysłowiowa. Zadzwoń do Bazy Pierwszych a przekonasz się, że nie kłamię, o ile ci to ułatwi podjęcie decyzji. Czekam tu, w zewnętrznej komnacie. Powiedz im, że Sam chce zamienić słówko z Trimurtim. Powinni się zgodzić...

- Nie wiem...

Sam wyjął drugą sakiewkę i zważył ją w dłoni. Kapłan spój rżał, jak ręka ugina mu się pod ciężarem złota. Zacisnął wargi.

- Poczekaj tutaj - rzucił krótko, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

W Ogrodzie Purpurowego Lotosu unosiło się w powietrzu uparte brzęczenie Mi, piątego dźwięku harfy.

Brahma próżnował w kącie nagrzanego słońcem basenu, biorąc kąpiel z całym swym harem. Wsparty na jednym łokciu o cembrowinę, sprawiał wrażenie, jak gdyby drzemał; oczy miał zamknięte, nogi zwiślały w wodzie.

53

Było to jednak złudzenie. Brahma czuwał, spoglądał zza długich rzęs, mierzył wzrokiem każdą z kilkunastu dziewcząt, baraszkujących w nagrzanym wodzie, nie tracąc nadziei, że może wreszcie choćby jedna z nich rzuci pełne uznania spojrzenie na jego wysmukłe, ciemne, mocno umięśnione ciało. Czarne wąsy lśniły na brązowej karnacji cerze zroszone kropelkami potu, a czarne włosy spadały na jego kark niczym skrzydła. Żalany drżącym blaskim słońca uśmiechał się szerokim uśmiechem pełnych warg.

Lecz żadna z dziewcząt nie chciała zauważyć tego uśmiechu, tak że Brahma wkrótce spochmurniał. Te kobiety - cała ich uwaga koncentrowała się na grze w piłkę wodną i o niczym innym nie chciały słyszeć.

Mi - dzwon sygnałowy - rozbrzmiał ponownie, dokładnie w chwili, gdy powiew sztucznego wiatru przyniósł do jego nozdrzy woń jaśminu. Powiódł wzrokiem. Tak bardzo pragnął, by wreszcie któraś z nich zwróciła na niego uwagę, by doceniła emanującą zeń siłę, twarde, stanowcze rysy twarzy. By doceniła go jako mężczyznę, nie - jako boga.

Mimo swego ciała - jakże osobliwego i doskonałego - którego wyczynów nie mógł powtórzyć żaden śmiertelnik, Brahma czuł się zawsze skrępowany w obecności Pana Siwy. Choć ten ostatni miał ciało całkiem przeciętnej urody, trudno było nie zauważyć, że dla kobiet był bardziej atrakcyjny. Zawsze odnosił

wrażenie, iż męskość Siwy wykracza poza granice biologii. Mimo że usiłował wymazać z pamięci wspomnienie własnych początków i zdusić w sobie tę pierwotną część własnego ducha, nie zmieniło to faktu, że Brahma narodził się jako kobieta i ciągle nosił w sobie coś z kobiety. Nienawidząc tej części swej osobowości, przechodził kolejne inkarnacje, za każdym razem wybierając co bardziej męskie ciała, lecz wszystkie te usiłowania jak gdyby do niczego nie prowadziły - czuł się tak, jakby ktoś wypalił mu nad brwią piętno kobiecości. Kobiecość znaczyła jego chód i kobiecość odciskała się mu na twarzy znamieniem najbardziej kobiecej kobiecości.

Zerwał się z cembrowiny i ruszył w stronę pawilonu, gdzie mieszkał. Mijał oszalamiającej piękności drzewa, wygięte w groteskowo wdzięcznych pozach, mijał altanki, przesycone blaskiem poranku, sadzawki porośnięte wodnymi liliami, szedł obok sznurów pereł, kofyszących się na pierścieniach z białego złota, lamp wyczelowanych w dziewczęce kształty, mijał trójnogi, w których paliło się mocne kadzidło i ośmioramienną statuetkę błękitnej bogini, grającej na veena, gdy tego pragnął.

Brahma wszedł do pawilonu. Swe pierwsze kroki skierował ku ekranowi z kryształu, na którym Naga z brązu grał na własnym ogonie. Włączył mechanizm.

Przez chwilę ekran śnieżył, zaraz potem rozjaśnił się i Brahma ujrzał najwyższego kapłana świątyni w Maharatha. Mężczyzna upadł na kolana, trzykrotnie dotykając widniejącego na podłodze znaku swej kasty.

- Spośród czterech rodzajów bogów i osiemnastu gospodarzy raju najpotężniejszy jest Brahma - zaintonował. - Stworzyciel wszystkiego, Pan Najwyższego Nieba i wszystkiego, co jego jest. Z twego pępka rozkwita Lotos, twe dłonie burzą fale morza, gdy dasz trzy kroki, przemierzasz cały świat. Echa twej chwały budzą strach w sercach twoich wrogów. W prawej dłoni trzymasz

54
naczynie prawa. Rozpętujesz żywioły, węża używając za bicz. Chwała ci! Zechciej łaskawym okiem wejrzeć na modły twego kapłana. Błogosław i racz mnie wysłuchać!

- Powstań... kapłanie - powiedział Brahma, zastanawiając się, jakże ma ten człowiek na imię. - Z czym przybywasz?

Kapłan zerwał się z klęczek, spojrzawszy na oczekującą wodą postać Brahmy i wbił wzrok gdzieś w nieskończoność.

- Panie... - zaczął, wyraźnie strapiiony. - Nigdy bym nie śmiał przerywać ci kąpieli, gdyby nie to, że jeden z wyznawców chciałby mówić z tobą o sprawie wielkiego znaczenia.

- Jeden z mych wyznawców! - skrzywił się Brahma. - Powiedz mu zatem, że Wszystkosłyszący Brahma naprawdę wszystko słyszy i rozkaż mu, by się pomodlił do mnie w zwykły sposób, jak się należy, w Świątyni.

Już wykonał taki ruch ręką, jakby chciał wyłączyć ekran, gdy nagle zatrzymał się w pół ruchu. - Zaraz... a jak on się dowiedział o Gorącej Linii do Nieba?

--- syknął podejrzliwie. - Skąd on wie o świętych obcowaniu?

- Mówi - zgiął się w pół kapłan--że pochodzi z Pierwszych... kazał m i też powiedzieć, że Sam chciałby zamienić słówko z Triumurtim.

- Sam?... - powtórzył Brahma. - Są m? To chyba niemożliwe, aby to był ten Sam?

- Między innymi znany jest także jako Siddhartha i Zaklinacz Demonów pospieszył z wyjaśnieniami kapłan.

- Zechciej poczekać - rzekł Srahma - śpiewając stosowne wersety / Wedów.

-- Słucham mego Pana - mruknął kapłan i natychmiast zaczął monotony śpiew litanii.

Brahma tymczasem przeszedł do garderoby, stanął przed szafą i diugo nrzeberał w ubraniach, nie mogąc się zdecydować, co by założyć na tę okazję.

Słyszając, jak ktoś go woła po nazwisku, księżę przerwał kontemplowanie sufitu i odwrócił się. Ujrzał przed sobą kapłana, którego imię zdążył już zapomnieć. Najwyższy dostojnik świątyni poprowadził go długim korytarzem do komnaty, sprawiającej wrażenie składziku rupieci. Kapłan pogrzebał krótko przy sprytnie zamaskowanej kłamce, później pchnął półkę z książkami, która

otwarła przed nimi ukryte przejście.

Książę przestąpił próg i znalazł się w wystawnie urządzonej kapliczce. Nad ołtarzem wisiał drżący lekką poświatą ekran, sprawiający wrażenie czegoś w rodzaju tablicy kontrolnej, ujętej w ramę, którą tworzyła brązowa obręcz węża Nagi trzymającego w zębach swój ogon.

Kapłan trzykroć uderzył czołem o ziemię.

- Bądź pozdrowiony, władco wszechświata, najpotężniejszy spośród czterech rodzajów bogów i osiemnastu rządców raj. Z twego pępka rozkwita lotos, twoje dłonie burzą fale morza, gdy dasz trzy kroki...

55

- Zaprawdę, masz rację we wszystkim, co mówisz - przerwał mu z ekranu

Brahma. - Już cię pobłogosławiłem i wysłuchałem. A teraz zostaw nas samych.

...?

- Rzekłem! Sam na pewno ci zapłacił za prywatną linię, prawda?

- Panie!...

- Dość już! Precz!

Kapłan zerwał się z klęczek, wykonał szybko jeszcze jeden ukłon i wybiegł, zamknawszy za sobą drzwi.

Brahma tymczasem mierzył Sama uważnym spojrzeniem. Książę ubrany był w bryczesy, błękitny *khameez*, błękitnozielony turban z Urath, do pasa miał przytroczoną pochwę, ale bez miecza, przytrzymywaną łańcuchem z czarnej stali.

Sam z kolei uważnym wzrokiem badał stojącego przed nim Brahmę, ubranego w szykowny płaszcz, zarzucony na jasną kolczugę, przytrzymywany zapinką z ognistego opalu. Na głowie miał purpurową koronę wysadzaną lśniącymi ametystami, w ręku trzymał berło z dziewięcioma diamentami. Jego oczy były niczym dwie czarne plamy na ciemnym tle czarnej twarzy. Łagodne dźwięki *veena* dobiegały się gdzieś zza jego ^{D'RCÓW}.

- Sam? - spytał niepewnie.

Sam pokiwał głową.

- Właśnie usiłuję zgadnąć, kimże naprawdę jesteś, Panie Brahmo, ale przyznam, że chyba nic z tego.

- To całkiem możliwe - Brahma wydał wargi. - Nie zapominaj, że jeden z nas jest bogiem, tym który był, jest i będzie.

- Wytworne szaty - cmoknął Sam. - Aż radują oczy.

- Dziękuję - mruknął Brahma. - Aż trudno uwierzyć, że jeszcze żyjesz.

Gdy sprawdzałem twe akta, zauważyłem, że przez pół wieku nie zmieniłeś ciała. Oto, co znaczy nie dać sobie choćby najmniejszej szansy.

Sam drgnął. - Całe życie pełne jest szans, zagadek, niepewności...

- Prawda - przerwał mu Brahma. - Pomódl się. podejdź do krzesła i usiądź. Zrób tak, żeby ci było wygodnie.

Sam zadbał o swoją wygodę, a kiedy znowu spojrzął na ekran, Brahma siedział na wysokim tronie z czerwonego marmuru. Nad sobą miał rozpięty parasol.

-- Nie wygląda to na zbyt wygodne •• - zauważył, popidW:a]a.:; ^t i .j -.^ym krześle.

- Ale jest wygodne - odparł bóg, błyskając zębami w najbardziej promiennym z uśmiechów. - Mam pod siedzeniem poduszkę z pianki kauczukowej.

Jeśli chcesz, możesz palić. #

- Dziękuję - Sam wyciągnął fajkę, nabił, ubił dokładnie tytoń i zapalił.

- I co robisz tak długo od chwili, gdy opuściłeś niebiańskie podwoje?

- zapytał bóg.

- Uprawiałem własny ogródek - odparł Sam.

- Moglibyśmy wykorzystać twe umiejętności w naszej sekcji hydroponicznej, ale nic straconego, zobaczę, co się da jeszcze zrobić w tej sprawie. Na razie opowiedz mi o tym, co robiłeś wśród ludzi.

56

- Polowałem na tygrysy, rozprawiałem o granicach z sąsiadami z innych królestw, podnosiłem morale haremu, eksperymentowałem w laboratorium botanicznym, robiłem jeszcze to i owo, jak to zwykle... Ot, proza życia...

- westchnął Sam. - Ale teraz już opadłem z sił i chciałbym wrócić do lat młodości. Lecz doszło do mnie, że aby otrzymać młodość muszę dać sobie

nadwerężyć mózg. Czy to prawda?

- Do pewnego stopnia...

- Do jakiego stopnia, że zapytam?...

- Aż zło upadnie i dobro przeważy - wyrecytował bóg z tym samym najpiękniejszym z uśmiechów.

- Załóżmy, że jestem zły i zepsuty - rzekł Sam. - W jaki sposób mam wyzbyć się złych narowów?

- Będziesz musiał odpracować karmiczne skutki swego zła w podrzędniejszej formie istnienia.

-- A mógłbyś mi może podać jakieś liczby, z których wynikałoby, że zła upadek się opłaci i triumf dobra zyskiem jest?

- Nie myśl źle o mej wszytkowiedzy - rzekł Brahma, tłumiąc ziewnięcie berłem - ale przyznam, że w tej chwili nie pamiętam tych liczb.

Sam odchrząknął. - Mówiłeś, że potrzebujesz ogrodnika...

- Tak - odparł bóg. - Chciałbyś się starać o tę posadę?

--- Jeszcze nie wiem... może tak...

- A jeśli nie, to co? - padło z ekranu.

- Jeśli nie... - zamyślił się Sam. - Dawnymi czasy nikt nie miał wątpliwości w tym względzie. Gdy któryś z Pierwszych pragnął odrodzenia, płacił za nowe ciało i był obsługiwany. To wszystko.

--- Jak słusznie zauważyłeś... - ziewnął Brahma - to było dawnymi, bardzo dawnymi czasy. A teraz mamy nową erę.

- Można by wszakże pomyśleć, że zamierzasz zlikwidować tych wszystkich z Pierwszych, którzy nie stanęli pokornie u twego boku...

- W moim pantheonie jest miejsca wiele, mój drogi - Brahma potoczył wzrokiem gdzieś ponad ekranem. - Jeśli zechcesz znaleźć przytulny kątek dla siebie, nisza już czeka.

-- A jeśli nie?

-- W takim razie idź do Dworu Karmy i zażądaj nowego ciała.

--- Gdybym jednak wybrał ubóstwienie?

• jfriloni, by skoro tylko się zjawisz, obsłużyli cię szybko i poza kolejnością.

Latająca maszyna odwiezie cię do Nieba.

Zapadło milczenie i przez długą chwilę słychać było tylko szum ekranu, skrzypienie krzesła, na którym siedział Sam i cudowne dźwięki, płynące zza pleców Brahmy. Cisza trwała tak długo, że bóg w końcu poruszył się nerwowo na swym tronie z czerwonego marmuru i rzucił Samowi pełne wyczekiwania spojrzenie.

- Trzeba to przemyśleć... - mruknął książę. - Jeszcze przed chwilą byłem rozmiłowany w sprawach tego świata, lecz jak widzę, ten świat pogrąża się w erze ciemności. Z drugiej strony, jaki sens ma miłość rzeczy ziemskich, skoro

57

ani o chwilę nie przybliży mnie temu, czym pragnę się cieszyć, bowiem postanowiono, że mam umrzeć prawdziwą śmiercią albo przybrać ciało małpy i błąkać się po dżungli? Nie pociąga mnie sztuczna doskonałość, tak jak nie potrafiłem dostrzec uroków życia w Niebie, gdy byłem tu ostatnim razem.

Zechciej poczekać, aż rozważę całą tę sprawę raz jeszcze.

- Twe niezdecydowanie obraza rennie - Brahma wydał wargi w grymasie pogardy. - Jak można się wahać otrzymawszy podobną propozycję?

- Wiem, że to niegrzeczne - przeznał Sam. -~ Jak również wiem, że mógłbym tak postępować, gdybym to ja był bogiem a ty moim wyznawcą. Ale nawet wtedy, gdybym był na twoim miejscu, myślę, że pozwoliłbym, aby chwila litościwej ciszy zapadła wówczas. gdy człowiek podejmie najważniejszą decyzję życia.

- Targujesz się jak właściciel niewolników! - jęknął Brahma. - Któż inny poza tobą kazałby rni czekać w chwili, gdy jego nieśmiertelność zawisła na włosku? Chyba nie zamierzasz wszcząć targu ze mną?

- Hm... pochodzę przecie z kupieckiego rodu, a w tej chwili chciałbym uzyskać tylko jedno.

- Co mianowicie?

- Odpowiedz na kilka pytań, które mnie dręczą już od dłuższego czasu.

- Jakie to są pytania?...

- Jak zapewne wiesz, sto iai rnifujło już od chwili, gd/ przurwałorn festiwale,

towarzyszące obradom Soboru, a to dlatego, że swa długością i rozmachem powoli uniemożliwiały podejmowanie jakiegokolwiek celu. - b/ w końcu sam Sobór stał się jedynie pretekstem dla odbywania Festiwalu Pierwszych. Teraz, rzecz jasna, nie mam już nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, Długość ponad stu pięćdziesięciu laty sam przybywałem na Sobór tylko po to, by móc skosztować ziemskich alkoholi. Myślałem jednak, że powinniśmy coś zrobić dla pasażerów naszych licznych ciał i ich potomstwa, a nie pozostawiać ich samym sobie, by wędrowali po występny świecie, z wolna powracając do stanu pierwotnej dzikości. Czułem wtedy, że powinniśmy im towarzyszyć, używając im zdobyczych technologii, które zastrzeżliśmy dla siebie. okopawszy się w rajskiej twierdzy, zaś świat traktując jako kombinację salonu gier i burdelu. Długo się dziwiłem, dlaczego nikt poza mną nie wpadł na ten pomysł i nic nie zrobił, by go zrealizować. Byłby to słuszny i godziwy sposób zarządzania światem...

- Z czego wnoszę, że jesteś akceleratorystą...

_ Nie - zaprzeczył Sam. - Jestem poszukiwaczem. Dziwię się, ot i wszystko.

- Zatem, w odpowiedzi na twoje pytania muszę ci przypomnieć. . - zaczął powoli Brahma - że nie zrobiliśmy dla mieszkańców świata niczego, ponieważ ludzie nie są gotowi na przyjęcie naszych darów. Owszem, gdybyśmy w swoim czasie podjęli się bezpośredniej ingerencji w dzieje ludzkości, twój postulat zostałby spełniony, ale trzeba pamiętać, że przecież pierwotnie niczym nie różniliśmy się od ludzi, niczego zatem nie mogliśmy im dać, czego by sami nie mieli. Później nastąpił podział no i dopiero wtedy powstały problemy. Lecz zbyt wiele czasu minęło i zbyt różni się teraz, by można mówić o bezpośredniej współpracy. Ludzie nie są gotowi na przyjęcie naszych darów, a stan ten

58

będzie się utrzymywał jeszcze przez wiele stuleci. Gdybyśmy w tej chwili podarowali im zaawansowane technologie, jedynym rezultatem byłby wybuch wojny światowej, która zniszczyłaby dobre początki, jakie zostały już zrobione. Ludzkość zdążyła już się rozwinąć, to pewne. Zaprowadzono początki cywilizacji i uczyniono to na wzór przodków, którzy kiedyś też musieli zrobić pierwszy krok. Lecz przecież ludzie nie wyrosli jeszcze z wieku dzieciństwa, a naszymi darami bawiliby się naszymi dziećmi, nader szybko wywołując powszechny pożar - Brahma westchnął, otarł sobie skrajem płaszcza pot z czoła, przełożył berto do drugiej ręki, poprawił się na poduszce z pianki kauczukowej i ciągnął dalej. - Ludzie to nasze dzieci. Patrząc na ludzkość widzimy Pierwszych... czyli nasze pierwotne ciała, których wyzbyliśmy się umierając po raz pierwszy, drugi i trzeci, i tak dalej, aż w nieskończoność... Spoczywa więc na nas rodzicielska odpowiedzialność i ona to sprawia, że nie możemy pozwolić, by nierozważni akceleratorysty w swym pragnieniu przyspieszania biegu dziejów pchnęli ludzi w sam wir rewolucji przemysłowej, niszcząc pierwsze stabilne społeczeństwo, jakie zdołało powstać na tej planecie. Nasze obowiązki rodzicielskie możemy najlepiej wypełniać tak, jak to było praktykowane dotychczas: pełniąc rolę przewodników ludzkości, zaś nasze Świątynie pomogą nam w spełnianiu tej misji. Bogowie i boginie to pierwotne uosobienia postaci rodziców. Cóż może być słuszniejsze i bardziej sprawiedliwe od konsekwentnego grania tej roli, tyle że bardziej konsekwentnie?

-- Czemu więc niszczyli tę technologię, którą ludzie zdołali sami wynaleźć? Prasę dukarską wynajdywano już. o ile dobrze pamiętam, trzykrotnie i za każdym razem coś stawało na przeszkodzie rozprzestrzenianiu się tego wynalazku, który później w dziwny sposób popadał w całkowite zapomnienie.

- Powód jest ten sam - uśmiechnął się Brahma. - Ludzie ciągle nie są gotowi. Poza tym te wszystkie wynalazki nie tyle wymyślano, ile raczej przypominano sobie ich idee. Były to rzeczy, których pamięć przetrwała w dawnych legendach i jacyś spryciarze postanowili je zrekonstruować na podstawie starych opowieści. Tymczasem, jeśli już coś ma wejść do kultury na trwałe, musi to być wynik rozwoju cywilizacji, a nie eksponat wyciągnięty z przeszłości niczym królik z cylindra.

- Widzę, że bardzo nastajesz na przestrzeganie tej reguły - rzekł Sam, przybrawszy bardzo poważny wyraz twarzy. - Doszedłem do tego wniosku patrząc, jak twoi słudzy przebiegają świat wzdłuż i wszerz, niszcząc wszelkie oznaki postępu.

Bóg aż uniósł się na swym tronie z czerwonego marmuru. - To nieprawda!
- zawołał gwałtownie. - Mówisz tak, jakbyś chciał nam zarzucić, że tak bardzo
pożądamy zachowania naszej boskości, iż utrzymujemy świat w ciemności,
byleby tylko nie utracić z trudem osiągniętej pozycji.

- Mówiąc krótko, to właśnie mam na myśli - odparł Sam. - A co powiesz
o automodłach? Czy poziom technologiczny tych automatów dorównuje tech-
nicznej świadomości społeczeństwa, które dorosło zaledwie do rydwanu?

- O, z pewnością są to dwie różne sprawy - kiwnął głową Brahma. - Ale
jako przedmiot, przez który objawia się bóstwo, automodły utrzymują ludzi
w świętym strachu i dlatego, z racji przydatności dla celów religijnych, nie
59

należy kwestionować ich istnienia. W każdym razie, trudno to porównywać do
wprowadzenia do powszechnego użytku prochu strzelniczego.

- Przypuśćmy zatem, że jakiś miejscowy ateista rozbierze którąś z tych
maszyn na części pierwsze i umyśli sobie, że jest Tomaszem Edisonem... Co
wtedy?

- O tym już pomyślano - rozpromienił się Brahma. - Jeśli ktokolwiek poza
kapłanem zechce otworzyć automat, maszyna natychmiast detonuje... a razem
z nią wylatuje w powietrze ciekawski.

- Mimo to uważam nadal, że nie będziesz w stanie powstrzymać rozwoju
odkryć, choćbyś nie wiem jak się starał. Tak jak nie udało ci się wprowadzić
podatków od picia alkoholu, które miały utrzymać Świątynie.

- Ludzkość zawsze pragnęła na jakiś czas uwolnić się od krepujących
więzów cywilizacji, a alkohol zawsze jej w tym pomagał - Brahma pogardliwie
ściągnął wargi. - Napoje odurzające znajdziesz w każdym obrzędzie każdej
religii, niezależnie od miejsca i czasu. Owszem, przyznaję, początkowo
usiłowaliśmy powstrzymać ten zwyczaj, lecz szybko zrozumieliśmy, że to
niemożliwe. A wracając do podatków... ten, kto płaci, otrzymuje za swe
pijaństwo błogosławieństwo. Chyba potrafisz docenić wynikające stąd dob-
rodziejstwa: mniejsze poczucie winy, mniejszy kac, uwolnienie się od świado-
mości przestępstwa... to wszystko wiąże się zarówno ze stanem ducha, jak
kondycją fizyczną... Tak, to psychosomatyka... a podatki nie są znowu tak
wysokie.

- Brzmi to całkiem nieźle, pytanie tylko, ilu woli nie płacić i pić z poczuciem
grzechu...

- Przyszedłeś tu, żeby się modlić, podczas gdy ciągle pozwalasz sobie na
kpinę... - zauważył Brahma. - Zgodziłem się odpowiedzieć na twoje pytania, ale
nie wyraziłem zgody na debatę o polityce wewnętrznej deikratów. Odpowiedz
zatem: czy jesteś gotów podjąć decyzję, której tak długo nie mogłeś podjąć?

- Tak, Magdaleno - westchnął Sam. - Ciekawe tylko, czy już ci ktoś kiedyś
powiedział, jak ładnie wyglądasz gdy się złościš?

Brahma podskoczył na swym tronie z czerwonego marmuru. - Jak śmiesz?!
Jak mogłeś sobie na to pozwolić?

- W istocie, nie mogłem - powiedział książe. - Dotychczas nie mogłem.
Ale teraz, gdy dość już się napatrzyłem na twój sposób siedzenia na tronie
z czerwonego marmuru, gdy dość już się nasłuchałem, jak mówisz, teraz
mogłem rozwiązać tę zagadkę, którą byłaś dla mnie już od samego początku.
Tak, pamiętam cię. Widzę, że dopięłaś wreszcie swego celu, że nie na darmo
przez całe życie zżerała cię ambicja. Założę się, że masz harem, prawda, że
masz? I jakież to uczucie, madame, mieć prawdziwą stadninę po tym, gdy samej
było się kiedyś kłaczą? Gdyby też Lizzie mogła to widzieć, pękłaby chyba
z zazdrości. Moje wyrazy uznania.

Brahma, który już przedtem zerwał się z tronu z czerwonego marmuru, stał
teraz w całej swej okazałości i piorunował go wzrokiem. Za plecami boga
pojawiła się ściana ognia. Dźwięk *veena* umilkł, jak ucięty nożem. Brahma
wzniósł berło i zaczął:

- Bądź gotów przyjąć kłatwę...

- Za co? - przerwał mu Sam. - Za to, że przeniknąłem twą tajemnicę?

Jeśli mam być bogiem, czy warto się tym przejmować? Przecież inni bogowie na
pewno o tym wiedzą. A może jesteś zły, że dałeś się mi zwodzić? Myślałem, że
bardziej będziesz ceniał mój spryt, gdy udowodnię ci, że nie w ciemną bitę. Jeśli
uraziłem, przepraszam.

- To nie dlatego, że odgadłeś mą tajemnicę... ani z powodu twego zachowania... Przeklinam cię za to, że ze mnie kpiłeś!

- Kpiłem?... - zdziwił się Sam. - Nie rozumiem. Nie zamierzałem popełnić żadnego grubiaństwa, a w dawnych czasach zawsze utrzymywaliśmy dobre stosunki. Przypomnij sobie, a przekonasz się, że nie kłamię. Dlatego więc miałbym teraz tracić dobrą pozycję, pozwalając sobie na niewczesne docinki?

- Ponieważ zdradziłeś mi, co naprawdę myślisz, nie zastanawiając się nad wagą własnych słów.

- Nie jest tak. Jak mówisz, Panie. Rozmawiałem z tobą jak mężczyzna z mężczyzną o rzeczach tego rodzaju... Przykro mi, jeśli wzięłeś to za obelgę. Zakładając się, że masz harem, czułem, jak ogarnia mnie zazdrość i mogę cię zapewnić, że jeszcze dziś w nocy spróbuję się tam wśliznąć. Jeśli więc nadal chcesz przeklinać mnie tylko dlatego, że poczułeś się zniechęcony, proszę bardzo, ale musisz wiedzieć, co robisz... - po czym podniósł fajkę do ust. pociągnął parę razy i skrył twarz w obłokach gęstego dymu. Brahma dłuższy czas trwał w milczeniu, wreszcie chrząknął. - Przyznaję, że w gorącej wodzie kąpany - powiedział mocno niepewnym głosem

- Przyznaję też, że jestem przewrażliwiony na punkcie mej przeszłości. Oczywiście, niejednokrotnie żartowałem z innymi mężczyznami w ten sam sposób, jak ty ze mną przed chwilą. Niech więc pójdą w zapomnienie grubiaństwa, których się dopuściłeś. Odwołuję klątwę..., - westchnął, prze* wracając oczami. - Jedno tylko chciałbym teraz wiedzieć... chyba miałeś dość czasu, by przyjąć moją propozycję?

- Oczywiście.

- W porządku - westchnął bóg z wyraźną ulgą. - Zawsze żywiłem w stosunku do ciebie jak najbardziej braterskie uczucia, Idź więc teraz i powiedz kapłanowi, że ma tu przyjść, bo chcę mu przekazać instrukcje co do twej inkarnacji. Wkrótce znowu się zobaczymy.

- Tak jest, Panie Brahmo! - kiwnął głową Sam. Wyjął fajkę z ust, zerwał się z krzesła, szybkim krokiem podszedł do półki z książkami, uruchomił mechanizm obrotowy i wszedł do pokoju, sprawiającego wrażenie rupieciarni. Czekał tam najwyższy kapłan świątyni. Różne myśli kłębiły mu się po głowie, lecz tym razem pozostawił je do własnej wiadomości.

Tego samego wieczoru książę odbył naradę z tymi spośród swych towarzyszy, którzy odwiedzili mieszkających w Maharatha jego krewnych i przyjaciół, by poznać ostatnie nowiny oraz plotki, kursujące po mieście. Z rozmów tych wynikało, że w Maharatha przebywało obecnie zaledwie dziesięciu Mistrzów Karmy, zamieszkujących w pałacach na wzgórzach, na południowy wschód od miasta. Mistrzowie odbywali rutynowe obchody w podlegających im klinikach,

60

61

pojawiali się w czytelnich i, rzecz jasna, urzędowali w Świątyniach, gdzie zgłaszali się obywatele pragnący dostąpić odrodzenia. Dwór Karmy był masywną czarną budowlą, której wewnętrzne podwórce otaczały liczne pałace; tam mieszkał i ci, którym sąd przyznał prawo do przybrania nowych ciał, czyli i do transferu, jak powszechnie mawiano. Strake, wraz z dwoma dworzanami, choć wyruszył skoro świt, jeszcze nie wrócił - pozostał w Dworze, by sporządzić plany fortyfikacji. Dwóch innych posłano do Shana z Irabek, któremu mieli wręczyć zaproszenie na późną kolację, połączoną z nocną hulanką. Shan z Irabek był dalekim sąsiadem Sama, który stoczył z nim trzy krwawe potyczki graniczne, a niekiedy ruszał razem ze starcem polować na tygrysy. Jeszcze inni dworzanie zostali posłani na ulicę .Kowali, gdzie mieli dopilnować, by zamówione przez księcia kopie jego odznak były gotowe dokładnie na jutro rano. Oczywiście, by praca szła nieco żwawiej, Sam nie pożałował brzęczącej monety.

Shan z Irabek przybył do oberży jak go o to proszono, późnym wieczorem. Towarzyszyło mu sześciu krewnych, którzy - choć z kasty kupieckiej - uzbroili się od stóp do głów jak prawdziwi rycerze. Widząc jednak, że gospoda jest zupełnie spokojnym miejscem, a żaden z gości nie nosi broni, odłożyli cały swój rynsztunek w kącie i usiedli za stołem, po obu stronach księcia.

Shan był człowiekiem szczupłym i wysmukłym, chodząc jednak dziwnie przygarbiony. Ubrany w opończę koloru kasztanów, na głowie miał ciemny

turban, opadający aż do kocich, krzaczastych brwi koloru mleka. Biała broda przypominała potargane wiatrem, oszronione zarośla, zęby, gdy się śmiał, przywodziły na myśl czarne stemporki, a jego zawsze zmrużone powieki były zaczerwienione i podnosiły się z największym wysiłkiem, jakby zmęczone powstrzymaniem wiecznie nabiegłych krwią źrenic przed wyskoczeniem z oczodołów. Właśnie roześmiał się powolnym, chrapliwym śmiechem flegmatyków, rąbnął pięścią w stół i krzyknął: - Słonie są wtedy cholernie drogie, a puszczone na bagna wcale nie spełniają swej roli!

Tę opinię powtarzał już po raz szósty dzisiejszego wieczoru w związku z tematem rozmowy, podczas której roztrząsano, jaka pora roku jest najlepsza do wojny. Tylko największy prostak i zupełny nowicjusz mógłby być na tyle J głupi, by znievažić ambasadora sąsiedniego mocarstwa podczas pory desz- j ozowej, a gdyby się tego dopuścił, należałoby go napiętnować jako *nouveau roi* \ --- powszechnie twierdzono. ;

Gdy dyskusja rozkręciła się na dobre, lekarz książęcy przeprosił towarzystwo j i udał się do kuchni, by osobiście nadzorować przyrządzenie deseru, a zwańsz- 1 c/a by własnymi rękami wprowadzić narkotyk do ciastka przeznaczonego dla j Shana. Kiedy dyskusja wzięła jeszcze wyższe obroty, objedzony deserem Shan coraz częściej musiał przyrykać oczy i coraz częściej zwieszał głowę na piersi. --Dobra uczta... - mruzczał pod nosem między jednym a drugim chrapnięciem, po czym dodawał: - Słonie są wówczas cholernie drogie i...

W ten sposób zasnął na dobre i nikt się nie znalazł, kto umiałby go obudzić, j Jego krewni znajdowali się w stanie, który nie pozwalał odstawić Shana do do- \ m j, bowiem książęcy medykc dodał do ich wina chlorku hydratu i teraz leżeli na j. podłodze, chrapiąc. Książęcy ochmistrz zajął się z Hawkaną wszystkim, co było 62

trzeba było zrobić, by noc minęła im spokojnie, zaś Shana zabrano do apartamentów książęcych. Tutaj książęcy medykc złożył mu krótką wizytę, poluzował mu pasa i przemówił w sposób łagodny lecz stanowczy:

- Jutro po południu... ~- mówił - Jutro po południu staniesz się księciem Siddharthą, a on będzie jednym z twych dworzan. Udasz się wraz z nim do Dworu Karmy i zażądaś ciała, które obiecał ci Brahma, bez obowiązku poddawania się sądowni. Przez cały czas transferu będziesz księciem Siddharthą, a gdy się dokona, powrócisz tutaj w towarzystwie swych dworzan i poddasz się lekarskim oględzinom, których dokonam osobiście. Zrozumiałeś?

- Tak - szepnął Shan.

- W takim razie powtórz wszystko, co ci powiedziałem,

---- Jutro po południu - zaczął Shan - będę Siddharthą a on...

Tego dnia rano rozkwitał z przepychem. Połowa ludzi księcia wyjechała za miasto, kierując się na północ. Gdy byli już na tyle daleko, że nikt ze strażników nie mógł ich dostrzec, zawrócili na południowy wschód i zaczęli się wspinać po stokach wzgórz, z jedną tylko przerwą na założenie zbroi.

Kilku mężczyzn posfano na ulicę Kowali, skąd wrócili objuczeni ciężkimi orbami z brezentu. Zawartość toreb rozdzielono między około czterdziestu j'jdzci. którzy po śniadaniu ruszyli w miasto.

Książę odbył krótką rozmowę ze swym medykiem Naradą. -Jeśli nadużyłem , -askawości Nieba, niech będę przeklęty - westchnął ciężko.

Medykc wszakże uśmiechnął się tylko i odparł. - Wątpię, Panie, czy

. opuścisz się jakiegoś nadużycia.

W ten sposób rano powoli zmierzał ku południowi, a Most Bogów coraz

- ircziej złościł się na niebie.

Gdy obudzili się ich więźniowie, przede wszystkim zadbano o zaleczenie

-.aca. Medykc dał Shanowi jakieś środki, które miały go utrzymać w transie, po

'i.zym wysłał go z sześcioma dworzanami do Pałacu Mistrzów. Ludzi, z którymi

urzyszedł, zdołano przekonać, że ich pan jeszcze *zażywa*, snu w komnacie

"^iddharthy.

- W tej chwili - medykc postukał palcem w stół - największym ryzykiem

-/niego przedsięwzięcia jest właśnie Shan. Zawsze nam grozi, że zostanie

-.-.ipoznary. Ale na naszą korzyść przemawiają choćby te okoliczności, iż jest to

Jędrnej klasy arystokrata z odległego Królestwa, że w mieście gości raczej

vadko i krótko oraz że większość czasu spędza wśród swoich. Poza tym jeszcze

-i f) nie przedstawił w Dworze Karmy, Mistrzowi e zatem nie znają go z wyg ładu...

-- Za to ja zostałem z całą pewnością bardzo dokładnie opisany przez :\$rahmę- wtrącił książę. - Albo ten jego kapłan mógł mnie zapamiętać. Poza /m wiem dobrze, że cała rozmowa mogła być nagrana, a coś łatwiejszego, niż -••zekazać taśmę Mistrzom, żeby nie mieli trudności z ustaleniem tożsamości?... - A niby czemu mieliby otrzymać te taśmy? --zdziwił się Narada. - Raczej ""e powinni oczekiwać podstępów ze strony tych, którym wyświadczają tak wielką łaskę. Nie, wydaje mi się, że dopniemy swego. Shan co prawda nie byłby wstanie przejść próby o własnych siłach, lecz w taki m towarzystwie, w jakim się

63

znalazł, przetrzyma nawet najboleśniejse badania. W tej chwili jest święcie przekonany, że nazywa się Siddhartha, a mając tę pewność wytrzyma wszystkie badania detektorem kłamstw... zaś wydaje mi się, że będzie to najpoważniejsza przeszkoda, jaką spotka,

Na podobnych rozmowach upływał im czas i czekali tak aż do chwili, gdy wróciło z miasta tych czterdziestu ludzi, których wysłali zaraz po śniadaniu z ładunkiem, który pobrali na ulicy Kowali. Mężczyźni spakowali swoje rzeczy, wyprowadzili ze stajni konie i jeden po drugim ruszali przez miasto, jakby w poszukiwaniu jakiejś okazji do hulanki. W rzeczywistości jednak ściśle trzymali się rozkazów, mówiących, że mają się kierować na południowy wschód, jadąc powoli i ostrożnie, tak aby nie wzbudzić niczyich podejrzeń.

- Do zobaczenia, Hawkano - powiedział książę, gdy reszta jego ludzi pakowała ostatnie bagaże i wsiadała na konie. - Jak zawsze, tak i teraz wszystkim, których spotkam po drodze, polecę twoją oberżę i twą gościnność. Żałuję, że nie mogę zostać tu dłużej, lecz gdy tylko opuszczę Dwór Karmy, będę musiał spieszyć na prowincję, by stłumić bunt. Wiesz przecież sam najlepiej, że wystarczy odwrócić się plecami, by jakieś złe duchy zaczęły wyczyniać złośliwe figle. Tak, choć chętnie spędziłbym pod twym dachem jeszcze jeden tydzień, obawiam się, że trzeba będzie odłożyć tę przyjemność do następnego razu. Gdyby kto o mnie pytał, to powiedz, żeby mnie szukać w Hadesie.

- W Hadesie, Panie?

- To najbardziej wysunięta na południe prowincja mego królestwa, znana ze strasznych upałów. Pamiętaj, by wyrazić to dokładnie w tych słowach, zwłaszcza zaś, gdyby pytali o mnie kapłani Brahmy.

- Z pewnością tak uczynię, Panie.

- I opiekuj się Dele. Spodziewam się, że gdy złożę ci następną wizytę, będę mógł go usłyszeć, jak gra.

Hawkana złożył niski pokłon, a ponieważ zanosilo się na to, że zaraz zacznie mówić, książę wykorzystał ten moment, by wcisnąć mu w rękę ostatnią sakiewkę brzęczących monet, po czym dodał coś jeszcze o wspaniałym bukicie wina z Urath i natychmiast potem wspiał się na koń. Później zaczął wydawać ostatnie rozkazy, wskutek czego wszelka próba dalszej konwersacji musiała być odłożona do bliżej nieokreślonej przyszłości.

Wyjechali na drogę wiodącą do bram miasta. W oberży został jedynie medyk oraz trzech wojowników, którym przepisano dodatkowy dzień wypoczynku ze względu na kiepską kondycję. Lekarz przebąkiwał, że niedyspozycja ta miała coś wspólnego ze zmianą klimatu. Cała czwórka miała dogonić orszak później. Bocznymi ulicami przejechali przez miasto, aż w końcu wyjechali na drogę, która wiodła do pałacu Mistrzów Karmy. Gdy jechali gościńcem, Siddhartha wymieniał porozumiewawcze znaki z owymi wojownikami, którzy w liczbie bez mała czterdziestu ukryli się tutaj wcześniej i teraz leżeli za zasłoną drzew, w różnych miejscach wzdłuż trasy.

Gdy byli już w połowie drogi do pałacu, książę oraz ośmiu ludzi, którzy mu towarzyszyli, ściągnęli lejce, wykonali taki ruch, jakby zamierzali przystanąć na popas, poczekali, aż inni wyprzedzą ich, po czym ostrożnie skryli się za drzewami.

64

Nie minęło dużo czasu, gdy ujrzeli jakieś poruszenie wśród drzew. Do orszaku zbliżało się siedmiu jeźdźców, w których książę zgađł sześciu swych wojowników - siódmy był Shan. Kiedy zbliżyli się już na odległość po-zdrowienia, książę i jego grupa wyjechali im na spotkanie.

- Kim jesteś? - zagrzmiął smukły, bystrooki jeździec, siedzący na białej klaczy. - Kim jesteś, że ośmielasz się wchodzić w drogę Siddharcie,

Zaklinaczowi Demonów?

Książę spój rżał nań uważnie - dobrze zbudowany, o smagłej cerze, w wieku lat nieco ponad dwudziestu, o sokolich rysach twarzy i postawie atlety - książę spojrział zatem i nagle poczuł, że wszystkie jego wcześniejsze podejrzenia były niczym nie usprawiedliwione, a idąc za ich głosem oszukał samego siebie. Ten chłopak, dosiadający jego własnej klaczy, stanowił najlepszy dowód na to, że Brahma działał w dobrej wierze, że miał zamiar wyposażyć go w znakomite, pierwszej świeżości ciało i że w tej chwili posiada je... stary Shan.

- Panie Siddhartha - odezwał się człowiek jadący u boku Pana z Irabek.

- Wydaje się, że ci tam dotrzymani warunków umowy. Nie widzę żadnej skazy w tym ciebie.

- Siddhartha! - ryknął Shan, - Kimże jest ten łobuz, którego nazywasz imieniem swego mistrza? To ja jestem Siddhartha, zaklinacz... - w tej samej chwili odwrócił się do tyłu i słowa uwięzły mu w gardle.

Chwycił go atak. Momentalnie zeszywniał, zachwiał się i wypadł z siodła.

Siddhartha zeskokczył z konia, rzucił się mu na pomoc. Gdy ukląkł przy nim, dostrzegł w kącikach ust białe plamki piany. Spojrzął na oczy - odrócone białkami do góry.

- To epileptyk! - krzyknął. - Chcieli mi dać uszkodzony mózg!

Wojownicy stłoczyli się wokół księcia, pomagając mu zaopatrzyć chorego. Po jakimś czasie niemoc minęła i Shan odzyskał świadomość.

- Ccooo... co się stało?

- Zdrada! - powiedział książę. - Zdrada, Panie z Irabek! Jeden z moich ludzi odprowadzi cię teraz do mego przybocznego medyka na badanie. Gdy już odpoczniesz, radzę ci, byś założył protest, najlepiej zgłoś się do czytelnicy Brahmy. Medyk przyjmie cię w oberży Hawkany. Po badaniu jesteś wolny. Przykro mi, że tak się to skończyło, może jeszcze uda się coś naprawić, lecz jeśli nie, to przypomnij sobie ostatnie obłężenie Kapil. gdzie odnieśliśmy tyle ran. Niech ci to będzie pociechą. Do widzenia, książęcy bracie! - kiwnął na ludzi, a ci pomogli Shanowi wdrapać się na białą klacz.

Książę popatrzył jeszcze, jak odjeżdżają, po czym zawrócił do swej drużyny przemówił umyślnie donośnym głosem, tak by słyszeli go ci, którzy czekali na drodze:

- Do środka wejdzie nas dziewięciu. Na sygnał dwóch dźwięków rogu wchodzą pozostali. Jeśli będą stawiać opór, zróbcie tak. by zapragnęli wyćwiczyć w sobie cnotę pokory. Na trzy dźwięki rogu ze wzgórza ruszają odwody w sile piętnastu żołnierzy, o ile będą potrzebne, bo przecież nie twierdzą zdobywamy, lecz wiejską rezydencję. Mistrzowie mają być wzięci do niewoli. Nie niszczyć żadnych urządzeń ani nie pozwalać, by inni je niszczyli. Jeśli nie będą się opierać, to dobrze. Jeśli jednak zechcą się nam sprzeciwić.

65

przejdziemy przez Pałac i Dwór Mistrzów Karmy niczym mały chłopiec przez misterną budowlę mrowiska. Powodzenia. Niechaj bogowie nie będą w wami! Zawrócił konia i ruszył wzdłuż drogi - za nim ruszyło ośmiu z jego drużyny. Podwójna brama, przez którą wjechał książę, stała otworem, przez nikogo nie pilnowana. Zaczął się zastanawiać, czy aby Strake, którego wysłał na zwiady, nie przegapił jakichś tajnych umocnień czy innych systemów obrony, wszystko bowiem wyglądało zbyt prosto.

Podwórzec był częściowo wybrukowany, częściowo porośnięty kwiatami, krzewami i wszelką roślinnością. W tej części, gdzie był ogród, pracowała służba, zajęta właśnie koszeniem, przycinaniem i okopywaniem. Książę rozejrzał się, czy gdzieś w pobliżu nie widać zbrojowni, lecz niczego nie znalazł. Gdy wjeżdżali do środka, służba co prawda obrzucała ich ciekawskimi spojrzzeniami, ale nikt z pracujących w ogrodzie nie przerwał swych zajęć.

Na odległym krańcu podwórca wznosił się ciemny masyw Dworu Karmy. Książę ruszył co prędzej w tamtym kierunku, jego ludzie za nim. Jechali tak w milczeniu aż do chwili, gdy ze schodów Pałacu Mistrzów, z prawej strony, dotarły do nich słowa powitania.

Książę obrzucił się w kierunku, skąd dochodził głos. Na schodach stał mężczyzna w czarnej liberii z żółtym kołem wyszytym na piersi; w rękę trzymał iaskę z drzewa hebanowego. Nie powtórzył słów pozdrowienia, lecz czekał

w milczeniu.

Książę skierował konia do stóp szerokich schodów.

-- Chcę mówić z Mistrzami Karmy - oznajmił.

- Czy masz wyznaczony termin posłuchania?-- spytał mężczyzna w czerni.

--- Nie - odparł książę. - Ale to ważna sprawa.

-- W takim razie przykro mi, lecz niepotrzebnie zrobisz taki kawał drogi na darmo - powiedział. - Musisz ustalić termin... wystarczy, jeśli pójdziesz do którejkolwiek ze świątyń w Maharatha.

Po czym stuknął laską w schody, odwrócił się i zaczął wchodzić na górę.

- Wyplenię ten ogród z korzeniami! - krzyknął za nim Siddhartha.

- Pościnam drzewa, wzniosę ogromny stos i podłożę ogień!

Mężczyzna w cierni zatrzymał się w pół kroku. Powoli odwrócił się w stronę księcia.

!-i-; .li; i.si .i • -• • s m l t : im! rod 'iiičn schnców Rt'W.& h-; ; '•' .id .T' ~: nUs 'u.-!

-- Nie zrobisz tego -- powiedział głuchym głosem człowiek w czarnej liberii.

Książę roześmiał się.

Ośmiu wojowników zsiadło właśnie z koni. Jedni wzięli się do wycinania krzewów, drudzy zaczęli właśnie skakać po rabatach z kwiatami.

- Powiedz im, żeby natychmiast przestali!

- A niby dlaczego mam im to powiedzieć? - zdziwił się książę. - Zrobiłem

taki kawał drogi żeby porozmawiać z Mistrzami Karmy, a ty mi mówisz, że nie mogę. Ja ci zaś mówię, że mogę. Zobaczmy, który z nas ma rację.

- Jeśli rozkażesz im, by przestali niszczyć ogród - odezwał się Czarny

- to ja przekażę twą prośbę Mistrzom.

- Stać! - krzyknął Siddhartha. -- Ale bądźcie gotowi w każdej chwili i zacząć od nowa.

Lokaj przyspieszył w górę schodów i zniknął w jakichś drzwiach. Książę dotknął rogu, który wisiał na pasie, przerzuconym przez szyję.

Nie czekał długo. Nagle w drzwiach ukazali się uzbrojeni mężczyźni. Książę przyłożył róg do ust i zadał - najpierw raz, potem drugi.

Zbrojni ubrani byli w skórzany rynsztunek - niektórzy jeszcze w biegu dopinali ostatnie sprzączki --- na głowach mieli również skórzane hełmy. Ręce, w których trzymali broń, chroniły długie po łokieć naramienniki. W dłoniach trzymali metalowe tarcze z żółtym kołem na czarnym tle jako herbem. Wszyscy dźwigali jednakowo długie zakrzywione szable. Żołnierze zapełnili całe schody, ucz nie ruszali do ataku, jakby czekając na dalsze rozkazy.

Teraz znowu pojawił się mężczyzna w czerni ----- stanął u szczytu schodów z hebanową laską w dłoni. -- Świetnie - - mruknął z ponurym zadowoleniem.

•- Jeśli nadal masz zamiar przekazać coś Mistrzom, możesz mówić!

----- Czy jesteś Mistrzem? •••- zapytał książę.

Jestem.

----- W takim razie jesteś najniższej rangi mieszkańcem tego pałacu, sko~o i^zys jako odźwierny. Chęć mówić z tym który jest wśród was wodzem.

- Twe grubiaństwo znajdzie zapłatę tak w życiu fera/niejszyrn jak p-/v iHym • - zauważył Czarny.

W tej samej chwili około czterdziestu łocznidrzy w uhrnjrze pyłu prze .iknęło przez główną bramę --• stanęli z tyłu, za księciem, w dwóch równycc, szpalerach. Ośmioosobowa przyboczna drużyna. Która książę odesłał do iijwastacji ogrodu, dosiadła koni i dołączyła do oddziału.

- Czy naprawdę chcesz nas z-tuisić. byśmy wjechali do pałacu konno' zapytał Siddhartha. - A może jednak powiadomisz tycn, z którymi mam .yczenie mówić?

Żołnierze stali twarzą w twarz, z obnażonymi szablami w wyciągniętych ^K-ich. Mistrz sprawiał wrażenie, jakby ważył siły, w końcu jednak zdecydował •ie zachować status quo

• - Nie waż się na żaden pochopny krok ----- powiedzin'. - Moi Ld^ie potrafi:?

••• Ic/yć, i to bardzo rajaciao. Poi.i^kaj. a* wróćę, lou powMcioinic 'Vi= >t:' zóv..

!;;-i?S?f.3 napchat łajki: . 'ski/o^iit ocisia Joga h..!;<* e sie/iizn^i 'i- koni f-; ; i'

.,r .,t f y,

i r, ,

.'V (.€;• u zabicia dłużącego się i^asu zwróci- się ;, . prztiiii-y-u .; ,'. l^njeio.-"

Niech w a m się nie marzy, panowie, dawać jakieś popisy zręczności, jak to

"/to podczas ostatniego obłężenia Kapil. Tnijcie nie w głowę, lecz w pierś.
"Wzięł dłuższy oddech, po czym dodał. - Trzeba też będzie zrezygnować
/poniewierania ciał zabitych i powolnego dorzynania rannych... To miejsce jest
oia tych ludzi święte, dlatego należy się powstrzymać od profanacji.

-- Z drugiej strony- dodał po kolejnej przerwie na oddech-- czułbym się
osobiście urażony, gdyby nie znalazło się przynajmniej dziesięciu jeńców na
ofiary dla Czarnego Nirriti, mego patrona... Rzecz jasna, ofiary złożymy na
66

67

zewnątrz Dworu, za murami, gdzie nie będziemy zmuszeni stosować się do
obyczajów tego świętego miejsca...

Wtem z prawej strony rozległ się jakiś trzask - to piechur z ochrony Pałacu,
ujrzawszy długość włóczni Strake'a, zemdlał i spadł ze schodów.

- Stać!-krzyknął mężczyzna w czerni, który znowu pokazał się w drzwiach
u szczytu schodów, tym razem w towarzystwie sześciu innych. - Nie
bezcześcicie Dworu Karmy rozlewem krwi. Nawet krew tego omdlałego
żołnierza...

- ... odbiegła mu z głowy do miejsca poniżej pasa - zakończył książe.

- Czego właściwie żądasz? - zapytał mężczyzna ubrany na czarno,
średniego wzrostu za to niezwyklej tuszy. Z daleka przypominał ogromną,
czarną baryłkę. Podpierał się laską w kształcie czarnego pioruna.

-- Widzę was siedmiu •--- rzekł książe. - Jak rozumiem, w Pałacu Karmy
mieszka dziesięciu Mistrzów. Gdzie reszta?

- Trzech pozostałych obsługuje trzy czytelnie w Maharatha. Czego żądasz?

-- Ty jesteś tu pierwszy?

- Tylko Wielkie Naczynie Prawa ma u nas pierwszeństwo.

- Zaś ty jesteś jego ziemskim przedstawicielem w tych murach?

- Rzekłeś.

- W porządku. Chciałbym porozmawiać z tobą p'ywatnie, na osobności...

o tym wszystkim tutaj... - powiedział, zataczając szeroki luk ręką.

- Niemożliwe!

Książę wystukał fajkę o obcas, wyskrobał cybuch sztyletem, po czym włożył ją
do kapciucha. Następnie wyprostował się i chwycił lewą ręką róg. W tej samej
chwili jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem oczu Mistrza.

- Jesteś pewny, że to naprawdę niemożliwe? - zapytał ze słodyczą
w głosie.

Usteczka Mistrza, małe i bardzo szerokie, zadrżały od potoku słów. których
jednak nie wypowiedział. W końcu zdołał z siebie wykrztusić: - Dobrze.

Idziemy!

Zszedł ze szczytu schodów, minął szeregi wojowników i zatrzymał się przed
białą kłaczą.

Książę lekko stuknął konia kolanem, kierując się w stronę ciemnej bryły
Dworu Karmy.

- Trzymać szeregi! -• zawołał Mistrz.

- I wzajemnie! - krzyknął książe do swoich ludzi.

Minęli podwórzec. Przed Dworem Karmy Siddhartha zsiadł z konia.

- Jesteś mi winny ciało - rzeki, zbliżając się do Mistrza.

- Co? - gruby człowieczek wybałuszyl oczy.

- Jestem książe Siddhartha z Kapii, Zaklinacz Demonów.

- Siddhartha został przed chwilą obsłużony - odparł Mistrz.

- Tak ci się tylko zdaje - poprawił go książe. - Na rozkaz Brahmy daliście
mu ciało epileptyka, a czy była to usługa, sam sobie odpowiedz... Poza tym
człowiek, którego widzieliście tutaj z samego rana, nie był Siddhartha, lecz
mimowolnym oszustem. Prawdziwy Siddhartha stoi przed tobą, bezimienny
kapłanie, i żąda swego ciała... zdrowego, bez ukrytych wad, takiego, jakie mu
się należy. Obsłużysz mnie. panie, niezależnie od tego. czy ci się to podoba, czy
nie.

- Naprawdę tak myślisz? - zdziwił się Mistrz.

-- Naprawdę.

- Do ataku! - krzyknął gruby, czarno ubrany człowieczek, samemu celując
laską w głowę księcia.

Siddhartha schylił się. laska ze świstem przecięła powietrze, a zaraz potem
zakrzywioną szablą książe sparował drugi cios. Za trzecim razem laska

(Oślizgnęła się mu po ramieniu, lecz cios był dość silny, by nim zachwiać, /atoczył się, tak że między nim a Mistrzem znalazła się teraz biała klacz. Uchylając się do następnych ciosów, drżąca ręka wyszarpną z za koszuli róg 'zatrąbił trzy razy. Dźwięki rogu zmieszały się 2. odgłosami zawziętej wal- V . bez przerwy toczonej się na pałacowych schodach. Ciężko dysząc, od- iwiócił się - w samą p u r ę, by odparować cios ciężkiego świątynnego to- pora. Gdyby nie zasłonił się szablą, z pewnością leżałby teraz z pogrucho- taną : ""iWą.

---- Jest napisane... - rzeki Mistrz, ubywając siewa - że kto wydaje rozkazy, ino mając dość sil, by zapewnić ich skuteczność, ten jest szalony.

-- Jeszcze dziesięć 'at temu.. - wydyszał książę - byłoby nie do l umyślenia, żebyś choćby dotknął mnie tym kijem...

(via! szablą, w nadziei, że rozłupie laskę, lecz Mistrz tak znakomicie opanował sztukę uniku, iż ostrze ciągle ześlizgiwało się po gładkim drewnie, także nawet **śli zdomł wyciosać parę s^czorh. sam rdzeń pozostał nie uszkodzony.

Kapłan, w drugiej ręce dzierżący potężny topór, wywijał nim niczym szpada. Viasriie wznosił go w górę, już czuł, ja ostrze kruszy przeciwnikowi żebra...

To, co się stało potem, nie było do przewidzenia przez żadnego z walczących, '..siazę, starając się uniknąć ciosu, rzucił się na ziemię. Szabla wypadła mu "" ręki. lecz ciężkie żelazo trafiło Mistrza w goleń, także gruby człowieczek runął ści kolana, a jego krzyk przerodził się w bolesne wycie.

--- Dobraliśmy się jak w korcu maku - wydyszał Siddhartha. -- Ja z mą starością przeciwko twojej otyłości...

Leżąc, wyciągnął z za pasa sztylet, lecz nie mógł utrzymać go w rękach. Oparł "ię łokciem o ziemię. Mistrz, ze łzami bólu w oczach, usiłował wstać, ale nie dał 'ady i znowu runął na kolana.

W tym momencie dał się słyszeć stukot licznych kopyt.

- Nie jestem szaleńcem - szepnął książę. -A teraz sam widzisz, że mam •Jość sił, by zapewnić skuteczność rozkazów, które wydaję.

- Co to?

-- To odsiecz. Gdybym od razu rzucił do ataku wszystkie siły, jakie posiadam, zamknęlibyście się w pałacu niczym korniki w kawałku drewna i wiele dni by minęło, zanim odciąłbym warn odwrót i wywabił na zewnątrz. Teraz mam was w garści.

Mistrz wznosił laskę.

Książę mocniej ścisnął sztylet.

- Opuść ten kij, albo poczujesz chłód tego ostrza - stęknął ostatkiem sił.

-- Sam nie wiem, czy poceluję, czy spudłuję, ale niewykluczone, że jednak 68

69

trafię. Chyba nie chcesz tak zaraz dowiedzieć się, na czym polega prawdziwa śmierć, prawda?

Mistrz opuścił laskę..

- To ty poznasz, czym jest prawdziwa śmierć - syknął. - Poznasz ją, gdy tylko strażnicy Karny przerobią twoją konnicę na ścierwo dla psów.

Książę zaniósł się kaszlem. Obojętnym wzrokiem spojrzął na krwawą plwocinę. - Póki co... - szepnął - porozmawiajmy o polityce.

Kiedy odgłosy walki już ucichły, do księcia podbiegł Strake. Wysoki, od stóp do głów pokryty bitewnym kurzem, ze zmierzwionymi włosami, tak gęsto oblepionymi krwią, jak ostrze jego szabli, stanął nad Siddharthą i wyprężył się na baczność. - Skończone! - zameldował, pozwalając białej klaczy księcia, by go obwąchała.

- Słyszaleś, Mistrzu Karny? - zapytał książę. - Twoi strażnicy są teraz ścierwem dla psów.

Ale Mistrz nie odpowiadał.

- Bądź mi posłuszny, a ocalisz swe życie - Siddharthą uniósł się nieco z ziemi. - Jeśli odmówisz, twe życie należy do mnie.

- Będę ci posłuszny - jęknął gruby człowieczek.

- Strake - zwrócił się książę do rycerza. - Wyślij do miasta dwóch ludzi.

Jeden niech mi tu zaraz sprowadzi Naradę, mego medyka, drugi niechaj się uda na ulicę Tkaczy i przywiezie tutaj Jannaavegę, tego, który szyje żagle. Spośród trzech żołnierzy, którzy zostali w oberży, wybierz jednego, niech przetrzyma

Shana z Irabek do zachodu słońca. Później może go puścić wolno, sam zaś ma dołączyć do reszty ludzi.

Strake uśmiechnął się, po czym zasalutował.

- A teraz niech twoi ludzie zanoszą mnie do Dworu Karmy... i niech ktoś ma oko na Mistrza.

Spalił swe stare ciało na stosie, wraz z innymi. Strażnicy Karmy zostali na placu boju, co do jednego. Z siedmiu bezimiennych Mistrzów ocalał tylko jeden.

Ponieważ pojemniki ze spermą i jajeczkami oraz bańki z rozsadnikami życia i skrzynie z ciałami nie nadawały się do transportu, zdemontowano jedynie samą aparaturę do transferu, po czym - pod osobistym kierownictwem doktora Narady - załadowano części urządzeń na konie tych, którzy padli w bitwie. Odmłodzony książę z wysokości swej białej klaczy patrzył, jak płomienie pożerają ciała. Dym z ośmiu stosów wznosił się ku wieczornemu niebu ośmioma potężnymi słupami. ren, który dawniej szył zagle, zwrócił wzrok ku palenisku w pobliżu głównej oramy --choć ogień podłożono pode drwa na samym końcu, płomienie sięgały i ;'::;-3Mu^ios/C7</tu,qd/- o 'e/ał wiolk' oblv kształt człowieka w czarnej c h i = m dzie ruinach ogrodu, poderwał łeb i zawył, a w jego głosie brzmiał szlocn.

- Dzisiaj konto grzechów już chyba pęka w szwach - zauważył ten który zajmował się wyrobem żagli.

70

- Za to konto modłów... pomyśl tylko! - odparł książę. - Na razie ciągle trzymam ten sam kurs. Później teologowie niech już się głowią, co zrobić z automodłami i tymi, którzy z nich korzystają... ja odmawiam. Teraz zaś dajmy Niebiosom dość czasu na zdziwienie... ciekawe, czy szybko zgadną, kim jestem, o ile w ogóle jestem, a jeśli jestem, to gdzie... Czas znowu zaczął płynąć, kapitanie . Najpierw wpadniemy na chwilkę w góry, później każdy z nas ruszy swoją drogą, tak bowiem będzie bezpieczniej. Nie wiem, dokąd się udam, wiern tylko tyle, że moja droga prowadzi do bram Nieba i że m usze iść gotów do walki.

- Zaklinacz Demonów - roześmiał się Jannaveg.

Podjechał dowódca oddziału lansjerów. Książę skinął nań, by zbliżył się nieco -- trzeba było wydać rozkazy.

Kolumna żołnierzy posuwała się naprzód. Minęli ostatnią bramę Pałacu Karmy i skierowali się w stronę bagien, otaczających Maharatha z południowego wschodu. Za nimi czerwieniły się ognie stosów.

ROZDZIAŁ III

Mówią, że gdy pojawił się Nauczyciel, wszystkie kasry nakłoniły ku niemu mżv do słuchania, Jakże zwierzęta, bogowie i święci przyszli doń z daleka, by słuchaniem jego nauk ulepszyć się i podnieść na duchu. Wszyscy uznali, że ten, który da nich przemawia, jest oświecony, z wyjątkiem Tych, co widzieli w nim tylko szalbierza, grzesznika, łotra czy fakira. Co osiami nie byli luk liczni, jak jego wyznawcy, lecz znowu także i ci, których serca nawrócił a dusze podniósł, nie należeli bez reszt v do jego przyjaciół i popleczników. Wyznawcy zwali go Mahasamatman, a niektórzy twierdzili, że jest bogiem. Tak tedy, gdy ujrzana, że wielu uznało w nim naitcz\\ ie/a. gdy przekonano się, jak wielkim szacunkiem go darzono, wielu z możliwych tego świata uznało się za jego sprzymierzeńców, zaś jego sława rozeszła się po całym kraju. Zwano go Tafthagata, czyli Ten, Który Osiągnął!. Trzeba tu zauważyć, że choć bogini Kali (nazywanaprzez niektórych imieniem Durga, zwłaszcza kiedy była łagodna , • nigdy nie wypowiedziała się formalnie n kwestii jego boskości. 10 jednak oddała mu szczególną cześć, posyłając swego świętego kala. by go zgladził, a nie phunego mordercę..

I nie zniknie prawdziwy Dhamma

póki fałszywy Dhamma nie objawi się na tym świecie.

A gdy objawi się fałszywy Dhamma, sprawi,

że prawdziwy Dhamma zniknie.

Samruna-nilfura '•11,224)

W pobliżu miasta Aludnił rosty liczne gaje drzew o niebieskiej korze

i purpurowym listowiu, przypominającym z wyglądu skórę. Drzewa były znane

ze swego piękna i wyjątkowo przyjemnego chłodu cienia, jaki dawały. Były one własnością kupca Vasu aż do chwili, gdy przeżył nawrócenie i podarował swój skarb nauczycielowi, znanemu między innymi jako Mahasamatman. Tathgata czy Oświecony. W cieniu tych drzew nauczyciel ów mieszkał wraz ze swymi uczniami, a gdy codziennie w południe udawali się do miasta po jałmużnę ich żebracze miseczki nigdy nie świeciły pustką.

Pod drzewami zawsze roiło się od pielgrzymów. Wyznawcy, łowcy sensacji i ci, którzy żerowali na tych pierwszych, bez końca tłoczyli się na małym skrawku ziemi, w chłodzie drzew o niebieskiej korze i purpurowych liściach. Jedni przyjeżdżali konno, drudzy przyплыwali na łodziach, inni wreszcie przychodzili pieszo.

Aiundil nie było zbyt wielkim miastem. Jak wszędzie, taki tu pokryte strzechą chałupy tłoczyły się obok drewnianych pawilonów. Główna ulica była niebrukowana i pełna wykrotów. Z dwoma wielkimi bazarami konkurowały inne

72

-- mniejsze i nie tak eleganckie. Wokół miasta rozciągały się, szerokie łany zbóż, obsiane i kwitnące zagony warzyw, falujące w podmuchach wiatru - należały do Yaisja, Sudrowie dzierżawili je i uprawiali. Miasto miało kilka obozów (lecz nie tak wykwinnych, jak legendarna gospoda Hawkany w dalekiej Maharatha), które nigdy nie narzekały na brak gości, bo podróżni ciągle się przewijali przez Aiundil. W mieście żyło także paru świętych, kilku bazarzy, wznosiła się też w Alundil Świątynia.

Świątynia wznosiła się na niskim wzgórzu niedaleko od centrum, a z każdej strony świata prowadziła ku niej wielka brama, których w sumie było cztery. Mury Świątyni gęsto zdobiły płaskokrężeby, przedstawiające grupy muzykantów i tancerzy, wojowników i demony, bogów i boginie, zwierzęta i artystów, kochanków i półludzi, strażników i dewów. Przez bramy wchodziło się na pierwszy podwórzec, poprzecinany jeszcze większą liczbą murów, poprzecinanych jeszcze większą liczbą bram, wiodących na drugi podwórzec. Na pierwszym dziedzińcu znajdował się bazar, gdzie można było kupić wszystko, w czym bogowie mają upodobanie, a więc: małe kapliczki, poświęcone pomniejszym bóstwom, kadzidła, słodycze i wiele innych rzeczy. Tutaj także żebracy żebrali, pustelnicy medytowali, dzieci się śmiały, kobiety plotkowały, paliły się wonności, ptaki śpiewały, bulgotała woda w basenach do oczyszczenia, buczały automodły.

Lecz całe życie religijne koncentrowało się na drugim, wewnętrznym dziedzińcu, ozdobionym wielkimi kaplicami co ważniejszych bóstw. Tutaj wierni śpiewali modlitwy, wykrzykiwali wersety litanii, mruzcili fragmenty wedów, stali, klęczeli albo leżeli w pokorze przed masywnymi rzeźbami z kamienia, które nierzadko tak były obwieszane girlandami kwiatów, usmarowane czerwoną pastą *kumkum* i obrzucone wotywnymi darami, że nie dało się ustalić, jakie bóstwo odbiera hołdy wyznawców. Od czasu do czasu kapłani świątyni dęli w rogi. Wtedy ogólny rwet ustawał na chwilę, ludzie stali w ciszy, chłonąc wspaniałe echo, po czym hałas zaczynał się od nowa.

Nikt nie poddawałby w wątpliwość faktu, że królową świątyni była bogini Kali. Jej smukła statua z białego kamienia, osadzona w ogromnych rozmiarów kaplicy dominowała nad wewnętrznym podwórcem. Zagadkowy uśmiech bóstwa, być może pełen wyniosłej wzgardy tak dla bogów jak dla wyznawców, w równym stopniu przykuwał u wagę patrzących jak naszyjnik z trupich czaszek, zdobiący boginię. W dłoniach ścisnęła sztylety. Zastygła w pół kroku sprawiała wrażenie niezdecydowanej, czy ma zacząć tańczyć, czy rzucić się z nożami na tych, którzy w pokorze przybywali do jej kaplicy. Jej wargi zachwycały doskonałą pełnią, jej rozszerzone źrenice zdały się wszystkowidzące. W półmroku można byłoby ulec złudzeniu, że się porusza.

Kaplica Kali stała *vis-a-vis* kaplicy Jamy. Zdecydowała o tym wspólna opinia kapłanów i architektów, którzy uznali za logiczne, że właśnie Bóg Śmierci spośród wszystkich innych bóstw najbardziej się nadawał, by spędzać z nią każdą minutę twarzą w twarz. W ten sposób zawsze otwarte oczy Śmierci spoglądały na zdejmujące trwogą oczy Kali. a zdjęta grymasem twarz Jamy znajdowała lustrzane odbicie w przeciętej dziwnym półśmiechem fizjonomii bogini. Nawet najwięksi pobożnisie woleli omijać te okolice dziedzińca, gdzie

73

krzyżowały się spojrzenia tych dwóch kamiennych, bliźniaczo podobnych bóstw, a po zapadnięciu zmroku unikano ich jak ognia.

Kiedy powiały pierwsze wiosenne wiatry, z dalekiej północy przybył człowiek zwany Rild. Szczupły mężczyzna o białych włosach, lecz jeszcze nie całkiem stary, ubrany w ciemny strój pielgrzyma. Gdy znaleziono go w przydrożnym rowie, zwalonego gorączką, odkryto, że wokół przedramienia ma owinięty krwawy, mocny sznur, którego kat używał do duszenia skazańców.

Rild przybył do Alundil na wiosnę, w porze święta, gdy pola zieleniły się i błękitniały, przybył do Alundil - miasta pełnego krytych strzechami chat i drewnianych pawilonów, niebrukowanych ulic i całkiem dobrych zajazdów, bazarów, i świętych mężów, i bazarzy, przybył w czas wielkiego ożywienia religii, w momencie, gdy gościł tam Nauczyciel, którego sława rozniosła się po całym kraju - przybył do Alundil - miasta Świątyni, w której królowała jego patronka.

Czas święta.

Jeszcze dwadzieścia lat temu doroczne święto Alundil było najpodnioslejszą uroczystością, jaką święcono w całej okolicy. Teraz wszakże, gdy do miasta przybyło tak wielu podróżnych z niezliczonych krain, przyciągniętych obecnością Oświeconego, który nauczał Drogi, doroczne święto Alundil cieszyło się tylko gośćmi, ze wszystkim pękało w szwach. Kto posiadał namiot, mógł go wynająć żądając bardzo wysokiej opłaty, ze stajni wygnano bydło i zamieniono je na zajazdy. Nawet łąki roily się od przyjezdnych, którzy urządzili tam coś w rodzaju miasteczek namiotowych.

Całe Alundil kochało swego Buddę. Wiele innych miast próbowało go na różne sposoby skusić, by opuścił swą siedzibę wśród drzew o niebieskiej korze i purpurowym listowiu: Shengodu i Flower ofiarowały mu pałac oraz harem - wszystko tylko po to, byleby przyszedł i nauczał. Lecz Oświecony nie lubił gór. Kannaka nad Rzeką Węża ofiarowała mu słonie i statki, dom w mieście i willę na wsi, konie i sługi, byleby tylko przyszedł i nauczał. Ale Oświecony nie lubił rzek.

Budda cały czas przebywał wśród swych drzew, a wszyscy i wszystko przybywało do niego. Z biegiem lat doroczne święto Alundil rozrastało się, trwało dłużej i było coraz bardziej okazałe, niczym dobrze odżywiony smok, zrzucający stare łuski i obrastający w nowe. Miejscowi bramini nie pochwalali wymierzonych w pradawne rytuały nauk Buddy, lecz dzięki niemu opływali w dostatki aż do przesytu. Żyli więc, przywłaszczwszy sobie część cienia jego sławy, nigdy nie wymawiając żadnego z heretyckich słów, które wygłaszał. Tak więc Budda pozostał w swoim lasku, a wszyscy i wszystko przychodziło do niego, włącznie z Rildem.

Czas święta.

Bębny zaczęły warczeć wieczorem trzeciego dnia.

Trzeciego dnia ogromne bębny zaczęły swą ogłuszającą muzykę. Styszalne na odległość wielu mil staccato bębnów niosło się wzdłuż pól do murów miasta, odbijało się od domów, błąkało się wśród drzew o niebieskiej korze i p

ur

purowych liściach i pędziło po bagiennych pustkowiach. Bębniarze. nadzy do pasa, ubani byli w białe *nundus*. Ich ciemna skóra lśniła od potu, a wysiłek, który wkładali w grę, był taki wielki, że musieli bębnić na zmianę - mimo to dudnienie bębnów raz po raz nie ustało, nawet wówczas, gdy nowi muzycy przystępowali do obciążonych skórą kotłów.

Gdy nad światem zapadły ciemności, świąteczni goście i mieszkańcy miasta, poruszeni hukiem bębnów, zaczęli przybywać na plac, gdzie odbywał się festyn, wielki jak pola bitewne za dawnych czasów. Każdy znajdował sobie miejsce, a gdy już znalazł, musiał jeszcze poczekać, aż zrobi się zupełnie ciemno, tak by dramat mógł się rozpocząć. Czas oczekiwania skracano popijając mocno słodzoną bawarkę, sprzedawaną rias straganach wśród drzew.

Na samym środku placu stał wielki, wysoki jak rosły mężczyzna, mosiężny kocioł pełen oleju. Blask olbrzymich płomieni wyrwał z ciemności niemały kawałek przestrzeni, odgraniczonej namiotami aktorów.

Na tej zamkniętej przestrzeni głucho dudnienie miało jakieś hipotyczne oddziaływanie, rytm przybierał formy coraz to bardziej skomplikowane, synkopował, skradał się zdradziecko i spadał zniemacka na słuchaczy. Koło

północy podniosły się nabożne śpiewy, a zgrane z rytmem bębnów tworzyły gęstą sieć dźwięków, pełnych znaczenia.

Gdy przybył ze swymi mnichami Oświecony, zapadło na moment milczenie, przerywane łopotem pomarańczowych opończy, rozświetlanych migotliwym płomieniem. Mnisi jednak zaraz usiedli na ziemi, krzyżując nogi, odrzuciwszy na plecy kaptury. Po krótkiej chwili znowu podniosły się śpiewy i łomot bębnów, i tylko te dźwięki wypełniały umysły widzów.

Gdy ukazali się pierwsi aktorzy, nadludzko wielcy w swych maskach, z dzwoneczkami przy kostkach nóg, nie podniosły się brawa, lecz tylko skupienie się wzmogło. Tancerze *kathakali* cieszyli się zasłużoną sławą, bowiem od dzieciństwa ćwiczeni w zawiłych akrobacjach wiekowej sztuki klasycznego tańca, znali dziewięć różnych poruszeń szyi, dziewięć specjalnych poruszeń oczu, setki sposobów ustawienia dłoni i wszystkie inne pozy, które trzeba było opanować, by móc wystawiać pradawne sceny walk i miłości bogów i demonów, pojedynków herosów i krwawych zdrad. Muzycy jednocześnie wypowiadali kwestie aktorów, którzy nigdy nie byli dopuszczani do głosu, jak nakazywała tradycja. Odtwarzali budzące postrach bohaterskie wyczyny Ramy i braci Pandawów. Pomalowani na zielono i czerwono, biało i czarno, przesuwali się po placu, powiewając fałdami strojów, pobłyskując kunsztownymi nimbami, w które wpleciono lusterka, odbijające drżący blask oliwnego płomienia. Bywało, że któraś z oliwnych lampek wybuchła silniejszym blaskiem, a wtedy odnosiło się wrażenie, że nad głowami aktorów zamigotała aureola, nieważne _ świętego czy piekielnego światła - i chociaż zacierało to znaczenie odgrywanego właśnie epizodu, to przecież widzowie czuli w takich chwilach, że to oni należą do świata iluzji, podczas gdy wielkie ciała tancerzy, wykrzywionych w gigantycznym korowodzie, są jedynie prawdziwymi istnieniami.

Taniec powinien trwać aż do pierwszego brzasku, a wschód słońca miał być momentem kulminacyjnym i finałem przedstawienia. Zanim jednak niebo się

75

zaróżowiło, jakiś człowiek w szafranowej opończy nadbiegł od strony miasta, precysnął się przez tłum, ukląkł u boku Oświeconego i zaczął coś szeptać mu do ucha.

Budda wykonał ruch, jaby miał powstać, widocznie jednak rozmyślił się w ostatniej chwili, bo ponownie usiadł. Skinął na któregoś z mnichów, wydał mu jakieś polecenia, zaś ten, skinąwszy posłusznie głową, opuścił plac, gdzie nadal trwał spektakl.

Budda, jak gdyby nic się nie stało, skupił uwagę na dramacie. Mnich, który siedział obok, zauważył, że Oświecony stuka palcami o ziemię w rytm wybijany na bębnach, a - jak powszechnie wiadano -- by to znak, że bardzo się niecierpliwi.

Kiedy dramat miał się już ku końcowi i słońce zaróżowiło horyzont, było to tak, jak gdyby noc, która właśnie mijała, więziła tłum w pasjonującym i mrozącym krew w żyłach zbiorowym śnie. Ludzie właśnie budzili się i przecierając oczy stwierdzali, że są zbyt zmęczeni, by móc wędrować tego dnia.

Tymczasem Budda ze swymi uczniami ruszył niezwłocznie w stronę miasta.

Szli bez przerwy na odpoczynek. Przemknęli przez Alundi! krokiem spieszonym, choć dostojnym.

Gdy przybyli do drzew o purpurowym listowiu, Oświecony polecił uczniom, by udali się na spoczynek, sam zaś poszedł do małego pawilonu, zbudowanego głęboko w lesie.

W środku oczekiwał go ten sam mnich, który podczas przedstawienia przyniósł mu wiadomość z miasta. Tam zdradzał rozgorączkowanie człowieka, który spieszył się, by donieść na czas pilne posłanie - tu sprawiał wrażenie kogoś, kto bardziej niż do marszu skłonny jest do rozmyślań nad nicością formy, którą się stanie jego ciało po śmierci.

Tathagata spojrział uważnie na leżącego na macie mężczyznę: miał wąskie i blade wargi, wysokie czoło, wysokie kości policzkowe, białe brwi i ostro zarysowane łuki brwiowe. Tathagata przypuszczał, że gdy ten człowiek podniesie powieki, okaże się, iż ma oczy bladobłękitne lub szare. Było w nim coś świetlistego, jakaś kruchość, miał w sobie jakąś niepewność i płynność

kształtów, co wywołane było być może zzerającą go gorączką, która wszakże, choć trawiła jego ciało, nie dotykała jego wewnętrznej istoty. W ogóle nie sprawiał wrażenia człowieka zdolnego naruszyć spokój ducha Oświeconego. Na pierwszy rzut oka wyglądał na starca. Jeśli zechciało się nań spojrzeć po raz drugi, szybko można było dojść do wniosku, że jego bezbarwne włosy i ostre rysy twarzy nie znamionują sędziwego wieku, lecz dziecko, którym nigdy nie przestał być. Sądząc po stanie zarostu Tathagata wątpił, by ów człowiek musiał się często golić. Może jakaś drobna złośliwa zmarszczka ukryła się między policzkiem a kąciem warg... może, lecz była niewidoczna.

Budda podniósł z ziemi purpurowy sznur - coś, co tylko święty kat Kali mógł mieć przy sobie. Przesunął splot czerownego jedwabiu między palcami, czując, jak niczym waż sznur pełza mu wokół ręki, przywierając nieznacznie do skóry. Nie wątpił, że w stosownej chwili w ten sam sposób owinie się mu

76 wokół szyi. Nieświadomie dostosowywał ruchy ręki do poruszeń jedwabnych splotów.

Wtedy dopiero spostrzegł, że mnich, który jeszcze przed chwilą spał, teraz spogląda nań swymi wielkimi oczami, uśmiechając się niewinnie jak dziecko. Odłożył purpurowego węża z jedwabiu. Wilgotnym rękawem mnich otarł krople potu z bladej skroni.

Mężczyzna na macie nie spieszył się z przemową, choć jego oczy nieustannie mierzyły wszystko żywym spojrzeniem. Były w mm niezdrowe błyski gorączki / chociaż Tathagata wiedział, że te błyszczące oczy nie ogarniają spojrzeniem rzeczywistości, dotknięcie tego wzroku wywołało w nim gwałtowny wstrząs. Czarne niczym górskie agaty źrenice były tak ogromne, iż nie dało się stwierdzić, gdzie kończyła się źrenica a zaczynała tęczęwka. Było coś nadzwyczaj niepokojącego w fakcie, że człowiek o ciele tak wyczerpanym i kruchym miał oczy o tak wielkiej sile.

Wyciągnął rękę, dotknął jego dłoń i i drgnął: było to tak, jak gdyby dotknął stal i, zimnej i bez życia. Przeciągnął ostrym paznokciem po grzbiecie prawej dłoni, lecz żaden ślad, żadne zadrapanie nie zdradzało jego przejścia, a paznokieć przesunął się niczym po kawałku szyby. Ścisnął duży palec prawej dłoni - nie zauważył żadnej gwałtownej zmiany koloru skóry. Ciało tego człowieka zachowywało się jak ciało martwego, albo rzecz nieożywiona.

Kontynuował eksperyment. Zjawisko bezkrwistości zanikało nieco powyżej nadgarstków, by pojawić się znowu w innych miejscach. Ręce, pierś, brzuch, kark i fragmenty pleców, wykąpane w wodach śmierci, miały rnoc nieprzewiężoną. Całkowite uodpornienie organizmu mogłoby spowodować fatalne skutki, lecz w zamian za częściową tylko osłonę niewidzialnymi rękawicami, napierśnikami, niewidzialnym stalowym kołnierzem i kolczugą, musiał częściowo wyzbyć się uczucia. Tak, naprawdę był to jeden z wybranych morderców na usługach strasznej bogini.

- Kto jeszcze wie o tym człowieku? - spytał Budda.

- Mnich Simha - odparł ten, który przyniósł mu wiadomość. - Pomagał mi go tutaj przenieść.

- Czy Simha widział... to? - powiódł wzrokiem po purpurowym jedwabnym sznurze.

Mnich pokiwał twierdząco głową.

- Niech zatem przyjdzie. A ty nie waż się wspominać komukolwiek o tym człowieku inaczej, niż jako o pielgrzymie, który zachorował w drodze i został przyjęty na kurację. Osobiście roztoczę nad nim opiekę i będę mu usługiwał w jego niemocy.

- Tak, Oświecony.

Co rzekłszy, mnich wypadł pędem z pawilonu.

Tathagata usiadł przy śpiącym. Czekał.

Dwa dni minęły, zanim gorączka wreszcie puściła i przytomność umysłu dała się widzieć w jego bładych oczach. Lecz w ciągu tych dwóch dni każdy, kto przechodził obok drewnianego pawilonu, mógł słyszeć monotony głos Oświe-

77 conego, który przemawiał i mrucał coś półśpiewnie, jak gdyby chciał rozkazać coś człowiekowi, który spał na macie. To znowu sam chory mrucał coś, coś niewyraźnie szeptał, jak to zwykle w gorączce.

Drugiego dnia mężczyzna nagle otworzył oczy i spojrzał w górę.

-- Dzień dobry, Rild -- powiedział Tathagata.

- Jesteś... -- zaczął chory, który, co zdziwiło Buddę, przemawiał głębokim barytonem.

- Jestem jednym z tych, którzy nauczają Drogi Wyzwolenia -- odparł.

- Budda?

- Tak mnie nazywają.

- Tathagata?

-- Także i tym imieniem mnie zwa.

Rild usiłował się zerwać, ale siły go opuściły i upadł z powrotem na posłanie.

Jego oczy nigdy nie utraciły spokojnej pewności siebie, -- Jak to się stało, że Triasz moje imię? - spytał 7. widocznym wysiłkiem.

-- Zapewne wymówiłeś je w malignie.

- Tak... - przeciągnął Rild. - Byłem bardzo chory i z pewnością majaczyłem w gorączce. To w tych ruchomych bagnach chwyciło mnie przeziębienie.

Tathagata uśmiechnął się. ----- Jedną z licznych niewygód samotnej podróży jest ta, że gdy upadniesz, nie ma nikogo, kto by cię podniósł

- To prawda - powiedział chory, zamknął oczy, a jego oddech znowu się obniżył.

Tathagata pozostał w pozycji lotosu. Czekał.

Gdy Rild obudził się ponownie, był już wieczór.

- Pragnę... -- szepnął.

Tathagata podał mu wody. - Jesteś głodny? - zapytał.

- Tak, ale jeszcze nie powinieriem jeść. Żołądek odmówiłby mi posłuszeństwa - odparł tamten.

Nagle zerwał się na równe nogi, pochylił się nad Buddą, spojrzał mu głęboko w oczy i opadł na matę. - To ty... - mruknął.

- Tak, to ja - potwierdził Budda.

- Co zamierzasz?

- Nakarmić cię, jeśli jesteś głodny,

--- A otem?

- Potem... - powtórzył Budda. -- Potem będę czuwał nad twym snem, żebyś znowu nie zapadł w gorączkę.

- Nie tego chciałem się od ciebie dowiedzieć.

- Wj,em,

- Kiedy już się najem, wypocznę i odzyskam siły... co potem?

Tathagata uśmiechnął się, po czym gdzieś spomiędzy fałd swej szaty wydobyl jedwabny sznur. - Nic - odparł. - Po prostu nic - powtórzył, układając purpurowe zwoje wzdłuż ramion Rilda.

78

Mężczyzna potrząsnął głową i wyciągnął się na macie. Zdjął sznur z ramion, rozciągnął go na całą długość i wygładził palcami, poczym owinął wokół palców i nadgarstka.

- Jest święty - szepnął po dłuższej chwili.

- Na to wygląda.

- Jak go używać wiesz, i czemu służy?

- Rzecz jasna, wiem.

- Czemu więc, powiedz, nic nie robisz?

- Nie mam potrzeby działania ni ruchu. Rzeczy i ludzie przychodzą do mnie.

Jeśli cokolwiek musi być zrobione, nie znaczy to nic więcej niż tyle, że to ty pragniesz, by coś się stało.

- Nie rozumiem.

- Wiem, że nie rozumiesz.

Mężczyzna spojrzał w górę, w cienie pod sufitem. - Chyba spróbuję coś zjeść - oznajmił.

Tathagata podał mu talerz zupy i chleb, a Rild zdołał przełknąć parę łyków

i zjeść parę kęsów. Później raz jeszcze napił się wody, a gdy skończył, poczuł, że ma pełny żołądek.

- Obraziłeś Niebo - zwrócił się do gospodarza.

- Jestem tego świadomy.

- I uszczupliłeś chwałę bogini, której władzy nigdy tu nie poddawano

w wątpliwość.

- Wiem.

- Ale zawdzięczam tobie me życie - ciągnął dalej Rild. - Jadłem twój chleb i...

Żadna odpowiedź nie padła ze strony Buddy.

- ... i z tego powodu muszę złamać najświętszą przysięgę... -- podjął po chwili. - Nie zabiję cię, Tathagato.

- W takim razie - uśmiechnął się Budda - zawdzięczam me życie temu tytko, że ty zawdzięczasz swe życie mojej opiece. A to pozwala nam wysnuć wniosek, że równowaga została zachowana.

Rild chrząknął krótko. - Mniej więcej.

- Co zatem zamierzasz zrobić teraz, gdy zaniechałeś swej misji?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Mój grzech jest zbyt wielki, bym ośmielał się wrócić do Kali. Teraz ja także obraziłem Niebo i bogini odwróci swą twarz od mych modłów. Zawiodłem ja.

- Skoro tak się rzeczy mają, zostań tutaj --- zaproponował Budda. - Bekiesz miał towarzysza w grzechu i współnika w potępieniu.

- Znakomicie - zdecydował Rild, z trudem utrzymując ociężałe powieki przed opadnięciem. - Nic innego mi nie pozostało.

I zasnął. Tathagata uśmiechnął się.

Święto mijają dzień po dniu, a Budda codziennie przemawiał do tłu mów, które zbierały się pod drzewami o purpurowych liściach i niebieskiej korze. Mówił o jedności wszystkiego, rzeczy wielkich i małych, mówił o prawie przyczyno-
79

wości, o stawaniu się i umieraniu, o iluzji świata, o iskrze atrnana, o Drodze Wzbawienia, prowadzącej przez wyrzeczenie się samego siebie i zjednoczenie się z Wszelbytem; mówił o Wielkim Przebudzeniu i Oświeceniu, o powstrzymaniu się od wydawania sądów i o rytuałach braminów, porównywał bogactwo ich formy z pustką i beztreściowością ich istoty. Wielu słuchało, niektórzy brali sobie jego słowa do serca, nieliczni pozostawali wśród drzew o purpurowych liściach, by przywdziać szafranową opończę poszukiwacza. Za każdym razem, gdy nauczał, człowiek o imieniu Rild siedział w pobliżu, ubrany w swój czarny strój pielgrzyma i skórzane sandały, wpatrzony w Oświeconego.

Minęły już dwa tygodnie od chwili, gdy Rild powrócił do zdrowia, kiedy pewnego razu podszedł do nauczyciela, spacerującego wśród drzew, po-
grążonego w medytacji, zrównał się z nim krokiem, a po pewnym czasie zaczął mówić.

- Przysłuchiwałem się twym naukom, nauczycielu, dobrze się przysłuchiwałem. Wiele się nauczyłem z twych słów.

Budda pokiwał głową.

- Zawsze byłem człowiekiem religijnym... - tu zawahał się na chwilę.

- Gdyby było inaczej, nie otrzymałbym tego stanowiska, które niedawno temu utraciłem. Kiedy okazało się, że już dłużej nie mogę spełniać swej misji, poczułem wielką pustkę. Obraziłem boginię i życie straciło sens.

Budda przysłuchiwał się w milczeniu.

- Ale usłyszałem twe słowa - ciągnął dalej Rild - i napełniłem się radością. Ujrzałem bowiem, że istnieje inna droga Wyzwolenia... inna i lepsza od tej, które dotychczas kroczyłem.

Budda cały czas uważnie spoglądał na twarz mówiącego.

- Droga wyrzeczenia się samego siebie, ta Droga, której nauczasz, jest, jak sądzę, najlepsza. Odpowiada moim duchowym potrzebom. Dlatego teraz oto proszę cię, byś mnie przyjął do waszej wspólnoty poszukiwaczy i pozwolił podążać za tobą, dokąd pójdziesz.

- Czy jesteś pewny - zapytał Oświecony - że podejmując ten wybór nie chcesz się ukarać za to, co twe sumienie osądziło jako niedbałość lub grzech?

- Jestem tego pewien - powiedział Rild. - Rozważałem twe słowa w głębi ducha i czułem prawdę, która w nich była. W służbie bogini zabiłem więcej ludzi niż jest liści na tej gałęzi, że nie wspomnę o kobietach i dzieciach. Niełatwo mnie zauroczyć pięknymi słowami, bo słyszałem ich zbyt wiele, wypowiedane we wszystkich barwach głosu: przekonujące, błagalne, przeklinające. Ale twe słowa poruszyły mnie i dostrzegłem wyższość twych nauk nad tym, czego uczą

bramini. Chętnie ofiarowałbym ci me usługi, dusząc twych nieprzyjaciół szafranowym sznurem z jedwabiu, ścinając ich mieczem, przekuwając dzidą, albo zabijając ich własnymi rękami... Trzy życia poświęciłem, by opanować władanie każdym rodzajem broni i bez wahania stanąlbym w służbie u ciebie, lecz wiem, że nie taka jest Droga, nie dążysz też do zagłady swych nieprzyjaciół. Proszę więc, niech mi będzie wolno wstąpić do twego zakonu. Ta decyzja, którą dziś podjąłem, przyszła mi może łatwiej niż wielu innym, bo nie muszę opuszczać domu, ani dzieci, wyrzekać się rodu ani własności, nigdy ich bowiem

80
nie miałem. Podczas gdy jedni muszą się wyrzekać wszystkiego, co posiadają, jażwazę żyłem w wyrzeczeniu. Teraz zaś niczego nie pragnę bardziej niż szafranowej opończy.

•v- Jest twoja - rzekł Tathagata. - Masz ją z mym błogosławieństwem.

Rild wdział szatę buddyjskiego mnicha, po czym udał się na posty i medytacje. Po tygodniu, gdy święto miało się już ku końcowi, wziął miskę żebracza i poszedł do miasta, by w towarzystwie innych mnichów prosić o jałmużnę. Ale nie wrócił. Dzień zbliżał się ku wieczorowi, wieczór przechodził w ciemności nocy. Rogi Świątyni wyśpiewały właśnie ostatnie dźwięki *nagaswaram*, a wielu podróżnych zaczęło się zbierać w drogę powrotną.

Oświecony przez dłuższy czas spacerował wśród drzew, pogrążony w rozmyślaniach, potem i on zniknął.

Do miasta Alundil, nad którym przyczały się skaliste wzgórza, wokół którego rozciągały się błękitnozielone pola, do miasta Alundil, zawsze pełnego podróżnych, którzy chętnie spędzali czas na hulankach i pijatykach, do miasta Alundil, którego niebrukowane uliczki prowadziły ku wzgórzom ze Świątynią, do miasta Alundil szedł Budda.

Wszedł na pierwszy dziedziniec. Cicho. Psy, dzieci i żebracy już sobie poszli, Kapłani spali. Na ławce drzemał stróż. Niektóre kapliczki świeciły pustką, bowiem posągi zabrano na noc do świątyni. Przed kilkoma kłęzczi wyznawcy, pogrążeni w późnych modłach.

Wszedł na wewnętrzny dziedziniec. Przed statua Ganeszy siedział na macie jakiś asceta. Niewiele trzeba było, by sarn upodobił się do posągu, siedział bowiem w doskonałym bezruchu. Cały podwórzec oświetlały cztery lampki oliwne, lecz ich drżące płomienie nie tyle wyrzywały kształty rzeczy z ciemności, co podkreślały długość cieni, kładących się na większości kapliczek. Niektóre posągi spowijała żółtawa poświata małych lampek wotywnych.

Tathagata przeciął dziedziniec i stanął przed niebotycznie wielkim posągiem Kali, oświetlonym drżącym blaskiem kaganka. Uśmiech bogini był jakiś dziwnie żywy, plastyczny, jakby naprawdę spoglądała z góry na stojącego u jej stóp człowieka.

Na jej wyciągniętej ręce, ściskającej w zakrzywionych palcach długi sztylet, leżał długi purpurowy sznur z jedwabiu, zawiązany na ostrzu.

Tathagata odwzajemnił jej uśmiech, choć bogini zdała się w tej chwili raczej marszczyć gniewnie brwi.

- To tylko rezygnacja, moja droga - westchnął. - Cóż, tę rundę przegrałaś.

Zdało się, że kiwnęła twierdząco głową.

- Cieszę się, że mogłem osiągnąć tak głęboki wgląd w tak krótkim czasie - ciągnął dalej, zwrócony ku wychylającej się z głębokiego półmroku twarzy bóstwa. - Nawet gdyby ci się udało z tym purpurowym sznurem, i tak nie odebrałabyś mi tego, co osiągnąłem, ty stara panno. Już za późno. Dałem początek czemuś, czego nie uda ci się zatrzymać, zbyt wielu bowiem słyszało dawne słowa, wskrzeszone w moich ustach. Myślałaś, że już je zapomniano... ja

81

W odpowiedzi Jama rzucił się naprzód, przełamał gardę Rilda i wymierzył cios, którym łatwo mógłby zdjąć mu głowę z karku.

Mężczyzna w czerni wzniosł uzbrojoną dłoń, w ostatniej chwili zdołał odepchnąć spadające mu na kark żelazo, potrząsnął głową, po czym rzucił się do kolejnego ataku, najwidoczniej z nadzieją, że jest w stanie wytrzymać kontrnatarcie.

- Hm... - westchnął Jama. - Skoro kark masz nadto twardy, a wody śmierci chronią go od rany, spróbuję sięgnąć cię w innym miejscu.

Jego szabla świszczała w powietrzu, pieśń stał i przybrała na tempie, a ostrze zaczęło mierzyć tuż poniżej gardła.

Jama wyzwolił całą siłę zbrojnej w stali dłoni, nagromadzoną tam od stuleci, wyuczoną od mistrzów szpady wielu epok. Ale i Rild nie próżnował, z coraz większą swobodą odpowiadał na jego ataki, coraz szybciej zataczał kręgi uzbrojoną w szablę ręką. a gdy chciał ruszyć naprzód - trzymał go na dystans, a gdy napierał - kontratakował.

W ten sposób Rild stanął nad brzegiem strumienia. Wtedy Jama zwolnił tempo ataku i pozwolił sobie na uwagę: - Pół wieku temu - zaczął niespiesznie - gdy przez krótki czas byłeś mym pupilkiem, powiedziałem do siebie; "Ten mały ma zadatki na mistrza", I nie myliłem się, mój drogi. Jesteś zapewne największym szermierzem, jaki się przewinął przez stulecia... najlepszym, jakiego pamiętam. Ledwie przypomnę sobie twą zrećzność, czuję, jak, mija mi cała złość... To naprawdę.

Wykonał fintę markując cięcie w wierzchołek płuca, później odparował cios Rilda i to w ten sposób, że ostrzem szabli liźnął go nieco powyżej nadgarstka. Przeciwnik oddał trochę placu, lecz bronił się z dziką zaciekłością. Twardo mierzył w głowę Jamy, w końcu jednak poczuł, że opiera się nogą o kłodę, przerzuconą nad rowem.

- I rękę też zanurzyłeś w wodach śmierci! - wykrzyknął Jama. - Zaprawdę, bogini hojnie szafuje łaską. To w takim razie spróbujemy w ten sposób... Dwa ostrza zwały się przez chwilkę. Zgrzytnęła stal, po czym przeszła ramię Rilda.

- Aaa... tu cię mam! - zawołał Jama. - Nasza dobra bogini nie zostawiła nas bez szans! W takim razie próbujemy dalej...

Ostrza znowu zwały się i zgrzytnęła stal. Atak i kontratak, cios, parowanie i riposta - obaj szermierze robili bronią precyzyjnie i zawzięcie.

Podstępny atak Rilda spotkał się z silną obroną Jamy, który władając bronią o dłuższym ostrzu znowu utoczył nieco krwi z ramienia mężczyzny w czerni.

Ten z kolei wskoczył na kłodę i wziął tak silny zamach, że szermierz w purpurze musiał odskoczyć, lecz nie bez kontruderzenia. Teraz znowu Jama przeszedł do ofensywy, zmusił przeciwnika, żeby się cofnął, po czym sam wskoczył na kłodę.

Rild dał kilka kroków do tyłu, odbił się i zeskoczył na drugi brzeg. Gdy tylko dotknął stopami ziemi, kopnął w zmurszały pień, tak że cały mostek gwałtownie zadrżał i obsunął się w dół.

Jama nie zdążył zeskoczyć. Kawał drewna z głośnym pluskiem wpadł do strumienia, na chwilę się zanurzył, zaraz jednak wypłynął i ruszył niesiony prądem na zachód.

86

- Rzekłbym, że jest skok zaledwie na siedem, może osiem stóp! - krzyknął Rild. - Jazda, skacz przez rów.

Bóg Śmierci ukazał w uśmiechu błyszczące zęby. - Skąd ten pośpiech?

- odkrzyknął. - Skoro możesz, łap oddech, bo wkrótce już nie będziesz mógł.

Oddech to ostatni z szacownych darów, którymi bogowie obdarzyli człowieka.

Nikt nie wyśpiewa choćby słowa hymnu, nie sławiąc Boga Powietrza, od niego bowiem pochodzi dar oddechu, równie potrzebny królowi i żebrakowi, psu i mędrcom. Jak żyć nie oddychając? Oto teraz, Rild, wciągaj głęboko powietrze, ciesząc się każdym haustem, jakby był już ostatni, bowiem chwila, gdy wydasz ostatnie tchnienie, zbliża się wielkimi krokami.

- Mówią, że znasz się na tych sprawach, Boże Śmierci - powiedział ten, który był znany jako Rild i Sugata. - Mówią, że twym królestwem są mroki, .1 twoja wiedza znacznie wykracza poza zdolności pojmovania śmiertelnych udzi. Chciałbym więc zadać ci pytanie, ile że stoimy beczynnienie.

Słyszając te słowa Jama nie uśmiechnął się drwiąco, jak zwykł był czynić, co sprawiało wrażenie, jak gdyby zgadzał się ze wszystkim zasłyszonym przed ;hwilą od przeciwnika.

- Proszę, czego chcesz się dowiedzieć? - zapytał. - Odpowiem z całą sŁczodroblnością Śmierci.

Teraz więc ten, którego zwano Rild i Sugata, zaczął pytać słowami starej

- Co staje się z człowiekiem po śmierci - zaczął półśpiewnie - wzbudza dziś wątpliwości niemało. Jedni mówią, że człowiek, choć umrze, istnieć nie

orzestaje. Inni, że jest całkiem na odwrót. Odpowiedzi na to pytanie pragnę, zechciej więc mnie pouczyć.

Jama odparł w podobnym rytmie. - Nawet bogowie nie są pewni, jak rozstrzygnąć tę kwestię. Niełatwo zrozumieć ten probierń, bowiem natura atmana, gdy się zastanowić, wcale nie wydaje się jasna. Zadaj mi inne pytanie. zechciej uwolnić mnie od trudu odpowiedzi.

- Wybac mi - zaintonował Rild - jeśli w mej głowie wylęgły się te piekielne kwestie, o Śmierci, lecz poza tobą innego nauczyciela nie znajdę, a w żaden inny sposób nie możesz mi udowodnić swej szczodroblewości niż ten, gdy odpowiesz mi na to pytanie.

- Dobrze więc, niech się stanie... - wyrecytował Jama, wkładając szablę za o a s. - Uwalniam cię od przeznaczenia, które jeszcze przed chwilą miało cię spotkać: zachowaj życie i pójdz swą drogą. Wybierz sobie synów i wnuki, słońce, Konie, stada bydła i złoto. Wybierz sobie cokolwiek, czego zapagniesz: kobiety, rydwany, instrumenty muzyczne. Wszystko, czego zażadasz, otrzymasz, a gdy staniesz w progu swego domu, wszystkie dobra będą już na ciebie czekać. Tylko nie pytaj mnie, proszę, o naturę śmierci.

- O, Śmierci!... - zawołał tamten. - Cóż mi z twych bogactw, skoro przeminą jak lato. Zatrzymaj te kobiety, konie, tańce i śpiewy... zatrzymaj je dla siebie. Nie przyjmę żadnego z twych darów, bo tylko jedno chcę wiedzieć. Powiedz mi, o Śmierci, powiedz mi o tym, co spotka mnie, gdy życie przestanę, powiedz mi o tym, czego nie wiedzą ni bogowie, ni ludzie.

87

Jama stał przez dłuższy czas w milczeniu - nie podjął dalszego ciągu poematu. Sprawiał wrażenie, jak gdyby się zastanawiał, w końcu odezwał się.

- Dobrze. Rild - rzekł, mierzając się wzrokiem z mężczyzną w czerni.

- Dobrze, dowiesz się, czego chcesz, ale nie powiem ci tego słowami. To nie jest królestwo słów, lecz obszar widzeń i obrazów. Dobrze, Rild. Pokażę ci. a patrz uważnie.

Przez chwilę stali w milczeniu. Nagle mężczyzna w czerni zadrżał, podniósł rękę i zakrył twarz dłonią, i westchnął, głucho i ponuro.

Wtedy Jama zerwał płaszcz z ramion i przerzucił go przez strumień niczym sieć, tak że spadł na Rilda.

Gdy ten drgnął, szerpnął się, by odzyskać wolność - poły purpurowego płaszcza Jama odebrały mu bowiem zarówno swobodę ruchu jak możliwość widzenia - usłyszał gwałtowne tąpnięcie i trzask. To czerwone buty Boga Śmierci uderzyły o brzeg. Rild odrzucił zwoje purpury. Wyciągnął broń, przygotowany na odparcie kolejnego ataku. Rzucił krótkie spojrzenie w tył: teren wznosił się dość stromo, tak że mógł posuwać się coraz to wyżej, nie tracąc z oczu przeciwnika, który wkrótce sięgał mu głową zaledwie pasa. Wtedy zadał mu pierwszy cios - Jama z trudem wspinał się po zboczcu, a z jeszcze większym trudem przyszło mu odpowiedzieć na atak z góry,

- Boże Śmierci... - zaczął Rild - Boże Śmierci, wybac mi niedyskretnie pytanie i powiedz, że nie kłamałeś.

- Wkrótce się przekonasz - westchnął Jama, mierzając w nogi,

Później Jama wznosił miecz do góry i wymierzył taki cios, że mógłby przeciąć Rilda w pół, lecz ostrze ześlizgnęło się mu po piersi.

W ten sposób dotarli aż do miejsca, gdzie teren był nierówny i kamienisty.

Mężczyzna w czerni zaczął skakać, spychając grudy ubitej ziemi i kamienie przeciwnikowi na głowę, Jama zasłonił oczy, lecz gdy większe kawałki skał posypały się z góry, stracił grunt pod nogami i runął w dół zbocza. Teraz Rild wdrapał się na wielką skałę, rozkołysał ją i sprawił, że głaz potoczył się w dół. Za nim rzucił się Rild z bronią wzniesioną do góry.

Jama nie był w stanie zerwać się na równe nogi, by odpowiedzieć na atak.

Potoczył się więc po ziemi i wpadł plecami do strumienia. Usiłował wdrapać się z powrotem na górę, lecz widząc, jak ogromny głaz przebiegał w jego kierunku, uskoczył mu z drogi. Gdy rzucił się w bok, dotykając ziemi obiema rękami jego szabla wpadła w wodę i ugrzęzła na dnie.

Wydobył zza pasa sztylet, skoczył na brzeg i usiłował odpowiedzieć krótkimi ciosami na długie pchnięcia Rilda. Głaz runął do strumienia.

Lewą rękę wyrzucił do przodu, chwytając przeciwnika za nadgarstek.

Zamachnął się sztyltem, lecz w tej samej chwili poczuł, że i jego nadgarstek

tkwi w żelaznym uścisku.

Stali tak obaj, mierząc swe siły, aż do momentu, gdy Jama kucnął nagle, przechylił się i runął na ziemię, pociągając Rilda za sobą.

Toczyli się po ziemi. Brzeg strumienia był już tuż obok, już toczyli się po zboczach, już czuli miękkie uderzenie grząskiego dna. Stuknąwszy łokciem o ziemię Jama poczuł, jak sztylet wymyka mu się z palców.

88

Kiedy obaj zdolali wygrzebać się z mułu. gdy już znaleźli się nad powierzchnią wody, plując błotem, kurczowo łapiąc oddech, spostrzegli, że obaj w błotach trzymają tylko pęki wodorostów.

- Czas na ostatni chrzest bojowy - powiedział Jama, zbierając się do ciosu.

Rild też zwinął garść w kułak.

Ciosy sypały się gęsto. Walcząc, usiłowali wygrzebać się z mułu, a kiedy poczuli twarde grunto pod nogami, zwarli się jeszcze bardziej zaciekle i walczyli tak, przesuwając się wzdłuż rowu.

W ten sposób doszli do miejsca, gdzie zaczynała się płycizna i woda sięgała im do pasa.

Jama zadawał cios za ciosem, lecz było to tak, jak gdyby święty kat Kali walczył ze statua, którą bogini miała naprzeciwko siebie, bowiem choć walka była zażarta, skamieniała twarz Boga Śmierci nie zdradzała śladu uczucia. Ciosy, choć każdy z nich mógłby zgruchotać kości, spowalniała woda, a i obrotom Rilda nie można było nic zarzucić, Kiedy zaś uczeń Buddy zaatakował, zdarzało się, że któreś z jego uderzeń lądowało między kością udową a miednicą, inne znowu sięgały ramienia czy szczęki.

Jama sam rzucił się do tyłu, by zdobyć pozycję na płytszej wodzie.

Rild rzucił się za nim. lecz ciosy nogi w czerwonym bucie skutecznie trzymały go na dystans.

Teraz znowu Jama rzucił się do jego kolan, musiał jednak wziąć odwrot, bo przeciwnik w czarnym, obszarpanym stroju pielgrzyma mocno trzymał się na nogach i właśnie dobywał zza pasa krótki sztylet. Gdy schylał się do skoku, żaden muskuł jego twarzy nie drgnął ani na moment.

Znowu spotkali się spojrzeniami.

- Teraz mogę wytrzymać twój wzrok, Panie Jamo - zawołał Rild. - I nie powstrzymasz mnie śmiertelnym błyskiem twych oczu. Zdołałem się nieco od ciebie nauczyć!

Zamierzył się sztyletem.

I kiedy pchnął, Jama chwycił za swą wilgotną szarfę i niczym lasso owinał ją wokół jego nogi.

Przez moment trzymał go w uścisku, potem jednak pociągnął szarfę i Rild upadł twarzą do wody, gubiąc sztylet. Jama jedną nogą przytrzymał drgające ciało, tak że Rild nie mógł podnieść głowy.

- Nikt nie śpiewa hymnów do oddechu - szepnął. - Lecz jak żyć. nie oddychając?

Po czym ruszył przed siebie, coraz głębiej i głębiej. Bezwładne ciało trzymał w żelaznym uścisku i ciągnął je za sobą.

Później, znacznie później, gdy już stał na brzegu, odezwał się łagodnym szeptem, z lekką zadyszka w głosie:

- Byłeś... największym spośród tych..., którzy powstali przeciwko mnie...

I na przestrzeni wieków... nie znalazłem nikogo... kto... Naprawdę szkoda...

Przeszedł na drugi brzeg i ruszył wśród kamiennych wzgórz.

89

Przybywszy do miasta Alundil, podróżnik zatrzymał się w pierwszej oberży, którą miał po drodze. Wziął pokój i zamówił kąpiel. Kiedy się mył, służący czyścił mu ubranie.

Nim zasiadł do stołu, podszedł do okna i spojrzął na ulicę. Z dołu dobiegła go woń odchodów i gwar wielu głosów.

Ludzie wyjeżdżali z miasta. Właśnie na dziedzińcu grupka podróżnych kończyła przygotowania do odjazdu. Tej nocy skończyło się doroczne Święto, jak to na wiosnę. Powiół wzrokiem wzdłuż drogi: kupcy jak zwykle dobijali targu, matki uspokajały nieznośne dzieci a przez bramę wracał właśnie z polowania miejscowy książę ze swymi ludźmi. Zauważył, jak prostytutka

o zmęczonej twarzy zawzięcie dyskutuje z kapłanem, który sprawiał wrażenie jakby był jeszcze bardziej zmęczony - z wysiłkiem powstrzymywał drżenie głowy, coś tam jeszcze powiedział i ruszył przed siebie. Na niebie wysoko stał księżyc - przez Most Bogów przeświecał niby złota tarcza. Drugi księżyc - znacznie mniejszy - wstawał właśnie nad horyzontem. Czuć było już wieczorny chłód, a przez miejskie wyziewy przedzierał się zapach wiosny: to młode rośliny puszczały pierwsze pędy, kielkowały trawy., rześka woń błękitno-zielonej wiosny wciskała się wszędzie, unosila się od pszenicznych pól, zieleniejącego mchu, żwawo biegnących strumyków. Spojrzawszy dalej, nad dachami, podróżny ujrzał Świątynie, rozsiadła na wzgórzu. Kazał służącemu przynieść kolację do pokoju i posłał po kupca. Jadł powoli lecz nie zwracał szczególnej uwagi na jedzenie, a gdy skończył. pojawił się kupiec.

Handlarz przyniósł całe mnóstwo rzeczy do obejrzenia, zaś podróżny. obejrawszy wszystko, co przed nim rozłożono, zdecydował się w końcu na długą zagiętą szablę i krótki, prosty sztylet, I szablę, i sztylet zatknął za pas. Później wyszedł z oberży. Niespiesznym krokiem zajął się w wieczorne opary, spowijające wyboistą głową ulicę Alundil. Minał dom. w którym żalobnicy opłakiwali zmarłego. Jakiś żebrak pokuśtykał za nim. tylko po to, aby mu szepnąć: "Nie jesteś lama", po czym odwrócił się i pognął przed siebie, gubiąc się w tłumie. W niebo zaczęły strzelać fajerwerki, znacząc na ciemnym fiolecie wieczoru długie, wiśniowe pasy iskier, syjących się potokami w dół. Ze Świątyni dały się właśnie słyszeć pierwsze dźwięki wieczornej muzyki na rogach. Jakiś człowiek wy rwał się z jakiegoś domu, przebiegł obok niego i lekko go potrącił - zdążył mu złamać nagarstek zanim nieznanemu udało się pozbawić go sakiewki. Mężczyzna zaczął krzyczeć o pomoc, lecz podróżny pchnął go do przydrożnego rowu i ruszył w swoją drogę, odstraszony przedtem dwóch podejrzanych typków samym spojrzeniem gniewnych oczu. Wreszcie przybył do Świątyni. Przez chwilę wahał się, lecz wszedł do środka. Wszedł na wewnętrzny dziedziniec za kapłanem, przenoszącym posążek jakiegoś bóstwa z pierwszego podwórca. Powiedział wzrokiem dokoła, po czym nagle skierował się wprost ku niszy, gdzie stał posąg bogini Kali. Przyjrzał się krótko statui, a następnie wyjął zza pasa szablę i położył ją u jej stóp. Gdy po jakimś czasie wziął broń z powrotem i odwrócił się, spostrzegł, że obserwuje go jakiś kapłan. Skinął mu na powitanie głową, a ten zbliżył się i przywitał go pozdrowieniem.

90

- Dobry wieczór, kapłanie - odparł.

- Oby Kali pobłogosławiła twą broń. wojowniku.

- Dziękuję. Pobłogosławiła, wiem 1o.

Kapłan uśmiechnął się. - Mówisz tak, jakby było to samo przez się zrozumiałe...

- ... a to wzbudza podejrzenia?

- Cóż - westchnął kapłan, wznosząc oczy ku niebu. - Z pewnością nie jest to w dobrym smaku.

- Co ja na to poradzę - odwzajemnił uśmiech podróżnik - skoro stojąc przed kaplicą Kali czułem, jak na mnie splywa jej moc.

Kapłan drgnął, jakby przeszyło go lodowate tchnienie. - Mniejsza już o mój urząd tutaj - szepnął konspiracyjnie - ale powiem ci. że najchętniej obyłbym się bez tego poczucia mocy.

- Boisz się mocy Kali?

- Ująłbym to w ten sposób... - wykrzywił się kapłan - że mimo niewątpliwej świetności przybytku Kali, niewielu go nawiedza, zwłaszcza gdy porównamy to z tłumami wiernych, ciskających się do kaplicy Lakszmi, Saraswati, Siakti. Sitali. Ratri czy innych pomniejszych bóstw.

- Ale Kali jest z pewnością większa od nich wszystkich! - wykrzyknął podróżny.

- I straszniejsza - dodał półgłosem kapłan.

- Jest straszna, ale i sprawiedliwa!

Kapłan znowu błysnął zębami w uśmiechu. - A jakież człowiek, wojowniku, jeśli już przeżył te kilkadziesiąt lat, jakież więc człowiek pożąda sprawiedliwości? Gdy o mnie chodzi, od sprawiedliwości wolałbym miłosierdzie...

niechaj bogowie pobłażliwym okiem patrzą na wszystko, co wyczyniam każdego dnia.

- Dobrze powiedziane - z uznaniem póki wał głową podróżnik. - I_3cz gdy o mnie chodzi, jestem, jak sam zechciałeś zauważyć, wojownikiem. Dlatego ta bogini bardziej odpowiada memu usposobieniu. Myślimy podobnie. W zasadzie mamy zawsze to samo zdanie. Jeśli nawet dochodzi do różnicy poglądów, zawsze tłumaczą ją tym, że Kali jest kobietą.

- Mieszkam i pracuję - westchnął kapłan - dlatego, niestety, nie mogę tak wyraźnie wyznać, które z bóstw czczę najbardziej.

- Rzecz jasna... - zgodził się mężczyzna w szkarłacie. - Publicznie nie możesz tego wyznać, ale tak między nami.. Nie mów mi tylko, że kapłani to święci. Piłem z wieloma z twego stanu i wiem, żeście tacy sami bluźniercy jak cały rodzaj ludzki.

- Niemniej wszystko ma swoją porę... - zauważył kapłan. - I nie o wszystkim można mówić na dowolnym miejscu - dodał, oglądając się na posąg Kali.

- Dobrze już, dobrze - roześmiał się wojownik. W takim razie powiedz mi. Dlaczego kapliczka Jamy wyglądem przypomina śmietnik. Czy w ogóle nie znają tu wody i mydła?

- Jakże to? - oburzył się kapłan. - Nie dalej niż wczoraj wyszorowaliśmy Pana Jamę do połysku, ale tak wielu wiernych przychodzi złożyć mu pokłon, że nie lśni już dzisiaj czystością, to prawda.

91

Wojownik uśmiechnął się po raz wtóry. - Wobec tego dlaczego nie widzę darów u stóp Pana Jamy, ani żadnych ofiar dziękczynnych?

- A kto składa kwiaty Śmierci? - cierpko zauważył kapłan. - Ludzie tu przychodzą, popatrzą i odchodzą, to wszystko. Z kolei my, kapłani Świątyni, zawsze mieliśmy wrażenie, że Kali i Pan Jama dobrze do siebie pasują, nie uważasz? Śmierć i Pani Zagłady... niezła para.

- Potężna i pełna mocy - zgodził się mężczyzna. - Lecz chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie znajdę nikogo spośród ludzi, kto składałby ofiary Jamie? Ani jeden człowiek?

Kapłan smutno pokował głową. - Poza kapłanami, którzy przychodzą z darami w dniach, które wyznacza kalendarz ofiar, poza nielicznymi mieszczanami, którzy przychodzą z darami w chwili, gdy ukochany lub ukochana leży na łożu śmierci, a bezpośrednio wcielenie w inne ciało zostało jej odmówione... zatem poza kapłanami i ludźmi w potrzebie nikt nie składa darów Panu Jamie z dobrej woli lub z sympatii.

- Pewnie czuje się opuszczony - mruknął człowiek.

- Co wygadujesz, żołnierzu! - oburzył się kapłan, wznosząc do góry ręce.

- Czyż me jest tak. że wszystko, co żyje, składa w końcu ofiarę śmierci... ofiarę z samego siebie?

- Zaprawdę, masz rację - zgodził się wojownik, patrząc raz jeszcze w ten ciemny kat podwórca, gdzie samotnie czerniały dwa posągi nie lubianych bóstw.

- Jaki pożytek miałby Pan Jama z ludzkiej sympatii czy dobrej woli? Po co mu dary, skoro i tak ma wszystko, czego chce?

- Ma. I Kali też ma - skwitował krótko kapłan. - A w kulcie obu tych bóstw często widziałem usprawiedliwienie ateizmu. Niestety. - westchnął z wyraźną niechęcią - zbyt oczywista jest ich obecność w świecie, zbyt dotkliwie dają nam odczuć swą moc, by można było wymazać ich z rejestru bogów. A szkoda.

Wojownik zatrząsł się od tłumionego śmiechu. - Kapłan, który najchętniej skasowałby dwa główne bóstwa! To mi się podoba! Kiedy coś podobnego zdarza mi się słyszeć, czuję, że nie do końca zramolałem! Masz tu... - wysupłał z trzosa monetę. - Masz tu pieniądze i kup beczułkę somy na święta libację.

- Dzięki za hojność - kapłan wprawnym ruchem zgarnął monetę. - Z pewnością kupię. A może zechciałbyś towarzyszyć mi w skromnym poczęstunku... teraz, w Świątyni?

- Na Kali. chcę tego! - wykrzyknął wojownik. - Ale poczęstunek musi być skromny.

Ruszył za kapłanem w stronę głównej budowli, zeszedł po schodach do piwni ::y. gdzie stała beczka somy i dwa puchary obok.

- Za zdrowie i za długie życie - powiedział wojownik, wznosząc pełen puchar.

- Za twych uroczych patronów, Jamę i Kali - wygłosił toast kapłan.

- Dziękuję.

Wychylili kielichy z napojem mocy, po czym kapłan napełnił je raz jeszcze.

- Żeby ogrzać twe gardło i uchronić je od chłódów nocy!

- Świetny pomysł.

92

Wychylili puchary do dna. Kapłan zadbał, by nie stały zbyt długo puste i rzekł: - Nieźle byłoby spój rzeć na odjazd co niektórych pielgrzymów - zrobił krótką przerwę na czknięcie. - Swą pobożnością wzbogacili co prawda Świątynię, lecz zanudzili nas na śmierć. Dobrze że już koniec.

- A więc, za odjazd pielgrzymów!

- Za pielgrzymów!

Wypili.

- Myślałem, że większość z tych ludzi przybyła aby zobaczyć Buddę

- rzucił Jama.

- To prawda - westchnął kapłan. - Lecz większości z nich zależy też na dobrych stosunkach z bogami i wcale nie chcą ich obrażać. Dlatego zanim wybiorą się słuchać nauk nauczyciela, z reguły składają ofiary w Świątyni albo przychodzą z darem i prośbą o modlitwę.

- Co ci wiadomo o tym, którego zwą Thathagata. i o jego naukach?

Kapłan spojrział gdzieś w dal. - Jestem kapłanem bogów... - wyrecytował dobitnie - braminem. Nie życzę sobie rozmawiać o tych sprawach.

- A co? - roześmiał się żołnierz. - Nieźle dał wam w kość?

- Dość, powiedziałem! - krzyknął kapłan. - Powiedziałem, co o tym myślę. Nie będę wszczynał dyskusji na ten temat.

- Na razie jeszcze nie musisz - zgodził się mężczyzna z szablą za pasem.

- Wkrótce jednak nie będziesz się mógł od tego uchronić. Dziękuję za poczęstunek. Dobranoc.

- Dobranoc, wojownik - mruknął kapłan znużonym głosem. - Niech bogowie mają w pieczy twą ścieżkę.

- Twoją także.

Wyszedł po schodach na górę i opuścił Świątynię. Ruszył w dalszą wędrówkę po mieście.

Gdy doszedł do drzew o błękitnej korze i purpurowym listowiu, na niebie stały już trzy księżycy. Zza pni drzew dojrzał małe ogniki obozowych ognisk, na niebie nad miastem ciągle rozkwitały ogniste kwiaty liście drżały, kołysane wilgotnym wiatrem.

Wszedł cicho między drzewa.

Kiedy stanął na oświetlonej polanie, spotkał się oko w oko z rzędem siedzących w bezruchu figur Każdy z mężczyzn miał na sobie żółtą szatę z żółtym kapturem, teraz zarzuconym na głowę.

Podszedł do siedzącego najbliżej.

- Chcę się widzieć z Tathagata Buddą - powiedział.

Zdawało się, że mężczyzna go nie słyszy.

- Gdzie mam go szukać?

Mężczyzna nie odpowiedział.

Pochylił się i spojrzął w jego półprzynknięte oczy. Przez moment patrzył w nie pełnym wściekłości wzrokiem, lecz człowiek w żółtej opończy był jak śpiący, ich spojrzenia nie mogły się spotkać.

93

Wobec tego podniósł głos, a mówił tak donośnie, żeby wszyscy mogli go słyszeć.

-• Chcę widzieć się z Thathagatą Buddą. Gdzie mam go szukać?

Z równym powodzeniem mógłby przemawiać do rzędu kamiennych słupów.

- Myślicie, że w ten sposób zdołacie go ukryć? - krzyknął. - Myślicie, że skoro jest was wielu, wszyscy jesteście tak sarno ubrani, a żaden z was nie chce mi odpowiedzieć, myślicie zatem że wobec tego nie jestem w stanie znaleźć go wśród was?

Tylko wiatr westchnął wśród liści. Zadrzały płomienie, purpurowe listowie drzew o błękitnej korze zaszeleściło.

Roześmiał się hałaśliwie. -Może i macie rację, ale kiedyś bęozieeee musieli

wstać .. o ile nie chcecie umrzeć tak na siedząco... a ja tu sobie poczekam
Jestem cierpliwy jak nikt inny
Po czym siadł na ziemi. Oparł się plecami o drzewo, szanę po bzy* z buku
Zaraz potem opadła go senność Głowa zakotłowała mu się i opadła na piersi.
Zachrapał.

Szedł przez błękitno-zielone pola, a źdźbła lnu rozchyłały się przed rum.
czyniąc wygodne przejście wąską ścieżką. Na końcu drogi stało ogromne
drzewo o wielkich, rozłożystych konarach, gruby m pniu - drzewo tak wielkie, iż
nie dałoby się o nim powiedzieć, że rośnie na świecie, lecz raczej, że swymi
korzeniami spaja fundamenty świata, a gałęziami, sięgającymi aż do gwiazd,
łączy różne poziomy nieba.

U stóp drzewa siedział jakiś człowiek; człowiek ze skrzyżowanymi nogami
i z delikatnym uśmiechem na twarzy. Wiedział, że tym człowiekiem jest Budda.
Podszedł bliżej i stanął przed nim.

- Pozdrowienia dla śmierci - rzekł ten, który siedział, do tego, który
podszedł bliżej i stanął przed nim - przed Buddą, którego głowę otaczała
czerwonawa poświata aureoli, jarzącej się w cieniu drzewa.

Jama nie odpowiedział tylko wy dobył szablę.

Budda tymczasem nie przestawał się uśmiechać, a gdy Jama aat krok
naprzód, usłyszał jakiś dźwięk - coś jakby echa dalekiej muzyki.

Stanął i rozejrzał się wokół z szablą wzniesioną do ciosu.

Z. wszystkich czterech stron świata nadchodzili czterej Władcy Świata,
zstępowali z Góry Sumeru: oto się zbliżał Pan Północy, otoczony zastępem
swych Jakszów, wszyscy w złocie, na żółtych koniach, z tarczami, odbijającymi
refleksy złotego światła, zbliżał się Anioł Południa w orszaku swych dworzan
Kumbandaszów, na błękitnych rumakach i z tarczami koloru szaliru; oto ze
Wschodu podążał Pan Wschodu, z jeźdźcami, który dźwigali tarcze kolo-u perę;

wszyscy ubrani w srebro; z Zachodu zbliżał się Ten, którego Magowie dosiadali
koni koloru krwi. wszyscy w czerwieni, z koralowymi tarczami. Kopy. a ich
zwierząt zdały się nie dotykać trawy, a jedynym dźwiękiem, który aa! się
słyszeć, była muzyka, coraz potężniej napełniająca przestworza.

- Czemu nadchodzą Władcy Świata? - usłyszał Jama, jak jego usta
wypowiadają to pytanie.

- Aby zabrać stąd me kości - odrzekł ciągle uśmiechnięty B-jcc!a.

94

Właśnie nadjechali czterej Władcy, każdy ze swą świtą, i Jama stanął twarzą
w twarz do nich.

- Przybywacie, by zabrać stąd jego kości... - powiedział. - Ale kto
zabierze wasze?

Władcy zasiedli do koni

- Nie możesz mieć tego człowieka, o Śmierci - powiedział Pan Północy.

- Ten człowiek należy do Świata, a my. Władcy Świata, będziemy go bronić.

-- Posłuchaj mnie. Władco, który mieszkasz na Sumeru - rzekł Jama.

- W twych rękach spoczywają losy Świata, lecz Śmierć jrbiera kogo chce
i kiedy zechce. Nie będziesz dyskutował ze Śmiercią o jej przywilejach ani
o metodach, jej pracy.

Czterej Władcy zajęli miejsce między Jamą a Triathagatą.

-- A jednak podejmiemy tę dyskusję. Panie Jamo - rzekli chórem -..... al-
bowiem w rękach tego człowieka spoczywają losy Świata i możesz się doh
zbliżyć jedynie wówczas, gdy rozprawisz się z Czeremą Potęgami.

- Niech tak się stanie -- skinął głową Jama. - Który z was pierwszy?

- Ja - rzekł Władca Północy, podnosząc złotą szablę.

Ostrze miecza Jamy zaryło się w złotą tarczę jak w masło i zatrzymało się
dopiero na ręce Władcy, który padł na ziemię

Wielki krzyk wzbął się w szeregach Jakszów a dwóch ubranych w złoto
dworzan rzuciło się na koniach, by podnieść rannego Władcę. Po czym świta
zawróciła na Północ

- Kto następny?

Wystąpił władca Wschodu, cały w srebrze, ze srebrną siecią uplecioną
z promieni księżycy. - Ja - powiedział, zarzucając sieć.

Jama chwycił za sieć i pociągnął, wytrącając przeciwnika z równowagi. Gdy
Władca runął głową w przód. Jama wyrwał mu szablę i uderzył go ręką

w szczękę.

Dwaj srebrni dworzanie rzucili się w jego stronę i zanieśli swego Pana na Wschód, ciągnąc za sobą nierówne dźwięki muzyki.

- Następny!

Teraz wystąpił krzepki Pan Nagów. Rzucił broń na ziemię i zerwał z ramion tunikę. - Chcę cię zwyciężyć w zapasach, o Śmierci! - rzekł.

Jama zatem odłożył broń, a na nią rzucił swe szaty.

Cały czas, gdy się to działo, Budda siedział w cieniu wielkiego drzewa.

uśmiechnięty, jakby szczebanie mieczy i głośnie oddechy walczących w ogóle doń nie docierały.

Pan Nagów chwycił Jamę lewą ręką za kark i nachylił głowę. Jama uczynił to samo z nim. Poczłym Pan Południa obrócił się. przelożył prawą rękę przez lewe ramię Jamy, oplótł mu kark, sprawdził, czy palce dokładnie ściskają głowę wroga, którą Jama wsparł mu na biodrze i obrócił się, gdy tamten chciał go pchnąć w przód.

Sięgając ręką nad plecami Władcy, Jama złapał jego lewe ramię w lewą dłoń. później pociągnął go za nogi tak, że Pan Wschodu stracił równowagę i padł na plecy.

95

Gdy władca legł na ziemi, Jama spadł nań niczym burza, rzucił się mu na piersi, podskoczył, wgniół mu kolana w żebra i uznał, że to już dosyć.

Kiedy jeźdźcy z Zachodu wzięli kurs ku zachodniemu horyzontowi, pozostał tylko Anioł Południa. Przed Buddą stała wysoka postać w błękicie.

- A ty? - spytał Bóg Śmierci, sięgając po broń.

- Nie ruszę przeciwko tobie, o Śmierci, ze stałą, żelazem czy gołym i rękami, nie wezmę sobie za broń kamienia, o Śmierci, by nie być podobnym do dziecka, ciskającego w przyplwywie gniewu zabawki w twarz starszych wiekiem. Ani nie użyję przeciwko tobie siły mego ciała - rzekł Anioł, - Wiem, że gdybym sięgnął po jedną z tych rzeczy, zostałbym pokonany, albowiem nikomu nie uda się zwyciężyć cię ramieniem.

- W taki m razie na co tu czekasz-roześmiał się Jama. - Na koń i w drogę!

Anioł nie odpowiedział, tylko wyrzucił swą błękitną tarczę w powietrze, tak że zawirowała w górze niczym oszlifowany szafir, a zawisnąwszy w górze stawała się coraz większa - rosła na oczach i ogromniała.

Później upadła na ziemię i zaryła się w piach u, nie wydając żadnego dźwięku. Znikając nadal rosła w oczach, a gdy zamknęła się nad nią ziemia i trawy się zeszyły, nie było widać nawet śladu miejsca, gdzie się wryła.

- Jak rozumieć ten znak? - zapytał Jama.

- Nie wystąpię przeciwko tobie z bronią w raku - odparł Anioł. - Będę się tylko bronił. Do mnie należy moc biernego oporu, tak jak twoją jest siła zabijania. Ponieważ możesz zniszczyć wszystko, przeciwstawię tobie mą moc, tak że nie będziesz w stanie niczego zburzyć, o Śmierci. Moją jest siła tarczy, nie miecza. Niech więc życie stawi ci opór, Panie Jamo. i niech się broni przeciwko twemu zwycięstwu.

Władca odwrócił się, dosiadł konia i ruszył na Południe, a za nim Kumbandaszowie. Lecz wypełniające powietrze dźwięki muzyki nie odeszły razem z nim - pozostały, drżąc cicho w przestworzach.

- Niczego nie wskórali - rzekł Jama, wysuwając szablę. - Twoja godzina nadeszła.

Wymierzył cios,

Ale oto gałąź drzewa upadła na ziemię, wytrącając broń z jego dłoni.

Nachylił się, by sięgnąć po szablę, gdy trawy zamknęły się nad lśniącym ostrzem i ukryły je, tak że nie mógł znaleźć swej zguby.

Mamrocząc pod nosem słowa przekleństwa wyciągnął zza pasa szylet i zamierzył się raz jeszcze.

A oto ogromny konar pochylił się, zasłonił Buddę, tak że krótkie ostrze wbiło się w koronę. Po czym gałąź znowu wzniosła się ku niebu, unosząc ze sobą ostatnią sztukę broni Pana Jamy.

Oczy Buddy ciągle były przymknięte, Tatnagata nie przestawał medytować, a czerwona aureola nad jego głową mżyła delikatną poświatą.

Jama dał krok naprzód z rękoma wzniesionymi do ciosu, gdy nagle długie trawy oplótły mu stopy i nie mógł ruszyć się z miejsca.

Szarpnął potężnie nogami w nadziei, że wyrwie trawę z korzeniami, lecz musiał uznać swą porażkę. Stał więc, wznosił obie ręce wysoko w górę i głęboko odchylił w tył głowę, siejąc z oczu śmiertelną trwozę.

96

- Moce, słuchajcie mnie! - krzyknął. - Od tej chwili to miejsce ściąga na siebie przekleństwo Jamy! Nic, co żywe, nie może dotknąć tej ziemi! Niech żaden ptak nie waży się tu zaśpiewać, ani wąż niech nie śmie wic się między trawami, bo przekleństwo me wisi nad tą krainą, Ziemia niech wyjafowieje, kamienie i pustynny piasek niech ją pokryją tam, gdzie dziś zieleń i się życie. Ani źdźbło tawy niech nie śmie podnieść się ku niebu! Oto jest moja klątwa, którą rzucam na przyjaciół mego wroga!

Zieleń zaczęła więdnąć, trawa schła na oczach, lecz zanim Jama poczuł, jak długie pnącza powoli zwalniają uścisk zamieniając siew popiół, usłyszał głośny trzask i odgłosy pękania. Oto bowiem drzewo, którego korzenie spinały fundamenty świata, którego gałęzie podtrzymywały sklepienie niebieskie, gwiazdy trzymając niczym ryby w sieci - oto wielkie drzewo pękło przez środek, gałęzie oderwały się od nieba, korzenie rozsadziły ziemię, otwierając otchłanie, a liście opadły zielono-niebieski m deszczem. Zaś potężny pień zwał się tuż przed nim, rzucając cień tak ciemny jak noc.

W dali widział Buddę, pogrążonego w medytacji, jakby nieświadomego chaosu, który się wokół rozpętał.

A później była tylko ciemność i coś jak łoskot piorunów.

Jama poderwał głowę i otworzył oczy.

Siedział wśród drzew o błękitnej korze i purpurowym listowiu, oparty plecami o pień jednego z nich, z szablą u kolan.

Zdawało się, że nic się nie zmieniło.

Ciągle miał przed sobą rząd mnichów pogrążonych w medytacji. Nadal wiał chłodny i wilgotny wiatr, blask ognia pełga) i drżał tak samo jak wówczas, gdy tutaj przyszedł.

Wstał, wiedząc już, gdzie ma szukać tego, którego chciał ujrzeć.

Minał mnichów. Ruszył udeptaną ścieżką, prowadzącą w głąb lasu.

Dotarł do pawilonu z purpurowego drewna, zajrzał do środka. Pusto.

Ruszył dalej przed siebie, aż doszedł do miejsca, gdzie las graniczył z dziki m. porośniętym gęstymi krzakami pustkowiec. Ziemia była tu bagnista, a matę grudki błota gęsto oblepiały czerwone buty. Szedł jednak pewnym krokiem, drogę jasno oświetlały trzy księżycy.

Ścieżka prowadziła w do) lekko nachylonego zbocza, drzewa o błękitnej korze i purpurowych liściach rosły tu coraz rzadziej, były nieco karłowate, z krzywymi gałęziami. Po obu stronach dróżki zaczęły się pojawiać małe kałuże pokryte lotną, srebrzystą pianą - rozsadniki trądu, Ciężka woń bagien dolatywała mu do nozdrzy, a z obu stron zarośli dobiegało go brzęczenie i szepty dziwnych stworów. Usłyszał coś jakby śpiew, dochodzący z wysoka, a zaraz potem uświadomił sobie, że to **zapewne** mnisi przestali kontemplować i krzątają się wokół drzew - no tak, wreszcie skończył i swe sztuczki, uwieńczone wizją Niezwycięzonego Mistrza, a teraz śpiewem dają znak, że...

Jest!

Siedział na skale w samym środku wielkiej, gołej przestrzeni, srebrzysty w księżycowym świetle.

97

Jama wydobyl szablę.Przyspieszył kroku.

- Pozdrowienia dla Śmierci - rzeki Budda.

--- Czołem. Tathagata.

- Co cię tu sprowadza?

Ten, który siedział na skale, nie okazał zdziwienia, ani nawet nie podniósł na niego wzroku. Zauważył tylko z całkowitym spokojem: - Dobrze to wiedzieć, lecz nie od po wiedziałeś na moje pytanie. Co cię tu sprowadza? - po wtórzył ty m samym tonem.

- Czy to nie ty jesteś Buddą?

- Zwią mnie i Budda, i Tathagata, i Oświeconym, i leszcze na różne sposoby mnie zwią, lecz. odpowiadając na twe pytanie, wyznam, że me jestem Budda. Prawdziwego Buddę zabiłeś dzisiaj.

-- Zaprawdę -- uśmiechnął się Jama - moja pamięć jest niezwykle

ocięzła, albowiem nie przypominam sobie, bym coś podobnego uczynił.
- Prawdziwego Buo.de zwaliśmy Sugata- rzekł ten, który siedział na skale.
- Przedtem był znany jako Rild.
- Rild! - zachichotał Jama. - Usiłujesz mi wmówić że Rild był czymś więcej niż tylko zwykłym katem, który zbiegł za służby, za twoją usilną namową zresztą?

wielu ludzi to kaci, których namówiono, by porzucili prace - odrzekł Tathagata z wysokości swej skały. ---Rild z własnej woli porzucił swą misję i stał się jednym z tych, którzy zdążają Drogą. Był to jedyny człowiek, jakiego znałem, który naprawdę osiągnął Oświecenie.

--••• Czy ten zabobon, którym usiłujesz zarazić świat, nie jest tak zwana¹ religią pacyfistyczną? -- zapytał Bóg Śmierci.

- Jest.

Jama wybuchnął śmiechem. - Na bogowi W takim razie chyba nie mówisz mi o tym rozbójniku! Ten twój umiłowany uczeń. Oświecony i tak dalej omal nie skrócił mnie dzisiaj o głowę.

Przez jasną twarz Buddy przemknął cień zmęczenia. - Czy myślisz, że naprawdę mógłby cię zabić?

Jama przez chwilę milczał, po czym odparł: - Nie!

- Czy myślisz, że i on o tym wiedział? - padło następne pytanie.

- Kto wie... ---• zawahał się Bóg Śmierci.

- Czy spotkałeś się z nim kiedyś wcześniej?

- Tak - odrzekł Jama. - Miałem to szczęście.

- Wobec tego wiedział, z kim ma do czynienia j zdawał sobie sprawę z wyniku potyczki - zakonkludował Budda.

Jama milczał.

- Z własnej woli obrał męczeństwo, z własnej woli poszedł za przeznaczeniem, którego ja jeszcze rano nie znałem. Nie sędzę, by przypuszczał, że jest w stanie cię pokonać - zakończył mężczyzna w żółtej szacie.

Jama zupełnie stracił pewność siebie. Wobec tego po co zaczynał?

- Żeby przekonać się o czymś

-- O czym?

-- Nie wiem - uśmiechnął się ten który siedział na skale. - Wiem tylko tyle, że to, co się stało, musiało się stać tak, jak powiedziałem, z iych właśnie a nie innych powodów, bo dobrze znałem Sugatę. Zbyt często przysłuchiwałem się jego kazaniom, zbyt dokładnie rozpamiętywałem jego subtelne porównania, by teraz wiedzieć, że to, co zrobił, zrobił z pewnym zamysłem. Zabiłeś prawdziwego Buddę. Boże Śmierci. A co do tego, kim ja jestem... sam wiesz przecież najlepiej.

- Siddhartha - wykrzywił się Jama. - Tak, wiem, że jesteś oszustem.

Wiem, że nie jesteś Oświeconym. Wiem, że cała twoja nauka to strzępy słów, zapamiętane przez jednego z Pierwszych. Postanowiłeś wskrzesić dawno umarłą filozofię, z zamiarem, że uznają cię za jej twórcę. Postanowiłeś rozszerzyć ją po wszystkie zakątki świata w nadziei, że wzniesiesz bunt przeciwko religii, dzięki której rządzą bogowie. Podziwiam twój sukces. Rzecz świetnie obmyślona i znakomicie wykonana. Lecz twój największy błąd polegał, jak sędzę, na tym, że wymyśliłeś pacyfistyczne wyznanie wiary i postanowiłeś je przeciwstawić prawdziwej twórczości aktywnego życia. Dziwię się, że wybrałeś akurat ten sposób. Miałeś przecież pod ręką tyle innych gotowych szablonów.

- Może chciałem się przekonać, jaką reakcję wywołam? - odparł mężczyzna w opończy mnicha.

- Nie. Sam - potrząsnął głową Jama. - Tonie to. Wydaje mi się, że była to część większego planu, który uknułeś, i że przez wszystkie te lata, gdy wmawiałeś swa świętość ludziom oraz głosiłeś kazania, w których prawdziwość sam nie byłeś w stanie uwierzyć... otóż że przez wszystkie te lata, jak sędzę, knułeś dalsze plany. Wielka armia, rozciągnięta wzdłuż frontu, może stawiać opór przez bardzo krótki czas. Samotny człowiek, ograniczony w przestrzeni, musi przyjąć, że jeśli jego opór ma być skuteczny, to powinien go rozłożyć na wiele lat, rozciągnąć w czasie, a wtedy ma szansę na sukces. Wiedziałeś o tym, a teraz, gdy ujrzałeś pierwsze owoce wiary, która nie jest twoja, bo ją ukradłeś, zamierzasz przejść do następnej fazy swego planu. Usiłujesz być ucieleśnieniem oporu człowieka wobec Nieba, a przeciwstawiając się woli bogów na przestrzeni wieków, na różne sposoby, pod wieloma maskami, chcesz się stać

żywą ich antytezą. Lecz teraz już z tym koniec, fałszywy Buddo.

- Dlaczego?

- Rozważyliśmy to dość dokładnie - odrzekł Jama. - Nie chcemy robić z ciebie męczennika. bo w ten sposób zyskałbyś stokroć więcej niż tylko głosząc swe nauki. Z drugiej strony, pozostawiając ci wolną rękę. sami przyczyniamy się do ich wzrostu. Dlatego postanowiono, że musi cię spotkać koniec z ręki kogoś z nas, a to będzie wystarczającym świadectwem, która religia jest silniejsza. W ten sposób, czy zostaniesz męczennikiem, czy nie, buddyzm będzie w przyszłości religią o drugorzędnym znaczeniu. Oto i powód, dlaczego musisz umrzeć prawdziwą śmiercią.

Na co Tathagata powiedział z niezmałonym spokojem. - Gdy pytałem cię, „dlaczego?“, myślałem o czymś innym. Odpowiedziałeś mi na pytanie, którego nie zadałem. Chciałem bowiem wiedzieć, dlaczego akurat ty, Jama, przyszedłeś tutaj w misji Nieba. Dlaczego właśnie ty. biegły w sztuce wojennej, prawdziwy mistrzu wszelkich nauk, dlaczego ty. Jama, poszedłeś niczym lokaj płaszczyć się przed bandą pijanych odmieńców. którzy zmieniając ciała niczym rękawiczki nie są nawet godni czyścić twej szabli i sprzątać w twoim

99

laboratorium? Dlaczego właśnie ty, który spośród wszystkich duchów świata mógłbyś się cieszyć największą wolnością, dlaczego zatem ty tak okrutnie się ponizas?

- Dlatego, że twa śmierć musi być zupełna.

- Dlaczego? - powtórzył Budda pytanie, które już od dłuższego czasu nie mogło doczekać się odpowiedzi. - Zapewne nie mnie jednego i to nie od dzisiaj zajmuje ten problem. Nie poczułem obrazy, gdy nazwałeś mnie fałszywym Buddą. Wiem, kim jestem. A kim jesteś ty?

Jama wsunął szablę za pas, wyciągnął fajkę, którą sobie kupił tego samego dnia w Alundil, napełnił cybuch tytoniem i zapalił.

- Oczywiście, jeśli mamy pozbyć się wszelkich wątpliwości... - rzekł, puszczając kłęby dymu - trzeba najpierw zadbać o minimum wygody - po czym przysiadł na kamieniu. - Po pierwsze, uważam, że człowiek może w różny sposób przewodzić innym ludziom i tym samym spełniać wobec nich posługę, o ile razem służą wspólnej sprawie, przerastającej każdego z nich. Sądzę, że właśnie takiej sprawie służę, w przeciwnym razie nie podjąłbym się tego zadania. Wydaje mi się, że i ty też odczuwasz to w podobny sposób, inaczej bowiem nie zniósłbyś życia w ciągłej ascezie... bardzo marnego życia, wierz mi... choć zauważyłem, że nie jesteś tak wyniszczony postami jak twoi uczniowie. Kilka lat temu w Maharatha, o ile sobie przypominam, zaproponowałem ci ubóstwienie. Tymczasem ty zakpiłeś sobie z Brahmy, najechałeś Dwór Karmy i pozatykałeś automodły żetonami...

Budda zachichotał. Jama wtórował mu przez chwilę, za czym ciągnął dalej. - Nie ma już akceleracji i stów i z całej tej sekty tylko ty jeden uchowałeś się w świecie. To już się skończyło, ale nawet gdy trwało, nie miało szans na większe powodzenie. Przyznaj, żywię do ciebie szacunek, zwłaszcza gdy myślę o tym, w jaki sposób zdołałeś przeżyć ostatnie lata. Przyszło mi nawet do głowy, że gdyby ci uświadomić beznadziejność twej obecnej sytuacji, być może przestałbyś współpracować z wrogami Nieba. Chociaż jestem tu, by cię zabić, jeśli jednak dasz mi słowo, że skończysz z dawnymi szaleństwami, przyrzekam sam będę najlepszą gwarancją zachowania cię przy życiu. Razem pójdziemy do Niebiańskiego Grodu, po czym przyjmiesz to, czym przed laty wzgardziłeś. Wiem, że mnie wysłuchają, bowiem iestem im potrzebny.

- Nie - odparł Sam. - Nie i jeszcze raz nie, gdyż wcale me jestem przekonany o daremności tego, co robię i z najgłębszą wiarą w słusność moich poczynań zamierzam ciągnąć dalej ten spektakl.

Z góry, z lasu drzew o błękitnej korze i purpurowych liściach roziegł się śpiew. Jeden z trzech księżyców zniknął za wierzchołkami drzew.

- Czemu twoi uczniowie nie rzucą się, by bronić swego mistrza?

- Rzuciliby się, gdybym ich wezwał, ale nie wezwę ich, bo nie są mi potrzebni.

- Dlaczego narzucili mi ten bzdurny sen?

- Dlaczego me zabili mnie, gdy spałem?

- To nie w ich stylu.

100

- Dlaczego ty mnie nie zabijesz, co? - błysnął zębami Jama. - Przecież mógłbyś... Nikt by się o tym nie dowiedział,

- Może... - w głosie Tathagaty zabrzmiało zmęczenie. - Jak wiesz, wady czy zalety nauczyciela nie przesądzają o słuszności sprawy, którą głosi. Jama pociągał fajkę. Dym wznosił się wysoko, łącząc się ze smugami mgieł, które powoli snuły się nad ziemią.

- Wiem tyle, że jesteśmy tu sami, a ty nie masz broni.

- Tak, jesteśmy sami - potwierdził Budda. - Mój bagaż został już wysłany.

- Bagaż?

- Tak. Tutaj nic już po mnie. Rozpocząłem dzieło, które miałem rozpocząć i odchodzę, gdy tylko nasza rozmowa dobiegnie końca.

Jama roześmiał się. - Optymizm rewolucjonisty zawsze skłania do zastanawiania się nad sensem wiary w cuda. W jaki sposób zamierzasz stąd odejść? Odfrunąć na latającym dywanie?

- Nie - spokojnie odparł Budda. - Chcę odejść tak, jak odchodzą zwykli ludzie.

- Dziękuję za łaskawe wyjaśnienia - Jama pochylił się w błazeńskim ukłonie. - Jakież to moce rzucą się w obronie ciebie? Nie widzę wielkiego drzewa, które osłoniłoby cię gałęziami, ani trawy, która spętałaby mi nogi. Powiedz zatem, o Buddo, jak zamierzasz mi umknąć?

- Przez zaskoczenie, a nie walkę.

- A kto powiedział, że będziemy walczyć? - zakrzyknął Jama. - Nie napadam na bezbronnych ludzi niczym rabuś. Lecz jeśli masz tu jakąś broń w ukryciu, radzę, poszukaj jej. W końcu lepszy kawał żelaza w dłoni niż pustka w rękach. Słyszałem nawet kiedyś, jak mówiono, że Pan Siddhartha to przedni szermierz.

- Dziękuję, może innym razem. 2 pewnością nie teraz.

Jama znowu pociągnął fajkę przeciągnął się i ziewnął. - Myślę, że już nie mam więcej pytań. Dyskusja z tobą to zwykła strata czasu. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Może chciałbyś dorzucić coś jeszcze, żeby ożywić konwersację?

- O, tak - mruknął Sarn. - Powiedz mi, proszę, jak to w końcu jest z tą suką Kali? Każdy mówi o niej dosłownie wszystko, tak że zaczynam dochodzić do przekonania, że ta dziwka jest wszystkim dla wszystkich i wszyscy rną ją rację...

- Jamie fajka wypadła z ust i potoczyła się po zgiętym ramieniu, ciągnąc za sobą warkocz iskier. Uniósł miecz - ostrze załśniło mu nad głową jak wielka błyskawica.

Gdy wymierzył cios, poczuł, jak ziemia rozstępuje się pod nim. wciągając go w głęboki lej. Stał, wyciągnięty na baczność i tak już pozostał. Chciał dźwignąć się w górę, lecz ziemia krępowała wszelkie ruchy.

- Lotne piaski tym się charakteryzują - zauważył Sarn, patrząc gdzieś przed siebie - że niektóre są bardziej lotne niż inne. Szczęściem dla ciebie, ten me jest jeszcze tak lotny, jak mógłby być. Masz teraz nieco czasu na rozmyślanie. Chętnie przedłużyłbym naszą rozmowę o jeszcze kilka chwil, ty, byri ty! o nadziei, że jednak zdołam cię ntzekona, byś przeszedł na moją stronę. Lecz skoro me mam z-adnycn szans, a w każdym razie nie więcej niż ty, gdy usiłowałeś mnie przekonać, bym poszedł do Nieba...

101

- Wydostanę się stąd - powiedział łagodnym głosem Jama, i nic nie zdradzało jego gniewu. - Jakoś się stąd wydostanę, a wtedy przyjdę po ciebie po raz drugi.

- O, tak - kiwną głową Sam. - Czuję, że niemało prawdy w tym, co mówisz, I nawet dodam, że wkrótce sam cię poinstruuje, jak stad się wydostać Na razie jednak jesteś dla mnie tym. czego jako wieczny kaznodzieja najbardziej zawsze pragnąłem: pojętą publicznością, a w dodatku publicznością z ław opozycji. Pozwól więc, że nie zmarnuje tej okazji i wygłoszę krótkie kazanie, Panie Jamo.

Jama mocniej zacisnął palce na rękojeści, zdecydowany uderzyć, lecz po namyśle dał spokój.

- Zaczynaj! - rzekł, schwyciwszy spojrzenie Sama.

Sam drgnął, spotkawszy wzrok Śmierci, lecz niezrażony rozpoczął mowę.

- To zabawne. . - westchnął - w jaki sposób wasze zmutowane mózgi są zdolne do przeniesienia swych mocy do jakiegokolwiek innego umysłu w dowolnie obranym ciele. Już całe tata minęły od chwili, gdy po raz ostatni ćwiczyłem się w tej umiejętności, bo teraz zachowuje się już jak zwykły człowiek. W każdym razie: nieważne, jakie ciało obieram bo moje moce i tak podążą za mną. Jak rozumiem, nadal większość z nas korzysta z tej drogi. Słyszałem na przykład, że Sitala jest w stanie kontrolować temperaturę w promieniu wielu mil od miejsca, gdzie przebywa. Gdy zatem zmienia ciało, jej moce przenikają w nowy system nerwowy, choć początkowo nie osiągają maksimum swych możliwości. Agni z kolei, jak wiem potrafi wzrokiem podpalać rzeczy, które chce zniszczyć. Teraz znowu, by niedaleko szukać, wspomnijmy o śmiertelnym wejrzeniu twych oczu, Panie Jamo, które już od dłuższego czasu bezskutecznie na mnie kierujesz. Czy to nie zabawne, że z owych darów możecie korzystać w każdym miejscu i o każdym czasie na przestrzeni wieków? Często się zdumiewałem, rozmyślając o fizjologicznym podłożu tego zjawiska. Może tobie o czymś wiadomo, Panie Jamo?

- Tak - odrzekł Jama, a pod ciemnymi brwiami jego oczy lśniły jak dwa rozżarzone węgle.

- Jak zatem to wyjaśnisz? Człowiek rodzi się z anomalią mózgową, psychikę poddaje się transferowi do mózgu o niezakłóconym funkcjonowaniu, lecz niezwykle właściwości takiego umysłu pozostają nienaruszone. Co właściwie ma miejsce w tym całym procesie?

- To, co nazywasz swym ciałem - odrzekł Jama - to jedynie wyobrażenie, struktura o naturze chemiczno-elektrycznej. W nowym otoczeniu fizjologicznym wyobrażenie owo zaczyna się przystosowywać do odmiennego środowiska, W nowym ciele psyche czuje się nieswojo, jego fizjologię traktuje jako ustrój chory, wymagający leczenia, przystosowania, tak by po procesie adaptacji nowe ciało upodobniło się do starego. Gdyby to ciało, które obecnie posiadasz, obaarzyć fizyczną nieśmiertelnością po pewnym czasie przekonałbyś się. ze upodobniłoby się do pierwowzoru, czyli tego pierwszego ciała, jakie zdarzyło ci się mieć.

- Interesujące - mruknął Sam.

102

- Dlatego właśnie - ciągnął dalej Jama -- siła transferu początkowo nie jest zbyt duża, lecz wzrasta w miarę jak przyzwyczajasz się do nowego ciała. Oto dlaczego najlepiej jest mieć jeden tylko atrybut, jeden rodzaj mocy, a w razie czego wyręczać się mechaniczną przystawką.

- W porządku. Zawsze mnie to wprawiało w zdumienie, a teraz wiem, o co chodzi - Sam poprawił się na swojej skale. - Dziękuję, choć wiele musiałem wytrzymać, by wymusić na tobie te rewelacje... śmiertelne spojrzenie twych oczu, strach... no, sam wiesz najlepiej. Ale to już coś. Teraz zaś, co dam kazania... Otóż pewnego *razu*. człowiek tyleż śmiały co bezczelny, jak nie przymierzając ty, z powszechnie znanymi skłonnościami pedagogicznymi, otrzymał zadanie zbadania pewnych *mer*egularności w rozwoju mózgu. Pewnego dnia sam nabawił się choroby, którą miał wyleczyć. Ponieważ nie wynalazł jeszcze lekarstwa, od chwili, gdy zachorował, spędzał czas na oglądaniu się w lustrze i powtarzał: „Cokół wiek by nie mówić o innych, mi jest z ty m do twarzy”. Ty byleś tym człowiekiem, Jamo. Nie walczyłeś z chorobą, nawet nie próbowałeś co więcej: byleś z niej dumny. W swym szaleństwie zdradziłeś samego siebie, tak że wiem. iż miałem rację mówiąc, że twa choroba ma na imię Kair. Nigdy nie przekazałbyś swej mocy w ręce niegodnego, gdyby ta kobieta cię nie opętała. Znam ją od dawna i jestem przekonany, że się nie zmieniła. Gdy tylko przestaniesz być jej przydatny, natychmiast da ci kosza. Boże Śmierci. Nie mówię tak dlatego, że jesteśmy wrogami, lecz raczej jak mężczyzna mężczyźnie. Ja to wiem, u wier mi. Może szkoda, że tak naprawdę nigdy nie byleś młody, Jamo, i nie poznałeś, czym jest miłość na wiosnę... Lecz morał, który wypływa z mego krótkiego kazania na malej górze jest następujący: nawet lustro nie pokaże ci. kim naprawdę jesteś, jeśli sam tego nie zechcesz Zechciej kiedyś sprawdzić, czy mam rację, pokłóć się z nią, choćby o cos błahego, a zobaczysz, jak szybko ci odpowie i w jaki sposób. Co zrobisz, gdy twą własną broń obróci przeciwko tobie, o Śmierci?

- Skończyłeś? - zapytał Jama.
- Tak, to na razie tyle. Kazanie miało być ostrzeżeniem. Zostałeś ostrzeżony.
- Jaka by nie była twa moc. Sam... - ciężko westchnął Jama - rozumiem, że chciałeś sprawdzić, czy wytrzymasz siłę mego wzroku. T'woje szczęście, że jestem dziś staby.
- O. tak - parsknął Sam. - Moje szczęście choć głowa mi pęka! Bierz diabli ten twój wzrok.
Jama trwał w swej pułapce, wpatrzony w człowieka w żółtej szacie, i mę nie wskazywało na to, że dowcipy Sama mają cię przystęp. - Pewnego dnia - wolno poruszała wargami - znowu się zmierzmy. A wtedy nawet gdybyś sam wyzwał mnie na pojedynek, będzie to dzień twego upadku. Jeśli nie od mego spojrzenia, to na pewno od ostrza szabli...
- Jeśli to ma być wyzwanie - przerwał mu Sam - pozwól, że nie będę się spieszył z przyjęciem go. Radziłbym na^rerw przknonać się. czy miałem rację mówiąc o Kali to, co powiedziałem
Jama tkwił już w ziemi do połowy ua.
Sam zszedł ze skały.

103

- Jest tylko jedna bezpieczna droga stąd i pójdę nią, by odejść, jak przyrzekłem. Teraz jednak chcę ci powiedzieć, co masz robić, jeśli chcesz ocalić życie, o ile nie jesteś zbyt dumny. Otóż kazałem mnichom, by ruszyli mi na pomoc, gdy tylko usłyszą mój krzyk. Wcześniej jednak powiedziałem ci, że nie zamierzam wzywać pomocy, a jak widzisz, nie kłamałem. Jeśli więc teraz zaczniesz wołać o pomoc, przybędą tutaj, zanim się całkowicie zapadniesz w ziemię i wyciągną cię, nie czyniąc ci krzywdy, bo taka jest ich Droga. Już się cieszę na samą myśl o tym, że mnisi Buddy ocala życie Śmierci. Dobranoc. Odchodzę.

Jama uśmiechnął się. - Nadejdzie jeszcze ten dzień, o którym ci mówiłem. Trudno, mogę poczekać. Spiesz się zatem, i uchodź stąd tak szybko i tak daleko jak umiesz. Świat nie jest dość wielki, byś się mógł ukryć przed moją zemstą. Ruszę za tobą w pościg, by wreszcie nauczyć cię, czym jest Oświecenie... Oświecenie przez ogień piekielny,
- Na razie jednak - odparł Sam - radziłbym ci wezwać na pomoc mnichów albo nauczyć się trudnej sztuki oddychania szlamem.
I ruszył przed siebie, a oczy Jamy paliły go w plecy śmiertelnym speszaniem Śmierci.

Kiedy dotarł do drogi, odwrócił się.

- Zechciej powiedzieć w Niebie, że wyjechałem w sprawach shizoowych.
Jama nie odpowiedział.

- Chyba pójdę kupić bron - dodał Sam - I to chyba jakąś specjal-ia. *,'iedy więc przyjdiesz po mnie, zabierz ze sobą tę jędze Kali. Jeśli nap-awiis t* s*. taka na jaką wygląda poradzi ci. żabyś sobie zmienił przyjaciół.
Poczynam wszedł na drogę i ruszył w ciemności, mając nad sobą dwa «siezv<;e: oiały i złoty.

ROZDZIAŁ IV

Mówi się o tym, jak I" Pan Światła zstąpił do Stadni Demonów, by dobić interesu i panem Rakaszów. Działal w dobrej wierze, lecz Rakasze są Rakaszami. A trzeba tu dodać, że to diabelskie stwory, wyposażone w wielkie moce, żyjące czas jakiś na świecie i bedacu w stanie przybrać niemal każda postać. Rakasze są prawie niezniszczalne, \-aihardziej gnębi je brak prawdziwego ciała. Ich największa cnotą jest honor w splacaniu długów . iidr: zatem Pan Światła zstąpił <io Studni Demonów, jasno to dnmwudzt, że zapewne był nieco oderwany w tym. co się m TV Mann tego Świata...

Kiedy bogowie i demony - potomkowie Pradžapati - stoczyli ze sobą walkę, bogowie, którzy byli w posiadaniu zasady życia *Udgitia* myśleli, że dzięki temu będą mogli odnieść zwycięstwo.

Rozmyślali tedy o *Udgitia* - pierwiastku życia - którego funkcje spełniają się w organizmie przez właściwe oddychanie nosem, ale demony złośliwie dotknęły go ziem. Dlatego oddychając poznajemy zapachy, a jeśli oddech jest

przyjemnością, wdychanie smrodów jest męką. Tak to oddech został dotknięty znamieniem zła.

Rozmyślali o *Ldghha* słowami, ale demony dotknęły je złem. Dlatego jest w słowach i prawdę, i kłamstwo. Albowiem słowa zostały dotknięte złem.

Rozmyślali o (*dgUhu*). którego funkcje spełniają się we wzroku, ale demony dotknęły oczy złem. Dlatego widzenie jest przyjemnością, ale i przykrość może wzbudzić. Gdyż oczy są dotknięte złem.

Rozmyślali o *!d%itha*, którego funkcje spełniają się w słuchu, ale demony go dotknęły złem. Dlatego słyszeć to rzecz dobra i zła zarazem. Albowiem uszy zostały dotknięte złem.

Potem rozmyślali o *Udgiha*. którego funkcje spełniają się w umyśle, lecz demony poraziły umysł złem. Dlatego myśl szlachetna jest prawdziwa i dobra, myśl nieszlachetna zawiera nieprawdę i jest zdeprawowana. Albowiem umysł został porażony złem.

Ciandogija fpaniszada l,U, j-f>

STUDNIA PIEKIELNA otwiera się u wierzchołka świata, a jej szyb prowadzi aż do jego fundamentów,

Prawdopodobnie jest równie stara jak sam świat, a jeśli nawet nie jest tak stara, to mogłaby być, bowiem wygląda tak, jakby naprawdę była.

Zaczynała się od wrót, Olbrzymie, błyszczące wrota, wstawione jeszcze przez Pierwszych, ciężkie jak grzech, trzykrotnie wyższe od rosnącego mężczyzny, szerokości równej połowie wzrostu człowieka, grubości jednego łokcia. Mosiężna tarcza wielkości ludzkiej głowy służyła za klamkę, skomplikowanej budowy płyta stalowa zastępowała zamek, a na odrzwiach był napis, głoszący bez ogródek, co następuje: "Idź precz. To nie jest miejsce dla ciebie. Jeśli tu
105

wejdiesz, zgrzeszysz i ściągniesz na siebie przekleństwo. Jeśli coś ci się stanie, nie tłumacz się, że wszedłeś nie ostrzeżony i nie zanudź nas modlitwami w godzinie śmierci". Podpisano: „Bogowie”,

Wejście do Studni znajdowało się w pobliżu wysokiej góry, zwanej Czanna, wznoszącej się ku niebu w samym sercu górskiego regionu zwanego Ratnagaris. Zawsze tu leżały śniegi, a światło załamywało się na wielkich soplach, wiszących u skalnych grań i, sięjąc wokół snop tęczy, sterczących z lodu niczym nastroszone futro.

Nie kótką i nie łatwą drogę musiał przejść każdy, kto chciał stanąć u wrót Piekielnej Studni. Większość z tych, którzy tu dotarli, była gnana zwykłą ciekawością, ci ludzie chcieli się jedynie przekonać, że legendarne wrota naprawdę istnieją. Ale gdy potem wracali do swych domów i opowiadali o tym, co widzieli, z reguły spotykali się z drwinami

Z wydrapanych na płycie zamka napisów można było wnosić, że niektórym udało się wejść do środka. Ale cały sprzęt, potrzebny do sforsowania wielkich drzwi, nie sposób było wnieść na plecach. Ścieżka, prowadząca do Piekielnej Studni, miała nie więcej niż dziesięć cali szerokości, a pięła się stromo pod górę na odcinku trzystu stóp. Załedwie sześciu ludzi mogło się zmieścić na wąskiej skalnej półce - tyle zostało z szerokiego onegdaj przedproża.

Wieść niesła, jakoby Pannał Mądry, wyostrzywszy swój umysł medytacjami i różnymi formami umartwienia, zcoiał poruszyć płytę zamka i zajrzeć do Piekielnej Studni. We wnętrzu góry spędził jeden dzień i jedną noc i dlatego, oprócz przydomka „Mądry”, nosił przydomek „Szalony”.

Na szczyt zwany Czanna -• ten właśnie, w którym tkwiły żelazne wrota - można było dojść po pięciodniowej wędrówce, a droga prowadziła z małej wioski u podnóża gór. Wioska należała do dalekiego, zagubionego gdzieś na Północy króli-""•a Ma=wy. Sama osada nie miała żadnej nazwy. Jej dzicy i cemaący wolność mieszkańcy bynajmniej nie pragnęli, ażeby ich skromna siedziba pojawiła się na mapach, wytyczających trasy książęcych poborców podatków. Sam książę - by o nim wspomnieć - był mężczyzną średniego wzrostu w Średnim . *-•-u niemałej bystrości, drobne; budowy ciała, w ^!>yt poodżnym ani nadmierne uczesany. n>e był też ?nany z bajecznych bogactw. Jego majątek pochodził z wysokich podatków, nakładanych na podwładnych. Gdy podwładni zaczęli się skarżyć na zdzierstwo, a królestwo obiegał pomruk rewolty, radza wypowiadał wojnę któremuś z sąsiednich królestw i podwajał podatki. Gdy szala zwycięstwa przechylała się na stronę jego przeciwników,

ściął kilku generałów i posyłał Ministra Pokoju na negocjacje. Jeśli, cudownym zbiegiem okoliczności, wypadki wojenne układały się na jego korzyść, wystarczyłby pretekst, by podbita ludność musiała płacić wysokie okupy. Zwykle jednak wszystko się kończyło zawieszeniem broni, poddani których trud szedł na marne, gorzknieli, a jedynym lekarstwem na ich kwasy były właśnie wysokie podatki. Radza miał na imię Videgha i miał wiele dzieci. Był miłośnikiem szpaków. Któregoś uczył sprośnych piosenek, lubił węże, które niekiedy karmił szpakami - tymi, które nie potrafiły powtórzyć melodii - lubił też grać w kości. Nie lubił dzieci. Piekielna Studnia zaczynała się od wielkich wrót. Wielkie wrota prowadziły w głąb Studni z wierzchołka góry Czanna. Góra wznosiła się w najbardziej

106

wysuniętym na północ zakątku królestwa Videghi, a dalej nie było już żadnej kramy zamieszkałej przez ludzi. Tutaj właśnie ze szczytu Czanna prowadził podziemny labirynt, który na kształt korkociągu wił się daleko poniżej stóp Ratnagari, sięgając aż do samych korzeni świata.

Przed drzwiami stanął wędrowiec.

Ubrany był prosto, wędrował samotnie i sprawiał wrażenie kogoś, kto dobrze wie, gdzie się znalazł i zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

Wdrapał się na Czannę, a teraz jego droga dobiegła kresu. Stanął twarzą w twarz z posępną ścianą.

Nim dotarł do wrót, musiał się wspinać prawie całe przedpołudnie. Ale to wrota były właściwym celem jego wędrówki.

Kiedy już stanął przed żelaznymi skrzydłami, dał sobie chwilę czasu na odpoczynek. Pociągnął łyk wody z butelki, obtarł rękawem usta i uśmiechnął się. Potem usiadł oparł się plecami o drzwi i zjadł śniadanie. Kiedy skończył puścił papierowe opakowanie na wiatr i śledził wzrokiem prądy powietrza, aż do chwili, gdy białe punkcik zniknął z pola widzenia. Ponownie obrzucił wrota uważnym spojrzeniem.

Położył dłoń na mosiężną płytę. Wykonał serię dziwnych ruchów, a gdy opuścił rękę, z wewnątrz dała się słyszeć jakaś muzyka.

Teraz sięgnął do wielkiego pierścienia, oparł na nim obie ręce i, napinając mięśnie ramion, pociągnął do siebie. Czuli, jak potężne odrzwia drgnęły. Wielkie skrzydła zaczęły się otwierać, zrazu powoli, potem szybciej. Uskoczył w bok. Przed sobą miał drugi pierścień, taki sam jak pierwszy, tyle że ten sterczał od wewnątrz. Chwycił go i zawiesił się. tak że gdy oba skrzydła wrót otworzyły się na oścież, zawisł nad przepaścią.

Z ciemnej sztolni powiał prąd ciepłego powietrza,

Teraz drzwi się zamknęły. Wędrowiec znalazł się w środku, w absolutnej ciemności. Po omacku skrzesał ogień a i zapalił pochodnię - jedna z wielu, które wziął ze sobą. Później ruszył w dół.

Spadek był tak gwałtowny, że po stu krokach miejsce, gdzie znajdowały się wrota, było niewidoczne

Po dwustu krokach stanął „•• brzegów sztolni

Stał otoczony groźnym mrokiem, słabo oświetlonym przez blask pochodni.

Ściany korytarza gdzieś znikły z wyjątkiem muru za plecami i z prawej strony.

Podłoga urywała się kilka kroków dalej.

A dalej... dalej było coś, co sprawiało wrażenie otchłani bez dna. Nie mógł dostrzec jej kształtów, wiedział jednak, że w przekroju jest mniej więcej

w kształcie koła. Wiedział też, że im niżej, tym szerszy ma przekrój.

Zaczął się spuszczać w dół ścieżki, prowadzącej u brzegu studni. Czuł, jak w stopy łaskocze go mocny powiew ciepłego powietrza, dmącego ze sztolni.

Ścieżka, którą szedł, nie była dziełem natury - ktoś kiedyś musiał ją wybić w skale. Już pomijając zawrotne stromizny, była bardzo wąska, a wędrówka tym szlakiem - ryzykowna. W wielu miejscach rysowały się duże szczeliny, co kilka kroków trzeba było uważać na odłamki skał. Ale stromizny i meandryczne zakręty karkołomnej przeprawy dowodziły jednak, że istniał jakiś cel, usprawiedliwiający jej budowę.

107

Powoli ostrożnie schodził coraz to głębiej, po lewej ręce mając kamienną ścianę, po prawej - pustkę.

Minęło trochę czasu - zdawało mu się, że nie mniej niż półtora wieku - gdy w ciemnościach zamajaczyło słabe światełko.

Lecz że krzywizna ściany stale rosła, wkiótce miał drżący płomyk tuż obok siebie, po prawej stronie.
Ktoś inny przemierza tę drogę, tylko że w odwrotnym kierunku.
Gdy dotarł do grotu w skale, tam, gdzie pełgał mały kaganek, usłyszał wewnętrzny głos, który krzychał gdzieś z głębi jego umysłu.
- Uwolnij mnie, Mistrzu, a położę świat u lwych słóp!
Wyminął niszę spieszonym krokiem, nie zaglądając do środka.
Ale gdy teraz spojrział na ocean czerni, rozciągający się u jego stóp, zauważył inne światelka.
Studnia powoli się rozszerzała. Wypełniały ją jasne iskierki, jakby płomyki, alele nie był ogień. Zaludniały ją kształty, twarze, mroczniejące gdzieś wgłębi pamięci obrazy, a każdy krzychał, gdy go mijał ..Uwolnij mnie! Uwolnij mnie!".
Nie zatrzymywał się
Dotarł aż do dna otchłani. Ruszył przed siebie, potykając się o odłamki skał i o rysy w kamiennym podłożu. Tak dotarł do przeciwległej ściany, gdzie tańczyły wielkie purpurowe płomienie.
Kiedy się zbliżył, barwa ognia z pomarańczowej przeszła w wiśniową, a gdy zatrzymał się, kolor ognia przypominał rozbłyśki szafiru.
Ściana ognia była dwukrotnie od niego wyższa, cała drżała i tańczyła, po chwili zaś oderwały się od niej małe błękitne płomyki, podpełzły ku niemu, lecz zaraz potem zawróciły, jakby spotkały niewidzialną barierę.
Zstępując na dno otchłani przeszedł już tyle ścian ognia i tyle płomieni, że stracił rachubę. Wiedział jednak, że większość z nich kryła się w skalnych jaskiniach, otwartych na dno przepaści.
Każdy płomień zwracał się do niego w swym własnym języku, tak że gdy go słuchał, słowa brzmiały w jego umyśle niczym dudnienie bębna: groziły, błagały, obiecywały. Lecz tutaj, z tej wielkiej ściany ognia koloru szafiru nie docierało doń żadne posłanie choć płomień był większy niż te wszystkie które dcyuhczas widział. Żaden kształt nie zawirowa*. nie zadał cierpienia Promień to był i płomień pozostał.
Zapalił nową pochodnię, zatknął ją między dwiema skalami.
- Znienawidzony, wróciłeś!
Słowa zabrzmiały niczym trzask bicia. Zwrócił się w stronę ognistej ściany i odparł
- Czy to ty. Taraka?
- Ten, który mnie zaklął i zmusił do pozostawiania w tej głębi, powinien wiedzieć, kim jestem - doszły go słowa wypowiedziane wyraźnie, jasno i bez cienia wahania. - Nie myśl, Panie Siddhartho, że skoro przybrałeś nowe ciało, pozostaniesz nierozpoznany. Spostrzegam nie ciało, które zawsze było, jest i będzie jedynie maską, lecz strumień energii, który jest prawdziwą istotą każdego bytu. W ten sposób poznałem cię.
- Rozumiom.
108
- Czy przyszedłeś, by naigrawać się z więźnia?
- A naigrawałem się w dniach Zakłęcia?
- Nie.
- No widzisz - westchnął Pan Siddhartha. - Wtrącając cię do tego więzienia zrobiłem to, co trzeba było uczynić, by zachować mój gatunek. Ludzie byli słabi i nieliczni, gdy tymczasem ty i tobie podobni napadli ich, grożąc całkowitą zagładą.
- Ukradłeś nasz świat - zasyczał płomień. - Przykułeś nas i uwięziłeś Jaką nową podłość szykujesz teraz?
- Może mógłbym naprawić krzywdy, o które mnie oskarżasz...
- Czego żądasz"
- Przymierza.
Płomienie zawirowały i buchnęły z nową siłą.
- Chcesz, żebyśmy w walce trzymali twoją stronę?
- Tak - kiwnął głową Siddhartha.
- A kiedy walka dobiegnie końca, znowu nas uwięzisz?
Roześmiał się.
- Nie, o ile wcześniej zdołamy dojść do porozumienia.
- Jakie są twoje warunki?"
Siddhartha odetchnął.

- W dawnych czasach ty twój lud spacerowaliście ulicami Niebiańskiego Grodu, widzialni lub nie.

- Prawda, tak by'o.

- Ale Gród jest teraz lepiej strzeżony.

- W jaki sposób?

- Wisznu i JamaDharma, Pan Śmierci, przykryli całe niebo, a nie. jak to było dawniej, tylko sam Gród... otóż ci dwaj przykryli całe niebo czymś, co nazywają nieprzepuszczalną kopułą.

Płomień zachwiał się niepewnie.

- Coś takiego nie istnieje...

- Nie wiem -- wzruszył ramionami Siddhartha. - Powtarzam tylko to, co słyszałem.

-- Do miasta i-.v.i.i .3 -. *% no^lar- różnymi drogami...

- Wskażesz mi Którymi?

- Czy to jest córa wolności?

- Jeśli masz na myśli swoją wolność... tak, to jest jej cena.

- A co z innymi z niego rodu?

- Jeśli i oni chcą być wolni, musisz ich przekonać, by pomogli rni zdobyć Gród.

Cisza.

- Uwolnij nas a Niebo upadnie - trzasnął płomień.

-- Mówisz także w imieniu innych?

- Jestem Taraka. Mówię za wszystkich.

Wędrowiec zamyślił się.

- Jaką mam pewność, że dotrzymasz umowy"?

- Moje słowo? Przysięgnę na wszystko, powiedz tylko, na co mam przysiąc.

109

- Łatwość w składaniu przysięg to nie najlepsza rękojmia, że będą dochowane - roześmiał się Siddhartha. - W tym wypadku siłą może okazać się słabością. Jesteś tak silny, że aż trudno mieć pewność, iż będzie można zachować nad tobą kontrolę. Nie masz nad sobą bogów, na których mógłbyś przysiąc. Jedyne, co szanujesz, to splata długów, zaciągniętych w grach, które przegrałeś, ale nie mamy o co grać.

- Przecież masz moc, by nad nami panować - syknął błękitny płomień.

- O, tak - kiwnął głową Siddhartha. - Nad każdym z was z osobna zapewne mogę sprawować kontrolę, ale nie nad wszystkimi jednocześnie.

- Tak... - rozległo się westchnienie. - To trudny problem. Oddałbym wszystko, by być wolny, lecz jedyne, co posiadam, to Moc., czysta Moc, której nie mogę przekazać nikomu, bo sam nią jestem. Można ją pokonać, ale tu nie o to chodzi. Nie wiem, doprawdy, jak cię upewnić, że dotrzymam warunków umowy. Gdybym był na twoim miejscu, też miałbym wątpliwości.

- Obawiam się - rzekł wędrowiec - że nie rozwiążemy tego problemu w tej chwili. Dlatego uwolnię cię teraz... ciebie jednego... Pójdiesz do Nieba i dowiesz się, jakie mają systemy obrony. Podczas twej nieobecności zastanowię się, jak rozwiązać wszystkie trudności. Działaj mądrze, a gdy wrócisz, dojdziecie do porozumienia.

- Zgoda. Tylko mnie stąd wypuść!

- Poznaj mą siłę! - rzekł wędrowiec. - Jak cię uwięziłem, tak cię uwalniam. Niech się stanie!

Błękitny płomień przedarł się przez ścianę ognia.

Zwinął się w ognistą kulę i wystrzelił niby kometa. Rozpłomienił się, jak słońce w miniaturze, rozświetlając ciemności otchłani. Grały w nim wszystkie kolory tęczy, tak że skały zaślniły blaskiem tyleż przerażającym co miłym oku. Później wzniósł się nad głową tego, który był znany jako Siddhartha i przemówił rwącym się głosem.

- Nie wiesz nawet, jaka to radość móc znowu poznać swą siłę. Chciałbym teraz raz jeszcze zmierzyć się z tobą, który z nas jest silniejszy.

Wędrowiec wzruszył ramionami.

Ognista kula zbiła się w sobie. Drżąc ogromniała i woino opadała ku ziemi. Wreszcie legła na kamiennej posadzce, niczym płatek z ogromnego kwiatu, drżąc potoczyła się z powrotem ku niszy i spoczęła tam, nieruchomo.

- Wystarczy?

- Tak - padła po chwili odpowiedź. - Twa Moc jest niezużyta. Uwolnij

mnie raz jeszcze.

- Trochę mnie nudzą te zawody - odezwał się Siddhartha. - Może najlepiej zrobię, jeśli zostawię cię tu, gdzie jesteś i poszukam sobie pomocy gdzie indziej,

- Nie! - w tym krzyku słysząc było całą rozpacz więźnia, który po wiekach mógł na krótko zakosztować wolności, by znowu spocząć w swej celi. - Nie! Dałem ci przecież słowo. Czego więcej chcesz?

- Nie chciałbym stawać z tobą w zapasy - rzekł wędrowiec. - Nudzi mnie to i albo będziesz mi służył, albo uznajmy całą rozmowę za niebyłą. To wszystko. Wybieraj i dochowaj wierności wyborowi i obietnicy,

110

- Dobrze. Uwolnij mnie. a wdrapię się po lodowej górze do Nieba, na sam Biegun, zaś gdy wrócę, będziesz już wszystko wiedział o Grodzie i jego słabości.

- Idź więc!

Tym razem płomień wzbijał się bardziej powoli, zakotłował się przed wędrowcem, a języki ognia przybrały kształty zbliżone do człowieka.

- Czym jest twa Moc, Siddhartho? Jak to robisz?

- Zadzwoni do elektrowni - odparł Sarn. - Na własny użytek nazywam to panowaniem umysłu nad energią, ale nazwy są najmniej ważne. Jakkolwiek jednak byś tego nie nazwał, nie radzę wystawiać mej cierpliwości na próbę. Mogę cię zabić i nikt nie zgadnie, jakiej użyłem broni, tóż już'

Taraka zniknął na podobieństwo płomieni, uwiętych w skalne łożysko rzeki. Siddhartha stał pośród skal. Mdły blask pochodni rozpraszał mroki. Odpoczywał, lecz jego umysł huczał morzem głosów, obiecujących, wygrażających, błagalnych. Przed jego oczami rozkwitały wizje bogactwa i chwały. Haremy cudownych kobiet paradowały na wyciągnięcie ręki. u jego stóp rozstawiano bogato zastawione stoły. Podniecająca woń piżma i błękitne opary kadzideł kołysały jego duszę. Stapał wśród kwiatów, a za nim orszak szerokookich dziewcząt, z uśmiechem podających mu puchary pełne wina. Nad nim unosił się srebrzysty śpiew, a stwory o fantastycznych kształtach zwiewnym krokiem pływały po falach jeziora.

- Uwolnij nas!

Na co wędrowiec uśmiechał się, spoglądał, lecz nic nie robił.

Modlitwy, prośby i obietnice przechodziły stopniowo w chór pełen grózb i przekleństw. Opadły go szkielety, potrząsające mieczami, na których drżały ciała niemowląt. Wokół rozstąpiły się skały i szczeliny w ziemi ziały ogniem i siarką. Z gałęzi ześliznął się wąż i kołysał się mu przed twarzą, drżąc ociekającym jadem, rozdwojonym językiem. Z góry posypał się deszcz ropuch i pajaków.

- Uwolnij nas., albo połów kres temu konaniu! - krzyczały głosy.

- Jeszcze chwila., - powiedział - a Siddhartha mocno się rozłościł i stracicie jedyną szansę odzyskania wolności.

I zapadła cisza, i oczyścił swój umysł, i zapadł w drzemkę.

Dwa razy budził się, by spożyć posiłek, i dwa razy zasypiał.

Później powrócił Taraka w kształcie ptaka o wielkich szponach i złożył mu sprawozdanie.

- Ci, którzy są mi podobni, mogą się przedostać do miasta przez kanały wentylacyjne - zaczął. - Ale nie ludzie. W górze wywiercono jednak wiele szybów i człowiek przecisnąć się przez nie z łatwością. Rzecz jasna, nie pozostawiono ich bez straży, lecz system alarmowy jest słaby, a wartownicy tchórzliwi. To można załatwić. Poza tym co pewien czas kopuła jest w różnych

111

miejscach otwierana, by siły powietrzne mogły wydostać się na zewnątrz lub wrócić do Grodu.

- W porządku - Siddhartha klasnął w udo. - Mam królestwo i zamierzam pojechać tam na parę tygodni, trochę porządzić. Co prawda ustanowiłem regenta, lecz jeśli pojedę tam teraz, postawię ludzi pod broń. Przez kraj przewaliła się fala nowinek religijnych, więc chyba bogowie nie są już tak straszni, jak dawniej. Nie powinienem mieć problemów.

- Chcesz pobić Niebo?

- Tak. Chcę otworzyć jego skarbcę dla świata.

- To mi się podoba - rzekł Taraka. - Choć przyznam, że to nie będzie

łatwe. Lecz gdy do walki stanie cała armia ludzi i istot mojego rodzaju, powinniśmy wygrać. Uwolnij więc teraz mój lud i... zaczynamy.

- Wydaje mi się... - powiedział Siddhartha marszcząc brwi - że nie pozostaje mi nic innego niż po prostu zaufać ci - wziął pauzę na głęboki, bardzo głęboki oddech. - Tak, bierzmy się do rzeczy - co rzekłszy, ruszył w dół długiego, ciemnego tunelu.

Owego dnia u wól n il sześćdziesiąt pięć istot z rodu Taraki i wypełniły one całą grotę błyskami, barwami tęczy i ruchem. Sklepienie jaskini drżało wstrząsane ich radosnym krzykiem, a ściany Piekielnej Studni trzeszczały, gdy stwory ruszyły w górę, ciągle zmieniając kształty, ciesząc oko różnorodnością form. ciesząc radością wolności.

Jeden z nich bez ostrzeżenia przedzierzgnął się w uskrzydłonego węża. Zwalił się z wyciągniętymi pazurami na Siddharthę, gotów rozszarpać tego, który go wyzwolił.

Tylko przez chwilę wędrowiec obdarzał go uwagą.

Rozległ się krótki, urwany krzyk, a później wąż rozpadł się, wybuchł snopem białobłkitnych iskier.

Zapadła cisza i tylko światła pełgały wzdłuż ścian.

Siddhartha zwrócił się ku największemu z płomieni,

- Czy i on napadł mnie, by się przekonać, jak wielką mam Moc, Tarako?

- zapytał, a jego głos odbijał się od skal. - Czy i on chciał zobaczyć, jak zabijam, w sposób, o którym ci mówiłem?

Taraka zbliżył się. zawirował nad jego głową.

-- Nie ja kazałem mu zaatakować - rozległ się trzask sypiących się iskier.

- Myślę, że po prostu oszalał z radości.

Siddhartha wzruszył ramionami. -- Zabawiaj się wedle uznania - mruknął obojętnie. Na razie mam zamiar odpocząć.

Po czym opuścił grootę.

Wrócił na dno otchłani, rzucił się na derkę i zapadł w drzemkę.

Miał sen.

Biegł

Przed nim biegł jego cień, a w miarę jak biegł, cień rósł.

Rósł, aż nie był już zwykłym cieniem, lecz jakąś groteskowych kształtów e-T>n.a pos;tać!3. kładącą się plamą na ziemi

112

Nagle uświadomił sobie, że cień jego prześladowcy przerósł jego własny cień: przerósł, prześcignął, przygniótł.

Przeżył wtedy chwilę przeraźliwego strachu.

Wiedział, że to jego własny cień.

Przeznaczenie, które deptało mu po piętach, już nie czaiło się mu za plecami.

Wiedział, że sam jest sobie przeznaczeniem.

Wiedząc więc, że gdy nadejdzie koniec, będzie musiał spojrzeć w twarz samemu sobie, roześmiał się w głos, choć miał ochotę krzyczeć.

Obudził się w ruchu.

Szedł stromą ścieżką, oplatającą Studnię.

Szedł, mijając uwięzione języki ognia.

- Wybawcie nas, Mistrzowie!

I wtedy skuta lodem grań - a był to jego umysł - zaczęła odmarzać.

Mistrzowie.

Liczba mnoga, nie pojedyncza.

Mistrzowie, tak wołali.

I wiedział już teraz, że nie idzie sam.

Żaden z tańczących, płomiennych kształtów nie szybował w ciemności.

Ci, których uwięziono, pozostawali w zamknięciu. Ci, którzy zostali uwolnieni, odeszli.

I gdy tak pokonywał stromizny Piekielnej Studni, nie było pochodni, oświetlającej mu drogę. Lecz widział.

Widział każdą nierówność skalnego szlaku jak gdyby w świetle księżycy.

Wiedział, że jego oczy były do tego niezdolne.

Odezwali się do niego w liczbie mnogiej

A jego ciało pozostawało w ruchu, choć nie sterował nim nakazami woli,

Uczył wysiłek, by przystanąć.

Lecz ciągle wspinał się w górę, coraz wyżej, a jego wargi poruszały się, formując słowa, których nie wypowiedział.

- Jak widzę, już się obudziłeś. Czołem.

Umysł sformułował pytanie, na które odpowiedziały jego wargi.

- O, tak, masz rację. I jakie to uczucie: być zaklętym w samym sobie, zakląć się we własnym ciele, Zakiinaczu Demonów?

Siddhartha sformułował następną myśl.

- Nie sądziłem, że ktokolwiek z was jest w stanie zapanować nade mną... nawet gdy śpię.

- Szczerze mówiąc... - poruszył wargami- sam też tak nie sądziłem. Ale mimo wszystko postanowiłem spróbować i połączyłem me wysiłki z siłami kilku innych z mego rodu. Wydaje mi się, że warto było spróbować.

- A gdzie są ci inni?

- Poszli. Wędrują po świecie i będą wędrować aż do chwili, gdy ich zawezwę.

- A co z pozostałymi, z tymi, którzy nadal są uwięzieni? C?v oczekujesz, że

113

- Co mnie to obchodzi? Dość, że jestem znowu wolny, i że nawet mam ciało. Nic więcej mi nie trzeba.

- Czy mam więc przyjąć, że nasze przymierze należy uznać za niebyłe?

- Nie, to nie tak - przemówił demon, który w nim tkwił. - Wrócimy do tej sprawy, gdy księżyc będzie w nowiu, albo kiedy indziej. Sam pomysł bardzo do mnie przemawia. Czują, że wojna z bogami to znakomita idea, lecz przede wszystkim chciałbym się teraz nacieszyć nowym ciałem. Dlaczego odmawiasz mi tej krótkiej rozrywki po stuleciach nudy i więzienia, w które zresztą sam mnie wtrąciłeś?

- Rozrywki może bym ci nie odmawiał... - pomyślał Siddhartha - ale stanowczo zabraniam nadużywania mojego ciała.

- Trudno... - westchnął głośno. - Cokolwiek byś o tym nie myślał, przez pewien czas będziesz musiał się z tym pogodzić. Radzę ci, zrób co możesz w tej chwili, ciesz się. bo i ja się cieszę.

- Powiedziałeś... - przerwał mu Siddhartha w myślach - że pomysł wojny z bogami nadal ci się podoba.

- Bo tak jest. Sam o tym myślałem, choć już nieco czasu minęło od owych dni. Może więc, jak sądzę, nigdy nie powinieneś nas zaklinać i trzymać w więzieniu? Może świat byłby lepszy gdyby nie było bogów ni ludzi?... Sedno sprawy tkwi jednak w tym, że my... ja i mój ród... nigdy nie byliśmy zdolni do wspólnej akcji. Niezależność ducha pociąga bowiem za sobą niezależność osoby. Gdy wszczęliśmy walkę z rodzajem ludzkim, każdy walczył na własną rękę. Owszem, przyznaję, jestem przywódcą, bom starszy, silniejszy i bardziej przebiegły od innych, którzy przychodzą do mnie po radę, a gdy im rozkażę, wykonują moje rozkazy. Ale nigdy nie wydałem polecenia, by wszyscy rzucili się w wir walki. Owszem, zrobię to, później. Nowe czasy wiele zmienią w naszym monotonnym dotychczas życiu.

- Proponowałbym, żebyś zrobił to jednak teraz - rzekł Siddhartha. - Bo może się okazać, że żadnego „później” nie będzie.

- Dlaczego? - zdziwił się jego własnymi ustami Taraka.

- Wszedłem do Piekielnej Studni ścigany gniewny m pomrukiem roju bogów - zaczął. - Teraz w świat wypuściłem sześćdziesiąt sześć demonów. Nie minie wiele czasu, a ich obecność stanie się zbyt oczywista, by móc ją przeoczyć. Bogowie z pewnością nie będą mieli wątpliwości co do tego, kto jest temu winny i podejmą stosowne kroki. Element zaskoczenia, na co tak bardzo liczyłem, zostanie zaprzepaszczone.

- Dawnymi czasy walczyliśmy z bogami...

- Ale teraz nie są dawne czasy! - ostro przerwał mu Siddhartha. - Bogowie zyskali na sile. i to niemało. Podczas gdy wy gniliście uwięzieni, Niebo rosło w potęgę. Nawet jeśli obejmiesz dowództwo pierwszej armii Rakaszów, jaką udało się stworzyć, nawet jeśli wspomogą was armia ludzi, wynikłej bitwy będzie mocno niepewny. Każda chwila zwłoki marnuje szansę wygranej.

- Chciałbym, żebyś nie mówił do mnie w ten sposób - poskarżył się Taraka. - Psujesz mi humor.

- Też bym chciał - westchnął w myślach Siddhartha. - Choćbyś uderzył

wszystkimi siłami, Pan w Purpurze wysię z ciebie życie jednym spojrzeniem
114

swych strasznych oczu. Pan Jama wkrótce się tu pojawi, bo mnie ściga i trafi
mym tropem. Znak, że demony są na wolności, będzie dlań wystarczającą
wskazówką. Może przyjsz sam, ale może sprowadzić ze sobą innych. Może ich
tu być więcej, niż jesteś w stanie pokonać.

Demon nie odpowiedział. Wyszli już na powierzchnię i Taraka przeszedł
dwieście stóp, które dzieliły otchłań od żelaznych wrót, które teraz znowu stały
otworem. Przeształ próg. Wyrztał na zewnątrz. Spojrzał w dół.

- Wątpisz w siłę Rakaszy? - mruknął. - Ejże, Zaklinaczu. Spójrz tylko!
Dał krok do przodu.

Nie, nie rozbili się o skały.

Siddhartha płynął w powietrzu niczym niesiony wiatrem liść. Jak długo to
trwało?

Aż dotarli na dół.

Wylądowali na szlaku, w połowie drogi na szczyt góry zwanej Czanna.

- Nie tylko przeniknąłem w twój system nerwowy - rzekł Taraka - lecz
również całe twe ciało spowiłem w sieć własnej energii. Nie obawiam się
spotkania Pana w Purpurze. Niech sobie przyjdzie. Stawię mu czofa.

- Nie tylko umiesz fruwać w powietrzu - mruknął Siddhartha - lecz
również świetnie pleciesz od rzeczy.

-- Wielki miłośnik gier, księżę Videgha, mieszka tu niedaleko, w Palmaisdu

- Taraka najwyraźniej udawał, że nie dotarła doń ostatnia myśl prawowitego
właściciela ciała i warg, którymi mówił. - Wracając z Nieba wpadłem tam na
chwilkę i mam wielką ochotę odwiedzić go raz jeszcze.

- A jeśli do gry zasiądzie też Bóg Śmierci?

- Niech tam! - krzyknął zniecierpliwiony Taraka. - Ciągłe psujesz mi
humor. Idź lepiej spać. Dobranoc!

I znowu zapadła ciemność i wielka cisza.

Dni, które nadeszły, były zaledwie strzępami wspomnień i obrazów.

Dobiegały go urywki rozmów, fragmenty pieśni, kolorowe urywki wspaniałych
pejzaży, galerii, komnat i ogrodów. Wreszcie spojrztał na donżon, z którego
zwieszały się ludzkie ciała. Usłyszał własny śmiech.

Te urywki przeżyć rozdzielały senne widzenia, jasne od ognia, skąpane we
lzach i w krwi. W mrocznej, nieskończonej przestrzeni katedry rzucał kośćcami,
którymi były słońca i planety. Nad jego głową wybuchały ogniem meteoryty,
a komety opisywały ogniste luki na sklepieniu z czarnego szkła, I napełniły go
radość i strach, i wiedział, że to uczucia tego drugiego, choć także jego w jakiejś
części. Strach - strach był z pewnością jego.

Gdy Taraka wypił za dużo wina albo gdy leżał wyciągnięty bez tchu, czy też
gdy kładł się na niskim łożu w haremie, jego władza nad skradzionym ciałem
nieco słabła. Lecz Siddhartha był ciągle osłabiony, rana w jego umyśle ciągle
się nie zablizniła, a ciało było pijane lub zmęczone. Wiedział też, że jeszcze nie
czas, by zrzucić jarzmo demona.

Zdarzało się, że mógł widzieć świat nie oczami ciała, które kiedyś doń
należało, lecz że mógł patrzeć jak demon, we wszystkie strony, przenikać porj
115

powłokę ciała i szkieletu by ujrzeć ludzi takimi, jakimi byli w swej prawdziwej
istocie: płomienie mieniające s^ę barwami i odcieniami namiętności, stłumione
skąpstwem, rozjarzone rozkoszą, rozrywane zawiścią, pełgające od zachłanno-
ści i głodu, tłące się nienawiścią, leawo drgające ze strachu i bólu. Wśród ludzi
;• którymi miał do czynienia, rozpoznawał zimny niebieski płomień umysłu
uczonego białe światło i mmera.jącego mnicha, czerwoną aurę wokół szlachet-
nej damy, która pierzchła przed jego rozbierającym z ciała wzrokiem, oraz
proste. 1g r i l rai; c- Kobry d/.e;::: p.i;hk'(in?ty);h zabawą.

Wolnym h-okiem pi zamierzał wysokie sienie i rozległe galerie królewskiego
pałacu w Pal<nak:su. który był jego wygraną. Księżę Yidegha leżał skuty
w wieży, a poddani nie przypuszczali, że na tronie zasiadł demon. Rzeczy
toczyły sijn własnym biegiem, jak zwykle zresztą, jak już od wieków bywało.
Widział, jak jedzie na sioniu przez ulice miasta, a wszystkie kobiety stoją
w progach swych domów, zgodnie z jego wcześniejszym rozkazem. Te, które
szczególnie mu się spodobały, wybierze by powiększyły jego harem. Siddhart-

ha uświadomił sobie nagle zdumiony, że asystuje przy tej komedii, a nawet że rozprawia 7 Taraką o wadach i zaletach urody mijanych matron. kobiet czy dziewczyn. Dotknęły go żądze demona, by wkrótce stać się jego własnymi. I wtedy właśnie stał się niezwykle czujny: to już nie ręce demona podnosiły do waig puchar wina, ani nie demon *by'* tym który trząsał batem w wieży. Coraz dłużej udawało mu się zachowywać świadomość, przy czym z niejakim przerażeniem dochodził do wniosku, że tak w nim. jak w każdym człowieku tkwi jakiś demon, zdolny prowadzić dialog z osobowością właściciela ciała, stosownie do swej natury.

Pewnego dnia udało mu się przełamać bezwład, paraliżujący jego ciało i umysł. Teraz już miał dłuższe okresy świadomości i mógł istnieć na równych prawach z Taraką, jako niemy obserwator i współuczestnik wszystkiego, co się działo.

Stał na balkonie, patrzył w dół, śledził wypadki dnia. Wystarczył jeden gest Taraki. by wszystkie kwiaty zakwitły na czar no. Jaszczurcze stwory przemikały wśród drzew, pluskały się w stawach, rechotały, pierzchyły ukryte w głębokim cieniu. W powietrzu unosił się ciężki zapach wonności i żywicza woń kadzidłanego dymu, którego ciemne smugi węzowymi splotami snuły się nad ziemią. Już trzykrotnie usiłowano pozbawić go życia. Ostatnią próbę podjął kapitan gwardii pałacowej, lecz szpada, którą chciał go uderzyć, zamieniła się w jego rękę w mackę, zwróciła się przeciw niemu samemu, wydarła mu oczy, a jego żyły napełniła trucizna, tak że cały pociemniał i spuchł, aż w końcu umarł, krzycząc o wodę.

Siddhartha przemyślał wszystkie metody, którymi zwykł posługiwać się demon, po czym sam ruszył do ataku.

Jego moc znowu była wżenicie, rosła powoli, wzbierała od czasu, gdy po raz ostatni użył jej w Piekielnej Studni. Osobliwa niezależność ciała i umysłu- jak to kiedyś określił Jama - powoli roztopiała się w poczuciu mocy, która niczym rozbłysk fajerwerku wypełniała przestrzeń, a był nią on sam.

Moc przenikała go coraz szybciej, wirowała w jego wnętrzu, a on kierował ją przeciwko sile tego drugiego, którym też był.

116

Krzyk uciekającego Taraki i przeciwuderzenie czystej energii przeszyły Siddharthę niczym włócznia.

Udało mu się tak pokierować mocą, że siła przeciwnika zaledwie go musnęła. lecz ból i ogluszająca wrzawa mimo to przenikała całe jego wnętrze, przesywała całą jego cielesność i nie mógł zrobić nic. by się od tego wywinąć.

Nie dai jeanak sobie ani chwili spokoju, choćby po to. by zbadać rozmiary bólu, lecz uderzył raz jeszcze, niczym włóczmarz mierzący w ciemną paszczę liuzerażającej bestr.

I znowu jego usta rozwarły się w krzyku.

Później demon otoczył się ciemnymi murami przeciwko jego mocy.

Lecz mury padły jeden po drugim.

W czasie walki rozmawiali.

- Człowiecze o wielu ciałach - westchnął Taraka. - Czemu żałujesz mi jednego z nich. choćby na kilka dni? Przecież nie urodziłeś się w nim. lecz wypożyczyłeś je sobie na pewien czas. Czemu wzdragasz się przede mną jak przed nieczystym? Któregoś dnia i tak przybierzesz nowe ciało, nieskalane przeze mnie. Czemu zatem traktujesz mnie jak nieczystego, a nią obecność w twym ciele niczym chorobę? Czy może dlatego, że odkryłeś w sobie coś, co przypomina ci mnie? Czy może też z tego powodu, że poznałeś radość Rakasz, że poznałeś ból i odkryłeś w nim rozkosz, że wprowadzałeś w życie wszystkie zamiary swej woli? Czy to dlatego, że pożądasz tych radości, znośisz przekleństwo i żyjesz jako człowiek z ciężarem winy? Jeśli tak, twa słabość będzie wykpią, a ty zostaniesz w końcu pokonany.

- To dlatego, demonie... - przemówił Siddhartha, ponownie koncentrując na nim strumień energii - to dlatego, że jestem tym, czym jestem. To dlatego, że jestem człowiekiem, któremu niekiedy się zdaje, że brzuch i fallus to nie wszystko i szuka czegoś poza tym. Nie jestem świętym, jak myślą o mnie buddyści, i nie jestem bohaterem, jednym z tych, o których mówią legendy. Wiem, co to strach, a niekiedy dręczy mnie poczucie winy. Lecz przede wszystkim jestem człowiekiem, który przystąpił do wykonania pewnego planu,

a ty pokrzyżowałeś mi szyki. Lecz ponieważ odziedziczyłeś wraz z moim ciałem przekleństwo, które na mnie spoczywa, niezależnie od tego, czy teraz przegram, czy zwyciężę, twój los już się odmienił. Tarako. Oto przekleństwo Buddy: nigdy nie będziesz taki, jakim byłeś onegdaj.

Cały dzień stali tak na balkonie w ubraniach mokrych od potu. Stali niczym posąg aż do zachodu, gdy słońce skryło się za horyzontem i zza złotej linii zachodniego nieba noc rozsunęła swe ciemności. Nad mur, otaczający ogród, wolno wspiął się najpierw jeden księżyc, potem drugi.

- Czym jest przekleństwo Buddy? - nie ustawa) pytał Tarakę, ale Siddhartha nie udzielił mu odpowiedzi.

Zburzył już ostatni mur i walczyli teraz strumieniami energii jakby miotali płonące strzały.

Z odległej świątyni dobiegało ich monotonne dudnienie bębna, przerywane niekiedy rechotaniem żab w ogrodzie. To znowu odezwał się jakiś ptak albo ze szmerem opuścił się w dół rój insektów, by po krótkim posiłku ruszyć w dalszą drogę.

117

A później, niczym błysk gwiazd, przybyli, lecąc na podmuchach nocnego wiatru... Wyzwoleńcy z Piekielnej Studni, czyli reszta demonów, wypuszczona onegdaj na świat.

Przybyli na wezwanie Taraki, łącząc swe moce z jego siłami.

I stał się niczym trąba powietrzna, morska fala, błysk błyskawicy.

Siddhartha czuł, jak go przywała gigantyczna lawina, jak go miażdży, rozgniata, spowija w płomieniach.

Ostatnią rzeczą, którą zachował w pamięci, był głośny śmiech, wychodzący z jego gardła.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim odzyskał pamięć. Tym razem musiało to jednak trwać długo. Gdy wrócił do przytomności, ponownie znajdował się w pałacu, lecz tym razem zamiast sług, po korytarzach uganiały się demony. Kiedy opadły ostatnie więzy trzymające go w zamroczeniu, ocknął się w miejscu dziwnym i przerażającym.

Groteskowe hulanki nie ustawały. Uczty odbywały się po wieżach, gdzie demony, przybrawszy ciała, ścigały swe ofiary, by potem okrutnie je wykorzystać. Działy się rzeczy tyleż cudowne co trwogę wzbudzające, jak choćby wówczas, gdy z marmurowej podłogi w sali tronowej wyrósł zagajnik płasających drzew - człowiek, który nieopatrznie znalazł się w środku, zapadał w narkotyczny aen, przerywany jedynie okrzykami przerażenia, gdy nocne mary, które wraz z wiekiem dzieciństwa zdały się bezpowrotnie odejść w niepamięć, ponownie znajdowały doń przystęp. Ale działy się też rzeczy daleko bardziej straszne.

Taraka nie był już tak uprzejmy jak poprzednim razem.

- Czym jest przekleństwo Buddy? - zapytał, gdy tylko poczuł, że osobliwość Siddharthy ponownie rozgościła się w ciele i zaczyna wywierać nacisk na jego własną.

Siddhartha i tym razem nie odpowiedział.

Tymczasem demon ciągnął dalej: - Mam wrażenie, że już wkrótce zwrócę ci to ciało. Powoli cała ta zabawa zaczyna m nie męczyć i czuję, że zbliża się dzień, gdy powinniśmy wszcząć wojnę z Niebem. Ciż ty na to, Zaklinaczu? Mówiłem przecież, że dotrzymam słowa.

Siddhartha nie odpowiedział.

- Z każdym dniem moja przyjemność maleje!- krzyknął Taraka. - Jestem znudzony! Czy wiesz, co to znaczy? Czy możesz m i wyjaśnić, jak to się dzieje, że w chwilach, gdy powinienem czuć największy przyływ mocy, opadają m nie fale przykrego przebudzenia, a gdy czuję, że powinienem być pijany szczęściem i tryskający radością, opada mnie gorzyc i zniechęcenie, i euforia gaśnie? Czy to właśnie jest przekleństwem Buddy?

- Tak - odparł Siddhartha.

- Wobec tego - spiesznie dorzucił demon - zdejmij ze mnie tę kłutwę, a ja oddam ci ten wór padliny, do którego tak bardzo się przywiązałeś. Tęsknię za chłodem wyżyn, czystym podmuchałem górskiego wiatru, odór ciała jest mi niemiły. Czy zechcesz mnie uwolnić?

118

- Za późno - westchnął Siddhartha. - Sam ściągnąłeś na siebie zgubę, panie Rakaszów.

- Jaką zgubę? - zapytał Taraka, a w jego głosie słychać było niepokój i strach. - W jaki sposób zdołałeś mnie tym razem zakląć?

- A przypominasz sobie, jak drwiłeś ze mnie, gdyśmy toczyli walkę na balkonie? Powiedziałeś mi wtedy, że znajduję przyjemność w drogach bólu i udręki, którymi ty zawiadujesz, Tarako. I miałeś rację, albowiem wszyscy ludzie jednakowo pożądamy i światła, i ciemności, i w obu tych pierwiastkach znajdują ukojenie własnej tęsknoty. Człowiek jest stworem o wielu wymiarach, Tarako. a nie płomieniem czystym i jasnym, którym ty jesteś. Intelkt ludzki często się zmagają z emocjami, wola z pożądaniami... ideały człowieka rzadko bywają akceptowane przez jego otoczenie, a jeśli mimo wszystko pozostaje im wierny, szybko poznaje dotkliwie uczucie utraty tego, *czym* był dawniej, jeśli zaś odrzuca je, poznaje ból utraty szlachetnego marzenia. Czegokolwiek by się człowiek nie podjął, jest ono zarazem zyskiem i stratą, jest w tym radość osiągnięcia kresu i gorycz odejścia. Człowiek zawsze musi oplakiwać pożegnania, tak jak i zawsze drży ze strachu przed tym, czego jeszcze nie zna, a co nadchodzi. Nowe idee sprzeciwiają się tradycji. Emocje sprzeciwiają się zakazom, które wydają przełożeni. W ten sposób, z wiecznego sporu rodzi się i powstaje to wszystko, co nazywasz przekleństwem człowieka, z czego kpisz, i w czym dopatrujesz się przestępstwa!

Wiedz zatem, że ponieważ żyliśmy razem w jednym cielesie i że uczestniczyłem... nie zawsze wbrew twojej woli... w twoim losie, wiedz zatem, Tarako, że droga, którą razem podążaliśmy, była ożywiona ruchem, a rzeczy będące w ruchu nie mknęły w jednym tylko kierunku. Gdy napiąłeś swoją wolę i uczyniłeś runie wykonawcą swych pragnień, także i ja nagiąłem twoją wolę, bo zwróciłem się ku niektórym z twoich czynów. Poznałeś coś, co nazywają przestępstwem, zaś świadomość tego zawsze będzie kładła się cieniem na wszystkim, co jesz i pijesz. Oto i dlatego twoja rozkosz została złamana, dlatego nie odczuwasz już przyjemności, dlatego chcesz wziąć nogi za pas i uciec. Ale ucieczka nic ci nie da, bo to, od czego chcesz uciec, będzie cię ścigało po całym świecie, pobiegnie za tobą do królestwa miłego chłodu i czystych wiatrów, dosięgnę cię, dokądkolwiek byś się nie udał. To właśnie jest przekleństwem Buddy.

Taraka ukrył twarz w dłoniach - twarz Siddharthy w dłoniach Siddharthy.

- Zatem tak wygląda płacz - powiedział głos Taraka. - Przeklinam cię, bo znowu zamknąłeś mnie w więzieniu, lecz tym razem straszniejszym niż Piekielna Studnia.

- Sam się zamknąłeś - wzruszył ramionami Siddhartha. - Uwięziłeś się, bo złamałeś umowę. Ja jej dotrzymałem,

- Ludzie cierpią, gdy nie dotrzymują paktów, które zawarli z demonami

- odrzekł Taraka. - Lecz jeszcze nigdy żaden Rakasza nie cierpiał tak z tego powodu.

Siddhartha nie odpowiedział.

Któregoś dnia, gdy siedział przy śniadaniu, rozległ się łomot - ktoś walił do drzwi jego komnaty.

119

- Kto Śmie zakłócać mi spokój! - krzyknął, a wtedy drzwi runęły, tak że tylko **zawiaay** uwolnione od ciężaru drewnianej płyty kołysały się raz po razie, uderzając o ścianę., a c^{mDe} żelazne sztaby prysnęły niczym suche patyki.

W progu stanął stwór o tułowiu małpy i głowie tygrysa, zwieńczonej potężnymi rogami, z kopytami na miejscu stóp, ze szponami tam, gdzie powinny być dłonie. Rakasza wpadł do komnaty, strzelając z pyska kłębamii dymu, na chwilę stał się nieco przezroczysty, później powrócił do wyrazistych kształtów, by zaraz potem znowu zblaknąć i raz jeszcze ujawnić się w pełni. Z jego szponów ściekało coś, co jednak niczym nie przypominało krwi, na piersi miał szeroka oparzeliznę, W powietrzu rozniósł się odór palonej sierści i przypalane-go mięsa.

- Mistrzu! - krzyknął. - Przybył ktoś, kto domaga się u was posłuchania!

- A tobie nie udało się go przekonać, że jestem nieosiągalny?

- Panie... - wydyszał stwór. - Opadła go cała zgraja strażników, lecz on podniósł dłoń, pomachał, a wtedy błysnęło tak potężnie, że nawet Rakasza nie

mógłby znieść blasku tak silnego. Przez chwilę tylko strumień światła drgał w powietrzu .. żołnierze zniknęli w nim, rozplynęli się w tej jasności jak gdyby nigdy nie istnieli... I tylko w murze. przy którym stali, powstał ogromny otwór, lecz ani odłamków kamieni, ani gruzu nie było widać na ziemi. Jedyne duże otwory o równych, gładko zaokrąglonych brzegach.

- A wtedy wy ruszyliście do ataku?

- O tak - westchnął stwór. - Wielu Rakaszów rzuciło się na niego, lecz on znowu machnął ręką... odbili się jak od niewidzialnej przeszkody, zaś trzech spośród nich rozplynęło się w blasku, którym promieniał... Nie dane mi było skosztować całej jego mocy, musnął mnie zaledwie strumieniem światła po czym rozkazał, bym stanął się przed tobą złym postaniem. ..Już dłużej me mogę utrzymać się w garści...

Co rzekłszy zniknął, a na jego miejscu zawisła kula ognia. Teraz jego słowa rozbrzmiewały bezpośrednio w umyśle.

- Wzywa cię... - rozległo się w jego mózgu - byś stanął się przed nim bez zwłoki, w przeciwnym bowiem razie, powiada, zniszczy ten pałac.

- A ci trzech... - zapytał Siddhartha, powoli cedząc słowa, jak gdyby raczej głośno myśląc. - Czy ci trzech, którzy weszli w strumień ognia, przybrali swe własne kształty?

-• Nie - odparł Rakasza, - Już się nie pojawili.

- Opisz przybysza! - to brzmiało jak rozkaz i zostało wypowiedziane głosem pewnym i mocnym, choć Siddhartha musiał walczyć, by słowa przedarły się Q'ze. ? wargi. - Ubrany w czarne bryczesy i czarne buty. Tułów opina mu coś w rodzaju wielkiej białej rękawicy bez szwów, który zaczynając się od prawej dłoni, szczelnie spowija prawe ramię, a następnie opada wzdłuż pleców, owijając się wokół karku by wreszcie szczelnie otulić głowę. Jedyne dolna część jego tułowia była odkryta, albowiem oczy zasłaniają wielkie czarne okulary, odstałe od twarzy na pół piędzi. U pasa z tego samego białego materiału ma pochwę, lecz nie z szablą w środku a z berłem. Tam, gdzie pasy białej materii krzyżują się na jego plecach, widać mały garb, jak gdyby trzymał pod spodem jakąś paczuszkę.

120

- Pan Agni - wykrzyknął Siddhartha. - Opisałeś wygląd Boga Ognia.

- W rzeczy samej, Panie - potwierdził Rakasza. - On to we własnej osobie. Albowiem gdy w przerwie między błyskami spojrzałem nań, chcąc dostrzec jego prawdziwą istotę, o czym można wywnioskować z kolorów, którymi promieniuje był nieśmiertelny, w samym sercu słońca dostrzegłem tylko ogień, żadnej barwy. Tak, to Bóg Ognia.

- Trzeba uciekać - szepnął Siddhartha, rozglądając się po komnacie jak gdyby szukał już drogi ucieczki. - Uciekać, bo już wkrótce rozgorzeje tu wielki pożar, a z Panem Agni nie sposób walczyć.

- Nie boję się bogów - rzekł Taraka, - Chętnie zmierzę swe siły z mocą Pana Płomieni.

- Nie zwyciężysz Tego. Który Władca Płomieniem -powiedział Siddhartha

-•- Berło ognia jest niezniszczalne, a warto wiedzieć, że Agni otrzymał je od Boga Śmierci.

Taraka był jednak uparty.

- Wobec tego zabiorę mu berło i posłużę się nim przeciwko dawnemu właścicielowi.

- Tylko że nikt nie jest w stanie władać mocą płomieni, bo jeśli spróbuje, zostanie oślepiiony i straci rękę, w której trzyma berło. Właśnie dlatego nawet sam Pan Agni ukrywa się w swym białym stroju i chłoni oczy. Lepiej nie traćmy czasu, tylko bierzmy się do ucieczki,

- Nie - zaprotestował Taraka. - Sarn się muszę przekonać o jego mocy. Muszę.

- Nie popadaj w nowy grzech, dając się ponieść pragnieniu samozagłady - ostrzegł Siddhartha.

- Grzech? - powtórzył Taraka. - Ten słabowity mózdzek, ten szczer gryzący własny ogon ośmiela się mnie pouczać? Nie, nie widzę w tym żadnego grzechu i żadnej winy, Lym nie znajduję. Był czas, gdy byłem na tym świecie najpotężniejszą istotą i nikt, poza tobą, nie mógł stawić mi czoła, I zdarzyło się, że nowe moce powstały, rojąc sobie, jakoby do nich należała wszelka władza

Jeśli bogowie rzeczywiście urosli w siłę od owych dni, trzeba, aby kros sp-awdził, ile w tym prawdy. Ja podejmę się tego zadania! Leży już w mej naturze, którą jest siła że gdy powstaje na Świecie nowa potęga, musi się zmierzyć ze mną i albo ją zwyciężę, albo ona zwali mnie z nóg. Musze żarem doświadczyć mocy Pana Agni... i wygrać z nim.

- -- Lecz jest nas dwóch w jeanym cieles!

Taraka milczał przez moment, jakby zdumiony tym odkryciem ,veszcie jecnak zgodził się przyznać; - Tak, to prawda - rnu^knał me bez wahania.

- Jeśli więc to ciało ulegnie zniszczeniu, zabiorę cię ze sobą, przyrzekam Właśnie udało mi się wzmocnić siłę twego płomienia tym, co tylko my. Rakasze. mamy w swej mocy. Gdy zatem to ciało umrze, będziesz mógł żyć nadal jako Rakasza. Dawniej mój lud także przybierał ciała, pamiętam jeszcze, co należało robić, by tak wzmocnić moc płomienia, że mógł istnieć niezależnie od cielesnej powłoki Właśnie to zrobiłem dla ciebie, nie masz powodów do obaw.

- Dzięki.

- A teraz stańmy oko w oko z płomieniem i zduśmy go.

121

Wyszli z królewskiej komnaty. Zeszli schodami w dół. Kilka pięter niżej, uwięziony w lochu pod wieżą, księżę Videgha westchnął we śnie.

Wyszli drzwiami ukrytymi za kotarą, wiszącą z tyłu za tronem. Gdy odsunęli ciężką zasłonę, ujrzeli wielką pustą salę, zaludnioną jedynie tymi, którzy zapadli w narkotyczny sen, odurzeni wyziewami ciemnych drzew, I tylko na samym środku stał ktoś cały w bieli, a w urękawiczonej dłoni trzymał srebrne berło.

- Widzisz, jak stoi? - szepnęła Siddhartha, patrząc na białą postać ze skrzyżowanymi rękami. - Jest pewny własnej siły i ma rację. To Agni Lokapala. Jest w stanie dostrzec wszystko, nawet za horyzontem, tak, jakby wszystko miał w zasięgu ręki. Daleko sięga jego dłoń. Mówią, że któreś nocy dosięgnął berłem księżyców. Gdyby jednak sięgnął po berło nie uzbrojony w rękawicę, Ogień Powszechny zstąpi nań z oślepiającym błyskiem, pożerając materię i rozpraszając energie, które w nim drzemią. Cóż. w każdy m razie jeszcze nie jest za późno na ucieczkę...

- Agni! - usłyszał, jak jego wargi wykrzykują to imię. - Żądałeś posłuchania u tego, który rządzi tą ziemią?

Poczuł, jak spojrzenie Boga Ognia skupia się na nim, mimo że Czarne soczewki nie pozwalały dojrzeć jego oczu. Usta Agni niemal rozplynęły się w uśmiechu, sącząc cichy szmer słów;

- Tak myślałem, że cię tu znajde! - rzekł, a jego głos był przenikliwy i bardzo nosowy. - Uznałeś, że zbyt wiele już mamy świętości i postanowiłeś nieco je przystrzyc, czy nie tak? Powiedz, jak mam się do ciebie zwracać...

Siddhartha, Thathagata, Mahasamatman czy po prostu Sam?

- Ty głupcze - odparł. - Ten, którego znałeś jako Zaklinacza Demonów...

C2y jakimkolwiek innym imieniem byś go nie nazwał... sam jest teraz zaklęty Masz zaszczyt rozmawiać z Taraką Panem Piekielnej Studni.

Rozległ się cichy trzask i soczewki z czarnego zmieniły kolor na czerwony.

- Tak. stwierdzam, że mówisz prawdę - odrzekł Agni. - Widzę, że jestem świadkiem opętania przez demona. Ciekawe... A i niezrozumiałe, jak sądzę.

Niewątpliwie godne uwagi - wzruszył ramionami. - W końcu jednak to obojętne. Zamiast jednego zniszczę dwóch, co za różnica.

- Tak sądzisz? - zainteresował się Taraką, wyrzucając w górę obie ręce.

Gdy to uczynił, rozległ się ogłuszający huk. czarne drzewo w jednej chwili runęło na podłogę, czarne gałęzie oplotły tego, który stał na środku sali i pociągnęły go za sobą w dół. Huk nie ustawał. Podłoga drgnęła i wyrzuciła się o kilka sążni od ich stóp. Skądzieś z góry dobiegało głośne skrzywienie i dudnienie spadających kamieni. Py) i gruz zawirowały w powietrzu.

Zalśnił zygzak błyskawicy. Czarne drzewa jak podcięte zwaliły się na ziemię. Zostały po nich tylko pniaki i ciemne ślady na podłodze.

Przeciągłe jęknięcie, jakby żywej istoty, a następnie ogłuszający trzask poprzedziły zerwanie sufitu.

122

Gdy rzucili się do drzwi za kotarą, ukrytych za tronem, w przelocie ujrzeli ludzką postać, całą w bieli, jak niewzruszenie stoi pośrodku sali, z wyciągniętą nad głową ręką ze srebrnym berłem, zataczającym niewielkie koła.

Uformowany w stożek strumień światła wystrzelił naprzód, roztopiając w nicosć wszystko, czego dotknął. Gdy wielkie kamienie runęły w dół, Agni stał nieporuszony. z chłodnym uśmiechem na wąskich wargach, a chociaż gruz sypał się wszędzie, jemu nic nie groziło.

Huk nie ustawał. Podłoga popękała w wielu miejscach, ściany zaczęły niebezpiecznie drżeć.

Zatrzasnęli drzwi i w tym momencie Sam poczuł gwałtowny zawrót głowy, bowiem okno, które jeszcze przed chwilą widniało po drugiej stronie długiego korytarza, znalazło się tuż za jego plecami.

Wzbijali się w górę. coraz dalej i wyżej. Sam czuł, jak jego ciało przenika jakiś dreszcz, uczucie niepokoju, jak gdyby coś wewnątrz wrzało, jak gdyby cały był wypełniony płynną substancją, przez którą przepuszczono prąd.

Spojrząwszy do tyłu wszystkowiedzącym wzrokiem demona, który mógł jednocześnie patrzeć we wszystkich kierunkach, ujrzał Palmaidsu. widoczne z tej odległości niczym obrazek. Na wysokim wzgórzu w centrum miasta, tam, gdzie jeszcze przed chwilą wznosił się pałac Videghi. strumień oślepiającej jasności, niczym piorun, dokonywał dzieła zniszczenia, sięgając ze stosu zgliszcz aż do nieba.

- Oto i twoja odpowiedź - zwrócił się do Taraki. - Czy mamy wrócić i jeszcze raz wystawić się na moc Pana Agni?

- Już ja poznałem - odparł demon

- Pozwól wiec. że dam ci przestrożę na przyszłość - ciągnął dalej Siddhartha. - Nie żartowałem mówiąc, że Bóg Ognia ogarnia wzrokiem najdalsze horyzonty Jeśli wkrótce wydostanie się ze stosu gruzów i zwróci swą moc w naszą stronę, z pewnością nas wykryje. Nie sądzę, byś umiał poruszać się szybciej od światła, dlatego ugerowałbym już teraz, ażebyś obniżył lotu i wykorzystał nierówności terenu jako ukrycie

- Uczyniłem nas niewidzialnymi.

- Oczy Pana Agni - wyjaśnił Sam wnikają w czerwień głębiej niż oczy człowieka i dalej sięgają fioletu, niż to człowiek potrafi.

Nagle stracili wysokość. Zanim ostatecznie Palmaidsu zniknęło z pola widzenia. Sam przekonał się, że z całego pałacu Videghi pozostała jedynie chmura kurzu, słabo widoczna na tle szarego wzgórza.

Płynąc niczym wir powietrza, dotarli daleko na północ, aż do Ratnagaris. Kiedy przed nim wynurzył się szczyt zwany Czanna, Taraką obniżył pułap i miękko wyładowali na szczycie, tam, gdzie otwierało się wejście do Piekielnej Studni. Weszli do środka i zamknęli drzwi.

- Pogoni i tak nie unikniemy - zauważył Sam, rozglądając się po ciemnej sztolni. - Nawet w tym miejscu nas odnajdzie.

- Ciekawe -zamyślił się Taraką. -Niebo musi być bardzo pewne siebie, skoro uznało, że wystarczy tylko jeden, by nas zniszczyć.

123

Sam uśmiechnął się blade. - Myślisz, że to pewność nieuzasadniona?

- Nie, teraz już nie - roześmiał się Taraką, zaraz jednak spoważniał.

- A co z Panem w Purpurze, z tym, który wzrokiem wysysa życie? Nie uważasz, że Niebo powinna wysłać raczej Jamę niż Pana Agni?

- Owszem - Sam kiwnął głową. Ruszyli w dół sztolni, tym samym ukośnym korytarzem, który przemierzał jeszcze całkiem niedawno temu. - Spodziewałem się, że to on złoży nam wizytę i jeśli nawet znalazł godnego zastępcę, nic straconego. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, popsulem mu humor, przypuszczam więc, że urządzi na mnie polowanie. Kto wie, może właśnie w tej chwili czai się gdzieś na dnie Piekielnej Studni?

Dotarli do krawędzi otchłani, weszli na kręłą ścieżkę.

- To niemożliwe - oznajmił Taraką. - Gdyby ktokolwiek poza Rakaszą zstąpił do Piekielnej Studni, ci, którzy tkwią na dnie spętani zaklęciem, z pewnością by mi o tym donieśli.

- W każdym razie należy się go spodziewać - zakonkludował Sam.

- A gdy Pan w Purpurze przybędzie tutaj, żadna klątwa nie zdoła go powstrzymać. .

- ...choć wiel ubędzie tego próbować - dokończył Taraką. - Oto i pierwszy z nich.

Właśnie pojawił się pierwszy ogień, błękitniejący w skalnej niszy z boku.

Gdy odeszli już nieco dalej. Sam zdjął z niego zaklęcie, a on wystrzelił,

w powietrze niczym szerokoskrzydły ptak i spiralnym lotem poszybował w dół. Zstępowali powoli, krok za krokiem, a z każdej niszy w ścianie wyskakiwały ogniki i na rozkaz Taraki niektóre z nich wzbijały się ku górze, by zniknąć za wielkimi wrotami, dźwigającymi przestrożę bogów.

Kiedy dotarli do dna studni, pierwszy odezwał się Taraka. - Uwolnijmy tych, którzy tkwią jeszcze spętani zaklęciem w głębi jaskini.

Ruszyli więc krętymi korytarzami, odwiedzając liczne groty i oswobodzając demony.

Później, gdy minęło już nieco czasu - jak wiele, tego Sam nie był w stanie określić - zawrócili, Wszystkie zaklęte ogniki wydostały się już na wolność. Rakaszą zebrał je przed wejściem, tak że stanęły razem obok siebie w wielkim ognistym kręgu, a ich krzyki zlały się w jeden przeciągły skowyt, przewalający się po wszystkich zakamarkach mózgu, rozsadzający czaszkę... Dopiero po dłuższym czasie Sam zrozumiał, że nie krzyk to był, ale śpiew.

- Tak - westchnął Taraka. - Minęły wieki, zanim mogło się to wydarzyć.

Sam wsłuchiwał się w wibracje, drażniące od wewnątrz kości czaszki, co chwila zza syku i szumu dolatywały go jakieś słowa, uczucia, przechodzące w zdania i frazy, bardziej już zrozumiałe dla jego umysłu niż nagie, nieartykułowane emocje:

Potępione legiony Studni,
Zaklęte przez człowieka w płomieniu.
Dziś człowieka przeklinamy -
Nie od niego nasze plemię
Ludzki szczep zaginie w zapomnieniu.

124

Nasze były i niebo, i ziemia
Nim bogowie zawładnęli niebiosami,
Zanim człowiek wtrącił nas do grot sklepionych.
Lecz przeminą i bogowie, i ludzie,
A świat wróci pod władzę demonów.
Runą góry, wyschną morza, księżyc zbladnie.
A Most Bogów zwali się na ziemię.
Umrą bogi, wymrą ludzie, świat upadnie.
Tylko płomień ocaleje i niszcząca jego moc
Wróci życiu nas - przeklęte plemię.

Sam zadrżał, słysząc tę pieśń, głoszącą przebrzmiałą już chwałę, znał bowiem niesłychane zdolności Rakaszów, którzy potrafili przetrwać w każdych okolicznościach, którzy byli w stanie zmierzyć się z każdą siłą postrzeganą jako zagrożenie dla ich rodu, którzy świetnie opanowali sztukę kosmicznego judo, szybkiej walki, długotrwałych zmagania i uników W tej jednej chwili omal nie uwierzył, że wszystko, o czym mówi pieśń, to szczerza prawda i że nadejdzie taki dzień, gdy nad spustoszonym, wymartym światem jedynie błękitne ogniki Rakaszów będą świadczyły o częściowym przynajmniej przetrwaniu u życia, choć tylko w jednej, demonicznej jego formie.

Pieśń wszakże dobiegła końca, a jego umysł skierował się ku innym sprawom. Lecz w dniach, które miały nadejść, a i nawet po wielu latach, które minęły oo owej chwili, gdy chór głosów wyśpiewał mu przestrożę Rakaszów, pieśń zniecka odżywała w jego pamięci, niweczając radość z sukcesów, zaprawiając radości szczyptą zgryzoty, wzbudzając poczucie winy, wtrącając w melancholię i ucząc pokory.

Po jakimś czasie jeden z Rakaszów -ten, który najwcześniej opuścił Studnię - powrócił ze świata i złożył sprawozdanie z tego, co widział. Gdy mówił błękitna poświata ułożyła się w kształt greckiej litery tau.

- Tak oto wygląda rydwan, który pędził wśród chmur, by w końcu osiąść w dolinie nieopodal Południowego Szczytu - mówił, siejąc błędym blaskiem.

- Panie, widziałeś kiedyś ten pojazd? - spytał Taraka.

- Nie miałem okazji go widzieć - odparł Sam. - Ale już kiedyś ktoś mi opisał jego wygląd. To rydwan Pana Siwy.

- Powiedz, jak wyglądają jeźdźcy! - zażądał demon od zwiadowcy.

- Panie, było ich czterech.

- Czterech!

- Tak, czterech -potwierdziłgorliwiedemonmniejszegorodzaju -Jeden

z nich to ten, którego opisałeś jako Pana Agni, Boga Ognia. Razem z nim siedzi Ktoś, kto ma na głowie błyszczący hełm zwieńczony rogami byka Jego zbroja wygląda jakby wykuta ze starego brązu, lecz nie jest to brąz. Chociaż sam

125

pancerz konsztownie uformowano w węzowe kształty, nie wydaje się, by ta niezwykła zbroja krępowała ruchy tego, który ją nosi. W jednej ręce trzyma płonący trójząb, drugą ma wolną, bowiem żadna tarcza nie osłania ciała towarzysza Pana Agni.

- To Siwa - przerwał mu Sam.

- Tym dwóm, o których już wspomniałem, towarzyszy trzeci, cały w purpurze, o ciemnych oczach. Nie słyszałem, żeby cokolwiek mówił, lecz widziałem, że niekiedy spoglądał na kobietę, która szła u jego boku, po lewicy. Jasnych włosów i mlecznej cery, ubrana w zbroję dopasowaną kolorem i kształtem do jego purpury. Jej oczy niczym morza, a jej wargi... często się uśmiechała... czerwone jak krew. Nosi naszyjnik i trupich czaszek, do pasa przytroczony krótki miecz. W ręku trzyma dziwny przedmiot, coś jakby czarne berło zakończone srebrną trupią czaszką.

- Ci dwoje to Jama i Kali - zawyrokował Sam. - A teraz posłuchaj mnie, Tarako, najpotężniejszy z Rakaszów, ponieważ powiem ci, z kim przyjdzie nam się zmierzyć. Moc Pana Agni znasz już dobrze, o Jamie właśnie przed chwilą mówiłem. Ta, która idzie u jego boku, wzrokiem wysysa wszelkie życie, uśmierca wszystko, na cokolwiek spojrzy. Jej czarne berło grzmi niczym trąby, obwieszczające kres Jugi, a wszystko, co usłyszy ten lamentowi podobny dźwięk, opada z sit i traci świadomość. Kali trzeba się obawiać nie mniej niż jej Pana, który jest bezwzględny i niepokonany. Ten, który dzierży trójząb, to przecież Pan Zagłady we własnej osobie, a chociaż Jama jest Królem Śmierci, zaś Agni jest Panem Płomieni, moc Siwy to chaos i zniszczenie, potężniejsza od śmierci i płomieni. On to jest w stanie oddzielić atom od atomu, roztrzaskać formy wszystkiego, co żyje. pozbawić kształtu wszystko, na co obróci swą broń. Wobec tej czwórki wszystkie siły Piekielnej Studni stoją bezradne, odejźmy więc z tego miejsca, bowiem wkrótce już tu przybędą.

- Czyż nie obiecałem ci, Panie, że możesz na m nie liczyć w walce z bogami? - odezwał się Taraka.

- Tak - potwierdził Sam. - Ale myślałem o niespodziewanym ataku, a nie o otwartej walce. Tych czworo występuje teraz przeciwko nam w petni swych aspektów, przybrawszy wszelkie atrybuty własnego bóstwa. Wystarczyłoby, żeby ognisty rydwan Pana Siwy wylądował na tym szczyście, a Czanna obróciłaby się w stos popiołów, pośród których zionąłby czernią głęboki krater. Musimy uciekać, Walka poczeka na lepszą okazję.

- Czy zapomniałeś klątwę Buddy? - zapytał Taraka. - Czy już nte pamiętasz, jak pouczyłeś mnie, co to jest wina? Bo ja pamiętam i mam przecucie, że jestem ci winny to zwycięstwo. Jestem ci dłużny coś w zamian za twój ból i dlatego oddam tych bogów w twe ręce tytułem odszkodowania.

- Nie! - krzyknął Sam. - Jeśli już naprawdę chcesz mi *śłą* przysłużyć, poczekaj na inną okazję. Teraz zaś bądź mi przydatny przenosząc mnie stad na inne miejsce, i to daleko, i to szybko.

- Boisz się tej próby sił, Panie Siddhartho?

- Tak, tak i jeszcze raz tak, albowiem byłoby to z twej strony szaleństwem. Cóż z waszą pieśnią o konieczności czekania? Gdzie ta cierpliwość Rakaszów? Słyszałem, że chcecie doczekać chwili, gdy góry rozpadną się w proch, morza

126

wyschną, a księżycy znikną z nocnego nieba... tymczasem jestem świadkiem, jak nie masz dość cierpliwości by poczekać, aż określe czas bitwy! Znam bogów, znam ich znacznie lepiej niż ty, bo sam byłem kiedyś jednym z nich. Bądź roztropny, nie spiesz się zanadto. Jeśli chcesz mi służyć, oddal mnie z tego miejsca!

- Dobrze - zgodził się po chwil i wahania Taraka. - Usłucham cię, bo twe słowa mnie wzruszyły. Ale i tak wystawię na próbę moc bogów i wysłę przeciwko nim mych współbraci. Gdy oni będą walczyć, my już będziemy daleko stąd, ty i ja, głęboko, aż u fundamentów świata, gdzie poczekamy na wieści o zwycięstwie. Jeśli jednak, czego nie da się wykluczyć, przegramy, zabiorę cię . daleko, gdzie będzie bezpiecznie, po czym zwrócę ci ciało. Tymczasem pozwól,

że jeszcze kilka godzin będziemy razem, chciałbym bowiem móc wraz z tobą smakować namiętności walki.

Sam kiwnął głową.

- Amen - rzekł i w tym momencie poczuł, jak odrywa się od ziemi, by ruszyć krę"tymi korytarzami wśród skał, zstępując w dół, tam, gdzie ludzka noga nigdy jeszcze nie postąpiła.

Gdy tak mknęli z pieczary do pieczary, w dół podziemnych tuneli i rozpadlin, i sztolni, gdy przemykali sklepionym labiryntem grot [korytarzy, Sam wysłał fale swego umysłu, by zstąpiły ku głębiom jego pamięci, a zstąpiwszy wróciły. Myślał o owych dniach dniach swej dawniejszej posługi, gdy widział, jak nauki Gotamy przyjmują się niczym nowy szczep na rdzeniu religii, rządzącej światem od niepamiętnych czasów. Myślał o tym dziwym przybywszu, o Sugacie, którego dłonie szafowały po równo błogosławieństwo i śmierć. Miną lata, a ich imiona zleją się w jedno imię. a ich czyny zostaną przypisane jednemu człowiekowi. Żył zbyt długo by nie wiedzieć, w jaki sposób czas miesza w tygłu legendy. Był prawdziwym Buddą, łąraz był już [ego pewien. Nauki, które głosił - nieważne, ile było w nich prawdy - przysporzyły mu prawdziwych wyznawców. Ten, któremu Jdało się osiągnąć Oświecenie, oprzemieniował umysły ludzkie aureolą własnej świętości, zaś w końcu dobrowolnie oddał się w ręce Śmierci. Tathagata i Sugata stanowić będą dwa rozdziały tej samej legendy, tego był pewien, a Tathagata będzie świecił światłem odbitym od jego ucznia. Tylko jedna Dharma przerwa.

Później jego umysł zwrócił się ku bitwie we Dworze Karmy i do urzędzeń, które stamtąd wykradł. Spoczywały w bezpiecznej kryjówce. Później pomyślał o niezliczonych transferach, które przeżył, o walkach, które stoczył, o kobietach, które kochał na przestrzeni stuleci. Myślał o tym, jaki mógłby być świat i o tym. jaki świat był, i dlaczego był taki, jaki był. Pomyślał o dniach, gdy z garścią ludzi pokonał Rakasze, Nagi, Gandharwy i Lud Morza, demony Katapuny, Matki Straszego Płomienia, Daksziny, Pręty, Skandy i Pisaki, i o tym, jak zwyciężył, oplakując świat pogrążony w chaosie, i o tym, jak zbudował dla ludzi pierwsze Miasto. Widział to Miasto we wszystkich okresach jego rozwoju, widział też ostatnie jego chwile, gdy zamieszkali je ci, którzy umieli przenosić umysły z ciała do ciała, sami zaś przedzierzgnęli się w bogów, przybierając aspekty

127

właściwe każdemu z nich, boskie aspekty, wzmacniające ciało i nadając siłę woli, skupiające w sobie moce ich pożądań, zwracające się z niszczycielską pasją przeciwko wszystkim, kto rzy nie uznawali ich prawomocności. Myślał o Mieście, o bogach i poznał całe ich piękno i prawość, podłości i błędy. Myślał o ich wspaniałości i barwach, w porównaniu z którymi cała reszta świata zdała się być niczym, i zapłakał ze złości, bowiem wiedział, że w walce przeciwko bogom nigdy nie będzie miał po swej stronie ani ostatecznej słusności, ani nie popadnie w bezprawie. To dlatego spędził życie na oczekiwaniu, nic nie czyniąc. Teraz, cokolwiek by nie zrobił, miało w sobie zarówno chwałę zwycięstwa jak gorzyc porażki, było sukcesem i klęską zarazem, I niezależnie od tego, czy jego działanie doprowadzi do przerwania snu o Mieście, czy do nieprzerwanego snienia, brzemień winy i tak będzie jego.

Czekali w ciemności.

Czekali długo. Czekali w ciszy. Czas mijał, niczym starzec wspinający się na wzgórze.

Stali na skalnej półce nad czarnym rozlewiskiem i czekali.

- Czy nie powinniśmy już czegoś się dowiedzieć?

- Może tak. Może nie.

- Co powinniśmy zrobić?

- A jak sądzisz?

- Jeśli jednak nie przyjdą? Jak długo mamy tu czekać?

- Przyjdą, i to ze śpiewem,

- Mam nadzieję.

Ale ani śpiew nie nadchodził, ani nie dało się zauważyć jakiegokolwiek ruchu. Nad wszystkim zaległa cisza. Czas przemijał w ciszy i nie przybierał żadnych widocznych kształtów.

- Jak długo już tak czekamy?

- Ciy ja wiem? Długo,

- Czuję, że coś jest nie w porządku.
- Może. A może powinniśmy wejść kilka pięter wyżej i przekonać się na własne oczy?... Jeśli chcesz, mogę cię już teraz uwolnić.
- Poczekajmy jeszcze trochę.
- Dobrze.

Znowu cisza. Zrobili kilka kroków to w jedną, to w drugą stronę.

- Co to?
- Co?
- Ten dźwięk.
- Nic nie słyszałem, a przecież mamy tę samą parę uszu.
- Bo tego nie da się usłyszeć uszami ciała... o, znowu!
- Nic nie słyszę, Tarako.
- Ale to ciągle brzmi... niczym przeciągły gwizd, długi, bez końca.
- Daleko stąd?
- O tak, dość daleko. Posłuchaj sam.

Cisza.

128

- Słyszę! To berło Kali. Bitwa trwa.
- Tak długo? - zaniepokoił się Taraka. - Widać bogowie są silniejsi, niż przypuszczałem.
- O nie - westchnął Sam. - To twoje plemię atakuje dłużej i bardziej zaciekle, niż można byłoby się spodziewać.
- Taraka zamyślił się.
- Czy wygramy, czy dotknie nas klęska, Siddhartha... - zaczął powoli - nie ulega wątpliwości, że bogowie nie narzekają na brak zajęć, a ich pojazd pozostał bez ochrony. Może by się tym zainteresować?
- Ukraść bogom rydwan?... - zaniepokoił się Siddhartha, lecz za chwilę w jego oczach pojawiły się dwie jasne iskierki. - Tak, to jest pomysł! Rydwan Pana Siwy to nie tylko pojazd, lecz iakże potężna broń. Pytanie, czy mamy szansę...
- Jestem przekonany, że moi są w stanie odciągnąć uwagę bogów na tak długo, jak będzie trzeba... a wiele czasu potrzeba, by wspiąć się na szczyt Piekielnej Studni. Choć jestem zmęczony, nie musimy się jednak wspinać, mam dość sił, by unieść nas drogą powietrzną.
- Wzniesmy się zatem kilka pięter wyżej - zdecydował Ssiddhartha. Chcę widzieć na własne oczy, jak się rzeczy mają.
- Opuścili skalną półkę nad czarnym rozlewiskiem, Czas ruszył z miejsca wraz z nimi.
- Kiedy dotarli tam, gdzie zamierzali spocząć, wyszła im na spotkanie świetlista kuia - ulokowała się tuż nad ziemią i silniej rozbłysła zielonym ogniem.
- Jak walka? - zapytał Taraka.
- Atakujemy... - rozgległ się syczący szept. - Lecz nie możemy doprowadzić do bezpośredniego starcia.
- Dlaczego?
- Bo chroni ich coś na kształt niewidzialnej tarczy - w głosie było słychać jakby zakłopotanie. - Nie wiem... nie potrafię tego nazwać, w każdym razie to coś nie pozwala nam podejść zbyt blisko.
- Jak zatem walczyacie?
- Zасыpujemy ich odłamkami skał, zalewamy strugami wody, sieczemy biczami ognia i trzymamy w kleszczach huraganu.
- A ich obrona?
- Trójząb Pana Siwy przebija bezpieczne przejście przez wszystkie przeszkody, leczmy, nie bacząc na ofiary, skutecznie zamykamy mu drogę. Sam Pan Siwa stoi nieporuszony niczym posąg, nasze ataki jakby nie robiły na nim żadnego wrażenia. Co jakiś czas, gdy Pan Ognia bierze na siebie ciężar kontrataku, wychodzi zza osłony i sieje śmierć, wystarczy, że Kał i swym berłem spraliżuje ofiarę... wtedy trójząb dopełnia reszty, wspomagany ręką lub oczami Śmierci.
- i nie udało się wam powstrzymać bogów?
- Nie.

Taraka nie spodziewał się, że sprawy przybiorą taki obrót. Myślał długo

i w ciszy.

129

- Gdzie jesteście?

- Ciągłe na podejściu do krawędzi Studni.

- Jakie straty?

- Hm... - zasepił się demon. - Popelniliśmy błąd, uwalniając was, by rozpocząć tę bitwę. Zbyt wiele nas to kosztuje, a nic jeszcze nie zyskaliśmy... Sam, masz jeszcze ochotę na ten rydwan?

- Warto spróbować.

- W takim razie, jazda - rażno rzucił Rakasza, po czym zwrócił się do błękitnego ognika, podfruwającego nad ziemią. - Idź przodem, my ruszymy za tobą, lecz wolniej. Gdy będziemy wzbijać się nad krawędzią Studni, niech nasi zdwoją sity ataku. Musicie panować nad sytuacją, dopóki nie wydostaniemy się na zewnątrz, a później jeszcze trzeba nam trochę czasu na wykradzenie rydwanu z doliny. Gdy już będziemy mieli pojazd w naszych rękach, wrócę do was w mej prawdziwej postaci. Wtedy ostatecznie zakończymy bitwę.

- Słucham i jestem posłuszny - rzekł Rakasza, po czym upadł na ziemię, przedzierzgnął się w świetlistego węża koloru u figowych liściach, a następnie ruszył przodem.

Cześć drogi pokonali biegiem, demon chciał bowiem oszczędzić siły na później, gdy będą bardziej potrzebne.

Dopiero teraz można było się przekonać, jak głęboko zstąpili w dół, ku fundamentom świata, gdyż droga powrotna zdała się nie mieć końca.

W końcu jednak osiągnęli poziom Piekielnej Studni. Tym razem dno otchłani było tak jasno oświetlone, że Sam nie potrzebował pomocy demona, by widzieć wyraźnie, co się dzieje nad jego głową. Huk był ogłuszający. Gdyby musiał porozumiewać się z Taraką własnym głosem, zapewne nigdy nie zdołałby dosłyszeć, co jeden drugiemu mówił.

Ognie na ścianach studni wykwiwały niczym fantastyczne orchidee na gałęziach hebanu, a za każdym poruszeniem różdżki Pana Agni zmieniały kształty, wijąc się niczym salamandry w płomieniach. W przestrzeni między ścianami tańczyły niczym wielkie srebrzyste owady Rakasze. Grzmot spadających skał zupełnie wystarczyłby, by ogłuchnąć, lecz w połączeniu z gwizdem szalejącej wichury tworzył huk tak potworny, że drżało od niego ciało. Nad tym wszystkim górowało jednak przenikliwe zawrozczenie, jakby odgłos lamentujących surm, wydobywający się ze srebrnej trupiej czaszki, która wieńczyła berło Kali. Bogini potrzęsała nim niczym wachlarzem, zaś chociaż wycie wznosiło się niemal do granicy słyszalności, było tym bardziej przerażające, że balansowało tak na tym progu, przyprawiając o mdłości. Odłamki skał, rozgrzane do białości, roztopione i zamienione w płynny bazalt, rozpryskiwały się we wszystkie strony jak w gigantycznej studni. Gruz i pył, i kamienie, toczyły się. Spadały w dół, wlatywały w górę. Lśniły czerwonym blaskiem, wciskały się w najmroczniejsze zakamarki Piekielnej Studni. Tam, gdzie przewalił się chaos, ściany z litej skały były wyżłobione, poszczerbione i popękane.

- Teraz! - krzyknął Taraka. - Jazda!

Wystrzelili w powietrze, zdążając szybkim i pionowym lotem wprost ku wyjściu. Siła ataku Rakaszów widocznie się wzmogła, lecz odpowiedzią było równie gwałtowne kontruderzenie. Sam zasłonił oczy dłonią, lecz niewiele to

130

pomogło na przykre uczucie, że w źrenice wbijają mu się setki ostrych igiełek, kłujących za każdym razem, ilekroć bogini zwróciła berło w jego stronę.

Właśnie ogromna skała rozpadła się i znikła, ale choć znajdował się od tego miejsca na wyciągnięcie ręki, szczęśliwie nie poniósł szwanku.

- Nie zauważyli nas - westchnął z ulgą Taraka.

- Na razie - dodał Sam. - Bóg Ognia, niech imię jego będzie przeklęte, potrafi dostrzec ziarnko piasku w morzu atramentu. Mam nadzieję, że będziesz mógł jakoś się wymknąć, gdy spojrzysz w naszą stronę...

- Jak to się stało? - spytał zdziwiony Taraka, gdy oto nagle znaleźli się nie wiedzieć jak dobre czterdzieści stóp wyżej i jakby nieco dalej od lewej krawędzi Studni.

Ciągle pędzili w górę, ścigani strumieniem skalnych odłamków. Lawinę gruzu przecięły dopiero ogromne glazy, strącone przez demony na partię bogów przy

akompaniamencie ryku potężnych prądów powietrza i trzasku ognia. Wreszcie dotarli do krawędzi otchłani, wyhamowali i szybko odskoczyli w bok. tak by jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem walki.

- Musimy objeść Studnię... - Taraka mówił z trudem, głosem rwącym się od zadyszki. - Trzeba dojść do korytarza, dopiero wtedy będziemy mogli uciec. W tej samej chwili jeden z Rakaszy wynurzył się z głębin. Kula światła spoczęła przy boku Sama.

- Bogowie w odwrocie! - krzyknął. - Bogini upadła. Pan w Purpurze pomaga jej w ucieczce!

- Bzdury! - rzucił Taraka. - Nie uciekają, lecz ruszyli za nami w pogoń! Zagrozić im drogę! Zniszczyć szlak! Szybko!

Rakasza niczym meteor rzucił się z powrotem w głębinę Studni.

- Panie Siddhartho... - westchnął demon. - Jestem u kresu sił. Nie wiem, czy będę w stanie znieść nas spod wrót do doliny.

- Czy możemy przejść część drogi pieszo?

- Tak.

-- W porządku!

Rzucili się biegiem, najpierw musieli wszakże zatoczyć łuk wokół otchłani. Wtedy to pojawił się drugi Rakasza.

- Pilny meldunek! - krzyknął, zrównując krok z Samem. - Dwukrotnie burzyliśmy skalny przesmyk, lecz za każdym razem Pan Ognia wypalał nowy.

- Więcej już się nie da zrobić! - wydyszał Taraka. - Nie odchodź! Zostań przy nas, Przydasz się do innych zadań.

Kula purpurowego światła wyprzedziła Sama, znacząc drogę szkarłatnym blaskiem.

Zatoczyli koło i wpadli w tunel. Gdy dotarli do końca, pchnęli ciężkie wierzaje

- przed nimi była wąska skalna półka. Rakasza, który puścił ich przodem, zatrasnął wrota i szepnął: - Pogoń nadciąga!

Sam rzucił się w przepaść. Zaledwie odbił się od skalnego podłoża, wrota poczerwieniały, rozżarzyły się, zbieleły... i pocięły roztopionym metalem.

Z pomocą drugiego Rakaszy dotarli do podnóża Czenny. Teraz musieli przejść krótką drogę nieco pod górę i wziąć zakręt. Solidne skały zdawały się dawać dobrą osłonę przed zemstą bogów, lecz przecież wystarczyła chwila, by

131

spłynęły strumieniem ogniopłynnego bazaltu. Przed wzrokiem Pana Agni nic nie mogło się ukryć.

Rakasza - ten, który towarzyszył im w drodze - wzbił się w powietrze. Biegli ścieżką prowadzącą w dolinę, gdzie stał rydwan. Właśnie w chwili, gdy dotarli do obrzeża kotliny, powrócił zwiadowca.

- Kał i, Jama i Agni schodzą w dół - zameldował. - Siwa zamyka pochód, osłaniając tyły. Agni prowadzi. Pan w Purpurze pomaga iść bogini, która widocznie utyka na jedną nogę.

Przed sobą mieli rydwan. Powalany błotem, bez ozdób, koloru brązu, który jednak nie był brązem, stał na rozległej łące. Wyglądał jak powalona baszta, albo gigantycznych rozmiarów klucz czy cześć niebiańskiego instrumentu muzycznego, który oderwał się od gwiazdnej konstelacji i utkwiał w ziemi. Sprawiał wrażenie czegoś niekompletnego, choć gołym okiem nie sposób było doszukać się żadnej usterki w jego kształtach. Posiadał owo szczególne piękno właściwe najdoskonalszym rodzajom broni, które dopiero funkcjonalnością dopełniają zewnętrznego wyglądu.

Sam zbliżył się z boku, znalazł luk, wszedł do środka.

- Umiesz powozić tym pojazdem? - spytał Taraka, - Umiesz wprowadzić go na niebiosa, umiesz prowadzić go nad ziemią, siejąc zagładę i chaos?

- Jestem pewny, że Jama zadbał o prostotę - odparł Sam. - Zawsze dba o to, by wszystko, co wychodzi spod jego rąk, było tyleż proste w obsłudze, co funkcjonalne. Dawno temu używałem takich pojazdów i przypuszczam, iż ten niewiele się od nich różni.

Rozsiadł się wygodnie, po czym ogarnął wzrokiem tablicę kontrolną.

- Cholera! - syknął, nagłym ruchem wyrzucając rękę do przodu, lecz zaraz cofając ją z powrotem.

Nagle ukazał się Rakasza, przeniknął przez metalową ścianę i zawirował nad

konsolą.

- Bogowie znacznie przyspieszyli - oznajmił. - Zwłaszcza Pan Agni wyrwa się do przodu.

Sam wykonał ser i ę manewrów kilkoma dźwigniami, poczym nacisnął główny przełącznik. Tablica rozbłysła światłami i dało się słyszeć niskie buczenie.

- Jak daleko stąd jest Agni? - zapytał Ttara.

- W połowie drogi. Poszerzył ścieżkę płomieniami a teraz biegnie, jakby miał przed sobą szeroki i równy gościniec. Wszystkie przeszkody wypala. Sam przełożył dźwignię, wyregulował zegary, odczytał wskaźniki. Statek zadrżał

- Gotów? - zapytał Taraka.

- Nie mogę wystartować zanim maszyna się nie rozgrzeje. Wygląda mi to na rzecz bardziej skomplikowaną, niż myślałem.

- Będą nam deptali po piętach.

- Niestety.

W tej chwili z niedaleka dały się słyszeć pojedyncze wybuchy, zagłuszające hałas wywołany pracą urządzeń pokładowych. Sam podniósł jeszcze jedną dźwignię i skorygował zegar.

132

- Pójdę, może uda mi się ich powstrzymać - powiedział Rakasza i zniknął tak niespodzianie, jak się pojawił.

Sam przesunął dźwignię o dwa poziomy w górę, a wówczas coś gdzieś trzasnęło i zamarło w ciszy.

Wobec tego ustawił drążek w poprzedniej pozycji, przekręcił wskazówkę zegara, nacisnął raz jeszcze ten sam przycisk.

Rydwanem znowu wstrząsnął dreszcz, gdzieś z tyłu rozległ się głośny warkot.

Sam przesunął dźwignię o jeden poziom do góry. znowu wyregulował wskaźniki.

Po chwili powtórzył całą operację, a wtedy warkot przeszedł w łagodny pomruk.

- Nie żyje - mruknął Taraka.

- Kto?! Co?!

- Ten, który poszedł powstrzymać Pana Płomieni - wyjaśnił demon.

- Został unicestwiony.

Dały się słyszeć huki dwóch wybuchów.

- To właśnie runęła Piekielna Studnia - komentował Taraka.

Ocierając z czoła gęsty pot, Sam czekał z ręką na drążku.

- Nadchodzi! Agni nadchodzi!

Sam spojrział przez długą, nachyloną ukośnie płytę czołową.

Istotnie, Pan Ognia wszedł w dolinę.

- Spadamy. Panie Sidhartho!

- Jeszcze nie - mruknął Sam.

Agni spojrział na rydwan i wyciągnął zbrojną w berło rękę.

Lecz nic się rpie wydarzyło.

Pan Agni stał, wskazując berłem na pojazd, a ponieważ ciągle nic się nie działo opuścił dłoń i potrząsnął przyrządem.

Po czym spróbował raz jeszcze.

Ale płomienie nie buchały.

Sięgnął zatem lewą ręką do tyłu, poprawił coś przy paczuszcze, którą dźwigał na plecach i wtedy z berła strzelił snop ognia, wypalając w ziemi dużych rozmiarów dziurę.

Teraz ponownie wzniosł berło w stronę rydwanu.

Nic.

- Zanik indukcji - mruknął Taraka.

- Właśnie.

Sam pociągnął dźwignię do tyłu, poprawił wskaźnik, a wówczas dał się słyszeć potężny ryk silnika.

Nacisnął drugi przycisk. Z tyłu dobiegł trzask. Gdy Agni sięgał już luku, przesunął tarczę jednego z zegarów.

Błysk płomienia i szczęk metalu.

Zerwał się z fotela. Wybiegł z kabiny. Ruszył wzdłuż korytarza.

Pan Agni wpadł do środka, celując berłem w jego stronę.

- Stać! - krzyknął, zagłuszając huk wywołany pracą urządzeń. Soczewki

lego okularów pokryły się czerwienią, na wargi wypłynął mu szeroki uśmiech.

- Sarn! Demon!... Demon - skonstatował po chwili wahania. - Jeszcze jeden krok, a ty oraz ten, który pożyczył ci ciała, rozsypiecie się w garść popiołu.

133

Sam rzucił się do przodu.

Gdy uderzył, Agni zwał się na ziemię, nie sądził bowiem, że Sam zdoła go dosięgnąć.

- Krótkie zwarcie, co? - spytał, zaciskając palce na jego szyi.

- A może plamy na słońcu - dodał wymierzając mu cios w skroń.

Bóg Ognia przewrócił się na bok. Wtedy Sam kantem dłoni dokończył dzieła, precyzyjnym ruchem uderzając tuż powyżej obojczyka.

Agni leżał przy ścianie, rozciągnięty wzdłuż korytarza, zaś chociaż Sam wykonał taki ruch, jakby chciał zerwać się i zamknąć luk, ostatecznie zrezygnował z tego, wiedząc, że już za późno.

- Odejdź. Tarako - szepnął, ledwie poruszając waragami. - Od tej chwili to już moja prywatna walka. Nic ci do tego.

- Przyrzekłem, że dotrzymam ci towarzystwa.

- Tak... - blade uśmiechnął się Sam. - Chętnie bym z niego skorzystał, ale teraz nie masz już nic do zaoferowania. Lepiej więc odejdź, póki jeszcze możesz.

- Skoro tego pragniesz... Chciałbym ci jednak powiedzieć coś na pożegnanie...

- Oszczędź sobie tego! - przerwał mu Sam w pół słowa. - Może następnym razem...

- Panie! - nie dał mu dokończyć demon. - Chcę ci powiedzieć coś, czego nie wiedziałem, zanim nie poznałem ciebie... przykro mi. Ja...

Uczucie piekielnej trwogi, wykrzywiającej wszystkie mięśnie ciała, mącające jasność umysłu, przerwało tę rozmowę, bo oto śmiercionośny wzrok Jamy dotknął Pana Siddharthę, z każdą chwilą coraz głębiej wnikając w jego istotę. Także i Kali zajrzała mu prosto w oczy, podnosząc ku niemu czarne berło, zakończone srebrną trupa główką.

Było to tak, jakby nagle zanurzył się w głębokim cieniu, lecz nie padał on od niczego, co należałoby do świata rzeczy.

- Bye, bye, Panie Siddhartho! - wgrzyły się w jego umysł dalekie słowa, I wtedy czaszka wydała swój potworny jazgot.

Czuł, jak pada na ziemię.

Pulsowało w skroniach.

Było w czaszce. Było wszędzie wokół.

Obudziło go pulsowanie w skroniach. Cały był w bólu i w bandażach.

Nadgarstki i nogi były w łańcuchach.

Siedział na podłodze w małej kabinie. Na progu siedział Pan w Purpurze.

Palii.

Jama pokiwał głową, jakby w odpowiedzi na nie zadane, lecz wiszące w powietrzu pytanie. Ale milczał.

- Dlaczego zostawiliście mnie przy życiu? - sformułował je wreszcie Sam.

- Zachowano cię, byś mógł dotrzymać terminu spotkania, które wyznaczyłeś jakiś czas temu, w Maharatha - wyjaśnił Jama. - Brahma nie posiada się z radości, że będzie mógł cię raz jeszcze zobaczyć.

134

- Bez wzajemności...

- Jakby po tylu latach nie było to oczywiste... - skrzywił się Jama.

- Jak rozumiem, zamierzasz wydobyć na światło dzienne wszystkie brudy przeszłości?

Bóg Śmierci uśmiechnął się. - Niezty z ciebie przyjemniaczek - błysnął zębami.

- Wiem - rzucił oschle Sam. - Robię, co mogę.

- Wnioskuje stąd - ciągnął dalej Jama - że w interesach kłapa?

- Niestety.

- Wszakże... - dodał, potarłszy w namyśle skroń - możesz spróbować pomniejszyć rozmiar strat. Jesteśmy w pół drogi do Nieba.

- Myślisz, że dadzą m i szansę? - wydał pogardliwie wargi PanSiddhartha.

- Całkiem możliwe - Bóg Śmierci uniósł brwi. - Czas leczy rany. Brahma może być w tym tygodniu bardzo miłosiernym bóstwem.

- Mój osobisty lekarz powiedział mi, że specjalizuje się w beznadziejnych przypadkach.

Jama drgnął.

- A co z demonem? - zapytał po chwili milczenia Sam. - Z tym, który był razem ze mną?

- Przede mną nie uciekł - odparł Jama, - Nie wiem tylko, czy go wykończyłem, czy tylko przegrałem. Potraktowałem go płynem przeciwko demonom i jeśli nawet żyje, to sporo czasu minie, zanim przypomni sobie, co go z tobą łączyło. Może nawet nigdy... Ciekaw jestem, jak w ogóle mogło do tego dojść. Zawsze myślałem, że jesteś odporny na opętanie.

- Byłem - poprawił go Sam. - Co to za Rłyn?

- Wynalazłem pewnen odczynnik chemiczny - wyjaśnił Jama. - Nie-szkodliwy dla ludzi, neutralizuje wszystko. co żyje dzięki ładunkowi energii, - Sprytnie. Gdybyśmy mogli tego użyć parę wieków wcześniej...

- Tak - pokiwał głową Jama. - W każdym razie nic staconego, posłużyliśmy się nim w Piekielnej Stkudni... z dobrym rezultatem, jak widzisz. Kolejny uśmiech.

- Z tego, co widziałem, wynika, że walka nie trwała długo.

- Owszem - skwitował krótko Jama, po czym spojrzął z nagłym błyskiem ciekawości w oczach. - Powiedz, do czego to podobne... opętanie? Jakie to uczucie, gdy ma się w sobie kogoś drugiego, kto góruje nad tobą samym?

- To dziwne uczucie - zamyślił się Pan Siddhartha.

- To znaczy?

- Pamiętajmy, że pierwotnie cały ten świat należał do nich - rozpoczął

Sam. - A my odebraliśmy go im, jako pierwszym jego mieszkańcom.

Zastanawiam się, dlaczego tak ich nienawidzimy... przecież z ich punktu widzenia sami jesteśmy demonami.

- Ale jakie miałeś uczucie?

- Ja?... - zamyślił się Sam. - Wykorzystany przez demona? Powinienes to dobrze wiedzieć, Panie Jamo.

Uśmiech znikł z twarzy Boga Śmierci, jednak po chwili powrócił. - Chciałbyś teraz zadać cios samemu sobie, prawda, Buddo? Dałoby ci to poczucie

135

wyższości. Niestety, z natury jestem sadystą i nie uczynię tego, czego tak bardzo pragniesz, prowokując mnie, bym cię uderzył.

Sam roześmiał się.

- Śmierć jest przewrażliwiona! - wykrztusił.

Dłuższy czas siedzieli w milczeniu.

- Mogę prosić o papierosa?

Jama wyjął bibułki i tytoń, skrzył papierosa i zapalił.

- Pierwsza Baza... - mruknął w zamyśleniu Sam. - Jak dzisiaj wygląda Pierwsza Baza?

- Z trudem rozpoznałbyś to miejsce - powiedział Jama. - Nawet gdyby w tej chwili cała załoga wymarła co do jednego, wszystkie urządzenia działałyby bez zakłóceń przez dobre tysiąc lat. Kwiaty nadal by kwitły, grała muzyka, fontanny biły w górę strumieniami źródlanej wody, a ciepłe posiłki bez przerwy stałyby gotowe do spożycia. Niebiański Gród, Miasto... ono jest nieśmiertelne.

- Stosowna siedziba dla tych, którzy mienia się być bogami.

- Mienia się... - załamał ręce Jama. - Jesteś w błędzie. Boskość to coś więcej niż słowo. To sposób istnienia, który osiąga się nie tylko przez stworzenie nieśmiertelnego ciała, bo byle chłystek może przedłużyć swą egzystencję choćby i nieskończoność, wystarczy, że wykaże się odpowiednią zręcznością. Czy właśnie nieśmiertelność decyduje o boskim Aspekcie? Rzecz jasna, nie. Byle hipnotyzer zabawia się tworzeniem autoiluzji, wmawiając sobie i innym, że jest taki a nie inny. Czy to wystarczy, by wznieść Atrybut boskości? Oczywiście, nie. Jestem w stanie budować maszyny tak potężne i dokładne w spełnianiu swych funkcji, że największy nawet geniusz nie będzie mógł mi dorównać. Być bogiem znaczy: być w stanie wprowadzić stosunek zgodności między własnymi namiętnościami a mocami Wszechświata, tak, by ktokolwiek, kto na ciebie spojrzy, wiedział, że wyrażasz siły Uniwersum, bez potrzeby wspominania o tym choćby i jednym słowem. Pewien dawny poeta mawiał, że

świat jest pełen analogii i odpowiedniości, Inny znowu napisał długi poemat o piekle, przedstawionym jako to miejsce, gdzie każdy człowiek jest poddawany torturom, które w swej naturze są tożsame z siłami, rządzącymi jego minionym życiem. Być bogiem znaczy; mieć umiejętność poznawania w każdym człowieku tego, co najistotniejsze, a także umieć uderzać tę jedną jedyną strunę, której dźwięk doprowadza istotę ludzką do stanu harmonii z całym stworzeniem. Tędy wśród praw moralnych, prawideł logiki czy estetyki jedne mają naturę wiatru, inne ognia, jeszcze inne są jak morze, góry, deszcz, słońce czy gwiazdy, lot strzały, kres dnia czy uścisk miłości. Każde z nich włada dzięki namiętnościom, którymi *zarządza*. Dlatego ci, którzy spoglądają na bogów, mówią, nie znając nawet ich imion: „Ten jest Ogień. Ten jest Taniec. Ten jest Zniszczeniem. Ta jest Miłością”. By zatem odpowiedzieć na twe stwierdzenie, powtórzę; nie my nazwaliśmy się bogami. Robią to inni, ci którzy mają oczy otwarte i umiejętność widzenia.

- I grają na taszystowskich banjo, co?

Jama niecierpliwie poruszył się na swym miejscu. - Wybrałeś niewłaściwy przymiotnik.

136

- Skoro tak skwapliwie go unikałeś...

- Widzę, że nigdy nie dojdziemy do porozumienia.

_ Nic dziwnego - wzruszył ramionami Sam. - Bo i zastanów się: ktoś cię pyta, dlaczego wtrąciłeś świat w cierpienie, a ty w odpowiedzi zalewasz go potokiem krasomówny. Nie, w tym wypadku nigdy się nie porozumiemy. Jama machnął dłonią. - Dobrze. Proponuje zmienić temat.

_ Nie tak prędko - uśmiechnął się Sam. - Oto boweim patrzę na ciebie i mówię: „On jest Śmiercią”.

Jama nie odpowiedział.

- Osobliwa namiętność - ciągnął swój wywód Sam. - Słyszałem, że byłeś już stary zanim zacząłeś być młody...

- To prawda.

- Byłeś mistrzem w konstruowaniu cudów techniki i wielkim znawcą broni. Straciłeś dzieciństwo w płomieniu i tego samego dnia, gdy je straciłeś, stałeś się starcem. Czy w tamtej chwili śmierć stała się twą namiętnością, czy może wcześniej? A może przyszło to dopiero z czasem?

- Nieważne.

Ale Sam nie ustawał.

- Czy słyszysz bogom dlatego, że wierzysz w to, co przed chwilą powiedziałeś, czy dlatego, że nienawidzisz znacznej części ludzkości?

Pan Jama przełknął ślinę: - Nie kłamałem.

- *Znaczy się, Śmierć jest idealista...* Zabawne.

- To nie tak.

- A może ani jedno, ani drugie nie odpowiada prawdzie - rozmyślał Sam.

- Może twą pasją jest...

- Wymieniłeś jej imię już wcześniej... - przerwał mu Jama. - Wówczas, gdy porównałeś ją do choroby. Ale myliłeś się, zarówno wtedy, jak teraz. Nie mam zamiaru wysłuchiwać tego kazania po raz drugi, a ponieważ nie zapadam się w tej chwili w lotne piaski, nie zmusisz mnie do tego.

- W porządku - kiwnął głową Sam. - Pokój! Lecz powiedz mi, czy namiętności bogów podlegają zmianom?

Jama rozpromienił się w szerokim uśmiechu.

- Bogini tańca była dawniej bogiem wojny, można więc rzec, że wszystko się zmienia.

- Kiedy umrę prawdziwą śmiercią - zaczął Sam - chcę ulec przemianie. Zanim jednak do tego dojdzie, każdym swym oddechem będę nienawdził Nieba. Jeśli Brahma ma zamiar mnie spalić, splunę w ogień. Jeśli chce mnie udusić, ugryzę kątą w rękę. Jeśli chce mnie przeszyć szpadą, niech moja krew zostanie na ostrzu i niech stal zardzewieje. Czy to są namiętności, które mną władają?

- Dobry z ciebie materiał na boga - pokiwał głową Jama.

- Dobry bóg!

- Tak - potwierdził Pan w Purpurze. - Lecz zanim to się stanie, proszę cię, byś zechciał wziąć udział w uroczystości zaślubin.

Sam podskoczył na podłodze.
- Czyich? Twoich i Kali? Kiedy?

137

- Podczas pełni mniejszego księżyca - wyjaśnił Jama. - Jakkolwiek zadecyduje Brahma. zanim cokolwiek się stanie, masz u mnie drinka.
- Za co składam uprzejme dzięki - wykrzywił się w uśmiechu Sam.
- Wszakże jednak zdawało mi się, że nie ma zwyczaju zaślubin w Niebie.
- Ta tradycja jest już bliska upadku - odparł Ten, Który Był w Purpurze.
- Żadna tradycja nie jest święta.
- No to powodzenia.
Jama kiwnął głową, ziewnął, zapalił papierosa.
- A przy okazji.. - dorzucił Sam. - Jaki rodzaj egzekucji jest teraz w Niebie najmocniejszy? Pytam z czystej ciekawości.
- Egzekucje w Niebie się nie odbywają -- odparł Jama, otworzył gablotkę i uprzętnął szachownicę.

ROZDZIAŁ V

Wędrował 2 głębi Piekielnej Studni do Nieba, by palaczyć się z bogami. Niebiański Gródkrrl wiele tajemnic, wśród których liczne kryły w sobie klucz do jego przesz/ości. Wiadomo wszakże. że nie wszystkie wyszły na jaw w czasach, gdy zamieszkiwał Miasto. Wiadomo też, że gdy przybył, prosił bogów w imieniu świata, zyskując sympatie jednych i niechęć drugich. Gdyby naprawdę postanowił zdradzić ludzkość, by tylko zyskać w zamian rozkosze boskiego bytu, jak to niektórzy twierdzą, na zawsze pozostałby Panem Miasta i nie musiałby wyjść na spotkanie prawdziwej śmierci. Ci sami jednak, którzy pomniejszają jego chwale, twierdzą wszak, że sam się zdradził, zwracając swe uczucie ku rodzajowi ludzkiemu, i to na resztę swych dni, których było wiele...

Spowita w światłość, z flagą w dłoni, uzbrojona w miecz, kołczan i łuk, pożerająca, podtrzymująca, Kali, noc zniszczenia u boku Sprawcy, który przemierza świat w ciemnościach, opiekunka, władczyni, łagodna, kochana i miłościwa. Brahmani, Matka Wedów, mieszkająca w ciszy, zasiadająca w miejscach niedosiężnych dla oka, ta, która przynosi dobre wróżby, uprzejma, wszystkowiedząca, szybka jak myśl, strojna w czaszki, posiadająca moc, Pani Mroku, niezwyknięta przewodniczka, pełna współczucia, ta, która otwiera drogę zagubionym, rozdzielająca taski, nauczycielka, klejnot w kształcie kobiety, w uczuciach zmienna jak kameleon, władczyni surowa, biegła w magii, nieśmiertelna i wieczna...

Arjatarabhanarikumushlottarasatakatoira j 36-40

Jak już wielekroć w przeszłości, jej śnieżnobiałe, lśniące (utro cesał wiatr. Biegła wśród traw koloru cytryn. Biegła krętą ścieżką, wśród ciemnych drzew, wśród kwiatów dżungli, z prawej strony wznosiły się złomy jaspisu, porozcinane żyłkami skał koloru mleka. Poruszała się niemal bezłgośnie, wielkie poduszki wyścielające spody stóp tłumiły wszelki dźwięk. Biegła jak dawniej, wiatr lizał jej futro białe jak marmur, a dziesięć tysięcy różnych zapachów dżungli drażniło powonienie. Biegła ścieżką, wyciętą wśród traw, biegła w półmroku, w świecie, który istniał zaledwie połowicznie. Samotnie przemierzała ów wieczny szlak wycięty w dżungli, której istnienie było częściowo sprawą iluzji. Biały tygrys jest myśliwym o naturze odludka, nikogo nie potrzebuje do towarzystwa.

139

Jak już wielekroć wcześniej, spojrzała na bezchmurne, szare niebo, wyblyszczone gwiazdami, lśniącymi lodowe sopte. Żrenice jej oczu rozszerzyły się. Przystanąła, usiadła i zapatrzyła się w górę. Na jakiego zwierza polowała? Z jej gardła wydobył się niski dźwięk, coś jakby chrząkanie zakończone

długim kaszlem. Nagle data susa i znalazła się na wierzchołku wysokiej skały. Przysiadła, liżąc sobie boki. Gdy w polu widzenia pojawił się księżyc, śledziła, jak wędruje po nieboskłonie. Sprawiała wrażenie dużej zasy śnieżnej i tylko owa płomyki, błyszczące jak topazy osadzone poniżej brwi, wskazywały miejsce, gdzie znajdują się oczy.

Później, tak jak poprzednio, zaczęła się zastanawiać, czy to naprawdę samo serce dżungli Kaniburrha. Przypuszczała, że nie opuściła granic lasu, lecz żadne; pewności mieć nie mogła.

Na jakiego zwierza polowała?

Niebo rozciągało się, tam gdzie dawniej kończyły się górskie szczyty. Dziś góry już dawno się zapadły, uległy erozji, tworząc mocne i pewne fundamenty dla nowych budowli. Z zielonego południa wozono ziemie, by skalny szkielet pokrył się roślinnością. Nad całym obszarem wzniesiono przezroczystą kopułę, chroniącą Niebo przed polarnym chłodem oraz innymi niebezpieczeństwami. Klimat był umiarkowany, wschody i zachody słońca długie, także długie dni. Świeże powietrze, łagodnie ogrzane, sprawiało, że oddychanie tak w Mieście jak w dżungli było rozkoszą. Chociaż kopuła, osłaniająca cały obszar, była przezroczysta, monotonię błękitu rozmywały sztucznie wytwarzane obłoki. Z chmur padał deszcz, a opadami można było sterować, dowolnie je ograniczając w przestrzeni i w czasie. W ten sam sposób można było wywołać nawet opady śniegu, choć jak daleko pamięć bogów sięga, nigdy nikt tego nie próbował zrobić. W Niebie zawsze było lato.

W samym środku niebiańskiego lata stał Niebiański Gród-Miasto.

Miasto nie wyrosło tak, jak to działo się z ludzkimi osiedlami, na bazie portu czy w pobliżu żyznych terenów uprawnych, pastwisk, lasów bogatych w łowną zwierzynę, szlaków handlowych czy w pobliżu złóż mineralnych, które zawsze przyciągały człowieka. Niebiański Gród był tworem wyobraźni jego pierwszych mieszkańców. Nie wzrastał bynajmniej powoli i przypadkowo, jak to się zwykle działo, ot, jeden budynek, tam, drugi tu. ówdzie ulica, ani nie był przebudowywany, co zwykle miało miejsce z siedzibami ludzkimi, gdzie jedne budowle burzono, by zastąpić je nowszymi, tak że różne części miasta zrastały się przypadkowo i bez wyższego porządku, tworząc organizm nieregularny, bez wewnętrznej logiki. Nie. Zanim cokolwiek zbudowano, długo rozmyślano o pożytku płynącym z budowli, a pierwsi budowniczy oglądali na wszystkie strony każdy detal, każdą ozdobę, każdy tryb zawilej machinerii. Plany koordynował i wprowadzał w życie architekt, którego artyzm nie miał równych sobie. Wisznu-Zachowawca nosił wygląd Niebiańskiego Grodu w swym boskim umyśle aż do dnia, gdy dosiadł Ptaka Garudę, zakreślił Milowy Luk, spojrzął w dół - a wówczas całe Miasto zostało ujęte w kropelce potu na brwi boga. Tak zatem Niebo odszczepiło się od boskiego umysłu, a cały pomysł wspierały pragnienia towarzyszy Wisznu. Niebo było doskonałym przykładem

140
możliwości wyboru, a nie konieczności: zanurzone w dziczy wiecznych lodów, śniegu i skal, górujące nad czasem, osiadłe na Biegunie Świata, stanowiło siedzibę istot potężnych i możnych - tylko one były Nieba godne.

(Na jakiego zwierza polowała?)

Pod kopułą niebieską, nieopodal Niebiańskiego Grodu, strzelały w górę drzewa wielkiej puszczy, zwanej Kaniburrha. Wisznu w swej nieskończonej mądrości postanowił zachować równowagę między metropolią a obszarami dziczy. Tereny nieskażonej natury powinny istnieć niezależnie od Miasta, bowiem jego mieszkańcy potrzebowali czegoś więcej niż tylko wymyślnego piękna geometrycznie zaplanowanych ogrodów. Nawet gdyby cały świat dał się zurbanizować na wzór Grodu, rozmyślał Wisznu, bogowie z pewnością obróciliby część Miasta w dzicz, ponieważ jest w nich coś, co każe położyć kres porządkowi cywilizacji, a ta granica stanowi początek chaosu. Dlatego w umyśle Wisznu wyłoniły się wizje puszczy, szmer strumieni, zapach roślin i słodki odór gnicia, w jego wyborach rozległy się krzyki niezliczonych zwierząt, mieszkających w cieniu drzew, których liście obmywały deszcze, których gałęziami kołysał wiatr, które rosły, waliły się na ziemię pod naporem starości i znowu rosły.

Dzicz dochodziła do granicy miasta. Dalej nie mogła się posunąć - taki był zakaz Wisznu. Natura kończyła się dokładnie tam, gdzie brało początek Miasto.

Wśród stworzeń zamieszkujących dżunglę było wiele drapieżników. Te nie znały żadnych ograniczeń ani zakazów, chodziły tam, gdzie chciały i dokąd zaprowadził je zmysł myśliwski. Królowały wśród nich dwa białe tygrysy. Ale bogowie postanowili, że te wytwory umysłu Pana Wisznu nie mogą spojrzeć na Niebiański Gród, miały więc wpisany ten zakaz w system nerwowy, tę zwłaszcza jego część, która zawiadywała wzrokiem. W ich zwierzęcych mózgach cały świat był zatem jedną wielką puszcza, nawet wówczas, gdy przechadzały się ulicami Niebios, które dla nich były zaledwie jednym z wielu szlaków myśliwskich. Kiedy bogowie głaskali je po sierści, zdawało im się, że to wiatr liże ich białe turo, gdy wspinały się po schodach, miały wrażenie, że chodzą po skalach, budowle były dla nich urwiskami, a posągi jawiły się im jako drzewa. Przechodniów nie widziały.

Gdyby któryś z mieszkańców Miasta wszedł do prawdziwej dżungli, równowaga dzikości i cywilizacji zostałaaby spełniona w sposób doskonały - tygrys i bóg zaistnieli na tym samym poziomie egzystencji.

Znowu zakaszła, jak już nieraz przedtem, a wiatr polizał jej śnieżnobiałe futro. Była fantomem i już od trzech dni grasowała po Kaniburrha, zabijając i jedząc surowe, czerwone mięso, rykiem obwieszczając, że jest tygrysem, liżąc swą gęstą sierść szerokim różowym językiem, czując deszcz, który moczy jej grzbiet. Krople deszczu spadały z liści wysokich paproci, a na paprocie spadały z chmur, a te - co dziwne - zbierały się w jednym miejscu, w samym środku nieba. Poprzedniej nocy sparzyła się z wielkim, ognistym kotem, który zacisnąwszy kły na jej karku wprawił oboje w wielkie uniesienie zapachem świeżej krwi. Gdy nadszedł chłodny brzask, mrucała, patrząc na trzy księżyce - złoty, srebrny i ciemny- migotliwe niczym ogniki w jej oczach. Siedziała na skale, liżąc łapy i ciągle nie mogła sobie przypomnieć, na jakiego zwierza polowała.

141

Lakszmi leżała z Kubera w Ogrodzie Lokapalów, z czwartym rządcą świata, leżała na pachnącym łożu, obok basenu, gdzie pływały Apsarasy. Trzej inni Lokapale byli tego wieczoru nieobecni... Apsarasy, chichocząc, spryskały łożo perfumowaną wodą, a pan Kryszna wybrał tę chwilę, by zadać w kobzę. Dziewczęta zostawiły więc w spokoju Kubere-Tłustego i Lakszmi-Miłą, wsparty się łokciami o cembrowinę basenu, po czym spojrzwały tam, gdzie pod kwitnącym drzewem leżał Kryszna-Ciemnoskóry, rozłożony wygodnie między bukłakami z winem, wśród resztek jedzenia, pozostałego z kilku posiłków.

Pan Kryszna grał, przebiegając w górę i w dół skali, wydobywając długi, zawodzący dźwięk, po którym nastąpiła seria koźlich beków. Guari-Piękna, z którą nago spędził miłą godzinkę, a którą potem najwidoczniej zapomniał, pojawiła się nagle gdzieś u jego boku, wskoczyła do basenu by zniknąć w jednej z podwodnych grot. Kryszna czknał, zaczął grać jakąś melodie, przerwał, by podjąć inną.

- To prawda, co mówią o Kali? - spytała Lakszmi.

- A co mówią? - mruknął Kubera, sięgając po puchar somy.

Wyjęła puchar z jego dłoni. Upiła łyk napoju i oddała go z powrotem w jego ręce. Kubra opróżnił naczynie do dna, a gdy odstawił puchar na tacę, służący napelnił go po brzegi.

- Ze chce uświetnić uroczystość swych zaślubin ofiarą z człowieka...

- Całkiem być może - zgodził się.-To przypominałoby ojej przeszłości...

co za krwiożercza suka... Zawsze na weekend przemienia się w jakieś drapieżne zwierzę. Kiedyś pod postacią ognistej samicy przejechała Sitali pazurami po twarzy... zemsta za to, że Sitala miała długi język.

- Kiedy to było? - zainteresowała się Lakszmi.

- Hm... - Kubera pogrążył się w zadumie. - Jedenaście awatarów temu.

Sitala musiała nosić woalkę aż do czasu, gdy jej nowe ciało było już gotowe.

- Dziwna para - szepnęła Lakszmi, jak zwykle gdy plotkowała. - Twój przyjaciel Jama to, zdaje się, jedyny mężczyzna, który jest w stanie z nią wytrzymać. Bo wyobraźmy sobie, że nagle coś by ją ugryzło i spojrzalaby na kochanka krzywym okiem... Któż inny zniósłby jej śmiercionośne spojrzenie?

- Nie kpj, moja droga - obejrzał się za siebie Kubera. - W ten sposób z powodu zbyt kąśliwych dowcipów straciliśmy Kartikeję, Pana Bitew.

- O!?!...

- A tak - pokiwał głową bóg. - To straszna baba, niczym Jama, choć

niecałkiem jak on. Jarna jest Bogiem Śmierci, to prawda, lecz on zabija szybko, a jego robota zawsze odznacza się precyzją i czystością. Tymczasem Kali ma naturę kota.

- Czy Jama kiedykolwiek mówi o swej fascynacji?

- Przyszłaś tu rozsiewać plotki czy zbierać wiadomości? - roześmiał się Kubera.

- I jedno, i drugie - odparta z powagą na twarzy.

W tej samej chwili Krysna wzniósł swój Aspekt, podniósł Atrybut boskiego pijaństwa. Z jego kobzy wyrwała się melodia przesycona goryczą i mrokiem, zaraźliwą radością i słodyczą. Upojne dźwięki rozniosły się po ogrodzie, siejąc na przemian melancholię i nastrój zabawy, Krysna zerwał się na równe nogi

142

...a miał je gibkie, zwinne i ciemne, jak całe ciało - poczym ruszył w tan. Jego twarz nie zdradzała jednak żadnego uczucia. Jego mokre, ciemne włosy kładły się grubymi pierścieniami, a gdy wirował, tworzyły wokół głowy koronę. Nawet broda układała mu się w te same kształty. Gdy zaczął tańczyć, Asparasy wyszły z basenu by dołączyć do korowodu. Dźwięki kobzy przywoływały z zapomnienia repertuar pradawnych pieśni, tempo ciągle rosło, coraz bardziej gorączkowe, aż wybuchły Rasa-Lilą - Tańcem Rozkoszy. Świata Pana Krysny wiernie mu towarzyszyła, obracając się z rękoma na biodrach aż do momentu, gdy zawrotna szybkość ruchów zdoła się niedostrzeżona.

Kubera przywarł do Lakszmi.

- Teraz tam mamy Atrybut - rzekła, wskazując głową na wirujący orszak.

Rudra-Srogi zwoinił cięciwę, a wówczas strzała zerwała się z łuku, coraz bardziej nabierała szybkości, by w końcu uderzyć w sam środek dalekiej tarczy.

Pan Murugan, stojący u jego boku, chrząknął i opuścił łuk.

- Znowu wygrałeś - powiedział, patrząc w ziemię. - Nigdy nie będę tak strzelał.

Odłożyli łuki. Ruszyli w stronę tarczy, po strzały.

- Spotkałeś go? - spytał Murugan.

- Znam go już od dawna - odrzekł Rudra.

- Akceleracjomsta?

-- Wówczas jeszcze nim nie był... Z politycznego punktu widzenia nie mtai żadnego znaczenia... - mówił Rudra, powoli odmierzając zdania i kroki. - Był natomiast jednym z Pierwszych, tych, którzy patrzyli na Urath.

- Czyżby? - Murugan obrzucił rozmówcę bystrym spojrzeniem.

- Owszem - kiwnął głową Rudra. - Wyróżnił się w wojnie przeciwko

Ludowi Morza i Matkom Straszego Płomienia... - w tym miejscu uczynił ręką jakiś znak. - Później - ciągnął dalej - przypomniano sobie o tym i powierzono mu północne marsze podczas wojny z demonami. W owych dniach zwano go Kał kin, aż w końcu doszło do tego, że był znany jako Żaki inaczej. Podniósł Atrybut, który uczynił go potężnym w zwalczaniu demonów. W ten sposób zniszczył większość Jakszów. a Rakasze uwięził w zakłęciu. Gdy Kali i Jama pojмали go w Piekielnej Studni, właśnie był w trakcie uwalniania tych ostatnich. W ten sposób Rakasze znowu zagrozili światu.

- Czemu to zrobił?

- Jama i Agni twierdzą, że zawarł pakt z ich przywódcą - wyjaśnił Rudra.

- Podejrzewają, że wypożyczył ich wodzowi ciało w zamian za obietnicę pomocy w walce przeciwko nam.

Murugan drgnął. - Możemy się spodziewać ataku?

- Wątpię - wzruszył ramionami Rudra, a w jego głosie wyraźnie zabrzmiała pogarda. - Jeśli nie dali rady tej czwórce w Piekielnej Studni, nie przypuszczam, żeby zdołali stawić czoła całemu Niebu. W dodatku Jama przebywa właśnie w Pustym Dworze Śmierci, przygotowując nowe rodzaje broni.

- A jego oblubienica?

143

- Kto to zgodnie? - wydał wargi Rudra. - I kogo to obchodzi?

Murugan wykrzywił się w porozumiewawczym uśmiechu.

- Myślałem dawniej, że byłeś dla niej kimś więcej niż przygodnym znajomym?

- Za zimna, zbyt złośliwa... - mruknął z niechęcią Rudra.

- Wygnała cię?

Zapytany zwrócił ku Bogu Młodości swą ciemną twarz, która nie знаła uśmiechu.

- Wy, bóstwa płodności, jesteście gorsze od marksistów - powiedział z jakąś melancholią w głosie. - Myślicie, że ta jedna rzecz, której patronujecie, wyczerpuje całą złożoność stosunków międzyludzkich. Owszem, przez pewien czas byliśmy przyjaciółmi, ale ponieważ Kali jest zbyt twarda... nawet dla przyjaciół... rozeszliśmy się, no i już.

- Ale wygnała cię?...

- Można to ująć i w ten sposób.

- No! - uśmiechnął się triumfalnie Pan Murugan. - Zaś kiedy wzięła za kochanka Morgana, tego, który jako architekt osiągnął wszystko, co architekt może osiągnąć, i gdy pewnego dnia Morgan wcielił się w ciało kawki i odleciał, ty rozpocząłeś wielkie polowanie na kawki. Przestałeś dopiero wtedy, gdy w Niebie nie było już chyba żadnej...

- Nie - przerwał mu Rudra. - Polowanie trwa.

- Ale dlaczego?

- Bo nie znoszę, jak kraczą.

- Zaprawdę... - pochylił głowę Bóg Młodości. - Zbyt chłodny, zbyt drwiący...

- Nie życzę sobie, by drwił ze mnie ktokolwiek - na ostatnie słowo Rudra położył szczególny nacisk. - A teraz pokaż, czy będziesz w stanie wyrwać z tarczy strzałę Rudry.

Murugan uśmiechnął się z całym wdziękiem młodości. - Nie - odpart.

- Ani żaden z Lokapalów nie dokona tej sztuki... bo zresztą i po co?

- Kiedy przybieram mój Aspekt - zaczął Rudra - gdy wznoszę mój wielki luk, ofiarowany mi przez samą Śmierć, wtedy mogę posłać strzałę do tarczy odległej o całą milę i skruszyć ją, niczym piorun.

Murugan przygryzł wargi. - Porozmawiajmy o czymś innym - zaproponował. - Zgaduję, że nasz gość to ten sam, który onegdaj niedopuszczalnie okpił PanaBrahmęw Maharatha i użył brom w świętym miejscu. Jak rozumiem, to ten sam osobnik, który założył religię pokoju i Oświecenia, mam rację?

- Tak.

- Ciekawe.

- Co?...

- Ciekawe, co robi teraz Brahma? - wyjaśnił Murugan.

Rudra wzrucił ramionami. - Jeden Brahma raczył wiedzieć - mruknął pod nosem.

W miejscu zwanym Zrządzeniem Świata, tam, gdzie budowle Miasta już nie sięgają, lecz jedynie odległa kopuła Niebios wznosi się wysoko, w miejscu, 144

gdzie nic nie było, gdzie rozciągało się płaskie pustkowie, zakryte prze oczami świata zasłoną szarobiałych mgieł, w miejscu tym stał Dom Ciszy, przykryty okrągłym, szarym dachem, którego nigdy nie obmyły strugi deszczu, którego balustrady i balkony rankiem skrywały gęste opary, a o zmierzchu targały wiatry, którego przestronne komnaty z rzadka tylko były umeblowane ciężkimi, ciemnymi sprzętami - w miejscu tym można było czasami spotkać bogów, siedzących na masywnych stołkach lub przechadzających się wśród kolumn, a także załamanych wojowników, nieszczęśliwych kochanków, którzy przychodzili tu na rozmyślania, którzy przychodzili, by ukoić swe bóle i roz-pamiętywać klęski, tu, pod kopułą nieba, nad którym górował Most Bogów, tu, gdzie było serce kamiennej pustyni, tu, gdzie barw było tylko kilka a jedynym dźwiękiem, dającym się słyszeć, był gwizd wiatru - tu, gdy minęły dni Pierwszych, zasiadali filozofowie i czarownicy, bazarze i magowie, samobójcy i asceci wolni od pragnienia powtórnych narodzin czy odmłodzenia; tu, w samym centrum miejsca skłaniającego do wyrzeczenia i rezygnacji, wycofania się z rzeczy ziemskich i odejścia ze świata, tutaj oto znajdowało się pięć pomieszczeń nazwanych imionami Pamięci, Strachu, Rozdartego Serca, Marnego Prochu i Rozpaczy; dom ten zbudował Kubera-Gruby, który choć nie miał powodu, by troszczyć się o podtrzymywanie tych uczuć, wznosił jednak tę konstrukcję na żądanie Kandi-Zapalczywej. zwanej niekiedy Durga lub Kali, albowiem on jeden spośród wszystkich bogów posiadał atrybut łączności ze

światem nieożywionym, toteż każdą pracę, której się podjął, napełniał uczuciem i namiętnością, żywo odczuwanymi przez tych, którzy potem korzystali z dzieł jego rzemiosła.

Siedzieli w pokoju zwanym Rozdarte Serce, pili somę i nigdy nie byli pijani. Dom Cizy pogrążył się w zmierzchu. Wiatry, krążące w Niebie, wiały ze wszystkich stron.

Siedzieli w czarnych opończach na czarnych stołkach, a jego ręce spoczywały na jej rękach, złożonych na stole, który stał między nimi, zaś horoskopy wszystkich ich dni krążyły wzdłuż granicy oddzielającej Niebios od nieba, I była cisza wokół, gdy strona po stronie odczyty wali historię minionych wieków.

- Sam - rzekła w końcu. - Czyżbyśmy nie byli bogami?

-• Tak - odparł.

- A za dawnych dni, gdy mieszkałeś jeszcze w Niebie... czy wtedy mnie kochałeś?

-• Doprawdy, nie pamiętam - powiedział. - To było tak dawno temu

- powieki ciężko opadły mu na oczy. - Oboje byliśmy wtedy inni... inni ludzie, inne umysły, inne ciała,.. Może ci dwoje, którzy wtedy żyli, także się kochali, kto wie? Ja nie pamiętam.

- Natomiast ja pamiętam brzask świata całkiem dobrze, jakby to było wczoraj... - szepnęła, rozmarzona. - Owe dni, gdy razem ruszaliśmy do walki, owe noce, gdy potrząsaliśmy gwiazdami, spadłymi ze świeżo namalowanego nieba! Świat był wówczas tak nowy, tak inny... za każdy kwiatem czaiło się niebezpieczeństwo, każdy wschód słońca był jak wybuch. Razem ruszyliśmy w świat, ty i ja, bo nic nas tu naprawdę nie trzymało, a wszystko dysku to wato nad naszym nadejściem. Nasze drogi prowadziły ziemią i morzami, walczyliśmy

145
pod wodą i w niebie, aż nic już nie pozostało, co mogłoby się nam sprzeciwić, wyróżnione i wypalone ze szczętem. Później powstały miasta i królestwa, a my wynosiliśmy na trony tych, których wybraliśmy, by sprawowali władzę, I rządili, lecz przestawali rządzić, gdy już nas nie bawili, a wtedy strącaliśmy ich z wyżyn, na które dzięki nam się wspięli. Cóż młodzi bogowie mogą wiedzieć o tych lalach? Jak mogą zrozumieć naturę mocy, którą posiadli my. Pierwsi?

- Nie mogą - rzekł z zamkniętymi oczami.

_ A ów czas, gdy utrzymywaliśmy dwór w nadmorskim pałacu - ciągnęła nieobecny głos - wtedy, gdy dałem ci wielu synów, zaś nasze drużyny wyprawiały się na podbój wysp... czy nie były to dni pełne szczęścia i wdzięku? A te noce, rozmigotane blaskiem pochodni, przesycone zapachem perfum i wina.., Czy mnie wtedy kochałeś?

- Sadzę, że tych dwoje darzyło się uczuciem miłości - kiwnął głową Sam.

- Tak, zapewne tak.

- Tych dwoje? - powtórzyła jakby z niedowierzaniem. - Przecież nie jesteśmy teraz na tyle inni, by mówić o nas z przeszłości jak o dwojgu zupełnie różnych ludzi. Nie zmieniliśmy się tak bardzo. Choć wieki mijają, są przecież pewne rzeczy, które nie przemijają wraz z czasem, które nie ulegają zmianom, niezależnie od tego, ile razy zmieniło się ciało, niezależnie od ilości kochanków, niezależnie od piękna czy brzydoty, które przyjdzie nam widzieć lub czynić, niezależnie od myśli, jakie się nam myślą i ucuć, które nas przepęlniają. Człowiek sam stoi w centrum tych przemian... Stoi i czuwa.

- Otwórz więc owoc - odezwał się ciężkim szeptem mężczyzna. - Otwórz, a znajdziesz w nim ziarno. Czy to jest centrum? Otwórz ziarno, a nic w nim nie znajdziesz. Czy to jest centrum? Pan i Pani Bitew to dwie różne osoby, to już nie my, nie ci, którzy tu siedzą. Miło było znać tych dwoje, ale to już wszystko. Nic więcej nie pozostało.

- Opuścisz Niebo, bo już cię męczę, czy tak?

- Chcę zmienić punkt widzenia.

- Tutaj miały mi lata, które spędziłam nienawidząc cię za twe odejście

- mówiła patrząc w ścianę. - Tutaj mijał mi czas, gdy siedziałam w pokoju zwanym Rozpaczą, a byłam zbyt tchórzliwa, by opuścić to miejsce. Tutaj wreszcie mijał mi czas, gdy zapomniawszy, jak wyglądasz, wezwałam siedem Riszów, by przyniosły mi twój wizerunek, także patrząc na ciebie takiego, jakim byłeś w dniu odejścia, miałam złudzenie, iż znowu idziemy pod rękę. Innym razem zapragnęłam twej śmierci, lecz ty u miałeś przemienić kata w przyjaciela,

a mą nienawiść w przebaczenie. Czy to wszystko miałeś na myśli mówiąc, zenić już do mnie nie czujesz?

Podniósł na nią wzrok.

- Chciałem powiedzieć - rzekł, niemal nie poruszając wargami - że już cię nie kocham. Zapewne byłoby miło, gdyby choć jedna rzecz we Wszechświecie nie podlegała przemianom. Jeśli istnieje jakaś stała, to na pewno silniejsza jest niż miłość, lecz jeśli nawet rzecz taka istnieje, to ja nic o niej nie wiem.

- Ja się nie zmieniłam, Sarn.

Cisza.

- Zechciej przemyśleć, Pani, to wszystko, co powiedziałaś - z wysiłkiem uniósł dłoń. - Pomyśl, proszę, raz jeszcze o tym wszystkim, co tak usilnie chciałaś mi przypomnieć. Nie jestem tym mężczyzną, którego obraz zachowałaś w pamięci. Czasy, które wspominasz, to dni bitew i rzezi, i wtedy miałaś mężczyznę u swego boku. Dziś świat wszedł w erę pokoju, czasy mamy już łagodniejsze. Pragniesz powrotu epoki ognia i stali, pragniesz powrotu dawnych wieków. Myślisz o mężczyźnie i o sobie, lecz los tych dwojga już od wieków jest rozdzielony, ich los należy do przeszłości, która ożywia twój umysł, a wyobrażenia umysłu nazywasz miłością.

- Czegokolwiek bym nie nazywała miłością, to nie uległo zmianie! - krzyknęła, a jej krzyk zabrzmiał nienaturalnie w ciszy, w której nawet czas zwolnił bieg. - Te dni nie odeszły do przeszłości, lecz stanowią punkt stały Wszechświata! Wzywam cię, byś wrócił do mnie i dzielił mój los!

- A co z Panem Jamą?

- Co z Jamą? - prychnęła. - Miałeś już do czynienia z równymi mu.

a przecież żyją do dzisiaj.

- Zakładam więc, że skoro osoba Jamy cię nie interesuje, to wobec tego jego Aspekt przyciąga twą uwagę, czy nie tak?

Uśmiechnęła się, ukryta w cieniu. Wiatr powiał mocniej.

- Rzecz jasna, tak.

- O Pani. Pani, Pani, kiedyż o mnie zapomnisz? Idź i żyj razem z Jamą, bądź jego kochanką. Nasze dni już minęły, nie chcę ich wspominać. Było nam dobrze, ale to przeszłość. Przeszłość nie wróci. Jeśli istnieje czas stosowny do pewnych rzeczy, istnieje też kres wszystkiego. Teraz zaś mamy czas mnożenia dorobku rodzaju ludzkiego. To czas na szerzenie wiedzy, nie chwila na krzyżowanie szpad.

- Czy dla zdobycia tej wiedzy chcesz wydać wojnę Niebu? - poprawiła się na stołku. - Czy zamierzasz otworzyć Miasto i wydać na łup ludziom wszystkie jego bogactwa?

Westchnął.

- Wiesz dobrze, że tak.

- Wiec mamy coś, co nas łączy.

Westchnął.

Nie, Pani - westchnął. - Nie oszukuj samej siebie. Jesteś winna posłuszeństwo Niebu, ze światem nic cię nie łączy, dobrze o tym wiesz. Gdybym zamienił mój spokój na walkę u twego boku, może zdołałbym cię uszczęśliwić na jakiś czas. Lecz czy zwyciężę, czy przegram, obawiam się, że w końcu cię unieszczęśliwię, a gorycz twa będzie większa niż kiedykolwiek.

Wyprostowała się, dumnie wznosząc głowę.

Posłuchaj mnie, świętoszku o gołęmbim sercu, zamieszkujący gaj drzew o błękitnej korze i purpurowych liściach. To miło z twojej strony, że myślami wyprzedzasz uczucia Kali, lecz gdy o mnie chodzi, to lokuję me interesy tam, gdzie mi się podoba i nie zawdzięczam nikomu niczego, co posiadam. Mam to, co mi się podoba. Kali jest boginią przebiegłą i bardzo interesowną, nie zapominaj! Możliwe, że wszystko, co powiedziałaś, to prawda, a Kali, mówiąc, że cię kocha, skłamała. Niegodziwa i żądna walki, Kali zdążyła tam, gdzie

146

prowadzi ją zapach krwi. Zaś teraz czuje, że powinna przystąpić do akceieracjonistów. Masz coś przeciwko temu?

Nie tracił opanowania, lecz nadal siedział w bezruchu. Wiatr wiał, cienie lekko drżały, na dworze snuły się nad ziemią mgły.

- Uważaj, co mówisz, bogini - rzekł ty m samy m matowym głosem. - Któż

zgdnie, kto nas słucha?

- Nikt - rzuciła równie stanowczo, jak stanowczo wypowiedziała ostatnie

słowa. - Nikt, bowiem rzadko spokój tego miejsca zakłóca dźwięk mowy.

- Tym bardziej więc nasza rozmowa mogłaby kogoś zdziwić.

Przez dłuższy czas siedziała w bezruchu, milcząc. - Nikt - powtórzyła

wreszcie. - Nikt nas nie słyszy.

- Urosłaś w siłę.

- Owszem. A co u ciebie?

- Dziękuję, po staremu.

- Zechcesz więc przyjąć mój miecz, moje berło, mój łuk, na służbę akceleracjonizmu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo zbyt łatwo składasz obietnice. Łamiesz je później równie szybko, jak je składałaś i dlatego nie mam do ciebie zaufania. Jeśli ruszymy do walki i zwyciężymy w imieniu akceleracjonizmu, może to być ostatnia wielka bitwa stoczona na tym świecie. Nie wierzę, żebyś tego chciała. Raczej mam pewność, że nigdy do tego nie dopuścisz.

Roześmiała się.

- Jesteś głupcem, Sam, skoro wierzysz, że jakaś bitwa może być ostatnia, ponieważ ostania jest zawsze ta bitwa, która dopiero nastąpi. Czy mam ci się ukazać w bardziej powabnych kształtach, by przekonać cię, że mówię prawdę? Czy mam cię wziąć w uściski przybrawszy ciało, na którym pieczęć niewinności jest jeszcze nienaruszona? Czy dopiero w ten sposób zdołam cię przekonać?

- Wątpienie, o Pani, przesądza o niewinności umysłu i tą pieczęcią jest opieczętowany mój umysł, ale nie twój.

- Wiedz zatem - wykrzyknęła, zaciskając dłoń - że przyprowadziłam cię tutaj, by się nad tobą znęcać i że już jesteś skończony. Pluję na cały akceleracjonizm! Twe dni są policzone. Chciałam cię żywić fałszywą nadzieją, tak byś spadł z większej wysokości, lecz twoja głupota zdołała cię od tego uchronić.

- Przykro mi, Kali...

- Nie żądam od ciebie przeprosin! Owszem, mogłabym żądać od ciebie miłości, ale tylko po to, by użyć jej przeciwko tobie przy końcu twych dni, tak, ażeby był jeszcze cięższy, niż mu to sądzone. Ale, jak sam powiedziałeś, zbytnio się zmieniliśmy, a gdy o tym mowa, to nie jesteś już wart zachodu. Nie myśl sobie tylko, że nie potrafię cię w sobie rozkochać - dodała pospiesznie, z lekkim tupnięciem w miejsce akcentu. - Dawna żarliwość jeszcze cię całkiem nie opuściła, a rozdmuchać ten żar to dla mnie fraszka. Lecz nie jesteś już wart potęgi Śmierci, bowiem spadłszy z uniesień namiętności sięgnąłeś dna rozpacz. Nie mam już czasu dla ciebie, wystarczy mi tylko tyle, by wyrazić ci mą pogardę.

148

Zalśniły gwiazdy, ogniste i bez skazy; cofnęła swą dłoń spod jego dłoni, wypila dwie szklanki somy, by ogrzać się przeciwko chłodom nocy.

- Kali?

- Tak?

- Jeśli sprawi ci to jakąś satysfakcję - zaczął powoli - to przyznam, że nadal mnie interesujesz. Ale nie można nazwać tego miłością, żadne słowo zresztą nie nazwie tego uczucia, które jest poza wszelką nazwą. Dlatego lepiej nie szukać dla mego etykiety. Przyjmij je teraz ode mnie. odejdz i miej swe radości. Wiesz przecież, że pewnego dnia stanimy przeciwko sobie, tak, jak kiedyś razem ruszaliśmy przeciwko wspólnym wrogom. Niejeden raz zawieraliśmy kruche rozejmy. lecz czy było to warte bólu, który je poprzedzał? Wiedz zatem, że wygrałaś i że jesteś boginią, którą czczą... czyż bowiem kultury i religie nie są fuzją miłości i nienawiści, pożądania i strachu?

Wypili some w pokoju zwanym Rozdarte Serce, nad którym rozciągał się czar Kubery.

Mówiła Kali: - Czy mam rzucić się na ciebie, powiedzieć, że kłamałam mówiąc, że kłamię, ta K byś się roześmiał i powiedział, że i tym razem kłamię, ostatecznie dopełniając zemsty? Odejdz, Panie Siddhartho! Lepiej by było, gdyby jedno z nas poległo w Piekielnej Studni, bo wielka jest pycha Pierwszych. Nie powinniśmy się spotykać tutaj, w tym miejscu.

- Nie.
- Marny więc odejść?
- Nie,
- Przynajmniej w jednym się zgadzamy - westchnęła.
- Siedzmy zatem, czcząc jedno drugiego.
Położyła swą dłoń na jego rękę, delikatnie gładząc ją długimi palcami. - Sam?
- Tak?
- Chciałbyś się ze mną kochać?
- I w ten sposób przypieczętować ręką zgubę? - uśmiechnął się. - Jasne!
- W takim razie pójdźmy do pokoju zwanego Rozpaczą, gdzie wiatr tak nie hula i gdzie znajdziemy tapczan.
Ruszył za nią ze Złamanego Serca do Rozpaczy, czując, jak własne serce podchodzi mu do gardła, a gdy naga kładł ją na tapczan, gdy swą dłoń kładł na łagodnych krągłościach jej brzucha, pojął, że zaprawdę Kubera był najpotężniejszym z Lokapalów. bo przepełniło go bez reszty uczucie, któremu był ten pokój poświęcony, nawet wtedy, gdy poruszyły się w nim własne namiętności. Opało go nagle uczucie rozluźnienia, zaraz potem jakieś dławienie w gardle, opadły go westchnienia a w oczach zapiekły go ostatnie łzy...
~~ Czego pragniesz, Pani Majo?
- Opowiedz mi o akceleracjonizmie, Taku Archiwisto,
rak przeciągnął się z lubością, naprężając całe swe szczupłe ciało, tak że "o»". na którym siedział, przesunął się z trzaskiem do tyłu.
149

Za nim wszędzie siały pamięci banków danych, a co niektóre rzadkie nagrania wypełniały krążkami kolorowych zwojów, długie, wysokie regały przesycając powietrze ciężkim zapachem stęchlizny. Zmierzył wzrokiem kobietę, która przed nim stała, uśmiechnął się i potrząsnął głową. Ubrana na zielono, szczupła, już na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie niecierplivej. Miała jaskraworude włosy, a piegi, które upstrzyły jej nos, osiadły też na półkolach policzków. Szeroka w biodrach, z szerokimi ramionami, szczupłą talią nadrabiała tendencje do tycia, tak że całe ciało wystawiało swym wyglądem dobre świadectwo narzuconej sobie dyscyplinie.

- Czemu tak potrząsasz głową? - spytała spiesźnie. - Przecież każdy przychodzi do ciebie po informacje.
- Jesteś jeszcze bardzo młoda, Pani - odparł, gładząc się po brodzie. Masz za sobą, jeśli się nie mylę, dopiero trzy awatary. W tym miejscu swej kariery nie powinnaś, jak sądzę, domagać się wiedzy, której posiadanie sprawi, że twe i moje trafi na specjalną listę młodych bogów wyróżniających się tym, iż szukają nie tego, co powinni.

- Listę?

- Listę, nie przesłyszałaś się, Pani - pokiwał głową z godnością.

- Dlaczego istnieje podobna lista?

Tak wzruszył ramionami. - Bogowie zbierają różne dziwne rzeczy, trudno się dziwić, że niektórzy kolekcjonują listy,

- Zawsze słyszałam, że akceleracjonizm to zupełnie wymarła doktryna...

- Skąd więc to nagle zainteresowanie archeologią?...

Roześmiała się, wbijając przenikliwe spojrzenie swych zielonych oczu w jego szare źrenice.

Ściany Archiwum rozstały się nagle, jakby zmiecione potężną eksplozją, a on stał w sali balowej, w połowie drogi do Milowego Luku. Była noc, lecz tak późna, że przechodziła już w świt. Zabawa niewątpliwie zaczęła się już jakiś czas temu, lecz tłum otaczających go gości przesunął się w róg sali. Pochylali się ku sobie, pogrążeni w rozmowach, siedzieli lub leżeli, lecz wszyscy przysłuchiwali się temu, co bardzo ochryplym głosem mówił niski człowiek o ciemnej karnacji skóry, stojący u boku Kali. Był to Sam Wielkoduszny, Budda, który właśnie przybył otoczony strażą. Mówił o buddyzmie i akceleracjonizmie, o dniach Zakłęcia, o Piekielnej Studni i o błuznierstwach Pana Siddharthy, wygłoszonych w mieście Maharatha- nadmorskim porcie na południu. Mówił, a jego głos rozlewał się falami, hipnotyzując słuchaczy, promieniując jakąś niezwykłą siłą, stwarzając wrażenie zażyłości i ciepła, a jego słowa wypełniały

całą salę, odbijały się od ścian i wracały, aż w końcu ludzie zaczęli tracić świadomość, upadli na ziemię, kładli się wokół niego, który stał i mówił. Wszystkie kobiety stały się nagle brzydkie, z wyjątkiem Maji, która zachichotała, klasnęła w dłonie, a wtedy Archiwum wróciło na swoje miejsce, Tak na swój fotel, a uśmiech na usta Taka.

- Dlaczego zatem interesujesz się archeologią? - powtórzył swe pytanie.

- To zwrot w stronę śmierci!..,

- On nie żyje! - krzyknęła z pasją. ,

150 :

_ Nie?... - zdziwił się Tak. - Czyżby?... Pani Majo, on był już trupem w chwili, gdy jego stopy dotknęły ziemi Niebiańskiego Grodu. Zapomnij go, zapomnij jego słowa, żyj tak, jakby nigdy nie istniał. Niech w twym umyśle nie będzie po nim nawet śladu. Pewnego dnia zapragniesz odnowy ciała... wiedz zatem, że Mistrzowie Karmy tropią każdy jego ślad, szukają go we wszystkich umysłach, które przewijają się przez Dwór Karmy. W oczach bogów Budda j jego słowa to obrzydliwość, którą tępi się ogniem.

_ Ale dlaczego? - spytała, nie rozumiejąc.

- Ponieważ jest podkładającym bomby anarchistą, długowłosym, brudnym rewolucjonistą, siejącym zamęt i zgorszenie. Jego największym pragnieniem jest, by Niebo przestało istnieć. Jeśli pragniesz dowiedzieć się czegoś więcej z naukowego punktu widzenia, muszę odwołać się do pomocy maszyn. Czy zechcesz mi podpisać upoważnienie?

- Nie...

- Wobec tego wygnaj wszystkie te myśli ze swego umysłu i zatrzaśnij za nimi drzwi...

Na jej twarzy odmalowało się wahanie.

- Czy on jest naprawdę zły?

- Gorzej..,

- W taki m razie - zaczęła niepewnie - dlaczego mówiąc o nim i o tym, co z nim związane, ciągle się uśmiechasz?

- Ponieważ nie jestem osotaą chorą na śmiertelną powagę i w ogóle nie należy traktować m nie serio - uśmiechnął się. - Lecz to, jak mówię, nie ma nic wspólnego z treścią informacji, to dwie zupełnie różne sprawy.

Z jej miny widać było, że nieprędko rła mu spokój. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś wszystko o nim wiedział - powiedziała lekko nadąsana. - Czy mam rozumieć, że Archiwiści są odporni na herezje, a ich imiona nie dostają się na iisty bluźnierców?

- Wręcz przeciwnie - pokręcił głową. - Moje imię otwiera cały wykaz, lecz nie dlatego bynajmniej, że jestem Archiwista... On jest moim ojcem.

- On? - uniosła brwi. - Twoim ojcem?

- Tak, chociaż wątpię, by był tego świadomy. Czymże jest bowiem ojcostwo dla bogów, zamieszkujących jedno ciało po drugim, płodzących całe armie potomków, którzy z kolei także zmieniają ciała cztery., pięć razy w stuleciu? Jestem jego synem z ciała, które kiedyś zamieszkiwał, zrodzony jestem przez kobietę, która także miała ich kilka, a i ja nie żyję już w ciele, w którym się narodziłem. Jak widzisz, relacje między nimi a mną, między nami wszystkimi, są niemal nieuchwytnie, zaś dochodzenie stopnia i rodzaju pokrewieństwa to świetny przedmiot spekulacji metafizycznych. Kimże jest mój prawdziwy ojciec? Może to tylko okoliczności, które sprawiły, że doszło do zapłodnienia? Czy jest zgodne z prawdą, że z pewnego powodu, w określonym momencie dwa różne ciała doprowadziły do powstania trzeciego, wybierając je z nieskończonej wielkiej ilości różnych możliwych ciał? Jeśli tak, to dlaczego? Czy w grę wchodzi zwykła żądza, ciekawość, a może wola? A może było to coś całkiem innego, jak choćby współczucie czy pragnienie przeciwdziałania samotności, albo na przykład chęć dominacji nad kimś innym? Jakie uczucie lub jaka myśl

151

była ojcem ciała, w którym po raz pierwszy objawiłem się w świecie świadomego istnienia? Wiem, że człowiek, który zamieszkiwał ciało ojca w danym momencie czasu, jest osobistością potężną i nader skomplikowaną. Chromosomy niewiele tu znaczą, bo jeśli już żyjemy, to posuwamy się w dół czasu, nie przy wiążu jąc znaczenia do tych determinant. W ostateczności niczego przecież nie posiadamy, choć niekiedy przez jakiś czas dysponujemy czymś, co

uwazamy za własne, majątkiem lub gotówką. Same ciała znaczą tak niewiele, że daleko bardziej interesujące by było zastanowić się, jakie procesy mentalne musiały zaistnieć, by wyrwać nas z chaosu. Cieszę się, że to akurat on, a nie ktoś inny wezwał m nie do życia i często wydaje mi się, że właśnie w nim powinienem szukać wszystkich przyczyn mego istnienia... Ale widzę, że zarumieniłaś się, Pani. Nie, nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie tą gadaniną starca, chciałem po prostu jedynie nieco zaspokoić twą ciekawość i przekazać ci przynajmniej część wiedzy, którą my, starzy już wiekiem, zdołaliśmy osiągnąć w tej materii... tak w każdym razie myślimy. Jestem pewny, że pewnego dnia także ty ujrzysz te sprawy w podobnym świetle, choć przykro mi, że w tej chwili wprawiam cię w zakłopotanie. Usiądź, proszę. Wybacz staremu, że plecie od rzeczy. Jesteś Panią Złudzeń, zatem wszystko, co usłyszałaś, ma wiele wspólnego z twoją własną dziedziną, czy nie tak? Prawdopodobnie ze sposobu, w jaki ci o tym opowiadam, potrafisz wywnioskować, dlaczego moje imię znalazło się na liście jako pierwsze. Oto i przyczyna kultu herosów, jak sadzę... Tak, mój stwórca jest teraz jakby nieco inny... i znowu wyglądasz, jakbyście spłoszyła. Może chcesz się napić czegoś zimnego? Poczekaj, zaraz... O, już mam! Proszę, wypij to. A teraz, co do akceleratorystów... Cóż, to zwykła doktryna podziału dóbr. Proponuje się, aby Niebianie podzielili się z tymi, którzy zamieszkują dolne regiony świata, zarówno wiedzą, jak mocami i substancją. Ten akt miłosierdzia miałby podnieść na wyższy poziom egzystencję człowieka, który zacząłby wieść życie podobne naszemu. W ten sposób każdy człowiek stałby się bogiem, jak zapewne łatwo się domyślasz. Lec? w rezultacie nie byłoby już bogów, tylko ludzie. Dając im naszą wiedzę, dzieląc się z nimi naszymi wiadomościami i umiejętnościami wyrwalibyśmy ich z losu, który wiedzą, dając im podstawy do nadziei, że może być lepiej... ale tym samym zniszczylibyśmy też nadzieje i losy, który już teraz się spełniają, lub wkrótce będą się spełniać. Zastanów się, proszę: dlaczego mielibyśmy przykładąć rękę do dzieła zbiorowego ubóstwienia ludzkości, jak chcieliby tego akceleratorystów, skoro i tak zapewniamy ludziom osiągnięcie boskości. Tyle że indywidualnie, o ile człowiek na nią zasłuży? W wieku lat sześćdziesięciu ludzie przechodzą przez Dwory Karmy, gdzie podlegają osądowi. Jeśli człowiek żył dobrze, zachowywał nakazy i zakazy, właściwie swej kaście, odpłacał Niebu należnym mu szacunkiem, podnosił swój poziom intelektualny, doskonalił się moralnie, w następnym życiu znajdzie się w wyższej kascie, albo nawet dostąpi ubóstwienia i przyjdzie tu, by zamieszkać w Niebie. W ostatecznym rozrachunku każdy może to osiągnąć, lecz tylko na deser... wyłączając, rzecz jasna, pomyłki, które się zdarzają... i tylko jako indywidualum, nie jako zbiorowość. Z kolei akceleratorystów życzyliby sobie, aby to społeczeństwo zostało ubóstwione w całości, w jednej chwili, nie wyłączając tych, którzy nie są jeszcze gotowi. Ja¹

152

widzisz, te pragnienia nie mogą być uznane za słuszne, stawianie podobnych żądań było wobec nas nietaktem, że nie wspomnę już o proletariackim rodowodzie tych mrzonek. Tym, czego naprawdę żądali akceleratorystów, było obniżenie wymagań stawianych każdemu, kto pragnie boskości. Ich żądania należało odrzucić, a wszelkie tego rodzaju myśli wyplenić z korzeniami. Bo zastanów się: czy byłabyś w stanie obdarzyć mocą Siwy, Jamy czy Agni jakiegoś niedojrzałego brzdąca? Zakładając, że nie postradałaś rozumu, możemy uznać, że nigdy nie pszyślaby ci to do głowy. Tym bardziej zapewne nie chciałabyś się obudzić pewnego ranka, spojrzeć przez okno i przekonać się, że świat nie istnieje, a do tego doprowadziłaby polityka akceleratorystów. Dlatego trzeba ich było powstrzymać... Tak, teraz już wiesz wszystko, co chciałaś wiedzieć... Ależ drogie dziecko, jak ty się tym przejęłaś, cała poczerwieniłaś... Jakie gorące czoło! Zaraz dostaniesz do picia coś zimnego. Zdejmij płaszcz, powieszę na wieszaku, o tu... Świetnie... Na czym to skończyliśmy? Aha... akceleratorystów zaprzeczali słuszności wszystkich naszych obaw, j glosili, że system kastowy jest skorumpowany. Nie stronili od oszczerstw, byleby tylko dowieść nieuczciwości tych, którzy decydowali o przyszłym wcieleniu. Dało się nawet słyszeć, że Niebem trzęsie klika nieśmiertelnych arystokratów, aroganckich hedonistów, którzy trawią wieczność na zabawie ze światem. Inni znowu ośmielali się twierdzić, że najlepsi spośród ludzi nigdy nie osiągną boskości, lecz ostatecznie i na zawsze umierają prawdziwą śmiercią lub dobrowolnie

wcielają się w niższą formę życia. Inni jeszcze głosili, że tacy jak ty wybrali boskość, ponieważ w swej pierwotnej formie i postaci zostali porażeni wizją wiecznego życia w rozpuście i ulegli jej, zamiast doskonalić w sobie zaczątki cnót, które w nich kiełkowały... Co ci to, gołąbeczko? Cała jesteś w pąsach... Tak, przerażające doprawdy bezceństwa głosili przekłęci bezbożnicy. Wstydę się o tym mówić, lecz ojciec mego ducha został oskarżony o rozsiewanie tych kłamstw wśród ludzi. Cóż więc mogę począć, obciążony takim dziedzictwem? Dziwić się... to jedno mi pozostaje. Mój ojciec, obiegłszy wiele cłków żywota, jest zarazem przywódcą ostatniej wielkiej schizmy wśród bogów. A chociaż zły i pełen grzechu, ma u mnie synowski respekt, którym go darzę tak, jak dawniej synowie czcili twórców swych pierwodanych ciał... Zimno ci?... Tutaj, pozwól mi... Tak, dobrze... już dobrze... dobrze... dobrze... Chodź, rozsnuj swą sieć iluzji, miła ma, pozwól nam cieszyć się złudzeniem, że żyjemy w świecie wolnym od szaleństw... Teraz tędy... Zawróć... Niechaj w tym bunkrze wzrośnie nowy eden, moja ty o brzoskiwniowych wargach, zielonooka... Co to?... Czym jest ta wzniosłość, którą czuję?... Prawda, moja droga, prawda i szczerść... i pragnienie dzielenia się...

Ganesza-Bogotwórca przemierzał z Siwą puszcze Kahiburra.

- Panie Zagłady - odezwał się, patrząc na swego towarzysza drogi. - Jak rozumiem, chcesz właśnie wydać walkę wszystkim, którzy traktują słowa Siddharthy inaczej niż na to zasługują i nie zbywają ich zakłopotanym uśmiechem.

- Oczywiście - odparł Siwa.

153

- W ten sposób zniszczysz wszystko, co osiągnął.

- "Osiągnął"? - Siwa popatrzył nań ze zdziwieniem. - Co masz namyśli?!

- Najpierw upoluj dla mnie ptaka siedzącego na lej limbie.

Siwa skierował swój trójząb w kierunku limby i ptak upadł na ziemię.

- A teraz zabij dla mnie jego samiczkę.

- Nie widzę żadnej samiczki.

- W takim razie zabij któregoś z jego stada.

- Ale tu nie ma stada! - zirytował się Pan Zagłady,

- Nie możesz zabić samiczki, bo jej tu nie ma - wyjaśnił Ganesza. - Nie możesz zabić stada, bo się rozpięchło, a wszystko dlatego, że jako pierwszego zabiłeś samca. Jeśli chcesz, zabijaj najpierw tych, którzy słuchają słów Sirjdharthy.

- Zgaduję, co masz na myśli - roześmiał się Siwa, - Siddhartha powinien mieć przez pewien czas swobodę działania, to jasne... Przez pewien czas.

Ganesza-Bogotwórca potoczył wzrokiem po dżungli. Choć przemierzał włości kota-zjawy, nie bał się, że go zaatakuje, miał bowiem u swego boku Pana Chaosu, a Trójząb Zagłady był wystarczająco skuteczną bronią.

Wisznu Wisznu Wisznu patrzył patrzył patrzył na na na Pana Pana Pana Brahmę Brahmę Brahmę...

Siedzieli we Dworze Zwierciadeł.

Brahma miał długą mowę o *Z Ośmiu Części Złożone/ Ścieżce* i o chwale nirwany.

Po trzech papierosach Wisznu odważył się chrząknąć.

- Tak, Panie? - Brahma zwrócił na niego spojrzenie.

- Dlaczego, że ośmielę się zapytać, ten buddysta ciągle naucza?

- A nie uważasz, że to, co mówi, jest fascynujące?

- Niespecjalnie - skrzywił się Wisznu,

- Ty obłudniku!

- Co, proszę?

- Nauczyciel jako ostatni powinien okazywać znudzenie przedmiotem własnego nauczania.

- Nauczyciel?... - powtórzył Wisznu, - Nauczanie?...

- Rzecz jasna, Tathagata - roześmiał się Brahma. - Jakże inaczej mogłoby się zdarzyć, by Wisznu wcielił się wśród ludzi, niż tylko w tym przypadku, że Tathagata podszedł pod niego i nauczał Drogi Oświecenia?

- Ja?...

- Czołem, reformatorze! - kiwnął głową Brahma. - Witaj ty, kton oddaliłeś od ludzi strach przed prawdziwą śmiercią. Ci spośród nich, którzy nie

narodzili się w kolejnym życiu, przechodzą teraz rJó nirwany.
Wisznó wykrzywił wargi w uśmiechu. - Pewnie - wzruszył ramionami
- Nie przeczę, że wygodniej wcielić się w następnym żywocie, niż walczyć
o ostateczne wygaśnięcie. Co ty na to? '
- Epigramat.

Brahma wstał, spojrział w lustro, spojrział na Wisznó.

154

_ Po tym, jak pozbyliśmy się Sama, pozostaje mi przypuszczać, że jesteś prawdziwym Tathagatą.

- A w jaki sposób zdołaliśmy się go pozbyć?

- Jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji... - mruknął Brahma. - Chętnie rozważę twe propozycje.

- Czy mogę zasugerować, by wcielić go w ciało kawki?

- Możesz - pokiwał głową Brahma. - Ale potem ktoś inny może zapragnąć, by kawka stała się człowiekiem... Czuję, że Sam nie stracił jeszcze wszystkich przyjaciół.

- Nie ma sprawy, jest dość czasu na roztrząsanie tego problemu - Wisznó klepnął się z uciechy w udo. - Po co się spieszyć, skoro Sam znajduje się pod strażą Nieba? Przekażę ci me sugestie w tej sprawie, gdy tylko przyjdzie mi coś co głowy.

- To, co już usłyszałem, na razie mi wystarczy.

Potem potem potem wyszli wyszli wyszli z Dworu z Dworu z Dworu
Zwierciadeł Zwierciadeł Zwierciadeł.

Wisznó opuścił Ogród Radości Brahmy, a gdy tylko furka się za nim zamknęła, weszła Pani Śmierci. Dotknęła ośmioramiennego posągu z *veena*.

Rozległa się muzyka,

Słyszając grę na *veena*, Brahma ruszył w stronę, skąd dobiegły go dźwięki.

- Kali! - wyrwał mu się zduszony okrzyk. - Piękna Kali...

- Potężny jest Brahma - powitała go stosowną formułą.

- O, tak - zgodził się ten, do którego odnosiły się owe słowa. - Tak potężny, jak to wskazane, niemniej i nie więcej. Jakże miło widzieć cię tutaj, tym milej, im rzadziej się tu pojawiaasz. Chodź, pospacerujemy, spacer służy rozmowie. Jak pięknie wyglądasz...

- Dziękuję.

Szli wzdłuż ukwieconych alei. - Jak przygotowania do ślubu?

- W porządku.

- Miesiąc miodowy spędzacie w Niebie?

- Nie. Mamy zamiar wyjechać, i to daleko.

- Dokąd, jeśli wolno wiedzieć?

- Jeszcze nie zdążyliśmy ustalić.

- To spieszcie się - zawołał śpiewnym głosem Brahma. - Spieszcie się, bo czas przemija jak na skrzydłach kawki. Kochanie, jeśli chcesz, ty i Pan Jama możecie zamieszkać w moim Ogródzie Radości.

- Dziękuję, Stwórco - kiwnęła głową. - To doprawdy zbyt wielki honor jak dla nas. Nie uważam też za stosowne, by Śmierć spędzała czas beczynnienie...

Wyjędziemy gdzieś, to pewne.

- Jak sobie życzysz - wzruszył ramionami. - Jakie jeszcze myśli cię trapią?

Wbiła wzrok w ziemię, jakby licząc białe kamyki, którymi wysypana była ścieżka.

- Co z tym, którego zwano Buddą?

- 2 Samem? - zdziwił się Brahma, - Z twym dawnym kochankiem?

Naprawdę cię to interesuje? - nie mógł ukryć zdziwienia. - A co chcesz wiedzieć?

155

- Jaki go czeka los - mruknęła.

- Jego los... jeszcze nie postanowiłem. Siwa doradza, by odczekać czas jakiś, zanim cokolwiek się zadecyduje, w ten sposób dowiemy się, jaki wpływ wywiera jego obecność na wspólnotę Niebian. Co do Wisznó, postanowiłem, że zostanie Buddą i zastąpi go na tym miejscu... względy natury historycznej oraz teologicznej wymusiły na mnie ten krok. Jeśli zaś chodzi o Sama, jestem otwarty na wszelkie rozsądne sugestie.

- Czyż nie proponowałeś mu onegdaj boskość?
- Owszem, ale ją odrzucił.
Spojrzała mu prosto w oczy.
- A gdybyś ponowił ofertę?
- Po co? - wydał wargi.
- Cały nasz kłopot nigdy by nie zaistniał - rzekła Kał i - gdybyśmy nie mieli do czynienia z nadzwyczaj utalentowaną jednostką. Może więc wziąć pod uwagę i to, że talenty czynią go drogocenną ozdobą naszego pantheonu.
- Tak też i ja uważam - rozpromienił się Brahrna. - I jestem pewien, że tym razem się zgodzi, niezależnie od swych wcześniejszych planów. Chyba chciałby jeszcze nieco pożyć...
- Istnieją sposoby upewnienia się w lej materii - uśmiechnęła się przebiegle.
- Na przykład?..,
- Psychopróba.
- A jeśli okaże się, że nie czuje silnych związków z Niebem... co wtedy?
- Czy nie moglibyśmy po prostu zmienić mu umysłu... Pan Mara świetnie by to załatwił.
Twarz Brahmy zdradzała, jak bardzo zaskoczyły go jej słowa.
- Nigdy nie przypuszczałem, że dajesz się ponosić kłiwym uczuciom, bogini... - rzekł z zachmurzonym czołem. - Teraz jednak odnoszę wrażenie, że zależy ci na tym, by zachować Sama przy życiu i to obojętne, w jakiej formie.
- Może... - zacisnęła wargi.
- Lecz dobrze wiesz przecież - ciągnął dalej -- jak bardzo może go to zmienić... Jeśli zrobimy rzecz, którą proponujesz, może się okazać, iż mamy do czynienia z kimś zupełnie innym. Jego „talent”, jak zechciałaś to uiać, może go opuścić.
- 7- biegiem wieków wszyscy ludzie przechodzą przemiany, jest to proces naturalny... zmieniają poglądy, wierzenia, przekonania... Zdarza się, że jedna część umysłu zasypia a budzi się druga i odwrotnie, Talent, jak sadzę, niełatwo zniszczyć, niezależnie bowiem od form w których się przejawia, trwa, dopóki¹ trwa życie. Lepiej jest zatem żyć, nie umrzeć.
- Chętnie bym się o tym przekonał - powiedział Brahma. - Oczywiście o ile masz czas, moja najdroższa przyjaciółko.
- Ile chcesz czasu?
- Powiedzmy... trzy dni.
- Dobrze. Masz te trzy dni.
- Wobec tego udajmy się teraz do Pawilonu Radości - zaproponowała Brahma. - Tam przedyskutujemy tę sprawę w szczegółach. '
156
- W porządku.
Ruszyli w kierunku pawilonu. Przez chwilę szli w milczeniu, choć oboje mieli niejedno do powiedzenia. Ciszę przerwał Pan Brahma.
- Co z Panem Jamą? - zapytał w zakłopotaniu.
- Pracuje w laboratorium.
- Czasochłonna robota...
- Już tak od trzech dni.
- Współczuję ci, kochanie... No tak - westchnął przeciągle. - W każdym razie pozostaje nie tracić nadziei, gdy chodzi o Sama, Choć to właściwie sprzeczne z całą mą wiedzą, jestem jednak skory docenić wartość tego kaprysu... tak, moja droga, doceniam tę wartość.
Ośmioramienny, błękitny posąg bogini ciągle grał na *rcnu*. a muzyka docierała do każdego zakątka ogrodu, towarzyszyła im. gdy spacerowali wśród kwiatów, przesyłała każdą drobinę letniego powietrza
Helba mieszkała na peryferiach Nieba, tuż przy granicy z dziczą. Pałac zwany Grabież znajdował się tak blisko puszczy, że zwierzęta stałe podchodziły pod przezroczystą ścianę budowli, uderzając o szklany mur głowami. Z komnaty zwanej Gwałt można było oglądać cieniste ścieżki dżungli.
W tej właśnie komnacie, obwieszanej trofeami i zdobyczami z minionych żywotów, Helba podejmowała tego, który był znany jako Sam.
Helba była /był bogiem/ boginią złodziejstwa oraz wszystkich, którzy trudnią się tym fachem.
Nikt tak naprawdę nie znał prawdziwej płci tego bóstwa, bowiem w każdym

wcieleniu przyjmowała inna.

Sam spojrział na wysoka, ciemnoskórą kobietę w żółtym sari i w żółtym welonie na głowie. Nosiła sandały w kolorze cynamonu, cynamonową barwę miały też jej paznokcie.

- Cieszysz się moją sympatią - powiedziała Helba głosem łagodnym i mrukiwym. - Ale jedynie w tych okresach życia, gdy istnieję jako mężczyzna, trzymam mój Aspekt i biorę udział w rozbojach.

- Lecz teraz musisz się postarać o swój Aspekt, mimo że jesteś kobieta.

- W porządku.

- Myślisz, że zdołasz wznieść swój Atrybut?

- Być może.

- Aie tego nie zrobisz?

Uśmiechnęła się.

-- Nie dlatego bynajmniej, że jestem kobietą - obejrzała paznokcie. - Jako mężczyzna potrafię ukraść wszystko, niezależnie od miejsca, czasu i trudności... Spójrz tylko - zatoczyła szeroki łuk ręką. - To wszystko, co wisi na ścianie, to moje trofea. Ten błękitnopióry płaszcz należał do Srita, wodza demonów Katapuna. Ukradłam go z groty, gdzie mieszkał, wykorzystując sen tych diablów wcielonych, którym, rzecz jasna, pomogłam zasnąć. Ten zmieniający kształty klejnot ukradłam z Gmachu Płomienia... Musiałam się wdrapywać cała obwieszona przyssawkami, a wtedy Matki..,

157

- Dość już tego! - przerwał jej Sam. - Znam te historyjki na pamięć! Że też nie zmienisz repertuaru... Już tyle czasu minęło od twej ostatniej kradzieży, że przydałoby się powtórzyć jakiś wyczyn, bo w przeciwnym razie twa chwała mocno wyblaknie, a nawet najstarsi bogowie zapomną, kim byłaś. Cóż, jak mi się zdaje, przyszedłem do niewłaściwej osoby., Spróbuję gdzie indziej poszukać szczęścia.

Wstał, jakby z zamiarem odejścia.

- Poczekaj - zerwała się Helba.

- Tak? - Sam przystanął w pół kroku.

- Przecież możesz mi opowiedzieć, jaką kradzież planujesz, może będę w stanie służyć ci radą...

Sam przerwał jej w pół zdania. - Radą? - wzruszył ramionami. - A czymże jest twa rada, Pani Złodziei? Nie słów mi trzeba, lecz działania.

- Może... - zawahała się przez chwilę. - Może nawet... Ale przedtem musisz mi powiedzieć, w czym rzecz!

- No dobrze - zgodził się Sam. - Przyznam jednak, że wątpię, czy zainteresuje się coś równie trudnego...

- Nie baw się w psychologa! - ucięła mu Helba, wyraźnie zirytowana.

- Te sztuczki są dobre dla gówniarzy. Chcę się dowiedzieć, co zamierzasz ukraść.

- Chodzi mi o pewien przedmiot z Muzeum Niebiańskiego, a więc. jak wiesz, z gmachu porządnie zbudowanego i stale sta rzeźzonego...

- A który to gmach dzień i noc dostępny jest dla publiczności - wtrąciła, dając mu do zrozumienia, że nie najgorzej z jej pamięcią. - Mów dalej.

- W środku znajduje się sporych rozmiarów skarbiec, strzeżony czujnikami elektronicznymi...

- Wystarczy nieco sprytu, a przestaną działać - wtrąciła znowu.

- ... a w środku - ciągnął z niezmałym spokojem Sam - na manekinie wisi stara, łuskowa zbroja oraz kilka okazów dawnej broni.

- Czyja zbroja?

- Tego, który w dawnych dniach walczył przeciwko demonom.

- Czy to przypadkiem nie o tobie mowa?

Sam stłumił uśmiech i ciągnął dalej.

- Wśród wielu rzeczy, które można tam znaleźć, znajduje się też drobnostka znana dawniej jako Talizman Zaklinacza. Możliwe, że dzisiaj nie posiada on tych właściwości, z których onegdaj słynął, ale nie sposób wykluczyć i tego, że ich nie stracił. Talizman służył właścicielowi jako wzmacnacz jego Atrybutu, teraz zaś ten, do którego należał, znowu potrzebuje pomocy tego drobiazgu.

- I ten talizman chcesz ukraść? - spytała Helba. - Dobrze. Powiedz mi teraz, gdzie dokładnie się on znajduje oraz jak wygląda.

- To gruby, szeroki pas z kutych ogniw, owinięty **wokół** manekina. Te ogniwa, na przemian różowe i żółte, są tak miniaturowe, tak precyzyjnie wykute, że sporządzenie duplikatu jest dzisiaj prawdopodobnie niemożliwe. Gospodyni wzruszyła ramionami.

- Nie powiem, żeby to był szczególnie wymyślny **skok** - mruknęła z lekceważeniem. - Radziłabym...

158

- Rzecz w tym - przerwał jej Sam - że muszę mieć ten pas zaraz. W przeciwnym razie nie będzie mi potrzebny.

- Co znaczy „zaraz”?

- Obawiam się, że nie dłużej niż sześć dni.

- A co dostanę, jeśli dostarczę ci ten talizman do rąk własnych?

- Wszystko... o ile w ogóle cokolwiek będę jeszcze posiadał.

Roześmiała się.

- Nie przybyłeś do Nieba bogaczem...

- Niestety...

- To bardzo szkoda - zapatrzyła się w sufit.

- Jeśli ucieczka mi się powiedzie, możesz wyznaczyć jakąkolwiek cenę - dodał pospiesznie.

- A jeśli się nie powiedzie, odejdę z pustymi rękami...

- Na to wygląda.

- Pozwól zatem, że się zastanowię... - rzekła w zamyśleniu. - Przypuszczam, że mogłoby mnie to zabawić, poza tym miałabym sposobność, by okazać ci, jak szczególnymi względami się u mnie cieszysz.

- Błagam! - jęknął. - Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo.

- Cóż znowu - zachnęła się, po czym wskazała mu miejsce przy sobie.

- Proszę, Zaklinaczu Demonów, zechciej spocząć tu obok i opowiedz mi o dniach swej chwały, gdy wraz z nieśmiertelną boginią grasowaliście po świecie, siejąc chaos pełnymi garściami.

- To było dawno temu - mruknął z niechęcią.

- Czy te dni mogą powrócić, gdy zdobędziesz wolność?

- Niewykluczone.

- O, to dobrze wiedzieć - roześmiała się perlistym śmiechem. - Dobrze wiedzieć...

- Zrobisz to dla mnie?

- Chwała Siddharcie Niepokonanemu! - krzyknęła nagle.

- Co znowu...

- Chwała błyskawicy i grzmotom! Niechby wróciły te dni!

- Dziękuję.

- A teraz - zwróciła się do niego - opowiedz mi o dniach swej chwały, a ja ci opowiem o moich.

- Dobrze, niech i tak będzie.

Przepasany skórzanym pasem wokół bioder Pan Kryszna przedzierał się przez dżunglę w pogoni za Panią Ratri, która odmówiła mu swych wdzięków, choć już po raz drugi zaprosił ją na ucztę. Dzień był słoneczny, las rozsiewał swe aromaty, lecz nie dorównywały one wspaniałości zapachów jej błękitnego sari, które trzymał w zaciśniętej dłoni. Pani Ratri biegła przodem. Teraz stracił ją z oczu, gdy skrzyła w boczną ścieżkę, wiodącą na polanę.

Kiedy ponownie ją ujrzał, stała na wzgórku z gołymi ramionami wzniesionymi nad głowę, tak że koniuszki palców obu dłoni stykały się delikatnie. Przymknęła

159

oczy, a długi czarny welon - jedyna część garderoby, którą na sobie miała

- opadał na jej śnieżnobiałe ciato.

Uświadomił sobie, że właśnie przybrała swój Aspekt. Niewykluczone, że lada chwila wzniesie też swój Atrybut.

Dysząc rzucił się w jej stronę, a gdy dopadał wzgórze, otworzyła oczy i rzuciła mu promienny uśmiech, opuszczając ramiona.

Już po nią sięgał, gdy nagle zarzuciła mu na twarz czarną zasłonę. Usłyszał jej śmiech, dobiegający gdzieś z głębi bezkresnej nocy, która go opadła.

Było ciemno, bezgwiazdnie i bezksiężycowe. Znikąd nie padał żaden blask, ani jedno lśnienie nie rozcinało mroku, żaden ognik ani iskierka. Noc go opadła jak ślepotą.

Sapał, ropaczkliwymi ruchami usiłując rozedrzeć zasłonę. Rzucił się, a kiedy pozbawiony wszelkiej pewności dał wreszcie temu spokój, usłyszał jej śmiech, dobiegający z góry.

- Zbyt wiele chciałeś, Panie Kryszno - zawołała rozbawiona. - Wystąpiłeś przeciw świętości Nocy i dlatego ukarzę cię, pogrążając Niebo w ciemności... na jakiś czas.

- Nie boję się ciemności - odparł zduszonym głosem.

- W taki m razie mieli rację ci, którzy twierdzili, że swój mózg nosisz poniżej pępka, Panie Kryszno... bo stać w samym sercu Kaniburrha, ślepy i bez nadziei na pomoc, znaleźć się samemu wśród głuszy, wystawiony na łatwy łup jej mieszkańców... a mimo to nie czuć trwogi... to prawdziwe szaleństwo. Dobranoc, Panie Czarny. Zobaczymy się na weselu.

- Poczekaj, piękniśiu!- krzyknął w nagłym pośpiechu. - Zechcesz przyjąć słowa przeprosin?

- Oczywiście. Przecież zasłużyłam na nie.

- Ale przedtem cofnij ciemności z tego miejsca...

- Innym razem, złociutki - roześmiała się. - Na razie nie jestem gotowa.

- Ale co ja tu będę robił do tego czasu?

- Mówią, mój panie, że swą fujarką potrafisz zauroczyć nawet najbardziej przerażające bestie. Sugerowałabym ci zatem, o ile te opowieści mają cokolwiek wspólnego z prawdą, żebyś teraz przyłożył do ust swój instrument i zaczął grać najspokojniejszą z melodii, jakie znasz. Graj tak aż do chwili, gdy będę skłonna przywrócić Niebu światło dnia.

- Pani, jesteś okrutna - zgrzytnął zębami.

- Takie jest życie, Panie Fujary.

Co rzekłszy, odeszła.

Zaczął grać. Opadły go czarne myśli.

Przybywali. Nadchodzili unoszeni północnymi wiatrami, nad morzami i ziemią, nad śniegami, pod morzami, pod ziemią, pod śniegami, przez morza, ziemią i przez śniegi, nadchodzili i przybywali. Odmieniający kształty, brnęli polami bieli, chmurni wędrowcy, spadali w dół jak liście. Nad jałową ziemią unosił się przenikliwy klangor trąb, śnieżne rydwany jak błyskawice mknęły przed siebie, siejąc blaskami niczym ogniste włócznie. Poły płomienistych

160
płaszczów, białe pióropusze kłębiastej pary snuły się za nimi i wokół nich; w złotych rękawicach, słonecznoocy, szcękający żelazem, unoszeni jak sanie po lodzie, pędzący prosto przed siebie i wirujący, nadchodzili. Szerokie miecze kołysały się na szerokich pasach. Zamaskowani, w ognistych szarfach wokół bioder, w czarnych butach, w oszronionych nagolennikach i mocnych hełmach, nadchodzili. A jak świat długi i szeroki (świat, który zostawili za sobą), w świątyniach podniósł się radosny zgiew, zabrzmiały pieśni, składano ofiary, odprawiano modły i urządzano procesje, błogostawiono i odpuszczano grzechy, parodom i barwnym obchodom nie było końca. Albowiem trwogę budząca bogini została poślubiona Śmierci, a związek ten dawał nadzieje na łagodniejsze obchodzenie się ze światem. Świąteczny nastrój udzielił się także Niebu, a wraz ze zgromadzeniem się bogów i półbogów, herosów i szlachetnie urodzonych, najwyższych kapłanów, wybranych radzów t wysokich rangą braminów, nastrój ten zyskiwał na mocy, by w końcu opaść wirem cały świat, niczym tęczowa trąba powietrzna, wybuchnąć w głowach Pierwszych i tych, których zaliczyć by można do najostatniejszych z ostatnich.

Przybyli zatem do Niebiańskiego Grodu, lecąc na grzbietach kuzynów Ptaka Garudy, opadając w dół w niebieskich gondolach, pędząc górskimi szlakami, torując sobie drogę przez ośnieżone, skute lodem pustkowia... spowijając Miłowy Luk dźwiękami swej pieśni, ze śmiechem pokonując czar gęstych i niewytłumaczalnych ciemności, które zapadły nagle i zaraz się rozpierzchnyły. Gdy tak nadchodzili, dniami i nocami, przywodzili na myśl, jak powiada poeta Adasaj (zawsze znany z bujnych porównań) przy najmniej sześć różnych rzeczy: lot ptaków nad oceanem mleka; procesję dźwięków, maszerujących przez umysł nieco zwariowanego kompozytora; ławicę ryb głębinowych, których ciała są niczym spirale i strumienie światła, krążące wokół fosforyzującej rośliny w zimnych wodach oceanu; Mgławicę Nebula. która nagle zapadła się w głąb siebie; burzę, której każda kropla staje się piórem, śpiewającym ptakiem lub

kamieniem szlachetnym; w końcu (i to było zapewne najbardziej przekonujące) Adasaj porównał ich nadejście do Świątyni, pełnej wzniosłych i przerażających posągów, które nagle ożyły, zaczęły śpiewać, ruszyły w świat powiewając topoczącymi na wietrze proporcami, burzyły pałace, zrównywały z ziemią twierdze, by wreszcie zejść się w centrum wszechrzeczy, rozpalić ogromne ognisko i tańczyć wokół niego, przy czym albo słup ognia, albo taniec wymykał im się spod kontroli, przybierając niesamowite rozmiary, pełen dzikości i piękna.

Nadchodzili.

Gdy tajny alarm dotarł do Archiwum. Tak wyciągnął Szeroką Włóczęgę ze skarbcza w ścianie. W zależności od pory dnia, alarm stawał na nogi różnych strażników. Przeczuwając, czym był spowodowany. Tak cieszył się, że właśnie na niego przypadła kolej i że to on pełnił w tym czasie dyżur: Wzniósł się na poziom Miasta. Ruszył w stronę wzgórza, gdzie stał budynek Muzeum. Lecz było już za późno.

161

Skarbiec stał otworem, strażnik leżał nieprzytomny. Wewnątrz sale świeciły pustkami, a to z powodu uroczystości, na których skupiła się uwaga wszystkich mieszkańców.

Z Muzeum do Archiwum było tak blisko, że Tak mógł dostrzec dwie postacie, spieszące w dół zbocza.

Pochylił swą Szeroką Włóczęgę, gotów do ataku. - Stać!

Uciekinierzy spojrzeli w stronę, skąd dobiegł ich krzyk.

- To ty włączyłeś alarm! - syknął jeden z nich, zwracając się do swego współnika, który zapinał pas wokół bioder.

- W porządku - zawołał Tak. - Uciekaj! Nic mi po tobie. Chcę mieć do czynienia z nim! - wskazał na tego z pasem.

- Nieprawda! - zawołał ów człowiek, którego oskarżono o nieuwagę.

- W żaden sposób nie mogłem włączyć alarmu!

- Już cię tu nie widzę!

Mężczyzna, który miał przy sobie pas, przystanął, mierząc Taka wzrokiem.

Drugi złodziej tymczasem rzucił się do ucieczki. Gdy biegł w dół zbocza. Tak mógł się przekonać, że była to kobieta.

- Oddaj mi to! - rozkazał dysząc ciężko, zmęczony biegiem Tak. - Cokolwiek by to nie było, powinieneś mi to oddać... może uda mi się jakoś zatuszować ten incydent..

- Nie! - rzucił twardo Sam. - Za późno. W tej chwili jestem już równy mocą wam wszystkim, a ten pas to moja jedyna szansa ucieczki. Znam cię, Taku Archiwisto i nie chciałbym wyrządzić ci krzywdy. Dlatego radzę... zejdź mi z drogi!

- Laba chwila będzie tu Jama - wykrztusił, potrząsając Włóczęgą. - A wtedy...

- Nie boję się Jamy! Atakuj, albo mnie puszczaj.

- Nie mogę cię atakować.

- No to cześć! - zawołał Sam i wzniósł się w powietrze niczym balon.

Lecz właśnie wtedy, gdy sunął nad ziemią, pojawił się Jama z bronią w ręku.

Była to cienka, błyszcząca tuba o wąskim wylocie, lecz z wielkim spustem.

Wzniósł broń do góry, mierząc w Sama. - Daję ci ostatnią szansę!

- krzyknął, ale Sam nie przerywał swego lotu.

Strzelił. Od wystrzału zarysowała się kopia.

- Przybrał swój Aspekt i wzniósł Atrybut - wyjaśnił Tak, wskazując głową w górę. - Jest w stanie kumulować energię, którą miota twa broń.

- Dlaczego go nie zatrzymałeś? - zapytał Jama.

- Nie mogłem. Panie. Jego Atrybut mnie powstrzymywał...

- Nieważne - mruknął Jama. - Trzeci wartownik na pewno go unieszkodliwi.

Panując nad siłą przyciągania wedle swej woli, wznosił się i płynął w powietrzu.

Gdy płynął, rosła w nim świadomość, że ściga go cień.

Gdzieś na granicy widzenia czaiła się ciemna plama.

162

W którąkolwiek stronę nie zwróciłby oczu, zawsze umykała jego spojrzeniu,

lecz kryła się, kryła się wszędzie, rosła w siłę.
Śluza znajdowała się przed nim, w górze. Talizman mógł otworzyć bramę,
mógł uchronić go od chłodu, przenieść w dowolne miejsce, gdziekolwiek by
zapragnął...

Posłyszał trzepot skrzydeł.

- Uciekaj! - dudniło mu w głowie. - Przyspieszaj! Uciekaj, byle szybciej!
Szybciej!

Była to jedna z dziwniejszych rzeczy, które zdarzyło się mu przeżyć.

Czuł, jak wzbija się, jak pędzi coraz dalej i wyżej.

Czul. Ale nic się nie zmieniło. Śluza nie rosła w oczach. Mimo że miał
wrażenie, jak gdyby pędzi) w zawrotnym tempie, cel był jednakowo odległy,
- Szybciej! Szybciej! - krzyczał jakiś dziki, dudniący głos. - Staraj się
prześcignąć wiatr i błyskawicę.

Usiłował powstrzymać uczucie ruchu.

I wtedy uderzyły weń wiatry, potężne prądy powietrzne, krążące pod kopułą
Nieba.

Zdołał oprzeć się tej przeszkodzie, jednak głos ciągle przemawiał, choć tym
razem dokładnie z prawej strony, tuż przy uchu, mimo że nie widział niczego
prócz cienia.

- „Zmysły są niby konie i kamienie na drodze, którą pędzą...” - mówił głos.

- „Jeśli intelekt jest związany z rozdartym umysłem, rozróżnienie
intelektu od umysłu zanika”.

Sam rozpoznał w tych słowach fragmenty *Kaiha-Upaniszady*.

- „W tym przypadku” - ciągnął dalej głos - „zmysły wymykają się
kontrolni, niczym dzikie i złośliwe konie, których słaby woźnica nie potrafi
utrzymać w cuglach”.

I wtedy niebo nad nim rozbito błyskawicami. Ogarnęły go ciemności.

Usiłował zebrać energie, które w niego uderzyły, lecz jego starania uderzyły
w próżnię.

- To jest nierzeczywiste! - zawołał.

- Cóż jest rzeczywiste, a coż nie jest? - odparł głos. - Twe konie uciekają
i nastąpiła chwila przerażającej czerni, jakby poruszał się w przestrzeni
zmysłów, A potem był ból. A potem już nic.

Ciężko jest żyć jako najstarszy Bóg Młodości wśród wielu innych bogów.

Wszedł do Dworu Karmy, zażądał audiencji u tego, który jest przed-
stawicielem Naczynia Prawa i został przedstawiony temu, który miał go zbadać
przed dworna dniami.

- I coż?... - zapytał, przyjmując pełną wyczekiwania pozę.

- Bardzo mi przykro za tę zwłokę - odezwał się kompetentny czynnik.

- Niech Pan Murugan zechce okazać zrozumienie dla naszej trudnej sytuacji,
ale cały personel jest zajęty przygotowaniami do zaślubin.

-- Zabawiają się, gdy ja tu czekam na nowe ciało, które powinni mi dać na
czas?

163

- Pozwól, Panie, ale nie powinieneś mówić tak, jakby tu naprawdę chodziło
o twoje ciało - zachnął się jego rozmówca. - Jest to ciało, które wypożycza ci
Wielkie Naczynie Prawa, stosownie do twych obecnych potrzeb karmicznych...

- ... i które nie jest gotowe, ponieważ pracownicy Dworu Karmy hulają

- przerwał mu w pół zdania.

- Wielkie Naczynie zarządziło tak, Panie...

- Spodziewam się, że najpóźniej jutro wieczorem wrócę. Jeśli i jutro nie
zostanę obsłużony, Panie Karmy, Wielkie Naczynie może się rozprawić ze
swymi sługami tak, jak na to zasłużyli. Czy rozumiesz mnie, Panie?

- Słyszę cię i rozumiem, lecz to, co mówisz, jest zupełnie od rzeczy gdy
chodzi o...

- Brahma daje mi referencje - nie pozwolił mu skończyć, czując, jak
zalewa go fala gniewu. - Brahma pragnąłby ujrzeć mnie na uroczystości
zaślubin przy Milowym Luku w mych nowych kształtach. Czy mam go powiado-
mić, że Wielkie Naczynie nie jest w stanie spełnić Jego życzenia, ponieważ
obraca się karygodnie powoli?

- Nie, Panie. Wszystko będzie gotowe o czasie.

- Mam nadzieję.

Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Pan Karmy uczynił za jego plecami znak stary i bardzo mistyczny.

- Brahma...

- Tak, bogini?

- Co do moich sugestii...

- Stanie się tak, jak chciałaś. Pani.

- Chciałabym, żeby się stało inaczej.

- Inaczej? - Brahma uniósł brwi.

Kali wbiła wzrok w ziemię.

- Tak, Panie.... chciałabym ofiary z człowieka.

- Nie...

- Tak...

- Jesteś naprawdę znacznie bardziej sentymentalna, niż do tej pory sądziłem.

Zacisnęła wargi.

- Dostanę tę ofiarę czy nie?

- Mówiąc szczerze, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę wszystko, co dotychczas się wydarzyło, byłoby mi to na rękę.

- Zatem postanowione?...

- Będzie jak sobie życzysz. Był silniejszy, niż przypuszczałem i gdyby Pan Złudzeń nie dopadł go... no tak, nigdy bym nie przypuszczał, że osobnik, który przez tak długi czas zachował się zupełnie przyzwoicie, nagle okaże się równie... utalentowany, jak zechciałaś się wyrazić,

- Otrzymam go do dyspozycji, Stwórco?

- Z przyjemnością.

- I Monarchię Złodziei na deser, dobrze?

164

- Niech i tak będzie.

- Dziękuję, Potężny.

- Nie ma za co.

- Ale będzie. Dobranoc.

- Dobranoc.

Mówi się, że tego dnia, tego wielkiego dnia Pan Waju zatrzymał wiatry Niebios i cisza zapadła nad Niebiańskim Grodem oraz lasami Kaniburrha. Citragupta, ?ausznik Pana Jamy. wzniosł w Urządzenia Świata ogromny stos z pachnących irzew. gum, kadzideł, perfum i kosztownego odzienia. Na szczycie położył falizmanZaklinaczao"az wielki błekintopióry płaszcz zdobyty na Sricie. władcy demonów Kataputna. Znalazł się tam także zmieniający kształty klejnot Matek, pochodzący z Gmachu Płomienia i szafranowa tunika, onegdaj należąca do Taihagaty-Buddy. Cisza, która zaległa z samego rana, tuż po Święcie Pierwszych, była zupełna. Wszystek ruch zamarł w Nieoie. Mówi się, że tylko demony podfrwały w górnych warstwach atmosfery, lecz bały się podejść bliżej ze względu na skupione w tym miejscu moce. Mówi się też, że widziano wiele znaków i wróżb, zapowiadających upadek Potężnego. Mówią także teologowie oraz pisarze historii świętej, że człowiek zwany Sam wyrzekł się swej herezji 1 odwołał się do miłosierdzia Trimurtiego Mówi się ponadto, że bogini Parwati, która była jego żoną lub matką lub córką, a może była każdą z nich, uciekła 2 Niebios, by pogrążona w żalobie zamieszkać wśród czarownic Wschodu, do których należała jako ich powinowata. Ze wschodem wielki ptak o imieniu Garuda- GóraWisznu-len. który dziobem roztrzaskiwał rydwany, zerwał się nagle z czujnym spojrzeniem i wydał chrapliwy krzyk, przeszywający Niebo od jednego krańca po drugi, krzyk, od którego szkło pękało w kawałki, krzyk, który poniósł się głośnym echem nad całą ziemią, wyrываяc ze snu największych nawet śpiochów. W pełni nieustannego lata pośrodku Niebios, wszedł dzień Miłości i Śmierci.

Ulice opustoszały. Bogowie przebywali jeszcze w swych domach. Wszystkie bramy były pilnie strzeżone.

Złodziejka oraz ten, którego wyznawcy zwali Mahasamatman (uznając w nim boga], zostali wypuszczeni na wolność. Nagle powiało chłodem; to fatum rzuciło swój cień.

Wysoko, hen w górze, nad Niebiańskim Grodem, na platformie u szczytu Milowego Luku stał Pan Złudzeń. Mara - Mistrz Snów. Miał na sobie swój

plaszcz we wszystkich kolorach, we wszystkich odcieniach barw. Stał z rękoma wzniesionymi ku górze, a moce innych bogów przepływały przezeń, pomnażając jego własne siły.

W jego umyśle rodził się sen, zwolna przybierając coraz to bardziej wyraźne kształty. Strząsnął z siebie ten sen tak jak wysoka morska fala zrzuca na plażę zwały wód.

Od stuleci, od chwili, gdy Niebo wyłoniło się w umyśle Pana Wisznu, Miasto i dzicz sąsiadowały o miedzę, przylegały do siebie, lecz nigdy się nie dotykały wzajemnie dostępne, lecz oddzielone jedno od drugiego raczej tym, co ograniczało je raczej w umyśle niż w przestrzeni. Wisznu - Ten, który Tworzy i Zachowuje - uczynił tak z pewnego powodu, a nawet w chwili obecnej nie

165
pochwalał pomysł całkowitego zniesienia bariery między naturą a Miastem, nawiązywał do tego stano jedynie na czas jakiś, w bardzo ograniczonej formie. Wisznu bowiem nie życzył sobie, by jakkolwiek ślad dzicy odcisnął swe piętno na Niebiańskim Grodzie, który - zgodnie z wizją jego umysłu - stał się znakiem triumfu formy nad chaosem.

Teraz wszakże, za sprawą Pana Mary, fantomiczne tygrysy posiadały zdolność oglądania całego Nieba, rzecz jasna, tylko na pewien okres.

Krażyły nerwowo po ciemnych, zawsze takich samych ścieżkach dżungli, która była częściowo iluzją, gdy nagle w miejscu istniejącym jedynie połowicznie, zaczął się wyłaniać nowy świat, zaś wraz z nim pojawiła się ochota na polowanie.

Szeptano wśród żeglarzy - tych plotkarzy kosmopolitów, co to zdają się wiedzieć wszystko o wszystkim - że niektóre z tygrysów polujących owego dnia nie były tak zupełnie realne. Żeglarze twierdzą, że słyszeli takie pogłoski w tych zakątkach świata, gdzie bogowie nadeszli dopiero później, iż niektórzy spośród gości Niebiańskiego Partu sami przybrali na siebie ciała białych tygrysów z Kaniburrha, by móc przeżywać emocje polowania po alejach Nieba - polowania na pechową złodziejkę i człowieka zwanego onegdaj Buddą.

Powiada się zatem, że gdy tak tych dwoje wędrowało ulicami Miasta, stara kawka zatoczyła w powietrzu trzy koła. po czym usiadła Samowi na ramieniu, mówiąc:

- Czy me ty jesteś Majtreją, Panem Światła, wyglądanym przez świat od wieków, a którego nadejście wyprorokowałem dawno temu w mym poemacie?

- Nie - odparł mu. - Mam na imię Sam i jestem raczej bliższy odejścia ze świata niż, jak chciałbyś, narodzin A kim ty jesteś?

- Ptakiem, który dawniej był poetą. Fruwam tak co rano, już od chwili, gdy Ptak Garuda otwiera dziobem jasność dnia. Przemierzam szlaki Nieba w nadziei, że wreszcie znajdę Pana Rudre i powalam go nieczystościami. Latając tak poczułem nagle siłę fatum, oplatającą tę ziemię. Byłem daleko. Panie Światła, i widziałem wiele różnych rzeczy.

- Jakie rzeczy widziałeś ptaku, który był poetą? - zapytał Sam nie zaprzestając przechadzać się wolnym krokiem alejami Nieba.

- Widziałem stos, wzniesiony u kresu świata, nie rozpalony jeszcze, choć gęste opary spowijały go niczym dymy. Widziałem bogów, którzy w obawie, że się spóźnią, spieszyli przez śnieg, gnali przez górne warstwy atmosfery, krażyli nad kopułą. Widziałem tych, którzy grają na *ranga* i *nepalhya*, jak robią próby do Spektaklu Krwi, przygotowanego na zaślubiny Śmierci Zniszczenia. Widziałem Pana Waju, jak wyciągnął w górę rękę. zatrzymując wiatry, krążące w Niebie Widziałem wszystkobarwnego Marę, stojącego na szczycie najwyższej wieży. czułem moc cienia, który rzucał na świat... bo widziałem także tygrysy, jak krażyły wśród drzew, a potem nagle rzuciły się w tę stronę... Widziałem rzy mężczyzn i kobiet. Słyszałem śmiechy bogów. Widziałem szeroką włócznie wzniesioną przeciwko porankowi i słyszałem słowa przysięgi. W końcu widziałem też Pana Światła, o którym napisałem dawno temu;

166

Pogrążony zawsze w śmierci, nie umiera.

Chociaż zawsze kresu bliski,

Koniec nigdy mu nie straszny,

Brzydzi się ciemności,

We zbroi jasności
Przychodzi,
Kres położyć światu,
Jak ranek kładzie kres nocy.
Te wiersze napisał
Morgan, który widział,
Że dnia, gdy przyjdzie mu umrzeć,
Z ciała uwolniony
Będzie pocieszony widząc,
Jak spełnia się jego prorocstwo.
Po czym ptak nastroszył piórka i umilkł.

- Cieszę się, że mogłeś zobaczyć tyle ciekawych rzeczy - powiedział Sam.
- Iżę w wymyślnych metaforach tego wiersza znalazłeś zadowolenie. Niestety, prawda poetycka odbiega od tego, co w znacznym stopniu zdominowało codzienne życie.

- Chwała ci, Panie Świata! - wykrzyknął ptak, a potem wzbił się w powietrze. Ale zaledwie oderwał się od jego ramienia, został ugodzony strzałą, wypuszczoną z pobliskiego okna przez tego, który nienawidził kawek. Sam rzucił się do biegu.

Powiada się dalej, że tygrys, który pozbawił go życia, zaś chwilę potem pozbawił życia Helbę, tak naprawdę był bogiem lub boginią, co jest całkiem możliwe.

Powiadają zatem, że ów tygrys, który zabił tych dwoje, nie po raz pierwszy pokusił się o coś podobnego. Kilka bestii omal nie zagryzła Szerokiej Włóczni, któremu jednak udało się odskoczyć na czas, wycelować w zwierzę ostrze dzi-dy i rzucić. Włócznia utkwiała w boku tygrysa, obróciła się, po czym samorzutnie wróciła do rąk swego pana. Lecz Tak poczuł w tej samej chwili uderzenie w głowę - to Ganesza, który niepostrzeżenie wszedł do pokoju, uderzył go z tyłu krzesłem. Niektórzy twierdzą, że Szeroką Włócznię zniszczył później Pan Agni, choć inni uważają, iż to Pan Maja ukrył ją pod Zrządzeniem Świata.

Wisnu nie był zadowolony, gdy później cytowano jego słowa, które jakoby miał powiedzieć, a mianowicie, że nie należało plugawić Miasta rozlewem krwi, oraz że jeśli nawet w ten sposób zdołano powstrzymać chaos, to i tak pewnego dnia on powróci. Wszakże wszystko cokolwiek zdarzyło się mu powiedzieć, natrafiało na śmiech młodszych bogów, bo przecież Wisnu był jednym z Trójcy, a jako ten, który należał do Triumurti - jako jeden z Pierwszych - został uznany za rachitycznego starca, opanowanego przez przebrzmiałe idee. Z tego powodu wycofał się z udziału w całej tej sprawie i ukrył się na czas jakiś w swej twierdzy. Pan Waruna-Sprawiedliwy także odwrócił swe oczy od wszystkiego,

167

co działo się wówczas w Niebie, po czym zamieszkał w Domu Ciszy, w komnacie zwanej Strach.

Spektakl Krwi był całkiem uroczy; sztuka autorstwa poety Adasaja, znanego z wytwornego języka, zdradzała jego tendencje antimorganiczne, z czego też był znany. Towarzyszyły jej wspaniałe widzenia, przygotowane specjalnie na tę okazję przez Pana Złudy, Mówi się, że także Sam brnął w tych złudnych obrazach. Żeby zaś dopełnić przerażającego łątum, musiał iść w ciemności, wystawiony na odrażający fetor, zewsząd dobiegały go lamenty i krzyki; mówi się też, że raz jeszcze przeżył wszystkie trwogi, jakie poznał w swym dotychczasowym życiu, że przerażające obrazy ponownie stanęły przed jego oczami, wyczarowane przez Pana Marę, w całej swej jaskrawości i mrocznej głębi, w absolutnej ciszy i ogłuszającym krzyku, świeżo wydobyte z pokładów jego pamięci, ociekające emocjami, których doznał wraz z ich powstaniem na przestrzeni długiego życia, właśnie dobiegającego końca.

To, co zeń pozostało, zaniesiono w procesji na stos, złożono na szczyt i podpalono przy wtórze pieśni. Pan Agni zerwał z oczu okulary, przez pewien czas wpatrywał się w stos, który w końcu strzelił w górę płomieniami. Pan Waju wyciągnął rękę, a wtedy zerwał się wiatr, by podsycać ogień. Kiedy już było po wszystkim, Pan Siwa za pomocą swego trójzębu rozdmuchnął prochy po świecie.

Patrząc dziś na to wszystko rzecz by można, że pogrzeb był tyleż piękny co

dobrze zorganizowany.

Nadszedł czas zaślubin, o jakich Niebo dawno już nie słyszało, czas gdy ujawniła się cała moc starych tradycji. Miłowy Luk rozgorzał oślepiającym blaskiem niczym lodowy sopel, w którym przegląda się słońce. Fatum wróciło tam, skąd przyszło, tygrysy, choć ciągle uganiały się po ulicach Miasta, nie dostrzegały już jego prawdziwej rzeczywistości, ślepe na wdzięki Niebiańskiego Grodu, a ich futra liżał wiatr. A kiedy wspinały się po szerokich schodach, było to tak, jakby wchodziły na skały, budowle były dla nich niczym ściany z kamienia, a posągi niczym drzewa. Wiatry, krążące pod kopułą Niebios, podchwyciły pieśń i rozniosły ją wzdłuż i wszerz. Święty ogień zapłonął na placu w samym środku Miasta. Dziewice, specjalnie sprowadzone na tę okazję, rozpalili stos szczapami czystego, suchego, aromatycznego drzewa, z trzaskiem strzelającego snopami iskier, wydzielającego bardzo niewiele dymu, z wyjątkiem paru smug najczystszej bieli. Surja-Słońce zesłał na Miasto tyle jasności, że powietrze aż drgało, przesycone światłem. Pan młody na czele wielkiej procesji przyjaciół i dostojników, wszystkich w purpurze, udał się ulicami Miasta do Domu Kali, gdzie zostali przyjęci przez jej sługi, które wprowadziły wszystkich do wielkiej sali biesiadnej. Pan Kubera, pełniący honory gospodarza, posadził wszystkich (było ich trzystu) na czarnych i czerwonych krzesłach wokół długich czarnych stołów inkrustowanych kością stoniowa. Po czym podano im napój *nunlhuparka*, sporządzony z miodu, zsiadłego mleka i środków psychodelicznych. Do sali wszedł wówczas orszak oblubienicy - wszyscy ubrani na niebiesko, w dłoniach trzymali podwójne puchary, a liczbą dorównywali orszakowi oblubieńca. Kiedy 168

zatem wszyscy usiedli i wszyscy wychyliłi puchary z napojem *madhuparka*. Kubera wygłosił mowę, żarty przeplatając słowami praktycznej mądrości, powołując się często na starożytnie zapisy. Po czym oba orszaki ruszyły do pawilonu na centralnym placu Miasta, lecz każdy inną drogą, tak że dotarli do celu z przeciwnych stron. Jama i Kali przybyli tam także, lecz każde osobno, gdy zaś weszli do środka, zasiedli zwróceniem do siebie twarzami po obu stronach małej kurtyny. Potem śpiewano wiele dawnych pieśni, aż w końcu Pan Kubera odsłonił kurtynę, by oblubieńcy mogli na siebie spojrzeć po raz pierwszy owego dnia. Znowu wygłosił mowę, zlecając Jamie opiekę nad Kali, w zamian za obietnicę dobrobytu, zdrowia, wielu radości. Później Jama podał rękę Kali, a ona wrzuciła do ognia, wokół którego przeprowadził ją narzeczony, garść ziarna, następnie mocnym węzłem złączono połę ich szat. Po czym Kai stanęła przy kamieniu młyńskim i wraz z Jamą przeniosła go o siedem kroków dalej, za każdym krokiem wgniatając w ziemię małą kupkę ryżu. Wówczas z nieba spadł drobny deszczyk, by uświęcić uroczystość błogosławieństwem wody, lecz nie trwał dłużej niż czas, potrzebny na parę uderzeń serca. Teraz goście i dostojnicy ustawili się długim sznurem w procesji, zmierzając w stronę ciemnego pawilonu Jamy, gdzie przygotowano wielką ucztę i gdzie odbywał się Spektakl Krwi.

Gdy Sam spostrzegł ostatniego tygrysa, zwierzę pochyliło łeb, wiedząc już, na co polowało. Nie miał gdzie uciekać, stał więc, czekając. Tygrys uczynił to samo. Hordy demonów bezsilnie krzątały się przy słuzach, lecz siła fatum skutecznie wzbraniała im wejścia. Widziano, jak bogini Ratri uroniła łez parę, toteż jej imię natychmiast wciągnięto na listę. Tak Archiwista był w owym czasie przetrzymywany w wieży. Słyszano, jak Pan Jama rzekł wówczas - Żywy to on się nie wydobędzie... - jak gdyby zawsze oczekiwał, że tak potoczą się sprawy.

Biorąc pod uwagę to wszystko, co się wydarzyło, rzec by można, że śmierć miała tyleż piękną co dobrze zorganizowaną.

Przyjęcie weselne trwało siedem dni, a Pan Mara przątał wśród gości sen po śnie, marzenie po marzeniu. Niby na latającym dywanie obwoził ich po krainie złudy, wznosząc na poczekaniu pałace z kolorowych dymów, kaskady wody, słupy ognia, przenosząc ich do wozów gwiazdnej pyłu, robiąc wszystko, by oszołomieni koralem i mirrą postradali z zachwyty zmysły. Wznosił wokół nich wszystkie Aspekty, jakie kiedykolwiek posiadali, roztaczając przed nimi kalejdoskop archetypów, na których opierały się ich moce. Siwa tańczył na cmentarzu Taniec Zniszczenia i Taniec Czasu, przedstawiając legendę o tym, jak zniszczył trzy latające miasta Tytanów, a Kryszna-Ciemny miotał się

w Tańcu Zapaśnika, wspominając, jak poskromił czarnego demona Bana. Lakszmi tańczyła Taniec Posągu i nawet Pan Wisznu zmusił się do wzięcia udziału w uroczystościach, wykonując Taniec Dzbaną, gdy Murugan, w swym nowym ciele, wybuchnął nad światem przybrany w ocean i odtańczył swój taniec na wodzie, jakby to była estrada, ten sam taniec, jaki wykonał po zwycięstwie nad Shurą, którego zmusił, by poszukał sobie kryjówki w głębinach oceanu. Gdy Mara kiwnął dłonią, działy się cudowne rzeczy, zmieniały się barwy, rozlegała się muzyka i lało wino. Recytowano poezję. Nie stroniono od

169
gier. Odbływały się zawody sportowe - próby sił i zręczności. Zaprawdę, trzeba było mieć zdrowie bogów, by w ciągu siedmiu dni z przyjemnością oddawać się tym rozrywkom.

Biorąc pod uwagę to wszystko, co miało wówczas miejsce, rzecz by można, że wesele było tyleż piękne co dobrze zorganizowane.

Gdy minął tydzień, oblubieniec i oblubienica opuścili niebo, by przez czas jakiś wędrować po świecie i oddawać się przyjemnościom. Odeszli bez sfug, bez dworzana, odeszli sam i. Nie ogłosiłi trasy wędrowki, ani jak długo zechcą iak wędrować.

Gdy oceszli, zabawa nie ustawała. Pan Rudra, opiwszy się ogromną ilością przedniej jakości sorny, wszedł na stół i zaczął mowę, w której wielokrotnie dotykał cech charakteru oblubienicy. Niechby Jama to usłyszał, na pewno nie obeszłoby się bez przykrych konsekwencji dla mówcy. Ponieważ jednak oblubieniec był nieobecny, Pan Agni wymierzył Rudrze siarczysty policzek i wyzwał go na pojedynek na Aspekty. Placem boju miało być Niebo.

Ag n i zajął miejsce na szczycie góry, wznoszącej się nad puszcza Kaniburrha, Pan Rudra stanął w pobliżu Zrządzenia Świata. Gdy dano sygnał, Rudra posiał na przeciwnika płonąca strzałę, która z przeraźliwym gwizdem pokonywała dzielący ich, a liczony w wielu milach dystans. Gdy jednak zbliżyła się na odległość piętnastu mil, Pan Agni jednym splunięciem ugasił jej płomień, po czym skierował na Rudrę tchnienie Ognia Powszechnego i spalił go, tak że na miejscu, gdzie stał, pozostał tylko popiół oraz dziura w kopule, wypalona snopem światła. Czyniąc zadość honorowi Lokapalów, z szeregu półbogów wyłoniono nowego Rudre, który zajął miejsce starego.

Jeden radzą i dwóch wysokich kapłanów zmarło w wyniku otrucia (bardzo barwna była historia tego zabójstwa), toteż wzniesiono dwa stosy, by spopielić ich ciefesne szczątki. Pan Kryszna wznosił swój Aspekt i zagrał melodię, a kto ją usłyszał, ten twierdził, że żadna muzyka jej nie dorówna. Nawet Guari przyszła do niego, łagodząc gniew, na który wcześniej zasłużył. Saraswati w całej swej chwale wykonała Taniec Zachwytu, a Pan Mara odtworzył! sobie znanymi metodami ucieczkę Buddy i Helby. Ta wizja w wielu wywołała smutek, toteż wiele imion trafiło na listę. Później okazało się, że jakiś demon o ciele młodzieńca, z głową tygrysa zdołał się jednak zakraść pośród biesiadników, po czym ze straszliwą furią zaatakował Pana Agni. Atak zdołano odeprzeć połączonymi siłami Ratri i Wisznu, lecz zanim Agni zdążył wymierzyć w niego swym berłem, demon uciekł w bezcielesność.

W dniach, które nadeszły, dokonało się w Niebie wiele zmian.

Tak Archiwista został osądzony przez Panów Karmy, którzy skazali go na żywot w ciele mapiy. W jego mózgu zakodowano ponadto przestrożę, która mówiła, że jeśli kiedykolwiek stanie w Dworze Karmy prosząc o nowe ciało, i tak otrzyma ciało mapiy, a będzie się to działo aż do czasu, gdy Niebo będzie skłonne okazać mu łaskę i oddali od niego ten los. Później zesłano go do dżungli Południa, za czym został puszczony wolno, by mógł odpracować karniczne skutki swych czynów.

Pan Waruna-Sprawiedliwy zgromadził swe sługi i opuścił Niebiański Gród, by znaleźć dla siebie miejsce w jakimkolwiek innym zakątku świata. Pewne niechętnie mu osoby porównywały jego odejście do odjazdu Czarnego Nirriti - boga ciemności i korupcji, który opuścił Niebo pełen złej woli, roztańczając wokół siebie wyziewy okropnych przekleństw. Osób niechętnych Warunie nie było aż tak wiele, albowiem powszechnie dominowało przekonanie, że Waruna zasługuje na tytuł, który nosił, a po sile i rodzaju zarzutów łatwo się można było zorientować, kim byli ci, co je podnosi i - tak w każdym razie mówiło się zaraz po jego odejściu.

Po wielu, wielu latach, w dniach Wielkiej Czystki inni bogowie zostali zesłani na świat, lecz to wygnanie brało swój początek w czasie, kiedy do Nieba zaczęły przenikać trucizny akceleracjonizmu.

Brahma - najpotężniejszy spośród czterech rodzajów bogów i osiemnastu stróżów raj, Stwórca Wszystkiego. Pan Wysokiego Nieba oraz tego, co pod nim, ten, z którego pępka rozkwita lotos, którego dłonie burzą morze - ten, który trzema krokami przemierza cały świat, ten, którego chwała budzi strach w sercach jego wrogów, który w prawej dłoni trzyma Naczynie Prawa i rozpętuje żywioły, węża używając jako bicz - tenże właśnie Brahma czuł się coraz to gorzej, wściekły, że wszystko zło, które się działo, miało przyczynę w obietnicy, którą zbyt pochopnie złożył Pani Śmierci. Ale przecież całkiem możliwe, że postępowalby w ten sam sposób i bez jej podszeptów. Zatem najpoważniejszym osiągnięciem tej babskiej dyplomacji Kał i było prawdopodobnie to tylko, że miał na kogo zwalić winę za wszystkie swe niepowodzenia, choć to taktyka na bardzo krótką metę. Był przecież znany jako Brahma - Nieomylny, Kiedy weselne hulanki dobiegły końca, kopuła Niebios wymagała w kilku miejscach naprawy.

Muzeum Niebiańskie otrzymało stałą ochronę, a uzbrojeni strażnicy pilnowali budynku dniem i nocą.

Mianowano nowego Archiwistę. Tym razem postarano się, by został nim ktoś, kto nie ma tak rozległej wiedzy na temat swego ojca, jak poprzedni.

Fantomiczne tygrysy z dżungli Kaniburrha otrzymały prawo do symbolicznej reprezentacji w Świątyniach całego kraju.

Ostatniej nocy weselnych uroczystości do Domu Ciszy wszedł samotny bóg i przebywał tam przez dłuższy czas w pokoju zwanym Pamięć. Potem roześmiał się, Wrócił do Miasta. Zaś jego śmiech - pełen młodości i piękna, siły i czystości - pochwyliły krążące pod kopułą wiatry i rozniosły po świecie. Wszyscy, którym dane było go słyszeć, dziwili się, jak dźwięcznie brzmiał, jak triumfalnie.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie te rzeczy, rzec by można, że czas Miłości i Śmierci, Życia, Nienawiści i Szaleństwa minął na wskroś szczęśliwie, wywołując niemałe wrażenie.

170

ROZDZIAŁ VI

Po śmierci Brahmy w Niebie zapanował chaos. Wielu bogów udało się na wygnanie.

Był to ("as, gdy najbardziej obawiano się oskarżenia o .<pr:y;anic ukcetrrtirjonizmwi, bo niemal każdy był o to podejrzewany. Choć bowiem Sam \Vielhoduxzny iu~ mc źvl. mówiło się, że i y jf jego duch. Później zaś, ir dniach pan.iwitnego iciiiiieu i iitng, które doprondziły do Wielkiej Bitwy, można było usłyszeć, że żyje i-o.< wiecie/niż tylko jego duch...

Kiedy wszędzie słońce cierpienia, nastąpi pokój.

Pan pokoju się ukáže,

Pokoju tworzenia.

Czasu, gdy mandala obraca się w mroku.

Głupi powie w swej pysze,

Że jego myśli są tylko myślami...

Saraha i 98-99>

Był wczesny świt. W pobliżu basenu purpurowego lotosu, w Ogrodzie

Radości, u stóp posągu błękitnej bogini z veena leżało ciało Brahmy.

Dziewczyna, która go znalazła, początkowo myślała, że Pan Brahma zażywa odpoczynku, bowiem ciągle miał otwarte oczy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przecież nie widać, żeby oddychał, zaś jego twarz, jakby wykrzywiona w bólu, zastygła w grymasie i przypomina maskę.

Zadrżała, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. Bóg umarł -- zro-

zumiała, że taka jest kolej rzeczy. Lecz po jakimś czasie pojęła, że wewnętrzna spójność rzeczy służy utrzymaniu świata w ryzach, tak by mógł niezakłócenie przechodzić od jednej epoki do drugiej. Jakkolwiek jednak by nie było.

postanowiła, że lepiej będzie, gdy zanieś wiadomość o końcu jednej

i nieuchronnym nadejściu nowej Jugi do kogoś, kto ma lepsze rozeznanie w tych sprawach niż ona.

Zwróciła się zatem do Pierwszej Konkubiny Brahmy Ta przysłała, obejrzała trupa, potwierdziła przypuszczenia o śmierci boga, dotknęła posagu błękitnej bogini, która zaczęła grać na *l-tviŕa*. po czym posłała wiadomość do Wk;znu i Siwy z prośbą, by natychmiast przyszli do pawilonu Stwórcy.

Wkrótce nadeszli, prowadząc z sobą Pana Ganeszę,

Obejrzeni śmiertelne szczątki boga, zgodzili się z wcześniejszą diagnozą co do ich stanu, po czym odesłał i obie kobiety do ich komnat, gdzie miały czekać na egzekucję.

Kiedy zostali sami, rozpoczęli naradę.

- Potrzeba nam nowego Stwórcy, i to zaraz - rzekł Wisznu. - Czekam na kandydatów,

172

- Mianuję Ganeszę - wyrwał się Siwa.

- Odmawiam - zaripostował tamten.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie lubię być wystawiany na widok publiczny. Gdy o mnie chodzi, zamiast na scenie wolałbym pozostać za kulisami.

- W takim razie musimy rozważyć inne kandydaty - powiedział Siwa,

- Ale szybko. Czas nagli.

- Czy me byłoby mądrzej - zapytał Wisznu - przekonać się najpierw, co spowodowało śmierć Brahmy, a dopiero później wyznaczyć jego następcę?

- Nie - pokręcił głową Ganesza. - Rzeczą pierwszorzędnej wagi jest wybór następcy. Zanim się to nie stanie, nawet pogrzeb musi poczekać, albowiem nie ma Nieba bez Brahmy,

- Co myślisz o którymś z Lokapalów?...

- Warto się zastanowić. ,

- Jama?

- O, nie! - Pan Ganesza zaprzeczył z całą stanowczością, na jaką było go stać. - Jama jest zbyt poważny, zbyt serio traktuje swe sprawy... dobry z niego wynalazca, lecz kiepski administrator. Poza tym zbyt niezrównoważony...

- Kubera?

- Zbyttnio przebiegły. Bałbym się o niego.

- Indra?

- Strasznie zawzięty,

- Agni?

- Może tak... może nie...

- Wobec tego Kryszna?

- Lekkoduch. Nie stać go na powagę.

Siwa wyglądał na ostatecznie zbitego z tropu.

- W takim razie kogo byś proponował?

- Aż jakim największym problemem borykamy się obecnie?

- Nie sądzę, żebyśmy mieli obecnie jakiegokolwiek poważne problemy

- zauważył Wisznu.

- Zatem byłoby mądrze wynaleźć je... przynajmniej na jakiś czas - uśmiechnął się Ganesza. - Wydaje mi się, że naszym największym kłopotem jest akceleracjonizm. Powrót Sama zmaćcił czyste dotychczas wody.

- To prawda - westchnął Siwa.

- Akceleracjonizm? - zdumiał się Wisznu. - Po co trącać zdechłego psa?

- Aaa... - ponownie uśmiechnął się Ganesza. - Rzecz cała w tym, że nie taki zdechły, jak ci się zdaje. W każdym razie nie wśród ludzi. W ten sposób załatwimy dwie sprawy: po pierwsze, odwrócimy uwagę od problemu sukcesji po Brahmie, a zarazem będziemy mieli coś, co pomoże scementować solidarność w Mieście. Tak... chyba, że wolałbyś wszcząć kampanię przeciwko Nirritiemu i jego zombim?

- Nie, dziękuję.

- Jeszcze nie teraz...

- Hm... - Ganesza spojrział na swych rozmówców. - W takim razie ogłaszam, że największym problemem bogów jest w chwili obecnej akceleracjonizm,

173

- W porządku. Niech i tak będzie.

- Dobrze - Ganesza potarł czoło. - Powiedzcie mi jeszcze, kto najbardziej nienawidzi przyspieszaczy?

- Ty?...

- Bzdura! - skrzywił się z niesmakiem. - Zgaduj dalej.

- Lepiej już nam to powiedz bez zgadywania.

- Jak chcecie - wzruszył ramionami. - Kaii.

- Eee... - Siwa nie wylądał na przekonanego, - Bardzo wątpliwy pomysł...

- Czyżby? - Ganesza uniósł brwi. - Zastanówcie się tylko: buddyzm i akceleracjonizm to dwa konie w tym samym zaprzęgu. Budda wzgardził ofertą Kali, a ona, jako kobieta, nigdy mu tego nie zapomni. Jest więcej niż pewne, że z radością weźmie udział w tej akcji.

- W ten sposób zaprze się swej kobiecości...

- Nie lubię słuchać bzdur...

- No dobrze - westchnął Siwa. - Może być i Kali.

- A co z Jamą? - wtrącił Wisznu,

- Jama?,... Jego zostawcie mnie.

- 2 przyjemnością.

- Ja też się zgadzam.

- W porządku - odetchnął Pan Ganesza. - Ruszajcie zatem w świat, jeden na PtaKu Garudzie. drugi na Ognistym Rydwanie, znajdźcie Jamę i Kali. po czym wracajcie z ni m i do Nieba. Będę na was czekał, tymczasem zaś może uda mi się wyjaśnić sprawę zgonu Brahmy.

- Niech i tak będzie.

- Zgoda.

- Zegnajcie.

- Dobry kupcze Vamo. poczekajcie! Chciałbym was wziąć na słówko!

- Słucham, Kabado. Czego żądasz?

- Tak trudno znaleźć słowa, rozmawiając z człowiekiem podobnym do was. Panie... To. co mam wam do powiedzenia, odnosi się do sprawy, która wzbudziła znaczne emocje wśród rodzin z sąsiadujących z wami domów, Panie.

- Czyżby?... A o co chodzi.

-• O atmosferę .

Żrenice oczu dobrego kupca Vamy poogromniały ze zdziwienia.

- Atmosferę? - powtórzył.

Kabada przestępował z nogi na nogę.

- Wiatry, podmuchy... - podpowiadał, domagając się od swego rozmówcy większej domyślności.

- Wiatry i podmuchy! - zawołał Varna z tym samym wytrzeszczeni oczu,

- Oraz zapachy, które roznoszą...

- Jakie zapachy?

- Zapachy... no dobrze... - Kabada oblał się szkarłatem. - Dobrze, już mówię... o zapachy fekaliiów,

174

- Aaa! - zrozumiał wreszcie dobry kupiec Vama. - O to chodzi! Zaprawdę, masz rację. Owszem, jest parę takich zapachów, o które można mieć do mnie pretensję. Już nawet o nich zapomniałem... do wszystkiego, jak widzisz, można się przyzwyczaić.

- Czy mógłbym zapytać o przyczynę tego... smrodu?

- Zapewne, drogi Kabado. Niemiłe wonie są produktem procesu defekacji.

- W rzeczy samej tego jestem świadomy - szepnął Kabada. - Pytając cię o przyczynę, cnciałem poznać nie tyle źródło i naturę tych woni, ile raczej dowiedzieć się, dlaczego unoszą się tu wokół.

- Unoszą się z wiader, które przechowuję w spiżarni, a które napełniłem tymi właśnie... produktami.

- O?!

- Tak - kiwnął głową Vama. - W ten sposób przechowuję owe produkty, które pobieram od wszystkich członków mej rodziny. Już od ośmiu dni stoją te wiadra.

- Czcigodny Vamo. a jaki cei ci przyświeca?

- Czy nie słyszałeś o czymś... o tej przedziwnej rzeczy... o tym wspaniałym wynalazku, dzięki któremu można pozbywać się owych... p rod u kto w? Wy starczy nacisnąć dźwignię, a wszystkie wpadają do wody, która unosi je daleko od

domu, głęboko pod ziemię, przy wtórze potężnego huku wodospadu.

- Słyszałem jakieś pogłoski...

- O, to nie są żadne "pogłoski" - oburzył się Vama. - To coś istnieje, a zostało wynalezione już jakiś czas temu przez kogoś, którego imienia nie wymienię. W każdym razie rzecz jest skomplikowana, bo wymaga wielkiej instalacji z rur. siedzenia bez dna albo dziurawego garnka. To najdonioślejszy wynalazek naszego stulecia i będę go miał u siebie w domu zanim wzejdą księżyce.

- Naprawdę?

- Tak - napuścił się Vama. - Kazałem to zainstalować w przybudówce na tyłach domu. Dzisiejszej nocy wydaję dla wszystkich sąsiadów wielką kolację, o czym pozwolę skorzystać gościom z tego urządzenia.

- To naprawdę cudowny wynalazek, o Czcigodny.

- Też tak myślę.

- Ale... wracając do zapachów...

- Zgromadziłem w wiadrach fekalia moje i mojej rodziny ze względu na tę instalację.

- Po co?

- Wól alby m, zęby mój karmiczny zapis wykazał, że używałem tego urządzenia już od ośmiu dni, a nie dopiero od dzisiaj. W ten sposób zostanie zanotowany nagły wzrost stopy życiowej.

Kabada zaniemówił na chwilę, nagle jednak podskoczył, olśniony genialną prostotą pomysłu.

- Czcigodny Vamo, dopiero teraz jestem w stanie docenić głęboką mądrość twego postanowienia! - zawołał ze szczerym entuzjazmem. - Wybacz, że byłem tak małostkowy! Za nic w świecie nie chciałbym uchodzić za człowieka, który staje na drodze bliźnim, dążącym do dobrobytu. Czy możesz mi wybaczyć?

175

- Wybaczam.

- Sąsiedzi darzą cię miłością, nawet zapachy im nie przeszkodzą. Gdy już awansujesz na wyższe stanowisko, proszę, nie zapominaj i o mnie.

- Oczywiście.

- Jeszcze jedno... - zawahał się Kabada. - Taki luksus musi być bardzo kosztowny...

-- O, tak.

- Drogi Vamo, z największą rozkoszą będziemy oddychali w atmosferze postępu, nawet jeśli cuchnie.

- Pocciwy Kabado - rozpromienił się kupiec. - To zaledwie mój drugi żywot, lecz czuję, że fortuna mi sprzyja.

- Ja także. Wiatr Czasu nie przestaje dąć, przynosząc rodzajowi ludzkiemu wiele cudownych niespodzianek. Niechaj bogowie mają cię w pieczy.

- Ciebie też. Lecz nie zapomnij o błogosławieństwie Oświeconego, któremu mój kuzyn Vasu udzielił schronienia w purpurowym gaju.

- Jakże bym mógł! - oburzył się Kabada. - Mahasamatman to także bóg.

Niektórzy mówią, że wcielenie Wisznu.

- Ci kłamią. On był Buddą.

- W każdym razie, dołączam też jego błogosławieństwo.

- Wspaniale. Do widzenia, Kabado.

- Do zobaczenia, Czcigodny,

Jama i Kali wstąpili do Nieba. Przybyli do Niebiańskiego Grodu na grzbiecie Ptaka Garudy. Przybli do Miasta w towarzystwie Wisznu. Bez chwili zwłoki udali się wprost do Pawilonu Brahmy. W Ogrodzie Radości spotkali siwe t Ganeszę.

- Stuchaj mnie, ty. Śmierci i ty, Zagłado - rozpoczął zebranie Pan Ganesza. - Brahma nie żyje. Tylko nas pięcioro wie o jego zgonie.

- Jak to się stało? - spytał Jama.

- Wygląda na otrucie.

- Przeprowadzono sekcję?

- Nie.

- Wobec tego ja się tym zajmę.

- Bardzo dobrze - skłonił się Ganesza. - Niemniej, poza śledztwem, musimy zająć się sprawą o znacznie większym znaczeniu.

- A o co chodzi?

- O sukcesję.

- Tak - zgodził się Jama. - Nie ma Nieba bez Brahmy.
- Właśnie... Kali, przyznaj się, czy myślałaś już o tym, by zostać Brahma, siąść na złotym siodle, przypiąć srebrne ostrogi?.,,
- Nie wiem...
- Wobec tego zacznij o tym myśleć, i to szybko. Uznaliśmy, że byłby to najlepszy wybór.
- A co z Panem Agni?...
- Jego notowania nie są równie wysokie jak twoje. Nie wydaje się, że równie stanowczo, jak ty, sprzeciwiałby się akceleracjonizmowi.
176

- Rozumiem.
- Ja także.
- Chociaż...- dodała po chwili. - Dobry z niego bóg... ale nie dostaje mu wielkości.
- Właśnie. A teraz powiedz: kto mógłby zabić Brahmę?
- Nie mam pojęcia. Wiesz już coś o tym?
- Jeszcze nie.
- Może ty go wykryjesz, Panie Jarno?
- Tak jest. Mój Aspekt jest przy mnie.
- Powinniście się naradzać we dwóch... ty j Pan Ganesza.
- Stanie się, jak mówisz. - skłonił się ten ostatni.
- Dobrze. Wobec tego zechcemy cię na razie opuścić. Za godzinę zjemy obiad w Pawilonie.
- Tak, Pani.
- Tak jest.
- Do zobaczenia przy stole...
- Do zobaczenia.
- Do zobaczenia.
- Pani?
- Słucham cię, Jamo?.,,
- Zamiana ciała pociąga za sobą rozwód, chyba że podpisze się kontrakt ciągłości małżeństwa...
- Owszem...
- Brahma musi być mężczyzną.
- Tak.
- Odrzuć ten wybór.
- Ależ Panie...
- Sprzeciwiasz się?
- To wszystko stało się tak nagle, mój drogi...
- Nie chcesz nawet przemyśleć tego wyboru?
- Musze.
- Kali, bardzo mnie zasmucasz.
- Przykro mi. Nie miałam takiego zamiaru.
- Proszę cię raz jeszcze: odrzuć ten wybór.
Wysunęła władczo podbródek j zmrużyła oczy. - Stając się twą żoną, Panie Jamo, nie przestałam być boginią z pełnią praw, które mi przysługują.
- To znaczy?... - zawiesił głos.
- To znaczy, że sama podejmuję decyzje.
- Jeśli zgodzisz się zostać Brahma, wszystko, co istnieje między nami, będzie zerwane.
- Na to wygląda.
Jama poczerwieniał z wściekłości. - Co się tu dzieje, na imię Rissi. Czemu nagle ta burza w szklance wody?! Dlaczego wszyscy w jednej chwili stali się ogorzałymi wrogami akceleracjonizmu?

177

- To konieczność - uśmiechnęła się, rozbawiona jego naiwnością. - Czuję, że muszą się zwrócić przeciwko czemuś.
- Ale dlaczego ty masz stanąć na czele?
- **Nie wiem.**
- Chyba istnieją jakieś powody, dla których nagle poczułaś nieprzewycię-

żony wstręt do akcelerationizmu, kochanie. Czy wiesz coś o iym?

- Nie wiem.

- Jak na boga jestem jeszcze dość miody-westchnął Jama, podejrzliwie spoglądając na małżonkę. - Słyszałem jednak, że gdy świat dopiero powstał, lubiłaś długie spacerować z pewnym herosem o imieniu Kalkm... Doszły mnie też pogłoski, iż był to ten, który później pojawił się jako Sarn. Jeśli istnieją jakieś powody, dla których mogłabyś nienawidzić swego dawnego Pana, i jeśli Sam rzeczywiście nim był, to już rozumiem, dlaczego tak łatwo pozyskali cię do tej akcji. Pytam cię teraz, kochanie: czy mam rację?

- Niewykluczone.

- Jeśli więc mnie kochasz... a rzeczywiście jesteś moją żoną .. wobec tego powiedz im. żeby sobie wybrali innego Brahmę.

- Jamo...

- Żądali, żebyś podjęła decyzję nie później niż za godzinę. Co im powiesz?

- Mogę im powiedzieć tylko jedno.

- A mianowicie...

- Przepraszam. Jamo...

Jama opuścił Ogród Radości jeszcze zanim zaczął się obiad. Choć było to niebezpiecznym uchybieniem etykiety. Jama - znany wśród bogów z dyscypliny- był tego świadomy, podobnie jak zdawał sobie sprawę z powodów, które się kryły za tą decyzją. Tak więc opuścił Ogród Radości, po czym ruszył tam, gdzie Niebo się kończyło.

Ten dzień i tę noc spędził w Domu Ciszy, nie niepokojony żadnymi wiadomościami. Tak wszystko zorganizował, że gościł w każdym z pięciu pokoi. Powoli odzyskiwał panowanie nad własnymi myślami. Rankiem wrócił do Miasta. Tutaj dowiedział się o śmierci Siwy.

Widać było, że stawił opór - trójzębem wy palił dziurę w kopule Nieba - ale napastnik okazał się silniejszy: głowa boga nosiła ślady licznych uderzeń ostrym narzędziem, dotychczas nie odnalezionym.

Jama poszedł do domu swego przyjaciela Kubery.

- Ganesza, Wisznu i nowy Brahma namawiają właśnie pana Agni. żeby zajął miejsce Niszczyciela - powitał go Kubera. - Jak sądzę, nie odrzuci tej propozycji,

- Cieszę się razem z nim - skwitował krótko. - Kto zabił Boga?

- Wiele o tym myśleliśmy- rzekł gospodarz. - Wydaje się, że w przypadku Brahmy musiał to być ktoś, kogo na tyle darzył zaufaniem, że nie bał się przyjąć z jego rąk napoju z trucizną, zatem ktoś z grona znajomych. W przypadku Siwy mamy chyba do czynienia z podobną sytuacją, inaczej bowiem nie dałby się zaskoczyć. Niestety, to wszystko, co można powiedzieć.

178

- Morderca w obu przypadkach ten sam?

- Założyłbym się, że tak.

- Spisek akcelerationistów?...

- Wątpię - Kubera wyduł wargi. - Ci, którzy naprawdę sympatyzują tej herezji, nie są powiązani w żadną organizację. Akcelerationizm zbyt późno pojawił się w Niebie, by zyskać jakieś znaczenie. Może jakaś intryga... Chociaż, gdy o rnie chodzi, uważam, że najprawdopodobniej mamy tu do czynienia z jedną osobą, bez zaplecza.

- Motywy?...

- Na przykład zemsta... - mruknął Pan Kubera. - Albo chęć awansu mniejszego bóstwa... Czy ktokolwiek zgadnie, dlaczego jeden zabija drugiego?

Jama drgnął i spojrzał na przyjaciela uważnie.

- Zastanawiałeś się już nad nazwiskami?

Kubera roześmiał się.

- Niestety, w obu przypadkach największy problem polega nie na ustaleniu listy podejrzanych, lecz na ich eliminacji... Czyżbyś prowadził śledztwo?

- W tej chwili i to już niczego nie jestem pewien... - zawahał się Jama. - Ale sądzę, że tak. Z całą pewnością jednak znajdę zabójcę, gdziekolwiek by się nie ukrył. Znajdę... i zabiję.

- Dlaczego?

- Bo czuję potrzebę...

- ... zabijania? - dokończył Kubera.

- Przykro mi, przyjacielu.
- Mnie również. W tej chwili żabi Janie to zarówno mój przywilej, jak zamiar.
- Aha... - przypomniał sobie Kubera. - Na przyszłość wiedz, że nie życzę sobie podobnych rozmów o czymś, co zostało uznane za ściśle tajne,
- Skoro tak się tym przejąłeś, wszystko zostanie między nami.
- Zapewniam cię, że się nie przejąłem.
- Wiesz zapewne, że wezmę pod obserwację wszystkie sondy karmiczne, aby zapobiec psychomanipulacjom.
- Właśnie dlatego powiedziałem ci o wszystkim, a także o tym, co się stało z Siwą.
- Dziękują - Jama zabrał się do wyjścia. - Do widzenia, przyjacielu.
- Powodzenia.

Jama wyszedł. Minęło parę chwil, gdy w Pawilonie Lokapalów pojawiła się bogini Ratri.

- Witaj, Kubero.
- Dzień dobry, Ratri.
- Dlaczego siedzisz tu tak sam...
- Ponieważ nie mam u boku nikogo, kto mi towarzyszy... Dlaczego przyszłaś tutaj... tak sama...
- Ponieważ nie miałam u boku nikogo, z kim mogłabym zamienić słowo... dotychczas nie miałam.
- Pragniesz rady czy pogawędki?
- Obu.

179

- Usiądź.
- Usiadła.
- A może jesteś także głodna?
- Nie.
- W każdym razie oto owoc i filiżanka somy... - wskazał na tacę. - Obsłuż się.
- Dziękuję.
- Czego się żalem boisz i jak mógłbym ci pomóc - spytał, wyciągając się w fotelu.
- Widziałam Pana Jamę, jak stąd wychodził...
- Tak?
- ...i zrozumiałam, patrząc na jego twarz, że mam przed sobą Boga Śmierci, którego mocy obawiają się nawet równi mu bogowie.
- Jama jest istotnie potężny - westchnął Kubera. - Ale jest też moim przyjacielem. Śmierć jednak jest potężna i nie ma przyjaciół. Śmierć i przyjaźń... jedno obok drugiego w tej samej osobie... czy to nie dziwne? Agni jest także potężny, bo jest Ogień. Agni jest moim przyjacielem. Kryszna, gdyby zechciał, mógłby być równie potężny. Ale on tego nigdy nie pragnął. Lubi somę, muzykę i kobiety. Nienawidzi przeszłości i przyszłości. Jest moim przyjacielem. Jestem ostatni wśród Lokapalów. nie posiadam żadnej potęgi. Jakikolwiek ciało bym nie przybrał, natychmiast nabawiam się otyłości. Dla mych przyjaciół jestem bardziej ojcem niż bratem, a cenię ich tak bardzo, jak bardzo cenię pijaństwo, muzykę, miłość i ogień, wszystkie one bowiem należą do życia, kocham więc mych przyjaciół zarówno jako ludzi, jak bogów. Jedynie Jama przyprawia mnie o trwogę i w tym uczuciu, droga Ratri, nie jesteś osamotniona. Albowiem gdy Jama przybiera swój Aspekt, staje się niczym próżnia, a czym jest próżnia dla grubasa takiego, jak ja, łatwo zgadnąć. Jak widzisz, Śmierć nie ma przyjaciół. Nie czuj się więc niezręcznie, jeśli mój przyjaciel wzbudza w tobie trwogę. Wiesz przecież, że gdy bóg jest przestraszony, jego Aspekt spieszy mu na pomoc, o Pani Nocy. i nawet teraz zapadł zmierzch w tym pokoju, choć dzień daleki końca. Wiedz też, że gdy mijalaś Jamę, był on równie zatroskany, jak ty teraz.
- Wy padł stąd w wielkim pośpiechu...- szepnęła Ratri. obrzucając grubasa badawczym spojrzeniem.
- Tak
- Czy mogę zapytać... - urwała na moment. - Czy mogę zapytać, dlaczego?
- Obawiam się, że to sprawa poufna - Kubera zaplótł dłonie na brzuchu.

- Czy to dotyczy Brahmy?

- Dlaczego pytasz?

- Bo, jak sądzę, Brahma nie żyje - wyjąkała pobladyłymi i wargami. - I boję się, że Jama chce wykrzyć zabójcę. Boję się, że na mnie pierwszą zwróci swe spojrzenie, choćbym nawet na sto lat pograżyła Niebo w ciemnościach.

Znajdzie mnie, a ja nie potrafię stanąć twarzą w twarz z pustką.

- Co wiesz na temat domniemanego morderstwa? - Kubera pochylił się nieco w przód, chcąc wyraźniej widzieć twarz Nocy.

f 80

- Jak sądzę, byłam ostatnią, która widziała Brahmę żywego, lub pierwszą, która widziała go zmarłym, to zależy od tego, jak zinterpretuje się ów moment, gdy dostał drgawek...

- Możesz mi powiedzieć coś więcej?...

- Owszem - kiwnęła głową. Drżącymi rękami wzięła filiżankę z somą i umoczyła wargi. - Poszłam do jego Pawilonu wczoraj z samego rana.

Chciałam się wstawić za Panią Parwati. Chciałam go prosić, by odwrócił od niej swój gniew zezwolił jej na powrót do Miasta. Powiedziano mi, że znajdę go w Ogrodzie Jego Radości, toteż...

- Powiedziano! - poruszył się nerwowo Kubera. - Kto ci powiedział?

- Jedną z jego kobiet. Nie wiem, jak jej na imię.

- Dobrze. Co dalej?

- Znalazłam go u stóp niebieskiego posągu bogini, która gra na *yeena*. Był w drgawkach, już nie oddychał... nie widziałam, żeby oddychał. Drgawki też zaraz ustąpiły. Leżał w bezruchu. Serce nie biło, puls był martwy..., w każdym razie nie mogłam go wyczuć. Wezwałam więc część nocy, żeby mnie okryła i pod osłoną ciemności opuściłam Ogród.

- Czemu nie wezwałaś ni kogo na pomoc? - zdziwił się Kubera. - Przecież leszcze mógł żyć.

Wzruszyła ramionami.

- Wiesz równie dobrze, jak ja... Nienawidziłam go. Chciałam, żeby wreszcie umarł za to, co zrobił Samowi, za to, że wygnał Parwati i Warunę, za to, co zrobił Archiwisście...

- Dość - uciął Kubera. - Można by tak wyliczać do wieczora, W tej chwili interesuje mnie, czy odeszłaś z Ogrodu, czy przedtem wstąpiłaś do Pawilonu?

- Wstąpiłam do Pawilonu, gdzie zobaczyłam tę sama dziewczynę, którą poprzednio pytałam o Brahmę. Wyszłam z mroku i powiedziałam jej, że nie mogę go znaleźć, a wobec tego wrócę tu później... On nie żyje, prawda? Co teraz powinnam zrobić?

- Zjeść jeszcze jeden kawałek owocu i wypić nieco więcej sorny - poradził z uśmiechem Kubera. szybko Jeanak na twarz wróciła mu powaga. - Tak, nie żyje.

- Czy Jama będzie mnie ścigał?

- Oczywiście - pokiwał twierdząco głową. -- Będzie ścigał każdego, kto rzucił mu się w oczy. Trucizna, którą się posłużyło, zadziałała natychmiastowo, a ty byłaś wówczas w pobliżu miejsca zbrodni. Tym samym jesteś w kręgu podejrzanych. Poza tym zechce cię poddać psychopróbie, podobnie jak wszystkich innych. Wtedy się okaże, że nie masz z zabójstwem nic wspólnego.

Taak... - zamyślił się. - A co do mojej rady... uważam, że powinnaś po prostu czekać, aż wezwą cię do aresztu, I nikomu o tym nie opowiadaj

- Co mam zeznać Jamie?

___j_śii znajdzie cię wcześniej, niż zdołam się z nim porozumieć, opowiedz mu o wszystkim, włącznie z tym, że rozmawiałeś już ze mną. Tak będzie najlepiej dla nas obojga, bo wiesz... - uśmiechnął się w zakłopotaniu - nikt nie podejrzewa, że wiem o wszystkim, co się tu ostatnio stało. To. co ma miejsce wśród Trimurti, zawsze jest trzymane w tajemnicy tak długo, jak to tylko możliwe, nawet kosztem życia osób postronnych.

181

- Ale Panowie Karmy odczytają to z twojej pamięci gdy staniesz przed sądem.

- Ale nie grozi to tobie dzisiaj. Wiedza o tym, co się stało z Brahmą, będzie trzymaną w tajemnicy, którą znają tylko nieliczni aż do czasu, gdy Jama podejmie oficjalne śledztwo i wyznaczy tych, którzy mają zostać poddani psychopróbie. Dopóki się to nie stanie, nie sądzę, by ktokolwiek został wrzucony w tryby maszyn do czytania pamięci... żaden z tych zóttokołych

pacholków nam nie zagrozi. Przedtem jednak muszę ustalić to z Jamą, albo przynajmniej zasugerować mu ten sposób postępowania... pośpiech byłby wskazany.

- Ale zanim odejdę...

Kubera poruszył się niecierpliwie.

- Tak?...

- Powiedziałeś, że tylko nieliczni mogą znać tę tajemnicą, nawet gdyby ktoś miał umrzeć. Czy to nie znaczy, że...

- Nie - przerwał jej, - Nie znaczy. Będziesz żyła, ponieważ cię chronię.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ jesteś moją przyjaciółką.

Jama obsługiwał maszynę do sondowania umysłu. Przebadał już trzydzieści siedem osób - wszystkich, którzy mogli mieć dostęp do Brahmy w jego Ogródzie w dniu poprzedzającym zabójstwo. Spośród poddanych psycho-próbow siedmioro było bogami lub boginiami, a zatem: Ratri, Waju. Mara, Łakszmi, Murugan, Agni i Kryszna.

Wśród tych trzydziestu siedmiu nie znaleziono nikogo, kto mógłby dźwigać na swym sumieniu ciężar przestępstwa.

Kubera - Pan Rzemiosła stał obok Jamy, patrząc na przebieg operacji.

- Co teraz? - spytał, gdy zakończono badania.

- Nie wiem - otarł pot z czoła Jama.

- Może zabójca był niewidzialny?

- Może.

- Ale nie uważasz, że tak było?

- Nie. nie uważam.

- Jeśli zaś się okaże, że wszyscy mieszkańcy Miasta przejdą próbę i nikomu nie zdołasz przypisać winy, co wtedy?

Jama wbił ponury wzrok w ścianę.

- Nie wiem - potarł podbródek. - W końcu codziennie przewija się przez Miasto wielu ludzi... Jest wiele bram, dużo możliwości wejścia i wyjścia...

- Czy dałbyś wiarę przypuszczeniu, że obu morderstw dopuścił się jakiś Rakasza? - Kubera nie ustawał w pytaniach. - Demony znowu pojawiły się na świecie, zionąc nienawiścią przeciwko wszystkiemu, co boskie.

Jama odrzucił głowę do tyłu.

- Owszem, to interesująca hipoteza - przyznał chłodno. - Tyle że Rakasze nie zadają swym ofiarom trucizny. Nie wydaje mi się też prawdopodobne, by którykolwiek z nich zdołał się wśliznąć do Ogródu, bowiem kadzidła ze środkiem demonobójczym skutecznie by go odpędziły.

182

- Cóż więc?

- Zaszyję się w laboratorium i pomyślę.

- Mogłbym cię odprowadzić do Pustego Dworu Śmierci?

- Jak sobie życzysz.

Ruszyli w drogę do Dworu. Ponieważ zaś Jama intensywnie rozmyślał, Kubera zajął się lekturą swego indeksu taśm zapisów karmicznych, który zaczął prowadzić jeszcze w czasie, gdy eksperymentowano z pierwszymi maszynami do sondowania umysłów. Oczywiście, były to dane bardzo niekompletne. Jedynie Mistrzowie Karmy posiadali dane o wszystkich taśmach z zapisami karmicznych skutków życia każdego z mieszkańców Niebiańskiego Grodu i Kubera dobrze o tym wiedział.

W Keenset nad Vedra ponownie wynaleziono prasę drukarską. Także inne eksperymenty z wymyślnymi wynalazkami odbywały się w tym samym miejscu.

Nagle pojawił się jacyś bardzo zręczni artyści świątynni, jakiś stary szlifierz wykonał parę soczewek i przybierał się do dalszej produkcji, jednym słowem

- wszystko wskazywało na to, że Keenset - miasto-państwo przeżywało właśnie renesans.

Brahmą zdecydował, że to stosowny moment na wyprawę przeciwko akceleracjonizmowi.

W Niebie zbierano się do walki, a w Świątyniach miast graniczących z Keenset ogłoszono, by wszyscy sposobili się do świętej wojny.

Śiwa-Niszczyciel wzniosł zaledwie symboliczny trójząb, bowiem jedyne nadzieje pokładał w berle ognia, przypasanym u boku.

Brahmą, na złotym siodle, ze srebnymi ostrogami u butów, wzniosł miecz, berto i luk.

Nowy Rudra wzniosł luk i kołczan - te, które odziedziczył od swego poprzednika.

Pan Mara zarzucił na plecy mieniący się wszystkimi barwami tęczy płaszcz, a nikt nie mógł odgadnąć, jakiego rodzaju broni używa, ani jak wygląda rydwan, którym jeździ. Wystarczyło bowiem popatrzeć na Pana Złudy choćby przez chwilę, a już dostawało się zawrotów głowy, przedmioty nagle zaczynały zmieniać kształty i tylko konie, ciągnące powóz, trwały w swej zwykłej postaci, tyle że z pysków ciągle kapala im krew, rozplywająca się w powietrzu niczym dym.

Wreszcie z grona półbogów wybrano pięćdziesięciu tych, którzy nieustannie zaprawiali w dyscyplinie kapryśne Atrybuty, których ożywiało gorące pragnienie wzmocnienia Aspektów i zyskania chwały w boju.

Kryszna odmówił udziału w walce. Poszedł do Kaniburrha grać na kobzie.

Znalazł go leżącego na trawie, na zboczu wzgórza, niedaleko do Miasta.

Leżał i patrzył w rozgwieżdżone niebo.

- Dobry wieczór.

Odwrócił się. Spojrzał. Skinął głową.

183

- Co tam u ciebie, dobry Kubero?

- Nie najgorzej, Panie Kalkinie. A u ciebie?

- Całkiem znośnie. Czy masz przy swej jakże okazałej osobie chociaż jednego papierosa?

Podał mu.

- Tego nigdy mi nie brak.

- Dziękuję.

- Ognia?

- Tak, proszę.

Zapalił. Na moment skryta go chmura siwego dymu.

-- Czy to kawka krążyła nad Buddą, zanim Pani Kali rozdarła nut wewnętrzności? - spytał przybyły.

Pan Kalkin skrzywił się, wydychając kolejną porcję dymu. - Nie można by porozmawiać o czymś mniej ponurym?

- Zabiłeś słabego Brahme, a teraz jego miejsce zajął ktoś bardzo potężny...

- Czyżby? - rozjarzył się czerwony ogień.

- Zabiłeś silnego Siwe, lecz równie silny go zastąpił.

Pan Kalkin potoczył ręką dokoła. - Życie jest pełne niespodzianek...

- Co chciałeś w ten sposób osiągnąć? - Kubera me dał się wytrącić z równowagi. - Chciałeś się zemścić?

- Zemsta jest Częścią iluzji, którą sami snujemy wokół *nas*.. Jak człowiek może zabić coś, co ani żyje naprawdę, ani naprawdę umiera, lecz tylko trwa jako odbłask Absolutu?

- Wykonałeś dobra robotę... prawdziwie boską - Kubera uśrniecnał się z goryczą. - A osiągnąłeś w ten sposób jedynie to, że aktorzy zamienili się rolami.

- Dziękuję.

- Ale dlaczego? - nie przestawał pytać Kubera. - Dlaczego? Chciałbym usłyszeć szczerą odpowiedź.

- Pragnąłem zniszczyć wewnętrzną hierarchię Nieba. Teraz zaś wiruję że aby to osiągnąć należałoby porozumieć się z wszystkimi bogami.

- Powiedz, dlaczego to zrobiłeś!

- Przedtem musiałbym się dowiedzieć, jak doszedłeś, że to właśnie ja.

- Nie uciekałem się do żadnych sztuczek... Dlaczego?

- Uznałem - zaczął Pan Kalkin - że rodzajowi ludzkiemu będzie się lepić żyło bez bogów. Gdyby to ode mnie zależało, ludzie mogliby zacząć żyć od nową, mając do dyspozycji i puszkę, i otwieracze do puszek i mogliby posługiwać się nimi bez obawy wzbudzenia gniewu Nieba. Już dość długo powstrzymywaliśmy rozwój cywilizacji tych biedaków. Chciałem dać im szansę życia w wolności niechby już wreszcie mogli budować taki świat jakiego pragną

- Lecz oni żyją i bez twojej pomocy... Żyją, żyją i żyją...

- Niekiedy tak, niekiedy nie... Naprawdę żyją tylko bogowie.

- Byłeś znany jako jedyny akceleratorzysta na świecie, Sam. Nikt jednak nie mógł przypuszczać, że jesteś także mordercą.

- W jaki sposób do tego doszedłeś?

184

- To proste - uśmiechnął się Kubera. - Było dla mnie oczywiste, że mógłbyś być podejrzany... Myślałem jednak, że już nie żyjesz.

- Sądziłem, że to wystarczający pretekst, by umorzyć śledztwo.

- Ja także... Ale pytałem się w duchu, czy istnieją jakieś sposoby, dzięki którym mógłbyś ująć śmierci. Nic mi przyszło do głowy, z jednym wszakże wyjątkiem: transfer... zmiana ciała. Zastanawiałem się zatem, od kogo mógłbyś przejąć ciało. Tylko Pan Murugan wchodził w rachubę, ale on dokonał transferu dopiero po śmierci Sama, więc logicznie rzecz biorąc należałoby to wykluczyć. Tak też zrobiłem. Tymczasem ty... Murugan... znajdowałeś się na liście trzydziestu siedmiu podejrzanych, których umysły sondował Pan Jama, aktorzy udowodnili w ten sposób niewinność. Wydawałoby się więc, że poszedłem (alszywym śladem, lecz wówczas uderzyła mnie bardzo prosta myśl: jeśli Jama jest w stanie dokonywać na sobie psychopróby, to dlaczego nie miały być do tego zdolny ktoś inny? Przypomniałem sobie wtedy, że jednym z Atrybutów Kalkina było sprawowanie kontroli nad zjawiskami świetlnymi i fenomenami elektromagnetycznymi. Kalkin, gdyby zechciał, mógłby sabotować sondę własnym umysłem, tak że Pan Jama nie dostrzegłby w jego zapisie narmicznym najmniejszego nawet śladu zła. By jednak sprawdzić słuszność tej hipotezy, należałoby zastanowić się nie nad tym, co odczytała maszyna sondująca umysł, lecz raczej pomyśleć w jaki sposób to zrobiła. Umysł jest jak Imię papilarne... nie znajdziesz dwóch takich samych. Ale gdy przenosimy u mysli z jednego ciała do drugiego, to choć mogą być różne, umysł pozostawia po sobie pewne ślady. proste matryce, wzory. Choć myśli mogą przebiegać różnymi torami, wzór myślenia pozostaje ten sam dla jednego umysłu, niezależnie od mózgu i ciała. Wzór zostaje w mej jako zapis. Porównywałem zatem twój zapis z tym, który w laboratorium Jamy znalazłem jako zapis Murugana... nie znalazłem między nimi różnicy. Nie wiem, jak zdołałeś dokonać transferu, wiem jednak, kim jesteś. Strzepnął popiół z papierosa i spojrzął w gwiazdy, -- Bardzo sprytnie wyedukowane. Panie Kubero - zaciągnął się dymem. - Któż inny do rów na ci ścisłością rozumowania?

- Jest tylko jeden, który może iść ze mną w zawody... Jama wkrótce dojdzie do tych samych wniosków, co ja. On zawsze rozwikluje problemy.

- Czemu ryzykowałeś życiem, szukając mnie na tym pustkowiu?

- Trudno byłoby nam dożyć tylu lat, gdybyśmy nie zachowali nieco oleju w głowie... - mruknął Kubera, me maskując bynajmniej ironii, która dała się słyszeć w jego słowach. - Wiem, że zanim zaczniesz się ze mną spierać, zechcesz mnie najpierw wysłuchać. Wiem też, że jeśli już mam coś do powiedzenia, dobrze jest tego wysłuchać... nie udzielam złych rad.

--- Twoja propozycja?

- To, co zrobiłeś, tak bardzo mi się podoba, że postanowiłem towarzyszyć ci w ucieczce z Nieba.

- Dziękuję, nie skorzystam.

- Chciałbyś wygrać tę bitwę?

- Tak, ale mam własne plany.

Kubera uniósł brwi w znaku zapytania.

-- Jakież?

185

- Chcę wrócić do Miasta i zniszczyć tyle, ile zdołam, zanim oni zniszczą mnie. Jeśli padną wielcy, pomniejsza bóstwa nie zdołają utrzymać tego miejsca.

- A jeśli padniesz przed czasem?... Co z ideą, która pchnęła cię do walki?

- Czy będziesz w stanie dźwignąć się z upadku i bronić swych racji?

- Nie wiem - zabrzmiało głucho.

- Interesuje mnie, w jaki sposób to wszystko zaaranżowałeś...

- Pewnego dnia opętał mnie demon, choć, prawdę mówiąc, nie tyle mnie napadł, co polubił. Gdy byłem w niebezpieczeństwie, powiedział mi, że „wzmocnił mój płomień”, także jeśli zechcę, będę wstał i istnieć poza ciałem. Zdążyłem już o tym zapomnieć, gdy nagłe ujrzałem, jak moje pokaleczone zwłoki leżą obok mnie na ulicy. Wtedy uświadomiłem sobie, iż jedynym

miejszem, gdzie mógłbym postarać się o nowe ciało, jest Pawilon Bogów Karmy, bowiem Murugan zażądał właśnie, by dokonano na nim transferu. Jak już zauważyłeś, elektroprowadnictwo to jedna z dziedzin, którą obejmuje mój Aspekt. Ta przygoda nauczyła mnie, że mój umysł potrafi pracować bez mózgu, a gdy go straci, instynktownie usiłuje znaleźć sobie nowy. bowiem nagle obwody zostały przerwane, ja znalazłem się w nowym ciele Murugana. zaś on poszedł do piekła.

- Z faktu, że opowiadasz mi o tym wnoszę, iż następny w kolejce będę ja...

Sam uśmiechnął się smutno.

- Przykro mi, Panie Kubero, bowiem bardzo cię lubię. Ale jeśli dasz mi słowo, że zapomnisz o wszystkim, czego zdołałeś się dowiedzieć i poczekasz, aż kto inny dojdzie do tego sam, pozwolę ci odejść żywym.

- Rzykowne,...

- Wiem, że nigdy niczego nie przyrzekałeś, łamiąc potem raz dane słowo, choć jesteś stary jak te wzgórza.

- Którego boga masz na oku?...

- Rzecz jasna. Pana Jamę, gdyż depta mi po piętach.

- Wobec tego musisz mnie zabić, Sam, albowiem Jama jest mi bratem Lokapala... oraz, co więcej, przyjacielem.

_ Wiem - westchnął Sam - że jeśli cię teraz zabiję, obaj będziemy żałować,

- A może - mruknął Kubera - żyjąc razem z Rakaszą zdołałeś się zarazić namiętym pociągami do zakładów?

- Jakiego rodzaju?

- Powiedzmy... -zamyślił się Kubera. - Powiedzmy, że będą to irlandzkie zapasy. Jeśli ty mnie pokonasz, masz moje słowo. Jeśli przegrasz, odlecieś ze mną na grzbiecie Ptaka Garudy.

- Pojedynkę -roześmiał się Sam. -Z łobą. grubasie? Ja, w mym nowym, wspaniałym ciele mam walczyć z tobą?

- Tak.

Westchnął.

- Dobrze. Uderzaj pierwszy.

Na ciemnym zboczu pagórka, na peryferiach Nieba, Sam i Kubera stanęli twarzą w twarz, gotowi do walki.

186

Kubera wziął rozmach i uderzył Sama w szczękę.

Sam upadł. Leżał przez chwilę w bezruchu, po czym z wolna dźwignął się na nogi.

Pocierając policzek wrócił na miejsce, gdzie stał.

- Jesteś silniejszy, niż można byłoby przypuszczać - rzekł. Nagle wymierzył cios.

Teraz Kubera leżał na ziemi, dysząc ciężko.

Usiłował się podnieść, po kilku próbach jęknął cicho i dopiero z najwyższym wysiłkiem udało mu się stanąć na nooi.

- Nie sądziłem, że tego ookonasz - uśmiechnął się Sam.

Kubera dał kilka kroków do przód u. Teraz mógł ujrzeć wilgotną, ciemną pręgę biegnącą wzdłuż policzka Sarna.

Gdy zajął swe wcześniejsze miejsce, przeciwnik dał krok do tyłu.

Kubera czekał. Oddychał głęboko.

Zwał ciemny mur nocy. Uciekaj. Skryj się pod głazami!

- Uderzaj! - krzyknął Sam.

Uśmiechnął się i uderzył.

Leżał drżąc cały, a głosy nocy, zmieszane z brzęczeniem owadów i szmerem wiatru, kołyszącego trawami, przepływały przez jego ciało.

Zaiirżij.niczym ostatni liść, spadający z drzewa przed zimą. W podbródku utkwil ci kuwatka lodu. W ghiewie nie rozbrzmiewa ci żadne słowo. t\lko niespokojne kolon' ttrachu pulsują...

Sam potrząsnął głową i zwał się na ziemię.

Upadaj, zwiń ję \ kule i płacz. Bo lak zaczyna s i f życie człowieka i taki jest jego koniec. Wszechświat to czarna, łącząca się kula. Zgniata wszystko, cokolwiek spotyka ua swej drodze. Toczy .iię wiamp' w mą stronę. Uciekaj! Jeszcze mas: chwilę tzaui, może godzinę... a wtedy zwali się na ciebie,.

Ukrył twarz w dłoniach, zaś kiedy je opuścił, skierował wzrok na Pana Kubereę.
- Wzniosłeś komnatę zwaną Strach - powiedział. - Wzniosłeś je w Domu Cisy. Teraz przypominam sobie twą moc, boże minionych dni. Ta siła ci nie wystarczy.

*Lękami twego um\isiu mknie niewidzialna koń. Poznałeś go po śladach kopyt,
:• których każda to rana...*

Sam wstał, zacisnął pięści i zajął swe miejsce.

*Nieba skrzypi nad tobą. Grunt może uciec ci spod stóp. A czymże jest ten imitkiy.
fzan>\' cień, klórr podąża za twmi plecami?*

Kubera odchyłił się do tyłu, głowę odrzucił w bok. lecz nie stracił równowagi.
Sam stał drżąc, gdy Kubera zamachnął się prawą ręką do ostatecznego ciosu.
- Boże sprzedwczoraj, oszukujesz!

Kubera uśmiechnął się z za krwi, cieknącej mu po twarzy. Jego pięść spadła na Sama niczym czarna kula.

Jama rozmawiał właśnie z Ratri, gdy nagle nocną ciszę przerwał krzyk obudzonego Ptaka Garudy.

- To zdarza się po raz pierwszy... - mruknął, nasłuchując.

187

Niebo powoli zaczęło się otwierać

-- Może Pan Wisznu wyjeżdża .

-- Wisznu nigdy nie wyjeżdża nocą - potrząsnął głową Jama. - A gdy rozmawiałem z nim niedawno temu, nie nosił się z zamiarem wyjazdu.

- Wobec tego jakiś inny bóg wyrusza w podróż.

- Nie! - uciął stanowczo Jama. - Pani do stajni, i to sztyko! Mogę potrzebować twojej siły

Garuda nie spał. Z nóg zdjęto mu pęta. lecz na głowie nada: miał zarzucony kaptur.

Kubera, przyniósłszy Sama do stajni, posadził go w siodle, choć ten ciągle był nieprzytomny.

Poczym ciężko dysząc spuścił się na dół, nacisnął koń troj kę, a wtedy żelazna krata rozsunała się w górę, otwierając sufit. Wówczas wziął długi metalowy hak, który przymocował do sznurowej drabinki. Ostro zapach zwierzęcia działał niczym amoniak. Garuda zatrzepotał nerwowo skrzydłami i nastroszył pióra wielkością dwukrotnie przerastające człowieka.

Pan Kubera wspinał się bardzo powoli.

Kiedy zapinał pasy. w stajni oojawili się Pan Jama i Ratri

- Co to za pomysł, Kubero! - krzyknął Jama. - Nigdy cię jeszcze nie widaćłem równie wysoko.

- Zmusi! !y m me do tego bardzo pi'ne sprawy - odparł z wysokości ptasiego grzbietu. - Czas już skończyć z rydwanem.

- Co to za sprawa? - niecierpliwie wypytywał go Jama. -- I czemu nie weźmiesz gondoli?

- Garuda szybszy. A o sorawie opowiem ci, gdy wrócę.

- Może mógłbym ci w czymś pomóc?

- Nie, nie... - machnął ręką Kubera. -- Sam sobie powadze.

- Ale Pan Murugan leci razem z tobą? .

- Tak. W tej sprawie Murugan może rui pomóc.

- Nigdy dotychczas nie pozostawaliście w takiej zażyłości...

- Bo też i nie pozostajemy - - sprostował Kubera. - Po prostu jego pomoc jest mi niezbędna.

- Witaj, Murugan! - zwrócił się Jama do nieprzytomnego. Nie słysząc odpowiedzi, wyraźnie się zaniepokoił. - Czemu on milczy?

- Bo śpi.

-- Całą twarz ma we krwi. bracie...

- Mały wypadek ..

-- Wydaje się, jakby go sponiewierano...

-- Mówiłem, wypadek...

Jama potarł nerwowo skroń.

- Coś mi tu nie gra, Kubero. Poczekaj, wejdę do klatki.

- Pozostań na zewnątrz, Panie Śmierci!

- Żaden z Lokapalów nie wydaje rozkazów braciom. Jesteśmy sobie równi.

•- Pozostań na zewnątrz, Jama! Podnoszę ptakowi kaptur.

- Nie waż się! - Jama uniósł dłoń. blysnął oczami i w tej chwili nagle

schudł. Czerwone szaty zwisały na nim luźno, o wiele za duże. Kubera z hakiem w garści pochylił się do przodu, zaczeplił ostrzem o kaptur, po czym szybko ściągnął go z oczu ptaka. Garuda odrzucił głowę do tyłu. Raz jeszcze krzyknął.

- Ratri! - zawołał Jama. - Roztocz ciemności nad oczami Garudy, żeby nic nie widział.

Sam zaś ruszył w stronę wejścia do klatki.

- Ratri! - zawołał Kubera. - Roztocz ciemności nad Panem Jamą, w przeciwnym bowiem razie wszystko stracone.

Ratri tylko przez moment się wahała. Zaraz potem Pan Jama brodził w mrokach nocy.

- A teraz biegiem do nas! - zawołał Pan Kubera. - Wdrapuj się na Garudę i leć z nami. Bardzo cię potrzebujemy!

Weszła do klatki i zaraz potem znikła z pola widzenia, bowiem ciemność ją ogarnęła niczym ogromna plama atramentu, w której także Jama brodził, usiłując znaleźć wyjście.

Szarpięto drabiną. Po chwili Ratri była już na grzbiecie ptaka Garuda zaskrzeczał po raz trzeci, po czym wbił się w powietrze, gdyż Jama, oślepiiony mrokami Nocy, wyjął zza pasa szablę i uderzał we wszystko, co nawinęło mu się pod rękę.

W jednej chwili ogarnęły ich ciemności. Niebo majaczyło gdzieś w dole, niczym mała kropka na czarnym tle.

Zaledwie wzbili się na wysokość mili, kopuła zaczęła się zamykać.

Garuda w ostatnim momencie dopadł słuzy. Znowu krzyknął coś po swojemu.

Kubera spał wierzchowca ostrogami.

- Dokąd? - spytała Ratri.

- Do Keenset nad rzeką Vedra - odparł. - A oto Sam. Jak widzisz, nadal żyje.

- Co się stało?

- Jama go ściga.

- Nawet w Keenset nie da mu spokoju?

- Niewątpliwie, o Pani - Kubera potarł tłusty podbródek i pokiwał głową.

- Bez dwóch zdań. Zanim jednak zdąży go znaleźć, będziemy już lepiej przygotowani.

W dniach poprzedzających Wielką Bitwę do Keenset przybyli uciekinierzy.

Kubera, Sam i Ratri przynieśli mieszkańcom miasta ostrzeżenie. Choć Keesnet wiedział już o wojennych przygotowaniach swych sąsiadów, ofensywa Nieba ciągle jeszcze pozostawała dla nich tajemnicą.

Sam wziął się zatem za musztrę oddziałów przeznaczonych do walki z bogami, Kubera ćwiczył tych, którzy mieli stawiać opór ludziom.

Dla Bogini Nocy wykuto czarną zbroję. Wykuto ją dla Pani Ratri, do której zwracano się **przed** zapadnięciem zmroku: „Strzeż nas, o Nocy, przed wilkiem i wilczycą, uchron nas od złodzieja, o Nocy”.

189

Zaś trzeciego dnia przed namiotem Sama, rozbitym na równinie przed miastem, stanął słup ognia.

- Oto przybywa Pan Piekielnej Studni - rozbrzmiał w jego głowie znajomy głos. - Przybywa, by dotrzymać danego słowa.

- Taraka! - krzyknął uradowany. - Jak mnie tu znalazłeś?... I jak zdołałeś mnie rozpoznać?

- Patrzę na ogień, którym jesteś w swej prawdziwej istocie, a nie na ciato, które ją przysłania. Przecież wiesz.

- Myślałem, że nie żyjesz.

- Niewiele brakowało - zasyczał płomień, - Tych dwoje rzeczywiście wysysa wzrokiem życie... Nawet życie takich, jak ja.

- A nie mówiłem?... - mruknął Sam. - Przeprowadziłeś ze sobą Legiony Studni?

- O, tak - zahuczał głos. - Przeprowadziłem.

- To dobrze... - napięcie w głosie Sama wyraźnie zelżało. - Bogowie pewnie wkrótce się tu pojawią.

- Wiem - rzekł Pan Płomienia. - Wielekroć odwiedzałem Niebiosa na czubku góry lodowej, a moi szpiedzy pozostają tam leszcze do dzisiaj. Właśnie

w tej chwili bogowie szykują się do drogi. Zapraszają też ludzi, by wzięli udział w tej walce... po ich stronie, rzecz jasna... ale nie czują by pomoc człowieka była im naprawdę potrzebna. Myślą jedynie, że ze względów propagandowych byłoby dobrze, gdyby to ludzie zniszczyli ludzkie osiedle.

- Tak, to zrozumiałe - pokiwał głową Sam, patrząc, jak słup ognia nie przestaje wirować, nieustannie zmieniając kolory i kształty. - Coś jeszcze?

- Pan w Purpurze też tu będzie...

- Nie inaczej - roześmiał się Sam.

- Przybędzie tu tylko na własną zgubę - buchnęły snopy iskier. - Tym razem muszę go pokonać.

- Uprzedzam, że Jama nie rozstaje się z pułapką na demony. .

- Już ja znajdę sposób, by się z nią rozstał... a jeśli i to mi się nie uda, zabiję go z odległości. Wiem, że można się go spodziewać przed zapadnięciem nocy. Ten wątek rozmowy z Rakaszą wyraźnie zainteresował Sama. bowiem spoważniał nagle na twarzy, a po zmarszczkach na czole można było zgadnąć, że o czymś intensywnie myśli.

- W jaki sposób się tu dostanie? - spytał.

- W latającej maszynie - odparł demon. - Może nie tak wielkiej, jak ogniasty rydwan... ten, który chcieliśmy ukraść... lecz bardzo szybkiej. Nie mógłbym zaatakować jej w locie,

- Przyleci tutaj sam?

- Tak... jeśli nie liczyć maszyn.

- Maszyn? - początkowo nie rozumiał, co demon chciał powiedzieć.

- Owszem - powtórzył Rakasza. - Maszyn, które wzięł ze sobą. Cały ten jego latający pojazd jest pełen dziwnego ekwipunku.

- To źle... - westchnął Sam. - To bardzo źle.

Słup ognia zapalał pomarańczowym blaskiem.

- Inni bogowie też nie przychodzą z pustymi rękami...

190

- A przed chwilą mówiłeś, że Jama przybywa sam...

- Bo to prawda.

- Wobec tego o co chodzi? - zmieszał się Sam.

- Ci inni nie przychodzą z Nieba.

- Skąd zatem?

- Zanim uciekłeś z Niebiańskiego Grodu - zaczął demon - wiele podróżowałem po świecie, szukając tych spośród ubóstwionych, którzy nienawidzą Bogów Miasta. W ten sposób mogłem poczynić starania, by ocalić cię z paszczy tygrysów z Kaniburrha.

- Wiem...

- Bogowie - ciągnął dalej Rakasza - bardzo urosli w siłę. Są teraz silniejsi niż kiedykolwiek przedtem...

Sam, zniecierpliwiony, postanowił mu przerwać.

- Kim są ci inni?

- Pan Czarny Nirriti, ten, który nienawidzi wszystkiego, a Bogów Miasta najbardziej - odparł demon, - Posiał tysiąc umarłych, by walczyli po naszej stronie na brzegach Vedra. Powiedział też, że my, Rakasze, będziemy sobie mogli wybrać te z bezmózgich ciał, które pozostaną po bitwie całe.

Sam skrzywił się lekko.

- Nie powiem, żeby pomoc Czarnego była mi w smak, lecz skoro ją zaproponował, nie odmówię. Kiedy należy go oczekiwać?

- Dziś w nocy - zasyczał płomień. - Lecz Dalissa przybędzie wcześniej.

Już teraz czuję, jak nadchodzi.

- Dalissa? - jęknął Sam. - Ta Dalissa?...

- Jest tylko jedna... - wyjaśnił demon. - Ostatnia z Matek Straszego Płomienia. Musiała ukryć się w głębinach, gdy Durga i Pan Kalkin płynęli morzem. Wszystkie jaja, które złożyła wtedy, zostały wypalone, lecz ciągle nosi siłę morza płomieni...

- I myślisz, że teraz Dalissa zechce mi pomóc?

- Nie pomogłaby nikomu innemu, bowiem jako ostatnia ze swego szczepu może udzielać pomocy jedynie równym sobie.

- Wobec tego wiedz... - westchnął Sam - że ta, którą dawniej znano jako Durgę, teraz przybrała ciało Brahmy i dowodzi naszymi wrogami.

- Wiem o tym - zawirował płomień. - Choć równie dobrze mogłaby się znaleźć po twojej stronie, gdybyś tylko przyjął jej propozycję... Ale teraz wszystko postawiła na jedną kartę.
- Dobrze - mruknął Sam. - Lecz nawet pomoc tych dwojga niewiele zmienia w układzie sił.
- - W stosownym czasie Rakasze wypuszczą na naszych wrogów stada słoni i tygrysów...
- Dobrze.
- I poruszymy żywioły ognia...
- Bardzo dobrze.
- A Dalissa już jest blisko - zakończył Rakasza. - Chce ukryć się w dole rzeki. Wyruszy, gdy będziemy jej potrzebowali.
- Pozdrów ją ode mnie - rzekł Sam, zwracając się do wyjścia.

191

- Pozdrowię.

Płomień ruszył za nim.

Kiedy Bóg Śmierci zstąpił na równinę przy brzegach Vedra, Taraka - Pan Rakaszów wyprawił się za nim, przybrawszy postać wielkiego tygrysa - takiego, jak jedna z bestii z Kaniburrha.

Zaraz jednak coś odrzuciło go od Jamy - to zadziałał środek przeciwko demonom. Taraka zrozumiał, że nie jest w stanie zbliżyć się do Boga Śmierci. Rakasza zawirował, zrzucając zwierzęce kształty, po czym przybrał formę wiru srebrnego pyłu.

- Boże Śmierci! - w umyśle Jamy zahuczały gromkie słowa. - Pamiętasz Piekelną Studnię?

Skalne odłamki, kamienie i piach uniosły się w górę. wessane przez trąbę powietrzną, po czym wiatr cisnął je w stronę Jamy, który szczelniej otulił się płaszczem i zmrużył oczy, lecz nadal stał nieporuszony.

Minęło parę chwil. Pył z wolna opadł na ziemię.

Jama ani drgnął,

Wszędzie wokół leżały ostre odłamki skał i brudny piach, lecz Bóg Śmierci pozostał nietknięty.

Jama opuścił poły szkarłatnego płaszcza. Wbił wzrok w wiry powietrza.

- Co to za sztuczki? - znowu posłyszał huczące jak dzwon słowa, rozbrzmiewające w swym umyśle. - Jak to się dzieje, że stoisz tak, nieporuszony?

Jama nie spuszczał oczu z trąby powietrznej, w którą przedzierzgnął się Taraka. - Jak to się dzieje, że tak wirujesz? - zapytał.

- Jestem najpotężniejszy z Rakaszów- dobiegła go odpowiedź. - Zniosłem już raz spojrzenie twych czarnych oczu, o Śmierci.

- Jestem najpotężniejszy wśród bogów - odparł. - Zniosłem już raz atak twego legionu w Piekielnej Studni.

- Jesteś sługusem Trimurti...

- Mylisz się - skwitował cierpko. - Przybyłem tu walczyć przeciw Niebu, walczyć w imię akceleracjonizmu. Wielka jest ma nienawiść, tak wielka, jak siła broni, z którą tu przybyłem, by jej użyć przeciwko bogom.

- Obawiam się wobec tego, że będę musiał porzucić nadzieję na walkę z tobą... i wyrzec się przyjemności, jaką dałby mi widok twej klęski.

- Przypuszczam, że byłby to słuszny krok...

- ... i niewątpliwie przypuszczasz, że zostaniesz tu wodzem? •- dokończył głos.

- Nie muszę. Chodzę zwykle własnymi drogami.

- Zatem, do następnego spotkania, Panie Jamo.

- Do zobaczenia, Tarako.

Rakasza niczym płonąca strzała wzbil się w niebo i zniknął z pola widzenia, Niektórzy mówią, że Jama domyślił się wszystkiego, gdy stał w ciemnościach nocy w klatce Ptaka Garudy, miotając się beznadziejnie wśród mroków, którymi okryła go Pani Ratri. Inni twierdzą, że dopiero w Pustym Dworze Śmierci, gdy

192

przesłuchał zapisy taśm - te same, które zbadał Kubera - zrozumiał, co naprawdę się stało. W każdym razie, gdy znalazł się na równinie u brzegów Vedra i wszedł do namiotu człowieka, zwanego Sam, pozdrowił go pierwszy,

a chociaż Sam sięgnął po miecz, nie wyciągnął swej szabli.
- Śmierci - rzekł gospodarz.- Zbyt szybko się spieszysz.
- Zmieniłem plany - odparł Jama.
- Co to za zmiana?
- Zasadnicza - uśmiechnął się Bóg Śmierci. - Postanowiłem ruszyć przeciwko Niebu.
- W jaki sposób?
- Stal, Ogień. Krew.
- Skąd ta decyzja?
- W Niebie już nie tak, jak dawniej - westchnął, nagle spocmurniał.
- Rozwody, zdrady, skandale.... Ta kobieta posunęła się za daleko, a ja wiem, dlaczego tak zrobiła, Panie Kalkinie. Ani nie jestem zwolennikiem akceleracjonizmu, ani go nie odrzucam. Widzę jednak, że w tej chwili jest to jedyna siła, zdolna oprzeć się Niebu. Przyłączę się do was. jeśli przyjmiesz mą szablę...
- Przyjmuję... - skwapliwie zgodził się Sam.
- ... i wzniosę ją przeciwko wszystkim pachołkom bogów - ciągnął dalej Pan Jama - oraz przeciwko bogom, z wyjątkiem Brahmy, z którym nie chcę stawać do walki,
- Zgoda,
- Pozwól więc. że będę powoził twym rydwanem.
- Chętnie - na twarz Sarna wypłynął zakłopotany uśmiech. -Tylko, że ja nie mam rydwanu.
- Za to ja mam... i to bardzo szczególny. Pracowałem nad tym pojazdem niemal o czas, chociaż nie jest jeszcze całkiem gotowy, powinien się przydać. Jeszcze tej nocy muszę go złożyć, bowiem bitwa rozpocznie się o wschodzie.
- Tak przypuszczałem. Rakasze ostrzegli mnie. gdy dały się widzieć ruchy wojsk.

Pan Jama pokiwał głową.

- I ja je widziałem, gdy przelatywałem nad ziemią. Główne siły uderzą z północnego wschodu, wzdłuż brzegów. Bogowie wkroczą do walki później. Poza tym należy się spodziewać ofensywy ze wszystkich stron... nawet Vedra nie osłoni nas przed atakiem.

- W dole rzeki zaczęła się Dalissa - wtrącił Sam. - Gdy nadejdzie stosowna chwila, wzburzy fale i sprawi, że wrząca woda zaleje brzegi.

- Myślałem - zdziwił się Jama - że Matki Płomienia już nie żyją.

- Z wyjątkiem tej jednej.

- Zakładam, że Rakasze staną po naszej stronie"⁷

- Nie oni jedni.

Bóg Śmierci uniósł brwi.

- Ktoś jeszcze?

- O, tak - roześmiał się Sam. widząc jego zdumienie. - Przyjąłem ofertę pomocy od Pana Nirriti... wiesz, bezmózgkie ciała...

Źrenice Jamy nagle zwężyły się, nozdrza zadrgały.

193

- To niedobrze, Siddhartho - spocmurniał nagle. - To barózo niedobrze. Prędzej czy później trzeba go będzie unieszkodliwić, a nie jest rzeczą rozsądną zaciągać dług wdzięczności wobec kogoś, z kim trzeba będzie walczyć.

- Wiem - wzruszył ramionami Sam. - Ale co miałem robić? Człowiek przyparł do muru nie wybiera... Przybędą jeszcze tej nocy.

- Jeśli zwyciężymy, Siddhartho, gdy zburzymy Niebiański Gród. gdy osłabimy wpływy dawnej religii, gdy uwolnimy ludzi z przesądów, tak że będą gotowi na przyjęcie cywilizacji i postępu, trzeba się będzie liczyć z powstaniem opozycji. Nirriti, który już od stuleci czeka na podobną okazję, widząc klęskę bogów sam zacznie podnosić głowę, I znowu zacznie się walka, którą wygra on lub bogowie... a w końcu nie wolno zapominać, że nieprawości Nieba nie były pozbawione pewnego wdzięku. Gdzie tutaj miejsce dla nas?

- Myślę, że pospieszyłby nam na pomoc czy tego chcemy, czy nie.

- Wobec tego - westchnął Jama - zajmę się tą sprawą, gdy już Nirriti będzie wśród nas.

- To polityka - skrzywił się Sam. - Do polityki wolałbym się nie mieszać.

Po czym podał mu puchar słodkiego wina z Keenset.

- Sądzę, że Kubera chciałby się z tobą widzieć...

- A co on porabia? - zainteresował się Jama, pociągając łyk ciemnego, wonnego napoju.

- Musztruje oddziały i uczy inżynierii miejscowych dzikusów - roześmiał się Sam. - Nawet jeśli przegramy, ci, którzy ocaleją, mogą uciec i żyć.

- Skoro myślisz o tym, żeby ich czegoś nauczyć, pokazywanie, jak wygląda budowa kotła parowego nie na wiele się przyda...

- Kubera prowadzi wykłady od świtu do nocy, a skrybowie skrzętnie wszystko notują... geologia, mineralogia, metalurgia, przetwórstwo ropy naftowej...

- Gdybyśmy mieli więcej czasu, chętnie bym mu pomógł... Cóż, wystarczy, żeby pozostało im w głowach choć dziesięć procent z tego, co im wyklada. Jeśli nie jutro, nawet jeśli nie pojutrze, to z pewnością któregoś dnia...

Sam wypił swe wino. Napełnił puchar po raz drugi. - Za jutro! - wzniosł toast.

- Za krew! - wzniosł swój puchar Bóg Śmierci. - Za krew i śmierć.

- Nie zapomnij tylko, że i z nas mogą utoczyć krwi. Lecz dopóki jest wśród nas tak wielu wrogów boskiego porządku...

- Siddhartho - rzekł Jama, odejmując puchar od ust. - Ja nie mogę umrzeć... chyba że z własnego wyboru.

- Jak to możliwe? - zainteresował się Sam.

Jama ściągnął wargi w bładym uśmiechu.

- Pozwól, że Śmierć zachowa swe małe sekrety dla siebie. W przeciwnym razie nie mógłbym wziąć udziału w tej walce.

- Jak sobie życzysz, Panie.

- Żyj długo i w dobrym zdrowiu!

- Wzajemnie.

194

Świt powlekł pole bitwy delikatną warstwą różu, niczym policzki dziewczyny, zaróżowione od biegu.

Znad rzeki ciągnęły mgły. Most Bogów błyszczał na wschodzie cały w złocie, przecinając niebo niczym płonący równik, choć wraz z ustępującymi ciemnościami nocy i on tracił na wyrazistości, ciemniał, ustępował miejsca dla dnia.

Wojownicy z Keenset czekali za murami miasta na równinach, na brzegu rzeki. Pięć tysięcy ludzi uzbrojonych w miecze, tuki, dzidy i proce stało w oczekiwaniu bitwy. Tysiąc zombich stało w pierwszym szeregu, a dowodzili nimi żołnierze Czarnego, zawiadując ruchami bezmózgich ciał za pomocą uderzeń w bębny. Czarne jedwabne wstęgi, opasujące ich hełmy, powiewały w podmuchach wiatru niczym smugi dymu.

Na tyłach stało pięć tysięcy lansjerów. Srebrne wiry powietrzne znaczyły miejsce, gdzie czekał legion Rakaszów. Ciszę przedświtu przerywał tylko ryk dzikich bestii, dobiegający gdzieś z dżungli. Na koronach drzew rozsiadły się ogniki żywiołów ognia. Błyszczały ostrza dzid. Migotały obite blachą drzewce pororców.

Niebo było bezchmurne. Trawa, lekko wilgotna, pobłyskiwała kroplami rosy.

Ziemia była dość miękka, by bez trudu można było odczytać ślady stóp.

W powietrzu unosił się chłód. Szarość, zieleń i różne odcienie żółci - te kolory dominowały w krajobrazie równin nad Vedra, która leniwie toczyła swe wody wzdłuż brzegów, zbierając liście, strącone przez wiatr z przybrzeżnych drzew. Mówi się, że każdy dzień wstając powtarza historię świata, który także kiedyś wynurzył się z ciemności i mroków, wyłonił się w mętnym blasku słońca, zaczął się ogrzewać, a wtedy, gdzieś w oczach poranka, zaślniły przebłytki świadomości, w splocie niejasnych emocji i w chaosie, nie ujętym jeszcze w ryzy logiki, pojawiły się myśli, a wszystko to pospieszyło ku światłu południa, którego jasność wprowadziła do rzeczy ład, by potem raz jeszcze, coraz wolniej i wolniej, zanurzyć się w obezwładniającej szarzyźnie zmierzchu, w mistycznej wizji półmroku, by znowu wejść w stan entropii, by wrócić w noc.

Wstał dzień.

Na przeciwległym krańcu równiny dała się widzieć ciemna linia. Powietrze rozdarł ostry dźwięk trąbki. Ciemny horyzont zbliżał się z każdą chwilą.

Na czele wojsk stał Sam w rydwanie bojowym. Czerwone słońce odbijało się

w błyszczącej zbroi. W dłoni trzymał włócznię Śmierci. Usłyszał, jak Pan Jama, powożący rydwanem, cały w purpurze, mówi, nie odrywając wzroku od horyzontu: - Na pierwszy ogień rzucają kawalerię.

Sam wyteżył wzrok.

- Nadchodzą - mruknął woźnica.

- Nareszcie.

Wyciągnął włócznię, wskazując ciemną linię jeźdźców, a wówczas Rakasze. niczym fala białego światła, poszybowali w powietrzu. Zombi powoli ruszyli naprzód.

Gdy biała linia zderzyła się z linią czarną, do miejsca, gdzie stał rydwan, dobiegł zgiełk głosów, jakieś syki, szczęk broni.

Czarna ława stanęła. Nad nią uniosły się gęste obłoki dymu.

195

strony. Ponaddźwiękowe okrzyki tortuowały ich uszy, lecz zanim dotarty, po drodze traciły na nocy i przenikliwości.

Z drętwym wyrazem twarzy Sam patrzył na piekło wokół, włócznię ciągle trzymając wysoko nad głową.

Nagle twarz przeciął mu grymas wściekłości, a z ostrza włóczni strzeliła błyskawica.

Jeźdźcy i piesi zafalowali, po czym nagle rzucili się do ucieczki.

W powietrzu rozniósł się zapach palonego mięsa.

Roześmiał się. Śmierć przerzuciła rydwan w inne miejsce.

- Widzieliście mnie? - krzyknął Sam z głową wzniesioną ku niebu.

- Popatrzcie sobie jeszcze! I strzeżcie się! Popelniliście Wad!

- Dość! - przerwał mu Pan Jama. - Na szyderstwa jeszcze za wcześnie.

Nigdy nie kpj z bogów, dopóki nie przeminą!

Po czym rydwan znowu przejechał po szeregach półbogów, siejąc zniszczenie, samemu nie ponosząc uszczerbku.

Klangor trąb ponownie rozdarł powietrze, a wtedy odwoły armii krzyżowców rzucity się na odsiecz.

Na spotkanie wyszły im oddziały wojowników z Keenset,

Sam stał wyprostowany, nie zważając na grad pocisków, z których każdy chybił. Śmierć wrzynała się rydwanem w zwartą masę żołnierzy niczym klinem, niczym papierem. Gdy tak płynęli, śpiewał, a włócznia była niczym język węża; kiedy sypała błyskawice, po równinie niósł się głośny trzask.

Talizman, przepasany wokół bioder, lśnił bladą poświatą.

- Mamy ich! - krzyknął.

- To za ledwie zgraja półbogów i ludzki moUoch - zauważył Pan Jama.

- Niebo ciągle pozostaje na uboczu, sprawdzając, na co nas stać. Tylko nieliczni wiedzą cokolwiek o prawdziwych możliwościach Kalkina.

- Prawdziwych? - powtórzył Sam. - O, tak. Nigdy, jak długo już świat istnieje, pełnia mocy Pana Kalkina nie została ujawniona. Niech tylko do mnie podejda, niebo zapłacze nad ich ciałami, Vedra spłynie krwią!... Słyszycie mnie, bogowie? Spróbujcie wejść mi w drogę! Wyzywam was na pojedynek, tu. na tej równinie! Zmiercie się ze mną!...

- Nie! - przerwał mu Pan Śmierci. - Jeszcze nie teraz.

Nad głowami przeciągnął ognisty rydwan Siwy.

Sam wyciągnął włócznię do góry - wokół maszyny rozgorzało pirotechniczne piekło.

- Nie powinienes im pokazywać, co potrafisz! - skarcił go Bóg Śmierci.

- Jeszcze nie teraz.

Przez gwar bitewny przebił się głos Taraki.

- Przechodzą już rzekę! - krzyczał demon. - Inny oddział szturmuje bramy miasta.

- Wezwij Daiisę! - rozkazał Sam. - Niech wzburzy wody i wprawi je w stan wrzenia. Weź Rakasze i zniszcz oblegających miasto!

- Tak jest! - Taraka zniknął.

Strumień światła przeciął powietrze - ognisty rydwan krążył nad wojskami Sama, błyskawice biły w szeregi armii Keenset.

- Już czas! - powiedział Jama, marszcząc poły płaszcz.

W ostatnim szeregu Pani Ratri, która cały czas obserwowała bitwę z grzbietu czarnej klaczy, wyprostowała się w strzemienu, zarzucając na czarną zbroję

czarny welon.

Po chwili wśród obu wojsk rozległy się przerażone okrzyki, gdy słońce odwróciło od świała swą twarz i zapanowały ciemności. Nawet ognisty rydwan skryły mroki, a deszcz ognia, który padał z góry na wojska Sama, powoli ustał.

Jedynie delikatna poświata otaczała teraz pojazd Pana Siwy - fosforescencja, której źródła nie sposób było ustalić. Zielonkawa mgiełka pojawiła się dokładnie w chwili, gdy na polu bitwy dał się widzieć Pan Mara, unoszony we wszystkobarwnym rydwanie ciągniętym przez konie, z których pysków lały się rzeki krwi, by zaraz wzbic się w powietrze kłębam krwiawego dymu.

Sam rzucił się w stronę Pana Złudy, lecz barykady z ciał utrudniały mu przejście. Zanim zdołał się przebić, Mara zdążył objechać całe pole bitwy, kładąc trupem wszystkich i wszystko, co stało mu na drodze. Sam wzniosł włócznię. Utkwił w Marze wzrok, ale nie zdołał osiągnąć takiego stopnia skupienia, by choć na chwilę zatrzymać spojrzenie w jednym punkcie stale zmieniającego kształty, jakby rozmazanego ciała tego, który snuł nić iluzji. Oślepiający blask błyskawic wyciskał z oczu łzy.

Wtem, gdzieś daleko, jakby w głębinach rzeki zaczęło pulsować mdlawe światło, Ciemne wody pojaśniały ciepłym blaskiem, przez chwilę zdawało się, że nad powierzchnią fal wystaje jakiś kształt, podobny do macki.

Z miasta dobiegały odgłosy walki. W powietrzu kotłowały się demony. Ziemia drżała pod stopami żołnierzy.

Sam potrząsał włócznią. W niebo strzelił postrzępiony promień jasności.

W odpowiedzi, na ziemię zstąpił pęk błyskawic.

Na polu bitwy pojawiło się teraz jakby więcej dzikich bestii, pomrukujących groźnie, z opuszczonymi pyskami uwijających się wśród szeregów, wypatrujących wśród żołnierzy ofiar, niezależnie od tego, po której stronie frontu by nie stali.

Zombi nie ustawiali w swym ponurym pochodzie, prowadzeni przez dowódców i dudnienie bębnow. Żywioty ognia opadały rojem płomieni na ciała, z których uszło już życie, trawiąc je, jakby nigdy nie syte.

- Atak półbogów odparty - oznajmił Sam, - Zobaczymy, co się da zrobić z Panem Marą.

Widzieli go, jak uwija się wśród szeregów, wzbudzając krzyki przerażenia i płacze, jak krąży nad tymi, którzy za chwilę mieli paść trupem i nad tymi, których zwłoki leżały już na ziemi, zimne.

Gdy ujrzeli tęczowe barwy jego rydwanu, przyspieszyli.

Widząc ich, zawrócił, po czym skierował się w ich stronę, mknąc korytarzem ciemności, wśród coraz to bardziej odległych, cichnących odgłosów bitwy. Pan Jama także zawrócił, a wkrótce spojrzenia ich dwóch, rozcinając gęste mroki nocy, skrzyżowały się ze spojrzeniami jego płonących źrenic.

- Staniesz do walki? - krzyknął Sam, - A może wolisz, żeby cię przegnać jak złego psa?

198

199

- Nie obrażaj swych rodziców, Zaklinaczu - odparł mu równie potężnym krzykiem. - Nie obrażaj suki i psa. Czy nie mam racji, że to ty, Panie Kalkinie? Poznaję ten pas. Poznaję cię po tym, jak prowadzisz walkę, błyskawicami rażąc zarówno wrogów, jak przyjaciół. Pewnie, bylebyś ty jeden przeżył, jak już nieraz ci się to udało, prawda?

- Prawda - wykrztusił Sam, podnosząc włócznię.

- A co tam u Pana Padliny, powożącemu tym zaprzęgiem?

Jama wyciągnął lewą dłoń, wskazując palcem na Pana Złudy.

- Przysięgam, że umrzesz - krzyknął ponuro. - Jeśli nie padniesz z rąk Kalki na, własnoręcznie cię wykończę. Jeśli nie dziś, to jutro, wiedz jednak: nie ma między nami rozejmu.

Z lewej strony wody Vedra falowały coraz gwałtowniej.

Jama skierował swój rydwan na tęczowy pojazd Pana Mary.

Konie Tego, Który Śni stanęły dęba - z nozdrzy buchnął irn ognie - rzuciły się do przodu.

Strzały Rudry potrafiły nie chybić celu nawet w nocy, lecz ponieważ Jama wzięła gwałtowny zakręt, przeszły powietrze z boku i rozbłysły w bladym blasku

eksplozji.

Wdali ciężkimi susami sunęły słońce - ciężki tupot wielkich nóg oraz głośnie krzyki znaczyły drogę, którą ścigały nieprzyjaciół, prowadzone ognikami Rakaszów,

Ale wszystkie te odgłosy, krzyki, dudnienie, szczęk broni i lamenty zagłuszył nagle jeden potężny ryk.

Mara rozrósł się niczym cyklop, a jego rydwan osiągnął wielkość góry. Każdy krok jego koni odmierzał wieczność. Z ostrza włócznie, którą Sam mocno ścisnął w dłoni, błyskawice strzelały niczym strumienie wody z fontanny. Nagle zawirowały nad Panem Marą tumany śniegu, skręcane podmuchami zamieci, a przenikliwy chłód międzygwiazdnej przestrzeni zmroził mu kości.

W ostatniej chwili zdołał opuścić swój rydwan - uderzyli w rydwan Pana Żłudy z boku, od strony burty, a kiedy razem runęli w dół, z dołu dobiegł ich jakiś trzask.

Później jednak wszelkie odgłosy jakby ucichły i tylko pulsowanie wód Vedry było teraz wyraźnie - pulsowanie przeszło w ciągły, drżący blask. Pierwsza fala parującej wody przestąpiła brzegi, z lekkim szmerem rozlała się po równinie. Za nią następne.

Teraz krzyki znowu się podniosły, znowu dał się wyraźnie słyszeć szczęk broni. Bębny armii Pana Nirriti głucho biły w ciemności, zaś wkrótce dołączył do nich jakiś dziwny, również głuchy huk - to ognisty rydwan uderzył w ziemię,

- Gdzie Mara?

- Schował się - rzekł Jama. - Ale wiecznie nie będzie tkwił w ukryciu.

- Do diabła! - zacisnął pięści Sam. - Przegraliśmy czy zwyciężamy?

- Oto jest pytanie.,, wszakże, jak ty, nie znam odpowiedzi.

Wokół tkwiącego w ziemi pojazdu z sykiem pieniała się woda.

- Możesz nas stąd wyciągnąć?

- W tej ciemności? - zdziwił się Jama. - Z woda, zamieniającą równię w bagna?

200

- To co robić?

- Siedzieć, zaprawiać się w cierpliwości i wypalić po papierosie - rzekł, rozpierając się wygodnie w siedzeniu.

Po pewnym czasie w powietrzu nad nimi zaszybował Rakasza.

- Panie! - meldował demon. - Ci, którzy teraz atakują miasto, mają środki demonobójcze.

Sam wzniosł włócznie - z ostrza ześlizgnęła się wielka błyskawica.

Białobłękitny blask rozświetlił pole bitwy na moment - nie dłużej niż tyle czasu, ile trwa błysk flesza - wystarczająco jednak długo, by móc zobaczyć siebie w sytuacji.

Wszędzie słały się trupy. W niewielkich stosach, jedno na drugich leżały zwłoki ludzi. Niektórzy nawet po śmierci pozostawali zwarci w śmiertelnym splocie, tak, jak zastał ich ostatni moment. Tam, gdzie było wolne miejsce, słały się trupy zwierząt. Kilka wielkich bestii - tych, które przeżyły - przechadzało się leniwym krokiem wśród zwalów ciał, wybierając co smaczniejsze kąski.

Żywioty ognia uciekały przed wodą, która przykryła trupy warstwą szlamu, zaś tych, którzy jeszcze trzymali się na nogach, zamoczyła powyżej kostek.

Połamane rydwany, ranne konie piętrzyły się na całym placu boju w wielu miejscach. Jedynie zombi nie ustawiali, nadal mechanicznie stawiając nogi w monotonny rytm wybijany na bębnie i posłusznie wykonywali rozkazy, zabijając wszystko, co żywego napotkali na drodze. Teraz już tylko jeden bęben uderzał, choć niekiedy rytm tracił na wyrazistości. Z miasta ciągle dochodziły odgłosy walki.

- Znajdź Panią w Czerni - powiedział Sam do Rakaszy. - Powiedz jej, żeby podniosła zasłonę ciemności.

- Słucham i jestem posłuszny - rzekł demon, po czym uleciał w stronę Keenset.

Minęło parę chwil. Sam zmrugał oczy, oślepiiony nagłym pojawieniem się słońca.

To co ujrzał, było nie do porównania bardziej wstrząsające od tego, co można było widzieć pod osłoną nocy.

Ognisty rydwan sterczał, wbity w ziemię.

Zombi dorzynali ostatnich ludzi, których dało się zauważyć w zasięgu wzroku. Wtem, gdy zawróci I i, szukając, z czego by tu jeszcze wydusić życie, łomot bębna ustał i bezmózgie ciała same zwały się na ziemię.

Sam oraz Śmierć siali w rydwanie, wypatrując bodaj śladu życia.

- Cisza, jak makiem zasiał- szepnął Sam. - Co z bogami?

- Może w rydwanie...

Nadleciał Rakasza.

- Nie możemy utrzymać miasta - zameldował.

- Czy bogowie przyłączyli się do ataku?

- Tak, jest Rudra, a jego strzały sięgają zniszczenia. Także Pan Mara, Brahma oraz kilku innych. Straszny zamęt. Musiałem się związać, żeby dotrzeć tu cało.

- A Pani Ratri?

- Weszła za mury i ukryła się w swej Świątyni.

- **Co z resztą bogów?**

201

- Nie wiem.

Sam zmarszczył brwi, jak zwykle, gdy musieli podjąć trudną decyzję.

- Pójdę do miasta wspomóc obronę - rzekł po chwili milczenia.

- A ja do rydwanu - powiedział Jama. - Wożę jednak będę w stanie go uruchomić. Jeśli nie, trzeba będzie wezwać Garudę.

- W porządku - mruknął Sam, znikając w górze.

Jama wyskoczył na ziemię. - Powodzenia! - zawołał.

- Wzajemnie! - krzyknął Sam, lewitując w kierunku miasta.

Obaj musieli obejść pole bitwy, co zrobili, choć każdy w inny sposób.

Wszedł na małe wzniesienie, a jego szkarłatne buty z miękkiej skóry pozwoliły mu niemal bezgłośnie stawiać kroki na wilgotnej, uginającej się pod stopami darni.

Zdjął długi szkarłatny płaszcz, przerzucił go przez prawe ramię, a po kilku chwilach był już przy rydwanie.

- Strzelił w niego piorun - usłyszał z tyłu czyjś głos.

- Na to wygląda - potwierdził, oglądając się za siebie.

Ten, który się odezwał, miał na sobie zbroję z czegoś, co wyglądało na brąz, lecz nie była to zbroja z brązu.

Zbroję zdobyły liczne sploty węży.

Na głowie miał hełm, z którego sterczały rogi byka, a w lewej ręce trzymał błyszczący trójząb.

- Bracie Agni, jak widzę, ty także zstąpiłeś na świat...

- Nie jestem Agni, lecz Siwa - przemówił ten, który stał za nim z tyłu.

- Jestem Panem Zagłady.

- Owszem - zgodził się z pogodną miną. - Przybrałeś nowe ciało, na które założyłeś pradawną zbroję Siwy, trzymasz w dłoni jego trójząb. Ale nikt nie może stać się Panem Trójzębu Siwy w tak krótkim czasie, mój drogi. Dlatego założyłeś białą rękawicę na prawą rękę, a okulary trzymasz nad brwiami.

Siwa szybko opuścił czarne okulary na oczy.

- Nic z tego - roześmiał się Jama. - To ci nie zdoła dodać autorytetu.

Lepiej odrzuć ten trójząb. Agni. oddaj mi rękawicę, berło, pas i okulary.

Ten, który stał przed nim, potrząsnął głową.

- Szanuję twą moc, Boże Śmierci, doceniam twój refleks, siłę i zrzeczność

Lecz w tej chwili jesteś zbyt daleko od tych, którzy mogliby ci pomóc. Zostałeś sam. Nie możesz się do mnie zbliżyć nie ryzykując, że spalę cię, zanim dasz jeden krok. Śmierci... musisz umrzeć.

Sięgnął za pas po swe berło.

- Czyżbyś zamierzał posłużyć się darem Śmierci przeciwko niej samej?

- spytał, ujmując za rękojeść okrwawionego miecza.

- Bye, bye, Dharmo - zawołał Agni, który myślał, że jest Siwą. - Twe dni dobiegły kresu.

Wyciągnął berło.

- W imię przyjaźni! ... - zawołał Jama. - W imię przyjaźni, która nas dawniej łączyła, przysięgam, że daruję ci życie, jeśli mi się poddasz...

202

Berło zatoczyło w powietrzu łuk.

- Zabijeś Rudrę, by ocalić honor imienia mej żony!

- Uczyniłem to, by zachować cześć Lokapalów! - odkrzyknął, mocno ściskając berło. - Teraz zaś należę do Czwórki, bowiem jestem Panem Zagłady!

Skierował berło w jego stronę, lecz Jama zasłonił się purpurowym płaszczem.

Błysnął płomień światła, tak wielki i tak silny, że nawet wojska, walczące dwie mile dalej pod murami Keenset, zamaryły na moment w bezruchu, zdumione przerażającym blaskiem.

Do Keenset weszli najeźdźcy. Znowu podniosły się słupy ognia, znowu zabrzmiały krzyki rannych, znowu rozległ się szcęk stali uderzającej o drewno, stali o stal.

Rakasze, którzy nie mogli się zbliżyć do najeźdźców, ciskali na nich cegły, fragmenty murów... żołnierzy nie było wielu. Tak obrońcy, jak ci, którzy atakowali, zostawili większość swych sił na równinie przed miastem - poległych i dogorywających.

Sam stał na szczycie najwyższej wieży Świątyni, patrząc z góry, na zamowane przez wroga miasto.

- Nie mogę cię ocalić, Keenset - szepnął, ściągając usta w gorzkim uśmiechu. - Próbowałem, lecz nie starczyło mi sił.

Na dole stał Rudra. Napinał cięciwę łuku.

Widząc to, Sam uniósł włócznię.

Błyskawica uderzyła w Rudrę. Łuk rozpadł się w jego dłoni.

Kiedy dym opadł, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą widać było łucznika, widniał niewielki krater, otoczony twardą skorupą stopionego krzemu.

Na szczycie odległego dachu pojawił się teraz Pan Waju, który wezwał wiatry, by podsycaly płomienie. Sam znowu uniósł włócznię, lecz nagle... kilkunastu Panów Waju stało na kilkunastu szczytach kilkunastu dachów.

- Mara, ty tchórze! - krzyknął, ściskając włócznię. - Zbierz resztkę odwagi i pokaż mi się, niech spojrzę ci w oczy.

Wokół rozległ się chichot.

- Kiedy nadejdzie chwila - usłyszał znajomy głos, dobiegający zewsząd, gdzieś z gęstych kłębow dymu, który leniwie snuł się z pogorzeliisk. - Kiedy będę już gotów wtedy... wtedy się pokażę. Sam wybiorę miejsce i czas... Nie cierpisz na zawroty głowy, Panie Kalki nie? Co by było, gdybyś się rzucił w dół ze szczytu Świątyni? Czyi iż Rakasze się zjawią, by cię ocalić? Czy demony zechcą cię wybawić?

Błyskawice liźnęły wszystkie budowle wokół Świątyni, lecz chichot Mary nie ustawał i był to jedyny efekt, jaki Sam zdołał osiągnąć. Powoli jednak zamierał, w miarę jak pożar obejmował coraz większą część okolicznych budowli.

Sam usiadł, tępym wzrokiem wodząc po dogasających zgliszczach i nowych zarzewiach ognia. Miasto płonęło. Bitewna wrzawa z każdą chwilą cichła, aż w końcu zupełnie umilkła. Teraz słyhać było jedynie trzask płomieni.

203

Ostry ból przewierca) mu czaszkę. Choć początkowo to pojawiał się, to znikał, teraz już na dobre rozgościł się w głowie. Wkrótce z głowy przeniósł się niżej, wypełnił całe ciało, każde włókno. Sam krzyknął.

Pod wieżą, na ulicy, stali: Brahma, Waju. Mara oraz czterech półbogów.

Chciał podnieść włócznię, lecz nagły skurcz sprawił, że drzewce wypadło mu z dłoni, broń potoczyła się po stromiznie muru i zniknęła gdzieś w dole.

Berto zakończone srebrną czaszką zostało wycelowane wprost na niego.

- Zejdź w dół! - krzyknął Brahma. - Tylko ty i Ratri zostaliście przy życiu.

Wszyscy zginęli. Poddaj się!

Z wysiłkiem pochylił się aż do stóp, założył ręce za pas, zakołysał się, po czym krzyknął, choć słowa z trudem torowały sobie drogę między zaciśniętymi zębami.

- Jak sobie życzysz! Oddam się w wasze ręce, lecz nie inaczej niż tylko w postaci bomby...

Nagle niebo przysłonił jakiś cień. Na przemian, to zapadały ciemności, to słońce wyglądało zza ciemnej chmury, która nagle pojawiała się nad horyzontem.

Syk ognia zagłuszył potężny krzyk.

- Nadciąga Garuda! - zawołał Mara.

- To dziwne... dlaczego Wisznu miałby się teraz pokazać...

- Garuda został skradziony. Zapomniałeś?

Wielki ptak kołysał się nad płonącym miastem niczym feniks, który właśnie powstał z płomieni.

Sam wyciągnął głowę do góry. W tej samej chwili na wielki łeb ptaka spadł ogromny kaptur, zasłaniając mu oczy. Ptak zwinął skrzydła i runął z góry na bogów, którzy stali przed Świątynią.

- Pan w Purpurze! - wrzasnął Mara, - Powozi nim Pan w Purpurze. Cały w czerwieni...

Brahma obrócił się, po czym, ściskając berło obiema rękami wymierzył je w głowę boskiego ptaka.

Mara wykonał jakiś zawiły gest,, zdało się, że pióra Garudy stanęły w ogniu. Waju wyrzucił do góry obie ręce, a wtedy potężny podmuch wiatru zerwał się, uderzając w Górę Wisznu - tego, który dziobem rozbija rydwan.

Ptak krzyknął raz jeszcze, rozpostarł skrzydła, wyraźnie zwolni). Wtedy nad jego głową zawirował Rakasza. Demon chciał zmusić ptaka do lotu, popędzał go kuksańcami, pali) żądłami ognia.

Ale chociaż Garuda nie zatrzymał się, stopniowo zwalnia), z każdą chwilą wytracał szybkość.

Bogowie rzucili się do ucieczki,

Garuda uderzył o ziemię.

Ziemia zadrżała.

Z gęstwiny piór wygrzebał się Jama, Wyskoczył z szablą w dłoni, zrobił trzy kroki i upadł. Zza węgła wypadł Pan Mara i kantem dłoni dwa razy uderzył go w kark.

Sam rzucił się Samie na pomoc jeszcze zanim drugi cios dotknął jego szyi, ale nie **zdażył** w porę złapać równowagi. Berło Brahmy jęknęło, a wówczas świat zakołysał rnu się w oczach. Chciał jakoś zapobiec nieuchronnemu upadkowi, lecz nie da) rady.

Ziemia była już w odległości czterdziestu stóp... trzydziestu... dwudziestu...

Ziemię okryła krwistoczerwona, delikatna mgielka, która wkrótce zmieniła kolor na czerwony.

- W ten sposób Pan Kalkin wreszcie poległ w bitwie - da) się słyszeć jakiś łagodny, słodki głos.

Brahma, Mara oraz dwóch półbogów imieniem Bora i Tikan - tylko oni pozostali i jedynie ci mogli wynieść Sama i Jamę z konającego miasta. Nieśli ich nad rzekę Vedra. Pani Ratri szła przodem, prowadzona na arkanie, Zanieśli Jamę i Sama do ognistego rydwanu, choć pojazd był teraz w jeszcze gorszym stanie niż wówczas, gdy go opuszczali. W prawym boku ziała ogromna dziura, brakowało część karoserii z tyłu. D)a pewności zakuli więźniów w kajdany, zaklinacza pozbawili Talizmanu. Boga Śmierci jego purpurowego płaszcza. Później pos)aii do Nieba wieść o zwycięstwie, a po jakimś czasie nad polem walki zakołysa)ą się godnola, wysłana, by zabrać ich z powrotem do Miasta.

- Wygraliśmy! - westchnął Brahma. - Keenset starte z powierzchni ziemi.

- Bardzo kosztowne zwycięstwo... - parsknął Mara,

- Ate wygraliśmy!

- Czarny nie tak prędko skapituluje...

- Mógł się przekonać o naszej sile...

- Ciekawe, co o niej sobie pomyśla)...) - Pan Z)udy wykrzywi) się w ironicznym grymasie. - Jednego dnia straciliśmy całą armię... nawet kilkoro bogów poległo...

- Walczyliśmy ze Śmiercią, Rakaszami, Kalkinem. Nocą i Matką Płomienia

•- wyliczał Brahma. - Po tym zwycięstwie Nirriti nie ośmieli się podnieść na nas ręki.

- Potężny jest Brahma! - westchnął Mara i odwrócił się w drugą stronę.

Panowie Karmy zostali na sąd nad więźniami.

Panią Ratri skazano na banicję: odtąd miała błąkać się po świecie w śmiertelnym ciele, a kolejne wcielenia zawsze miała odbywać w ciele kobiety średniego wieku, powierzchowności gorzej niż pospolitej, niezdolnym do podźwignięcia pełnej mocy jej Aspektu czy Atrybut u. Tak litości wy wyrok zawdzięczała jedynie temu, że potraktowano ją jako bezwonną współuczestniczkę zbrodni, do której

skłoni) ją Kubera, posługując się tym oszustwem.

Kiedy posłano by stawić przed sądem Pana Jamę, znaleziono go w celi ma-lwego. Jak się okazało, w turbanie miał małą metalową skrzyneczkę, która właśnie eksplodowała.

Panowie Karmy dokonali wizji lokalnej, po czym zwołali naradę.

- Skoro chciał umrzeć, to dlaczego po prostu nie zażył trucizny? - dziwił się Brahma, - Przecież łatwiej ukryć pigułkę, niż trzymać na głowie skrzynkę.

204

205

- Całkiem możliwe - zauważył jeden z sędziów - że Pan Śmierci przygotował sobie drugie ciało i że w skrzyneczce ukrył zestaw do transferu umysłu. Gdy już zamieszkał w drugim ciele, dowody zniszczył,

- Czy to prawdopodobne?

- Nie, oczywiście, że nie - roześmiał się autor hipotezy. - Urządzenia do transferu umysłu są bardzo duże i skomplikowane. Choć z drugiej strony nie można zapominać, jak zmyślnym konstruktorem był Pan Jama... Pamiętam, że pewnego razu usiłował mi dowieść możliwości podobnej operacji, jednak nawet wówczas należałoby założyć, iż między dwoma ciałami istnieje bezpośredni kontakt, utrzymywany dzięki sieci przewodników i kabli. Poza tym żaden konstruktor nie uwierzy, że tak mała maszyna zdolna byłaby wytworzyć potrzebną ilość energii.

- A kto zbudował psychosondę? - spytał Brahma.

- Pan Jama...

- A ognisty rydwan Pana Siwy - wyliczał dalej Stwórca. - A ogniste be-
rło Pana Agni? A straszliwy luk Rudry? A trójząb, Szeroką Włócznie i tak da-
lej?...

- Oczywiście, Jama...

- Zatem chciałbym was powiadomić. Panowie Karmy - westchnął ciężko Brahma - że prawdopodobnie w tym samym czasie, gdy zaczęła działać ta skrzynka, w Pustym Dworze Śmierci włączył się wielki generator rnocy. Pracował nie dłużej niż pięć minut, po czym sam się wyłączył.

- Transmisja energii? - zainteresował się jeden z obecnych.

Brahma wzruszył ramionami.

- Czas osądzić Sarna!

Co leż się stało. Ponieważ jednak Sam już raz umierał i -jak wszyscy mogli się przekonać - be? widocznych efektów, ustalono, że wyrok śmierci nie wchodzi w rachubę,

W związku 7. tym dokonano transferu,, ale nie z ciała do ciała.

Wzniesiono maszt radiowy, uśpionego Sama przyłączono do przewodników, jak to zwykle podczas transferu u, lecz ich drugie końce podłączono nie do innego ciała, ale do transformatora, umieszczonego na szczycie masztu.

W ten sposób przez otwartą kopułę Nieba przeniesiono jego atman do wielkiego obłoku magnetycznego, otaczającego całą planetę, a zwanego Mostem Bogów.

Później od był się wspaniały pogrzeb. Najpierw podpalono stos Jamy, później Sama. Brahma, patrząc na smug i dymu u noszące się ze stosów, nie mógł wyjść z podziwu.

- Budda przeszedł do ni rwany! - wzdychał przewracając oczami. - Ogłoście to w Świątyniach! Śpiewajcie na ulicach, bo chwalebne było to przejście! Zreformował dawną religię i teraz już wierny, że jesteśmy lepsi niż przedtem. Niech wszystko, co żyje, zawsze ma w pamięci Keenset!

Tak też się stało.

Wszakże nigdzie nie zdołano znaleźć Pana Kubery.

Demony żyty na wolności.

Nirriti rósł w potęgę.

A w każdym zakątku świata żyli ci, którzy pamiętali o powiększających soczewkach, w_o dz.e. huczącej w toalecie, przeróbce ropy naftowej i inżynierii oraz o dniu, w którym słońce zakryło swą twarz przed sprawiedliwością Nieba Słyszano, jak Wisznu powiedział, że i tak w końcu dzicz zawiładnie Miastem!

206

ROZDZIAŁ VII

Niekiedy zwano go także Majtreja, to znaczy Pan Światła. Kiedy powrócił ze Złotego Obloku, udał się do Pałacu Karmy w Khalpur, gdzie nabierał sił, by Dzień Jugi nie zastał go nie przygotowanym. Mówią, że nikt nigdy nie przeżył świadomie tego dnia, bo dopiero gdy już przeminął! byh wiadomo, że nastąpił. Albowiem Dnia Jugi sionce wschodzi lak sarno, jak każdego innego dnia, by jak zwykle zmierzać ze wschodu na zachód, odtwarzając historię świata.

Zwano go niekiedy Majtreja, czyli Pan Światła.

Świat jest Ogniem ofiarnym, słońce jest stosem, promienie słoneczne to dym, dni to płomienie, strony świata, wyznaczone punktami kompasu, to popioły i iskry. W tym ogniu bogowie ofiarują los jako dar. Z tej ofiary narodził się Król Księżyc.

Deszcz, o Gautamo, jest ogniem, rok to stos, który go podtrzymuje, chmury to dym, krople to płomienie, popioły i iskry. W tym ogniu bogowie ofiarują Króla Księżyc jako dar. Z tej ofiary narodził się deszcz.

Świat, o Gautamo, jest ogniem, ziemia to stos, który go podtrzymuje, ogień to dym, noc to płomienie, popiołami są księżyce, gwiazdy to iskry. W tym ogniu bogowie ofiarują deszcz jako dar. Z tej ofiary rodzi się wszelka żywność.

Mężczyzna, o Gautamo, jest ogniem, jego otwarte usta to stos, jego oddech to dym, mowa - płomienie, oczy - popioły, uszy - iskry. W tym ogniu bogowie ofiarują żywność jako dar. Z tej ofiary powstaje siła pokoleń.

Kobieta, o Guatamo, jest ogniem, jej piękne kształty to stos, włosy - dym, jej narządy to płomień, jej rozkosze to popiół i iskry. W tym płomieniu bogowie ofiarują siłę pokoleń jako dar. Z tej ofiary rodzi się człowiek. Żyje tak długo, jak to mu przeznaczone.

Kiedy człowiek umiera, zanoszi się go na stos. -Ogień powraca do ognia, stos staje się jego stosem, dyni - jego dymem, płomień - jego płomieniem, popioły - jego popiołami, iskry - jego iskrami. W tym ogniu bogowie ofiarują człowieka jako dar. Z tej ofiary wyłania się człowiek w swej promienistej świetności.

Brikadaramyaka Upaniszada, VI,ii. 9-14

W wysokim, błękitnym pałacu o strzelistych wieżach i filigranowych kształtów bramach, tam, gdzie morze rozpyła swe słone zapachy, gdzie przesycone blaskiem powietrze rozrywają krzyki morskich stworów - ożywiające zmysły, dające uczucie rozkoszy - w tym pałacu Czarny Ni rriti rozmawiał z mężczyzną, którego doń sprowadzono.

- Kapitanie, jak ci na imię? - zapytał.

- Olvagga, Panie - rzekł stojący przed nim człowiek. - Dlaczego zabiłeś całą załogę, a mnie zostawiłeś przy życiu?

208

- Ponieważ nie załogę, **lecz** ciebie chciałem zapytać o parę **spraw**, kapitanie.

- To znaczy?...

- Wiele rzeczy mnie interesuje... są to sprawy, o których stary wilk morski, taki jak ty, powinien coś wiedzieć. Jak wygląda ma władza nad obszarami mórz południowych?

- Rządzisz, Panie, żelazną pięścią... W przeciwnym razie nie stałbym tu przed tobą.

- Wielu boi się wyprawić w podróż, prawda?

- Tak.

Ni rriti podszedł do okna, z którego roztaczał się widok na morze. Po dłuższej chwili zwrócił spojrzenie na jeńca. Minęło jeszcze trochę czasu, zanim przemówił.

- Słyszałem, że od dnia bitwy pod Keenset na północy rozwija się cywilizacja...

- Tak, też doszły mnie te słuchy - potwierdził kapitan. - Sądzę, że to prawda. Widziałem maszynę parowa, prasa drukarska jest znowu w użyciu...

Wytwarza się stal coraz lepszej jakości, znowu odkryto mikroskopy i teleskopy. Nirriti zbliżył się do więźnia. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

Nirriti był szczupłym mężczyzną o wesołych oczach, pogodnym uśmiechu, ciemnych włosach, spiętych srebrną wstążką, nos miał nieco zadarty, a kolor oczu dorównywał nieskażonemu błękitowi pałacu. Ubrany był na czarno. Biała cera nie zdradzała śladu opalenizny

- Dlaczego bogowie nie usiłują położyć kresu tym zabawom z postępem?
- Jak sadzę, są zbyt słabi. Panie... o ile tę właśnie odpowiedź chciałeś usłyszeć. Od czasu rzezi nad Vedra bogowie jakby się boją sypać piach w tryby postępu... Mówi się nawet, że w Mieście rozgorzał na tym tle zażarty spór między partią półbogów a tymi, którzy pozostali ze starszych bóstw. Istotą spór u jest jednak sprawa stosunku do nowej religii. Ludzie nie drżą już dtużej przed Niebem, nie boją się używać wynalazków. Są nawet gotowi bronić się przed atakami Nieba, a ponieważ są obecnie lepiej uzbrojeni, bogowie nie spieszą się z ekspedycją karna.

- Wobec tego Sam zwyciężył - uśmiechnął się Nirriti. - Czas pracuje dla niego.

- Też tak uważam.

Nirriti spojrział na dwóch strażników, stojących po obu stronach więźnia.

- Zostawcie nas samych - rozkazał, zaś kiedy wyszli, zwrócił się do Olvagga. - Znasz mnie?

- Tak, kapelanie. Bo jestem Jan Olvegga, kapitan Gwiazdy Indii.

- Olvagga... Chyba niemożliwe...

- A jednak. Przyjąłem nowe ciało... dzisiaj już może nie tak nowe... owego dnia, gdy Sam pokonał Panów Karmy w Maharatha. Też tam byłem.

- Jeden z Pierwszych i... no tak... chrześcijanin!

- Niekiedy, jedynie wówczas, gdy łamię słowo dane hinduizmowi.

Nirriti położył dłoń na ramię. -W takim razie twa prawdziwa istota musi bardzo ubolewać z powodu bluźnierstwa, którego się dopuścili!
209

- Nie darzę ich szczególną sympatią... i wzajemnie.

- Pewnie... - pociągnął nosem Nirriti. - Lecz co do Sama... on leż się dopuścił bluźnierstwa, mnożąc ilość herezji, oddalając dzień zwycięstwa Słowa...

- To tylko strategia obrony - odparł Olvagga. - Nie przypuszczam, żeby się kryło za tym coś więcej. Jestem pewien, że nie bardziej pragnie być bogiem niż ty czy ja.

- Możliwe... Życzylbym sobie jednak, by obrat mną strategię. Jeśli zwycięży, dusze tych, którzy mu uwierzyli popadną w wieczne potępienie.

Kapitan wzruszył ramionami. - W przeciwieństwie do ciebie nie jestem teologiem...

- Ale zechcesz mi pomóc? - Nirriti obrzucił go bystrym spojrzeniem.

-- W ciągu tych lat zbudowałem potężną armię Mam ludzi, mam maszyny. Mówisz, że nasi wrogowie osłabli...Moja armia bezdusznych... nie zrodzonych z mężczyzny ni z niewiasty... oni nie boją się niczego. Mam gondole... całą armie gondoli. Bez trudu wzbiję się aż do Miasta. Jestem w stanie zburzyć wszystkie Świątynie tych heretyków, nie zostanie po nich kamień na kamieniu. Myślę, że już nadszedł właściwy czas, by oczyścić świat z tej zarazy. Prawdziwa wiara musi zwyciężyć, i to szybko. Dłużej nie można zwlekać:...

- Jak już wspomniałem nie jestem teologiem - rzekł Olvagga. - Lecz także chciałbym ujrzeć upadek Miasta. Pomogę ci, na ile potrafię.

- Wobec tego zajmiemy kilka miast i zbezczescimy ich Świątynie... Zobaczmy, jak się zachowają.

Olvagga skinął głową.

- Będziesz moim doradcą. Będę miał w tobie oparcie moralne - powiedział Nirriti, po czym schylił głowę.

- A teraz módlmy się...

Stary człowiek stał już od dłuższego czasu przez Pałacem Karmy w Khaipur, zastygły w bezruchu jak marmurowe kolumny. W końcu ulitowała się nad nim jakaś dziewczyna, przyniosła mu chleb i mleko. Odgryzł kęs chleba.

- Wypij też mleko, dziadku - rzekła dziewczyna. - Mleko jest pożywne.

Wzmocni twe ciało.

- Do diabła z mlekiem! - warknął staruszek. - Do diabła z moim ciałem!

Z duchem zresztą też nie inaczej!

Dziewczyna odsunęła się o krok. - Twarda to mowa, zwłaszcza w ustach

człowieka, któremu okazano miłosierdzie.

- To nie miłosierdzie przeklinam, dziewucho, tylko twe zamiłowanie do tego rodzaju napojów! - skarcił ją staruch. - Bądź tak miła i przynieś mi pucharek najpodlejszego cienkusa, jaki macie w kuchni... Niech już to będzie wino. którym wzgardzili goście, niechże będzie to napój tak podły, że kucharz nie chce go użyć do podlania najbardziej łykowatego kawałka mięsa w brytfannie. Błagam o nektar z winogron, nie od krów... Wina!

- Może jeszcze mam ci podać kartę? - fuknęła oburzona dziewczka.

- Precz! Odejdź mi z oczu, zanim wezwę sługi!

Spojrzał jej w oczy. - Nie rugaj mnie. Pani. Zebranie nie przychodzi mi łatwo.

Popatrzyła w czarne iskierki oczu, osadzonych w siateczce zmarszczek.

Zarost gęsto przetykały niteczki siwizny. W kącikach ust igrał łagodny uśmiech.

- No dobrze...- westchnęła, choć nie była pewna, czy dobrze robi. - Pójdź za mną. Zaprowadzę cię do kuchni i zobaczymy, czy znajdzie się coś z rzeczy, które lubisz. Choć, prawdę mówiąc, sama nie wiem, dlaczego wyświadczam ci tę łaskę.

Gdy obróciła się na pięcie i ruszyła do kuchni, zacisnął pięści, a uśmiech, dotychczas ledwo zauważalny, przeciął jego twarz, kiedy tak patrzył, jak szła kołysząc biodrami.

- Bo ciebie pragnę - mruknął.

Taraka był niespokojny. Krążąc nad chmurami, pod słońcem wżenicie myślał o drogach, które obiera Moc. Kiedyś był najpotężniejszy W dniach poprzedzających okres Zaklęcia nie znalazłby się nikt, kto zechciałby się z im zmierzyć. Wtedy przyszedł Siddhartha. Znał go już wcześniej, jeszcze jako Kalkma, wiedział, że nie jest słaby Wiedział, że prędzej czy później, beoa musieli się zmierzyć, a wówczas będzie mógł poznać moc Atrybutu, który - jak mówiono - wznosił Pan Kalkin Kiedy się w końcu zesłi, walczyli z. taka zaciekłością, że aż szczyty gór stanęły w płomieniach. Owego dnia zwyciężył Kalkin. Podczas drugiego pojedynku uderzył weń z jeszcze większą furją... wieki już minęły od tego spotkania - teraz Zaklinacz odszedł z tego świata. a był jedyny w swoim rodzaju, nikt nie mógł się z nim równać. Z wszystkich stworzeń, zamieszkujących tę planetę, jedynie on zdołał pokonać Pana Piekielnej Studni. Później .. później nadeszli bogowie, by zdusić jego moc... Bogowie... w dniach Początku tak słabowici, że nie wzbudzali nawet większego zainteresowania demonów, dzięki narkotykom, hipnozie, medytacjom, neurochirurgii, kształtowaniu Atrybutów zdołali osiągnąć znaczne sukcesy, urosli w siłę. Czwooro zstąpiło do Piekielnej Studni - zaledwie czwooro - a legion demonów nie był w stanie ich pokonać. Ten, który nosił imię Siwy, władał potężną mocą, ale i jego pokonał Sam. choć od bitwy w Studni minęło nieco czasu. Stało się tak, jak stać się powinno, bowiem Taraka poznał w Zaklinaczu równego sobie. O kobiecie nie warto wspominać. Ta, która pojawiła się w Piekielnej Studni, była pewna siebie jedynie wówczas, gdy towarzyszył jej Jama - potrzebowała jego pomocy. Za to Pan Agni - ten, którego duszę widział w postaci wielkiego języka ognia - ten naprawdę był pełen mocy. jego obawiał się najbardziej. Dobrze pamiętał ów dzień, kiedy Agni pojawił się w pałacu w Palmaidsu - sarn jeden - i wyzwiał go na pojedynek. Choć starał się jak mógł, nie był w stanie go powstrzymać, nie był w stanie powstrzymać płomienia, od którego zajął się pałac. Przysięgał sobie wtedy, że wystawi na próbę jego siłę, albo pokona Sama, albo znowu zostanie przezeń przeklęty. Ale nie dane mu było dotrzymać przysięgi. Pan Płomienia zginął, zanim Pan w Purpurze - ten, który jako czwarty walczył w Piekielnej Studni - zdążył skierować niszczącą siłę ognia na Pana Agni. To by znaczyło, że Jama jest najpotężniejszy. Czyż nawet sam Zaklinacz nie ostrzegł go przed wysysającym

210

211

życie spojrzeniem Jama-Dharmy? Tak, ten którego oczy niosły śmierć, był najpotężniejszym z bogów żyjących na świecie. Omal nie padł jego oliarą. wtedy, w ognistym rydwanie... Później tylko przez chwilę dane mu było poczuć jego moc, bowiem zaraz potem się okazało, że walczą przeciwko temu samemu wrogowi, a jako sojusznicy nie powinni się wdawać w pojedynki. Później rozgłaszano plotki, jakoby pojmany do niewoli Jama miał umrzeć w Mieście. Potem znowu dąto się słyszeć, że jednak żyje i tuła się po świecie. Pwładano.że

Iako Pan Śmierci nie mógł umrzeć, chyba że sam by zapragnął odejść. Taraka godził się z tym, wiedząc, co to oznacza. A znaczyło to, że on - Taraka - ma wrócić na Południe, na wyspę z błękitnym pałacem, tam, gdzie Pan Zła - Czarny Nirriti czeka, aż mu odpowie. Tak, zgodzi się. Począwszy od Maharatha. kierując się z południa na północ, Rakasze wspomogą Czarnego i połączą swe siły z jego siłami. Zniszczą Świątynie sześciu największych miast na południowy zachód, jedną po drugiej, skapią ulice tych miast we krwi ich mieszkańców i bezdusznych legionów Czarnego - jeśli zaś bogowie ruszą na obronę, wtedy ich także spotka ten sam los. W chwili, gdy Niebo odważy się wystąpić przeciw Rakaszom, świat ujrzy, jak bardzo jest słabe. Rakasze uderzą r: a Niebiański Gród. Ni r r itt zrówna go z ziemią. Miłowy Luk zwał się z hukiem na ziemię, kopuła niebios roztrzaska się na gruzach Miasta i tylko białe tygrysy z Kaniburrha zamieszkałą w ruinach, które wkrótce pokryją wieczne śniegi. A wszystko to miało się stać tak naprawdę z jednego tylko powodu - pomijając samo pragnienie przewyciężenia nudy i przyspieszenia początku końca ludzi oraz bogów - gdziekolwiek toczyła się walka, gdziekolwiek gwałtowna śmierć, i krew, i płomień kładły kres egzystencji, tam zawsze pojawiał się on: Pan w Purpurze. Zawsze nadchodził w pełni swego Aspektu, który przynaglał go, by znalazł się w miejscu, gdzie rozciąga się jego królestwo. Taraka wiedział, że dotąd będzie prowadził poszukiwania, czekał, walczył, robił cokolwiek, aż wreszcie przyjdzie taki dzień, gdy spojrzy w czarne płomyki, tańczące w oczach Śmierci.

Brahma popatrzył na mapę. potem spojrzał na kryształów/ ekran, wokół którego zwił się brązowy Naga trzymając ogon w zębach.

-- Pożar, kapłanie?

- Pożar, Brahmo... plonie cała dzielnica handlowa.

- Rozkaż ludziom, żeby ugasili ogień.

- Właśnie to robią, Potężny.

- No to czemu zawracasz mi głowę?

- Zagrożenie, o Wielki... - jęknął kapłan, a Brahma, który nie nochtby się pochwalić, że cierpliwość jest jego cnotą, przerwał mu w pół słowa

- Jakie zagrożenie?

- Czarny nam grozi... ten, którego imienia nie wolno mi wypowiadać w twojej obecności... ten, który ukryty na południu stale rósł w siłę, który włada szlakami morskimi, który zrujnował handel...

- Dlaczego boisz się wymawiać jego imię przede mną? - nie wytrzyma.' Brahma - Nirriti? Przecież go znam. Sądzisz, że to on podłożył ogień"

- Tak, Wielki - schylił głowę kapłan. - Nie tyle on, ile raczej ktoś na jego żołdzie. Plotki krążą, że Czarny chce nas odciąć od reszty świata, pozbawić bogactwa, zrujnować naszych kupców, osłabić naszego ducha, albowiem zamierza..

- Podbić was, rzecz jasna.

- Tyś powiedział. Potężny.

- Dlatego na twoim miejscu tym bardziej wierzyłbym pogłoskom o inwazji.

Ale powiedz: czyżbyś wątpił, że wasi bogowie staną przy was, jeśli Pan Zła odważy się zaatakować?

Kapłan dyskretnie otarł pot z czoła.

- Ależ nikt nigdy nie odważyłby się w to wątpić, o Najmożniejszy. Chcieliśmy jedynie przypomnieć Wam, Panie, o tej ewentualności... i odnowić wieczną nowennę w intencji zmiłowania boskiego i obrony.

- Co też się stało - skwitował Brahma. - Uszy do góry.

Po czym przerwał transmisję

Westchnął.

- Zaatakujecie...

- Oczywiście.

- Ciekaw jestem, jak bardzo jesteście siłny. Nikt dotychczas nie mógł mi tego powiedzieć. Może ty masz jakieś wiaaomości. Gańeszko?

- Mnie pytasz. Panie? Swego pokornego radcę do spraw policji?

Brahma nerwowo zaplótł dłonie.

- Pokorny, nie widzę poza tobą nikogo, kto mógłby odebrać to pytanie jako skierowane do siebie. Może przynajmniej wiesz o kimś. kto mógłby mi służyć informacją?

- Niestety, Panie - pokręcił głową Ganesza. - Przed głupcem wszyscy uciekają jak przed prawdziwą śmiercią. Mogę jednak powiedzieć, że powszechnie uważa się potęgę Czarnego za niezrównaną. Jak zapewne wiesz, trzech półbogów, których posłałem na południe, dotychczas nie wróciło.

- O, tak - Brahma gorączkowo poszukiwał w pamięci jakichkolwiek śladów wydarzenia, o którym wspomniał Ganesza, lecz niczego nie znalazł. Uśmiechnął się. - Cóż, jakkolwiek by nie mieli na imię, przypuszczam, że nie wystąłeś przeciwko Nirritiemu ułomków. Kiedy to było?

- Ostatni wyruszył rok temu... wówczas, gdy nowy Pan Agni...

- Ach, tak - przypomniał sobie wreszcie Stwórca. - Nie był może najlepszy jako Pan Ognia... ciągle musiał używać granatów zapalających, nic mu nie wychodziło, biedakowi... ale chyba był dość silny?...

- Jeśli myślisz, Panie, o sile moralnej, to chyba tak... - Ganesza urwał efektownie. - Hm... skoro bogów za mało, trzeba się zadowolić półbogami.

_ Gdyby to było dawniej - rozmarzył się Brahma - dosiadłbym ognistego rydwanu i...

- Dawniej ognisty rydwan jeszcze nie istniał - przypomniał Ganesza.

- Pan Jama...

212

213

- Milczeć! Teraz znowu mamy ognisty rydwan, I myślę, że ten szczupły człowiek, który pali tak dużo i nosi śmieszny kapelusz z szerokim rondem... myślę, że ten człowiek poprowadzi nasz rydwan na pałac Czarnego.

- Panie, obawiam się, że Nirriti jest w stanie skuteczniej nas powstrzymać. Rydwan też.

- Jak to? - Brahma nie krył zaskoczenia.

- Wiadomość z pierwszej ręki - smutno uśmiechnął się Ganesza. - Nirriti posiada pociski samonaprowadzające.

- Diaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

- Sam o tym nie wiedziałem. Dopiero dzisiaj możemy o tym mówić.

Brahma zawahał się.

- Myślisz więc...- spojrzał nań podejrzliwie. - Myślisz może, że nie powinniśmy atakować?

- Nie. Powinniśmy czekać. Niech on jako pierwszy pokaże, co potrafi. W ten sposób przynajmniej będzie można ocenić jego siły.

- Ale konsekwencją tej taktyki jest oddanie Maharatha bez jednego wystrzału, czy nie tak?

- Cóż takiego?...- A co? Nigdy nie widziałeś jak oddaje się miasto?...

Ciekaw jestem, jakie pożytki będzie miał z tej dziury, zwłaszcza później, gdy minie już nieco czasu. Skoro nie jesteś w stanie utrzymać tego miasta, niechże człowiek w białym kapeluszu z szerokim rondem pochyli się... nad Maharatha.

- Masz rację. Warto chyba poświęcić jedno miasto, by właściwie ocenić jego siły i utoczyć mu nieco krwi... Kiedy on będzie zajęty w Maharatha, my zdążymy się przygotować.

- Jakie są zatem twe rozkazy, Panie?

- Ogłaszam pogotowie bojowe w Mieście. Najpierw wezwij Pana Indrę ze wschodniego kontynentu!

- Tak jest.

- I ogłosz alarm we wszystkich pięciu miastach nad rzeką. Lananda, Khaipur, Kilbar...

- Natychmiast.

- Zatem, w drogę, Ganeszo.

- Już mnie nie ma.

Czas jest jak ocean, jego wody to przestrzeń - doszedł do wniosku Sam, wyobrażając sobie, że stoi w samym środku tych wód,

- Boże Śmierci! - krzyknął. - Sprawdź, jakimi siłami dysponujemy.

Jama przeciągnął się, ziewnął, po czym jednym ruchem wyskoczył z purpurowego łoża, gdzie przez krótki czas drzemał, niemal niewidzialny. Przeszedł na drugą stronę pokoju. Spojrzał Samowi w oczy.

- Oto i mój Atrybut.

Sam spotkał spojrzenie czarnych oczu Jamy... i wytrzymał je. - Czy to jest

odpowiedź na moje pytanie?

- Poniekąd, odparł Jama. - Przede wszystkim jednak chciałem się przekonać, jak wielka jest twoja moc... i wydaje mi się, że powoli dochodzisz do siebie. Wyrzynywałeś me śmiercionośne spojrzenie dłużej, niż **jakikolwiek** śmiertelnik.

- Wiem, że moja moc powróciła - rzekł Sam. - Czuję ją. Czuję, że wiele z tego, co odeszło, teraz znów do mnie powraca. W ciągu tych tygodni, jakie dane nam było spędzić tutaj, w pałacu Ratri, wiele rozmyślałem o moim minionym życiu... o żywotach, które przeżyłem. Nie wszystko było aż tak chybione, jak zdawałoby się na pierwszy rzut oka. Dzisiaj wiem to z pewnością... A ponieważ Niebo usiłowało na każdym kroku podstawić mi nogę, każde z tych zwycięstw kosztowało niewspółmiernie dużo.

- Tak - westchnął Jama. - Można odnieść wrażenie, że jesteś człowiekiem wybrany m przez los. Niebo przeżywa w tej chwili i okres słabości... bogowie są teraz w Maharatha, a to dlatego, że ludzie urosli w siłę. Bogowie podbili Keenset, lecz nie zniszczyli akceleratorizmu. W tej chwili usiłują osłabić buddyzm, przejmując niektóre z jego idei do własnej doktryny, jednak nie mogą pochwalić się sukcesem. Nie wiem, czy twoja religia przyczyniła się do odrodzenia akceleratorizmu, pobudzanego dodatkowo licznymi przypowieściami twego autorstwa, które do dzisiaj krążą wśród ludzi, czy wchodzi tu w grę coś innego?... Nie wiem i żaden inny bóg też tego nie wie. W każdym razie powoływanie się na twoją doktrynę służy bogom jako zasłona dymna, a od chwili, gdy buddyzm został "przyjęty" przez Niebo, wszystkie wysiłki bogów wzbudzają jedynie silną opozycję wobec deikracji. Jeśli okażesz się nie dość przebiegły, możesz być poczytany za prowokatora,

- Dziękuję za przestrogi. Mam cię pobłogosławić?

- Nie. Ale może chcesz, żebym ja to zrobił.

- Niewykluczone - roześmiał się Sam. - W każdy m razie z błogosławieństwem możemy jeszcze poczekać. Teraz jednak chciałbym usłyszeć odpowiedź na postawione wcześniej pytanie; jak wyglądają nasze siły?

- Skoro tak ci na tym zależy... - Jama wzruszył ramionami. - Proszę bardzo. Pan Kubera zaraz powinien się zjawić...

- Kubera? - krzyknął Sam. - A gdzie on się podziewa?

- Przebywał w ukryciu przez cały ten czas, który minął od Wielkiej Bitwy. Zaszczepiał wiedzę wśród ludzi.

- Tak długo? - jęknął Sam. - Ależ jego ciało już się chyba rozpada. Jak on to zrobił?

- Zapomniałeś o Naradzie?

- O tym medyku z Kapil?

- Tak, o nim myślę. Gdy po bitwie pod Maharatha rozwiązałeś swój oddział. Narada zamieszkał na prowincji i służył swą wiedzą dawnym kolegom. Miał przy sobie sprzęt, który zarekwirowałeś Panom Karmy. Zdołałem go odnaleźć już parę niezłych lat temu i gdy po klęsce pod Keenset uciekłem z Nieba, wyprowadziłem Kuberę z jego kryjówki w ruinach, po czym on sam już, z własnego wyboru przystał do Narady, który obecnie zajmuje się sprzedażą ciał z przemytu. Pracują razem. Innych umieściliśmy w podobnych miejscach, nie narzekają.

- I teraz Kubera ma się do nas przyłączyć? - jęknął Sam. - To wspaniale.

- Gdy chodzi o Siddharthę... - ciągnął dalej Jama. - Ten żyje po staremu, nadał jest księciem Kapil. Stąd nie będzie mu trudno zebrać parę oddziałów

214

215

żołnierzy... niedawno zresztą urządziliśmy coś w rodzaju próbnego alarmu. Z dobrym rezultatem.

- Nie przypuszczam, żebyśmy zdołali zebrać więcej niż garstkę ludzi

- mruknął z lekceważeniem Sam. - Ale dobre i to.

- Jeszcze Pan Kryszna... - wspomniął Jama.

- Kryszna?... Po naszej stronie? A co z nim?

- Mieszkał tu przez jakiś czas. Znalazłem go, gdy przybyliśmy tutaj, lecz właśnie wyjechał z jedną ze swych dziewczyn... Bardzo przejmująca historia.

- Przejmująca? - zainteresował się Sam.

- Owszem... Kryszna żałośnie się zestarzał i całkiem osłabł, ale do

pijaństwa i rozpusty ciągle jest zdolny. Aspekt nadal mu służy, a nawet niekiedy, w chwilach szczególnego napięcia, pozwala Krysznie tryskać dawną charyzmą i niesłychaną witalnością. Wygnano go z Nieba po tym, gdy odmówił udziału w walce przeciwko Kubercze i mnie, tak jak to uczynił Agni. Ponad pół wieku tułał się po świecie, pijąc, kochając i grając na kobzie, oraz, rzecz jasna, ciągle się starzejąc. Wraz z Kuberczą kilkakrotnie usiłowaliśmy ustalić, gdzie się zatrzymał, nie było to jednak możliwe, bowiem Kryszna ciągle zmieniał miejsce pobytu, jak zresztą każde z bóstw płodności.

- Jaki z niego pożytek?

- Gdy go wreszcie znalazłem, posłałem go do Narady po nowe ciało. Powinien tu przyjechać wraz z Kuberczą, oczywiście już odmłodzony, bowiem w jego przypadku transfer zawsze przebiegał szybko i bez problemów.

- Dobrze - zniecierpliwiał się Sam. - Ale co z niego za pożytek?

- Nie zapominaj - wyjaśnił Jama - że to właśnie Kryszna powalił czarnego demona Barę... nawet indra bał się stanąć do tego pojedynku. Jeśli akurat przypadkiem Pan Kryszna jest trzeźwy, zręcznością przewyższa najlepszych szermierzy... Jama, Kuberczą, Kryszna... oraz, jeśli się zgodzisz... Kalkin! Oto nowa czwórka Lokapalów!

- Zgadza się.

- Zatem umowa stoi! - rozpromienił się Jama. - Niech no teraz bogowie spróbują podnieść głowę. Udało mi się skonstruować parę sztuk nowej broni, bo to hańba, że jedyne, co tu znalazłem, to tylko sterta wybrakowanych rupiec. Tylko dzięki własnemu geniuszowi zdołałem przerobić te egzotyczne okazy na prawdziwe dzieła sztuki rusznikarskiej, zachowując przy tym niepowtarzalny charakter każdego z nich. O produkcji masowej nie może być mowy... różnorodność sił, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć, wymaga wysokiego stopnia specjalizacji. Oczywiście, każdy rodzaj broni znajdzie swój odpowiednik w paranormalnych mocach któregoś z Atrybutów, lecz niech tylko dojdzie do walki! Miotacz Gehenny, destrukcyjny, elektromiecz, czy tarczofontanna, rozpylająca cjanek i metyl... będą wiedzieli, / kim przyszło im się mierzyć!

- Teraz już rozumiem, śmierci, dlaczego każdy bóg, nawet Brahma, może być zastąpiony przez innego boga, lecz tylko ty jeden nie masz następcy. Jama pokazał w uśmiechu dwa rzędy lśniących białych zębów.

- Dziękuję. Może masz jakiś plan?

- Jeszcze o tym nie myślałem. Muszę otrzymać więcej konkretnych informacji, zwłaszcza gdy chodzi o arsenał Miasta. Czy Niebo demonstrowało swą siłę w minionych latach?

- Nie.

- Gdyby tak zmusić ich do pokazania zębów... - zamyślił się Sam. - Może Rakasze?

Bóg Śmierci skrzywił się sceptycznie.

- Raczej bym im nie ufał.

- Ani ja. W żadnym razie, warto dać im szansę.

- Podobnie jak warto było dawać im szansę w Piekielnej Studni i wPalmaid-su? - zaripostował Jama.

Sam wybuchnął śmiechem.

- Strzał w dziesiątkę, mój panie. Niewykluczone, że masz rację. Muszę to jeszcze przemyśleć, a na razie powiedz mi, co nowego u Nirriti?

- W ostatnim czasie zawładnął morzami. Krążą plotki, że jego legiony rosną w siłę, a on buduje maszyny wojenne. Zresztą, już kiedyś dzieliłem się z tobą rnymi obawami co do Czarnego, a dzisiaj powtórzę tylko jedno: trzymajmy się od niego z daleka. Wszakże coś nas z nim łączy... wspólna nienawiść do Nieba, jak łatwo zgadnąć, lecz inaczej wyobrażamy sobie dzieje świata po likwidacji bogów. Nirriti nie popiera ani akceleratorystów, ani deikratów. W jego planach, po upadku Miasta ma nastąpić Era Ciemności, gorsza od wszystkiego, co dotychczas zdążyło się wydarzyć złego w historii. Sądzę, że najlepszą strategią, na jaką nas stać, byłoby tak pokierować wypadkami, by doszło do wielkiego starcia Nieba z Nirritim. Wykrwawionego zwycięzcę tego pojedynku nietrudno byłoby nam pokonać.

- Sprytnie pomyślane, Jamo, ale jak się do tego zabrać?

- Nie ma do czego się zabierać. Sprawy potoczą się własnym biegiem i już

wkrótce będziemy mieli lo, czego chcemy. Mahartaha płaszczy się przed Czarnym, a choć żyje z handlu, zupełnie zrezygnowała z żeglugi... myślisz, że ten stan utrzyma się na dłużej? Jesteś strategiem, Sam. Ja zajmuję się tylko taktyką. Przywróciliśmy cię życiu, żebyś nam doradził, co zrobić. Błagam cię, skoro już możesz istnieć jako człowiek, dobrze się zastanów, zanim cokolwiek powiesz.

- Zawsze kładziesz szczególny nacisk na te ostatnie słowa.

- Owszem... Ale nie rnoę zapomnieć, że powróciwszy z ni rwany nie miałeś okazji przekonać się, jak sobie radzisz w walce... Powiedz, jesteś w stanie sprawić, że buddyści chwycą za broń?

- Kto wie... lecz przedtem musiałbym przybrać maskę, której sam widok napawa mnie wstrętem.

- Hm... - zasępił się Jama. - Może nie będzie to konieczne. Ale na wszelki wypadek nie zapominaj o tym, bo gdy będziemy w potrzebie, tylko to jedno nam pozostanie. A dla wszelkiej pewności radziłbym ci ćwiczyć co noc przed lustrem... te książki, które czytałeś, będąc jeszcze w klasztorze Ratri, mogą ci się przydać do lepszego opanowania estetyki buddyjskiej.

- Wolałbym raczej...

- Wiem - uciął mu Jama. - Lecz rób, co ci mówię. Tak na wszelki wypadek.

216

217

- Wolałbym już ćwiczyć szermierkę. Daj mi tylko szpadę, to udzielą ci lekcji!

- Jeszcze trochę, a sam będziesz wymagał nawrócenia,

- Wobec tego wyjdźmy na dziedziniec, Panie. Czuję, że powinienem cię oświecić.

Gdy Nirriti, nie wychodząc ze swego błękitnego pałacu, wyciągnął w górę ręce, z pokładu jego statku oderwały się rakiety i pomknęły łukiem w stronę miasta Maharatha.

Gdy Pan Nirriti dotknął czarnej płytki, zawieszanej na piersi, rakiety spadły na miasto i wybuchł pożar.

Gdy założył buty, jego flotylla wpłynęła do przystani.

Kiedy czarny płaszcz opiął mu ramiona, a czarny hełm okrył mu głowę, na pokładach jego okrętów uderzono w bębny.

Kiedy przypiął do pasa pochwę, beznóżga armia poruszyła się w ładowniach.

Gdy zakładał skórzane, nabijane ćwiekami rękawice, flotylla, popychana wiatrami nawiewanymi przez Rakasze, zbliżyła się do nabrzeża.

Gdy poprosił swego młodego stewarda Olvagga, by poszedł za nim na dziedziniec, wojownicy, którzy nigdy nie wypowiedzieli ani słowa, wyszli na pokład i stanęli naprzeciwko płonącego portu.

Gdy zapuszczono silnik w czarnej gondoli, gdy otwarto im drzwi, pierwsze statki dotykały nabrzeża.

Kiedy wchodzili do gondoli, pierwsi żołnierze stawiali kroki na ziemi.

Kiedy z wysokości gondoli ujrzeli Maharatha, miasto już padło.

Na drzewach śpiewały ptaki. Ryby, niczym zaśniedziałe monety, leżały na dnie błękitnego basenu, Kwitnące kwiaty raziły oczy żywą, wesołą czerwienią wielkich, a nawet olbrzymich płatków, choć gdzieś tam można było dostrzec żółte lewkonie. Siedziała na metalowej, misternie kutej białej ławce. Wsparta lewym łokciem o poręcz zza wółprzymkniętych powiek widziała, jak chodnikiem idą dwa duże, męskie buty: jakiś intruz zamierzał zakłócić jej spokój.

- Sir, to prywatna posiadłość - zauważyła niechętnym tonem.

Buty stanęły tuż przed nią. Otworzyła oczy. Patrzył na nią dobrze zbudowany, lekko zgarbiony mężczyzna, brodaty, o ciemnych oczach i twarzy bez wyrazu. Dopiero uśmiech nadał jej jakąś treść. Miał na sobie ubranie katoru niebieskiego.

- Panie, to ogród nie dla gości - dodała, widząc, że intruz nie zamierza stąd odejść. - Mamy jeszcze ogrody w drugim skrzydle budynku, tam możesz

spocząć. Pójdź, proszę, tę ścieżką...

- Dziwne - uśmiechnął się po raz drugi. - O ile pamięć mnie nie myli, w moim ogrodzie zawsze byłaś mile widzianym gościem, droga Ratri.

- ...?

- Kubera, do usług.

- Niemożliwe! - zerwała się na równe nogi.

218

- Ale prawdziwe - odparł. - Wiem, nie jestem już takim grubasem jak dawniej, lecz cóż... nowe ciało, ciężka praca razem z Jamą, budowa broni, transport...

- Kiedy przybyłeś?

- Przed chwilą. Przeprowadziłem Krysznę oraz ogromny ładunek rakiet, granatów, min...

- Bogowie! Tyle czasu minęło.

- O, tak - pokiwał głową. Przez moment oboje milczeli. - Ciągłe jednak winien ci jestem przeprosiny, może więc teraz spłacę dawne długi, bo już zbyt długo leżą mi kamieniem na sercu. Zatem: wybacz mi, droga Ratri. że wtedy, tamtej nocy, tak brzydko się zachowałem. Potrzebny był mi Jednaktwój Atrybut, dlatego zmusiłem cię, byś z nami poleciała. Nie lubię w ten sposób wykorzystywać ludzi.

- Nie szkodzi - ujęła go pod ramię. - I tak musiałabym uciec z Miasta, mniejsza już, w jaki sposób. Nie musisz więc zdręzczać się wyrzutami sumienia, Kubero. Ja z kolei nie mogę sobie darować, że widzisz mnie teraz w takim ciele... wolałabym mieć na sobie coś bardziej sztywnego, ale czy to ważne?

- Dostarczę ci nowe ciało, wierz mi!

- Może nie dzisiaj... Zechciej usiąść... o, tutaj. Jesteś głodny? Chcesz coś zimnego do picia?

- Dwa razy tak.

- Proszę... oto owoce i soma. Może wolałbyś herbatę?

- Soma wystarczy, dziękuję.

- Jama mówi, że Sam wyleczył się ze świętości.

- To dobrze. Powinien się rozwijać. Może już ma gotowe jakieś plany powstania?

- Chyba nie - szepnęła niepewnie. - Jama nic rni na ten temat nie mówił.

Ale może Sam mówił coś Jamie.

Gałąz pobliskiego drzewa drgnęła gwałtownie i na ziemię zeskokczył Tak. lądując na czterech łapach. Kilkomu susami przeszkoczył chodnik. Stał przy ławce.

- Ta gadanina nie daje mi spać! - krzyknął. - Kim jest ten facet?

- To pan Kubera - wyjaśniła Ratri.

- Jeśli jesteś nim naprawdę, to przyznam... zmieniłeś się! - mruknął, mierząc go krytycznym spojrzeniem.

_ Ze już nie wspomnę o tobie, Taku Archiwisto. Dlaczego ciągle tkwisz w tej małpiej skórze? Nie mogłeś poprosić Jamę o transfer?

_ W tym ciele jestem bardziej użyteczny - powiedział Tak. - Jako małpa znakomicie sprawdzam się w roli szpiega., znacznie lepiej, niż gdybym był, na przykład, psem. Wytrzymałością przewyższam człowieka, a któż potrafi odróżnić jedną małpę od drugiej? Zamierzam pozostać w tym ciele... przynajmniej do czasu, gdy jest ono użyteczne.

_ Pochwały godne. Teraz powiedzcie mi, czy dotarli tu jakieś wieści o ruchach wojsk Czarnego?

_ Mówi się, że jego statki zbliżają się do wszystkich większych portów

- odparł Tak. - Tyrn razem jednak podchodzą na niebezpiecznie bliską

219
odległość, nie wspominając już o tym, że jest ich znacznie więcej niż kiedykolwiek w przeszłości. Poza tym nie wiemy nic. Wydaje się, że napędzi bogom stracha, bo nie próbowali nawet go zniszczyć.

- Tak - westchnął Kubera. - W tej chwili Pan Nirriti to wielka niewadoma. Zawsze, gdy go wspominam, to nie inaczej niż razem z Ganeszą, To był wielki błąd z jego strony, że pozwolił mu opuścić Niebo w pełni sił, a na domiar złego zezwolił mu wziąć ze sobą wszystko, co miał przy sobie. Wydaje mi się, że Ganeszą chciał mieć w osobie Pana Nirriti coś w rodzaju wroga na podorędziu, szkoda tylko, że nie pomyślał, iż nawet ten niezdolny ponurak, ten złośliwiec bez żadnego wykształcenia będzie w stanie odpowiednio wykorzystać środki, którymi dysponował i zbudować potężną armią, którą teraz dowodzi.

- W tym, co mówisz, wyczuwam pewną logikę - odezwała się Ratri.

- Nawet ja słyszałam kiedyś, że Ganeszą często postępuje w podobny sposób. Ciekawe, co on teraz robi?

- Oddaje Czarnemu pierwsze miasto, które ten zaatakuje - uśmiechnął się gorzko Kubera. - Poza tym na pewno płacze się gdzieś w pobliżu Brahmy, usiłuje odgadnąć zamiary Pana Nirriti i ocenić, jakimi siłami dysponuje...o ile, oczywiście, udało mu się wyperswadować Brahmie wszelkie pomysły o kontrataku. Później należy oczekiwać, że zaatakuje. W każdym razie jedno jest pewne: Maharatha upadnie, a my musimy być wówczas gdzieś w pobliżu. Nawet gdybyśmy mieli pozostać w roli obserwatorów, warto będzie znaleźć się tam razem.

- Sądziś jednak, że nasza rola nie skończy się na obserwacji? - zapytał Tak.

- Intuicja podpowiada mi, że powinienem się przygotować na coś więcej

- pokiwał głową Kubera. - Sam twierdzi, że to my powinniśmy rozdać karty w tej partii i tak skłócić graczy że zwycięstwo ostatecznie nam wpadnie w ręce

Nasze ruchy muszą uprzedzać ruchy innych partnerów gry... a niewątpliwie rozgrywka rozpocznie się wkrótce.

- Cóż - wzruszył ramionami Tak. - Czego tu chcesz więcej? Zawsze pragnąłem walczyć po stronie Sama.

- Jestem przekonany, że w nadchodzących dniach tyleż pragnień zostanie spełnionych, co pogrzebanych,, na zawsze.

- Może somy? - przerwała ciszę Ratri. - Może owoce?

- Dziękuję, nie.

- A ty, Tak?...

- Poproszę banana.

W cieniu drzew, na szczycie wyniosłego wzgórza, siedział Brahma. Siedział niczym posąg - jeden z tych, co to się zdarza widzieć na zwieńczeniach rynien. Siedział i patrzył na leżące w dole miasta.

- Burzą Świątynię?

- Tak - mruknął Ganeszą. - Widać, że mimo upływu lat Czarny nie zmienił poglądów.

- Z jednej strony wzbudza to litość. Z drugiej... - zawahał się Brahma

- z drugiej... przejuje dreszczem. Jego oddziały mają broń palną i szable.

- Tak. Znakomicie uzbrojeni. Wracajmy do gondoli.

- Chwileczkę...

- Obawiam się, Panie, że mogą przesadzić w ilości uzbrojenia...

- Jak mam to rozumieć?

- Nie są przygotowani óó żeglugi rzeką. Jeśli zatem zechcą uderzyć na Lananda, będą musieli poruszać się drogą lądową.

- Owszem - zgodził się Brahma. - Pamiętaj jednak, że mają dość statków powietrznych.

- Ale jeśli zechcą zaatakować Khaipur, będą mieli do pokonania jeszcze dłuższą marszrutę.

- Aaa!... - Brahma potarł skroń. - Już rozumiem. Jeśli z kolei rzucą się na Kilbar, odległość znowu wzrasta. Ale co właściwie chciałeś rzec. zwracając mu uwagę na te sprawy?

- To - uśmiechnął się chytrze Ganasze - że im bardziej wzrastają ich problemy logistyczne, tym szybciej rośnie ich wrażliwość na rany...

- ...i wobec tego proponujesz, że bym nie powstrzymał ich w marszu?

- dokończył domyślny Brahma. - Miałbym dać im wolną rękę. pozwolić na pochód przez cały kraj, patrząc, jak miasta jedno po drugim wpadają w ręce Czarnego? Werzną się klinem w głąb kraju, potem zluzują ich nowe siły, przygotowane do obrony zdobyczy, a później... później to dopiero dadzą nam szkołę! I ja mam czekać, aż umocniwszy się na przyczółkach rozleją się niczym robactwo po całym kontynencie? Jeśli się na to zgodzę..

- Panie, spójrz tylko w dół!

- Co? - zawołał zdezorientowany Brahma, - Co się dzieje?

- Robią przygotowania do wymarszu!

- Niemożliwe!

- Skądże znowu - Ganeszą wykonał lekceważący ruch ręką. - Zapomni-nasz, Panie, że Nirriti nie jest zdolny do trzeźwego myślenia. To fanatyk, więcej, to wariat! On wcale nie pożąda bogactw Maharatha. Lananda czy Khaipur. Jedyne, na czym mu zależy, to dusze. Ruszy więc w kraj, niszcząc każdy symbol naszej religii jaki napotyka i nie ustanie, dopóki nie zmusi nas do walki. Jeśli nic nie zrobimy, pośle za wojskiem misjonarzy.

- Sam przyznajesz, że jednak trzeba coś zrobić...
- Owszem, ale nie myślę o tym, co ty Panie. Ty chciałbyś wydać mu otwartą walkę. Ja wolałbym osłabić go w czasie marszu, a gdy już całkiem opadł leżąc, wtedy uderzyć! Oddajmy mu Lananda. Oddajmy mu Khaipur, jeśli trzeba. Nie żałujmy Kilbar i Hamsa. Kiedy się zadławi łupami, wtedy przypuścimy atak. Oszczędzać miasta?.. A ile sami zburzyliśmy, własnymi rękami? Pewnie już nawet nie jesteś w stanie przypomnieć sobie ich liczby!

- Trzydzieści sześć - wyrecytował Brahma. - Tymczasem w drogę do Nieba, Chłabym się zastanowił i w spokoju przemyśleć wszystko, co usłyszałem. Wiedz jednak, że jeśli usłucham twej rady a Nirriti, zdobywszy kilka miast, wycofa się, zanim zdąży opaść z sil, stracimy, i to niemało.

- Mógłbym się założyć, że Nirriti nie myśli o odwrocie.

- Kości, którymi gramy, Ganeszo, nie należą do ciebie, lecz do mnie. Spójrz tylko! Nawet przeklęte Rakasze są po jego stronie. Szybko, odlatujemy, zanim nas odkryją!

220

221

- Racja.

Wrócili do maszyny przez las w nadziei, że drzewa ich osłonią.

Gdy posłaniec przybył z wiadomościami, Kryszna odłożył kobzę.

- Tak?

-- Maharatha padło.

Kryszna wstał

- Nirriti przygotowuje się do wymarszu na Lananda.

- Co zrobili bogowie Miasta, by odeprzeć atak?

- Nic. Zupełnie nic

- Pójdź z ranna. Lokapale musza się narodzić.

Wyszli. Kobza została na stole

Tej nocy Sam stał na najwyższym balkonie pałacu Ratri. Padał deszcz, a krople wody, miotane wiatrem, uderzały o skórę niczym zimne, mokre gwoździe Pierścienia, który miał na lewej dłoni, błyszczał delikatną, szmaragdowa poświatą

Blask, choć z każdą chwilą słabł, nie zamarał zupełnie i wciąż pozostał...

W tym czasie...

W tym czasie...

niczym śmiertelne krzyki wszystkich smoków, które kiedyś olwiek i gozigołwiek żyły we Wszechświecie...

Noc cofnęła się, gdy żywioły ognia zadrżały w powietrzu przed Pałacem Karmy.

Sam złożył dłonie a wtedy ogniki poszybowały w górę. tam, gdzie noc jeszcze trwała.

Rękoma wskazał im kierunek, a one przeleciały nad Khaipur, przemierzając przestrzeń nad miastem z jednego krańca na drugi.

Krażyły w wielkim kole.

Potem rozdzieliły się. Tańczyły z wiatrem.

Opuścił ręce.

Wróciły i stanęły przed nim. jak przedtem.

Nie ruszał się. Czekał.

Kiedy serce zabiło sto razy. dobiegł go z głębi nocy głos. rozbrzmiewający w umyśle.

- Kimże jesteś ty. który dowodzisz niewolnikami Rakaszów.

- Sprowadźcie mi Tarake,...

- Nie przyjmuję rozkazów od śmiertelnika.

- Wobec tego spójrz na mą prawdziwą naturę i poznaj, kim jestem, zanim przywiążę cię do masztu flagowego i będziesz tam trwał, póki maszt się nie rozpadnie.

-- Mistrzu! - jęknął głos. - Ty żyjesz!

- Sprowadź mi Tarake - powtórzył.

- Tak jest, Siddhartho. Słucham i jestem posłuszny.

222

Sam klasnął w dłonie, a wówczas długi wąż ogników pomknął w niebo, i znów zapadła noc.

Pan Piekielnej Studni przybrał ludzkie kształty i wszedł do pokoju, gdzie

siedział Sam, gdy nie było tam nikogo prócz niego.

- Ostatnim razem widzieliśmy się w dniu Wielkiej Bitwy - rzekł zaraz na wstępie. - Później doniesiono mi, że ci z Miasta znaleźli jednak sposób, bycie pokonać.

- Jak widzisz, nie najlepiej im to wyszło.

- W jaki sposób znowu znalazłeś się na świecie?

- Pan Jama mnie powołał... Pan w Purpurze,

- Zaprawdę, wielka jest jego moc.

- Dowiedziono tego nie po raz pierwszy - rzucił oschle. - A co tam u Rakaszów?

- Dziękuję, Mamy się dobrze i nadal prowadzimy walkę, którą zacząłeś.

- Czyżby? - zdziwił się uprzejmie. - A w jaki sposób, że zapytam?

- Pomagamy twemu sprzymierzeńcowi sprzed lat... Czarnemu, Panu Nirriti... w jego walce przeciwko bogom.

- Tego się obawiałem - westchnął, splatając palce. - Oto i powód, dlaczego cię wezwałem.

- Chcesz do nas dołączyć?

- Owszem, przemyślałem gruntownie tę sprawę i doszedłem do wniosku, że chciałbym walczyć razem z wami, nawet wbrew zastrzeżeniom mego doradcy... ale pod jednym warunkiem: Pan Nirriti iawrzez nami u mowę. Chciałbym zatem, żebyś mu zaniósł posłanie ode mnie,

- Jakiej treści?

- Następującej: Lokapale...czyli Jama, Krysna, Kuberaorazja... wspomoga go w jego walce z bogami i włączą się do walki wraz ze wszystkimi swymi sprzymierzeńcami, mocami, maszynami oraz wszystkim, co posiadają, o ile Pan Nirriti przyrzeknie, że nie zwróci swych sił przeciwko wyznawcom buddyzmu i hinduizmu oraz że nie będzie chciał zdużyć idei innej wiary. Następnie zaś musi przyrzec, że nie będzie chciał zdusić idei akceleracjonizmu, czego niechlubny przykład dali bogowie. Gdy zaś będziesz słuchał jego odpowiedzi, Tarako, spójrz na płomień jego prawdziwej istoty, tak byś mógł mi później powiedzieć, czy mówił prawdę.

- Myślisz, że on się na to zgodzi?

- Tak przypuszczam. Wiem, że jeśli bogów już nie będzie, nikt nie poprze hinduizmu, a wówczas zyska wiele nawróceń. Może się o tym przekonać, patrząc na mnie, który zawsze miałem uczniów, bez względu na sprzeciw bogów. Nirriti na pewno przeczuwa, że pozostawienie wolności wyboru to jedyna możliwa droga i że słuszność zawsze wygrywa rywalizując z innymi racjami. Myślę, że Nirriti zgodzi się na sprawiedliwą rywalizację. Zanieś mu ode mnie tę wiadomość i przynieś odpowiedź.

Taraka **zafalował** - jego twarz i lewa ręka rozwiały się niczym dym.

- Sam?

223

- Tak?...

- A która droga jest słuszna?

- Co? Ty mnie o to pytasz? - wzruszył ramionami. - Skąd miałbym to wiedzieć?

- Śmiertelni nazywają cię Budda...

- Bierze się to stąd, że ich język zwodzi i niewiedza zaślepia.

- Nie - zaprzeczył Taraka. - Spojrzałem na twój płomień i nazwałem cię Panem Światła. Zakłąłeś płomień, jak i nas kiedyś zakłąłeś, a kiedy zechcesz, możesz go uwolnić, tak, jak nas kiedyś uwolniłeś. Gdy chciałeś, mogłeś zaprzeczać, że tak jest i korzystałeś z tego prawa wobec ludzi. Jesteś tym, kim chcesz być... w zależności od twierdzeń, które o sobie wypowiadasz.

- Kłamałem. Nigdy nie wierzyłem w siebie i nadal brak mi tej wiary.

Przecież z łatwością mógłbym wybrać inną, lżejszą drogę... chociażby religię, którą głosi Nirriti... wystarczyło dać się ukrzyżować. Mógłbym wybrać islam, ale zbyt dobrze wiem, jak bardzo islam jest przesiąknięty hinduizmem... Mój wybór niewiele miał wspólnego z natchnieniem. Było to czyste wyrachowanie. A oto rezultaty: jestem niczym,

- Jesteś Panem Światła.

- Idź, przekazaj lepiej me posłanie Panu Nirriti - zniecierpliwił się Sam.

-- O religii porozmawiamy kiedy indziej.

- Jeszcze jedno - zawahał się demon. - Lokapale to Jama, Kryszna, Kubera oraz ty?

- Zatem Jama żyje... - przeciągle westchnął Taraka. - Powiedz mi jeszcze jedno, Sam... Mógłbyś pokonać w walce Pana Śmierci?

- Nie wiem - odparł po chwili, - Ale nie przypuszczam, że byłbym do tego zdolny. Myślę, że nikt tego nie potrafi.

- A czy on może ciebie pokonać?

- Niewykluczone - uśmiechnął się sam. - Zakładając, że będziemy walczyli fair... Dotychczas, ilekroć w przeszłości zdarzało się nam stawać do walki, albo sprzyjało mi szczęście, albo udawały mi się różne sztuczki, tak że mogłem okpić Pana Jamę. Kiedyś walczyłem z nim na szpady i stąd wiem, że w szermierce nie ma sobie równych. Bóg Śmierci zna wszystkie drogi zagłady.

- Rozumiem - odparł Taraka, a wówczas jego prawe ramię i klatka piersiowa rozwiały się w powietrzu. - Zatem dobranoc, Siddhartho.

- Dziękuję. Dobrej nocy.

Taraka cały rozwiął się w dym. poczym w tej postaci dał się ponieść wiatrom na północ.

Wysoko nad światem płynął Taraka, Wicher targał nim bezlitośnie, lecz Rakasza nie zwracał uwagi na te szykany. Biły pioruny, lał deszcz, a Most Bogów zupełnie zniknął z oczu. Ale żadna z tych rzeczy mu nie przeszkadzała. Albowiem był on Taraka, Władcą Rakaszów, Panem Piekielnej Studni...

224

Był najpotężniejszym stworem na tej planecie,,, z wyjątkiem, rzecz jasna, Sama-Zaklinacza.

Teraz jednak od Sama dowiedział się, że istnieje ktoś jeszcze potężniejszy... i zdarzyło się, że los ich postawił naprzeciw siebie, jak już raz to się stało. Jak niewzruszenie stał Pan w Purpurze owego dnia, w pełni swej mocy, ponad pół wieku temu, nad Vedra.

Niszcząc Jama-Dharmę, zabijając Śmierć, udowodniłby swą wyższość... Udowodnienie swej bezwzględnej wyższości nad Śmiercią było dla Taraki ważniejsze, niż walka ze wszystkimi bogami Miasta... oni i tak pewnego dnia przeminą, ponieważ nie należą do rodu Rakaszów.

Dlatego postanie, które miał przekazać Czarnemu od Sama... ta propozycja współpracy, na którą Pan Nirriti miał, jak Sam sądził, wyrazić zgodę... dlatego właśnie tylko wiatr usłyszy dziś to postanie, a patrząc w płomień jego prawdziwej istoty Taraka będzie miał pewność, że mówi prawdę. Albowiem wiatr nigdy nie kłamie... i zawsze mówi NIE!

Ciemnoskóry sierżant przyprowadził go do obozu. Nawet w nocy nie było trudno go spostrzec, tak lśniła jego zbroja i szeroki rząd. Poza tym nie został schwytany, lecz po prostu podszedł do strażnika mówiąc, że musi coś przekazać Panu Czarnemu Nirriti. Z tego też powodu sierżant nie zabił go od razu, tylko odebrał mu broń, po czym zaprowadził do obozu w zaroślach, niedaleko od Uananda. Tu zostawił go strażą, sam zaś poszedł poradzić się wodza.

Nirriti i Olvegg siedzieli przy stole, w czarnym namiocie. Przed sobą mieli rozłożone plany fortyfikacji.

Kiedy zezwolili na wprowadzenie więźnia i gdy stanął przed nimi ten, który - jak twierdził - miał im coś do przekazania, Nirriti krótkim spojrzeniem odprawił straż. Znaleźli się sami.

- Ktoś ty? - zapytał.

- Ganesza, jeden z bogów Miasta - odparł przybyły. - Ten sam, który pomógł ci uciec z Nieba.

Nirriti zamyślił się.

- Owszem, przypominam sobie przyjaciela o tym imieniu... przyjaciela z dawnych dni - skinął poważnie głową,

- W końcu udało ci się ruszyć z wielką wyprawą...

- Tak.

- Pozwó mi więc, że udzielę ci osobistej rady, tyczącej się tego przedsięwzięcia.

- Słucham - Nirriti spojrzął na mapę.

- Kim jest ten człowiek? - spytał Ganesza, wskazując na Okegga,
- Mówiąc w obecności Jana Olvegga możesz się czuć tak, jakbyś mówił do mnie - wyrecytował Nirriti. - A teraz wyłóż nam wreszcie, z czym przybywasz,
- Olvegg? - powtórzył Ganesza, nie przejmując się widocznym zniecierpliwieniem gospodarza.

- Tak.

225

- No dobrze - mruknął - Przychodzę zatem, by ci powiedzieć, że bogowie Miasta są słabi. Zbyt słabi, by móc cię pokonać.
- Już od dłuższego czasu intuicja mi mówi, że tak się sprawy mają.
- Lecz słabość ich - ciągnął dalej Ganesza - nie jest na tyle wielka, by nie mogli ci zadać dotkliwych strat, jeśli już zdecydują się ruszyć w pole. Gdyby zaś wybrali szczególnie sprzyjający moment ataku, stosunek sił może się wyrównać.
- Myślałem i o tym.
- Byłoby jednak chyba lepiej - spojrzał nań Ganesza bystrym wzrokiem
- gdyby twe zwycięstwo nie pociągnęło niepotrzebnych ofiar. Wiesz, że darzę sympatią chrześcijan.
- Wyłóż, proszę, z czym dokładnie przychodzisz...
- Otóż... - wziął głęboki oddech Ganesza - na ochotnika zgłosiłem się do partyzantki tylko po to, by jako dowódca oddziału mieć możliwość przyjść tutaj i powiedzieć ci, że Lananda jest twoja. Bogowie nie będą bronić tego miasta. Jeśli będziesz się posuwał tak jak do tej pory, nie dbając o umocnienie już zdobytych pozycji, Brahma nie kiwnie nawet palcem w obronie Khaipur. Ale gdy dojdiesz do Kilbar, wiedz, że twe siły osłabną w walkach o trzy miasta, nie mówiąc już o długiej i bardzo męczącej drodze, która także może się dać we znaki. A wtedy Brahma uderzy z Nieba wszystkimi siłami, tak że cię zdusi i powali pod murami Kilbar. Wszystkie moce Niebiańskiego Grodu czekają w pełnej gotowości... czekają, aż staniesz u bram czwartego miasta.
- Rozumiem - mruknął po dłuższym milczeniu Nirriti, - Rozumiem - zamyślił się. - Dobrze to wiedzieć. Niech zatem Niebo zdradzi, przerażone tym, co zobaczy,
- Znakomity pomysł - podskoczył Ganesza. - Ciekaw jestem, czy zamierzasz transportować broń aż pod mury Kilbar...
- Zamierzam, I zwyciężę to miasto, przerzucając do ataku wszystkie siły, które dotychczas trzymałem w odwodzie. Nawet te niespodzianki, które przeznaczyłem specjalnie dla mieszkańców Nieba, nawet one zostaną wypróbowane w Kilbar na karkach mych wrogów,
Ganesza przestąpił z nogi na nogę.
- Niech tylko nie wydaje ci się, Panie, że oni przyjdą z pustymi rękoma.
- Wobec tego, gdy się zmierzymy, losy bitwy będą leżały albo w moich rękach, albo w ich.
- Istnieje jednak sposób, o Panie, by wcześniej przechylić szalę na naszą korzyść.
- Doprawdy? - Nirriti zmarszczył brwi. - Co jeszcze trzymasz w zanadrzu?
- Otóż... - rozpoczął Ganesza - trzeba ci wiedzieć, że wielu półbogów jest bardzo niezadowolonych z powodu sytuacji, jaka zapanowała w Mieście. Chcieliby przedłużyć akcję przeciwko akceleracjonizmowi oraz wyznawcom Tathagaty i byli bardzo rozczarowani, gdy po zwycięstwie Nieba w Wielkiej Bitwie o wszystkim jakby zapomniano. Wezwano zatem ze wschodniego kontynentu Pana Indrę. choć był zajęty wojną z czarownicami. Wezwano go, bo oczekuje się, że zechce publicznie wyrazić uczucia półbogów... z Indrą przybędą także jego wyznawcy, jeszcze rozgrzani wojenną euforią...
Ganesza poprawił płaszcz.
- Mów dalej - zachęcił go Nirriti.
- Bardzo proszę... kiedy zatem półbogowie, Indra oraz ci, którzy stoją za nim, przybędą pod mury Kilbar, może się okazać, że wcale nie chcą walczyć w obronie tego miasta.
- Rozumiem - Czarna zacisnęła pięści. - Teraz powiedz mi jeszcze, Ganeszo, czego się spodziewasz po tym, co zostało tu powiedziane?
- Satysfakcji.
- I niczego więcej?

- Chciałbym jeszcze - zająknął się Ganesza. - Chciałbym, żebyś pamiętał ten dzień, gdy złożyłem ci wizytę.

- Tak też się stanie. Nigdy ci tego nie zapomnę, a i ty me zapomnisz nagrody, którą ode mnie dostaniesz... Straże!

Podniesiono zasłonę i w namiocie pojawił się ten sam sierżant, który wprowadził Ganeszę.

- Odprowadź tego człowieka tam, gdzie zechce być odprowadzony i puść go wolno, nie wyrządzając mu krzywdy - rozkazał Czarny.

- Ufasz temu sprzedawcykowi? - zapytał Olvegg, gdy zostali sami.

- Tak - odparł Nirriti. - Ale srebrniki dostanie dopiero po wszystkim.

Lokapale zebrali się na naradę w komnacie Sama w Pałacu Karmy w Khaipur. Obecnie byli także Ratri oraz Tak.

- Taraka powiedział mi, że Nirriti nie zamierza dotrzymać naszych warunków - rozpoczął Sam.

- } dobrze - parsknął Jama. - A już miałem stracha, że się zgodzi.

- O świcie zaatakują Lananda - ciągnął dalej Sam. - Taraka ma przecucie, iż miasto padnie. Twierdzi ponadto, że chociaż walka będzie nieco bardziej zacięła niż w Maharatha, to jednak jest pewien, że Czarny zwycięży. Ja też.

- I ja.

- I ja.

- Wobec tego później ruszy na Khaipur... potem przyjdzie kolej na Kilbar, potem na Hamsa, wreszcie Gayatari. Gdzieś po drodze spodziewa się ataku bogów.

- Oczywiście, przecucia go nie mylą - dodał ktoś z boku,

- Jak z mapy wynika - kontynuował Sam - znajdujemy się mniej więcej w środku prawdopodobnej marszruty Pana Nirriti i to położenie daje nam parę możliwości wyboru. Skoro bowiem nie udało się ubić interesu z Czarnym, może z Niebem mielibyśmy więcej szczęścia?

- Nigdy! - poderwał się Jama, waląc pięścią w stół. - Po czyjej jesteś stronie?

- Przyspieszenia - odparł z uśmiechem. - Jeśli akceleracjomsta może przyspieszyć bieg wypadków dzięki negocjacjom, unikając w ten sposób przelewu krwi, powinien siadać do rokowań.

- Już wolałbym dogadać się raczej z Czarnym niż z Niebem!

- Wobec tego przegłosujmy tę propozycję podobnie jak urządziliśmy głosowanie, zanim nawiązaliśmy kontakt z Panem Nirriti.

- I wystarczy jeden głos przewagi...

- Czy pamiętasz, jakie stawiałem warunki, nim przystąpiłem do Lokapali? Prosiłem mnie, żebym wam przewodził, teraz więc ja proszę o siłę, która pomoże nam przebić mur. Pozwólcie jednak, że zanim odbędzie się głosowanie, wyłożę wam moje racje.

- Bardzo proszę - Jama usiadł z powrotem na swoim miejscu. - Mów!

- Jak zrozumiałem, Niebo zdobyło się w ostatnim czasie na pewną tolerancję wobec akceleracjonizmu - zaczął Sam. - Oczywiście, nikt tu nie mówi o zasadniczej zmianie oficjalnego stanowiska, lecz od paru już lat nie wszczyna się żadnych nowych prześladowań... prawdopodobnie z powodu zwycięstwa pod Keenset. Czy mam racje?

- Z grubsza tak - mruknął Kubera.

- Wydaje się, że Niebo uświadomiło sobie, iż podobne akcje są zbyt kosztowne, nie mówiąc już o tym, że Miasto traci w nich twarz. Bo przecież z bogami walczą ludzie. Istoty ludzkie podnoszą ręce na Niebo! Musimy sobie zdać sprawę z tego, że ludzie nie są do nas podobni: mają rodziny, są związani różnymi obowiązkami, a jeśli pragną odrodzenia, muszą dbać o czysty zapis karmiczny. Mimo to jednak walczą. Dlatego Niebo postanowiło zmienić taktykę na bardziej łagodną. Można więc sądzić, że w tej sytuacji, jaką mamy obecnie, Niebo nie straci nic, jeśli oficjalnie uzna stan faktyczny. W rzeczywistości, bogowie Miasta mogą nawet wykorzystać naszą propozycję dla zademonstrowania boskiej wspaniałomyślności. Sądzę, że będą gotowi pójść nam na ustępstwa, godząc się na to, czego Nirriti nie chciał uznać...

- Chcę widzieć upadek Nieba! - zawołał Jama.

- Oczywiście, ja także chciałbym to widzieć. Ale pomyśl: czy po tym, jak w ciągu ostatniego półwiecza wzbogaciłeś ludzi o wiedzę i wynalazki, Niebo może przetrwać na tym świecie dłużej niż parę lat? W rzeczywistości upadek Nieba już się dokonał, a było to w dniu bitwy pod Keenset. Jeszcze jedno pokolenie... może dwa, a władza bogów nad istotami ludzkimi zupełnie osłabnie. W tej wojnie z Czarnym Niebo dozna śmiertelnych ran, nawet gdy odniesie zwycięstwo. Pozwól bogom, niech jeszcze kilka lat zażywaią uroków dekadencjonalnej świetności. Z każdym rokiem ich siła maleje, okres największych wpływów mają już dawno za sobą.

Jama zapalił papierosa.

- Czy to prawda, że poszukujesz kogoś, kto zabiłby w twoim zastępstwie Brahmę?

Jama siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu. Zaciągnął się dymem. Wydmuchnął dym. - Może - mruknął. - Może to i prawda. Sam nie wiem. Nie lubię o tym myśleć. Ale niewykluczone, że tak właśnie się rzeczy mają.

- Czy żądasz ode mnie zapewnienia, iż Brahma z wszelką pewnością umrze?

- Nie! - drgnął gwałtownie. - Jeśli tylko spróbujesz go zabić, będziesz musiał zmierzyć się ze mną.

- No właśnie - westchnął Sam. - Zdajesz sobie sprawę, że naprawdę nie wiesz, czego chcesz: żywego Brahmę czy martwego. Może powód tkwi w tym, iż jednocześnie i kochasz, i nienawidzisz. Postarzałeś się, zanim przeżyłeś młodość. Jama, a ona była jedyną, którą kochałeś, czy nie tak?

- Tak.

- Wobec tego, niestety, nie mam gotowej recepty na wszystkie twoje problemy, wiem jednak, co powinieneś zrobić teraz: musisz umieć oddzielić swe osobiste kłopoty od spraw, które mieliśmy tu dziś omawiać.

- W porządku - Jama zwiesił głowę. - Głosuję za tym, żeby zatrzymać Czarnego w Khaipur, o ile Niebo zechce zawrzeć z narni ugodę.

- Czy ktoś ma coś do dodania?

Cisza.

- Wobec tego - rzekł Sam jakby na podsumowanie - proszę wszystkich do Świątyni na seans łączności z Niebem.

Jama zdusił niedopałek papierosa.

- Ale ja nie będę rozmawiał z Brahma...

- Nie musisz - uspokoił go Sam. - Biorę to na siebie.

//j, piąty dźwięk harfy, rozniósł się donośnym echem po zaułkach Ogrodu Purpurowego Lotosu,

Gdy Brahma włączył ekran, ujrzał przed sobą człowieka w błękitno-zielonym turbanie z Urath na głowie.

- Gdzie kapłan? - warknął Stworzyciel.

- Leży związany za drzwiami - wyjaśnił Sam. - Ale jeśli tak bardzo pragniesz, mogę go tutaj wpuścić, żeby ci odklepał modlitewkę, a może dwie...

- Kim jesteś ty, który nosisz turban Pierwszych i wchodzisz do świątyni uzbrojony?

- Dręczy mnie lakie dziwne uczucie, że już kiedyś przeżyłem coś podobnego - westchnął intruz.

- Odpowiadaj na pytanie!

- Wszakże chcesz powstrzymać Czarnego, Pani! A może zmieniłaś zamiar i chcesz mu oddać wszystkie przybrzeżne miasta bez jednego wystrzału?

_ Wystawiasz na próbę cierpliwość Nieba, śmiertelniku? - huknął Brahma.

- Nie wyjdiesz żywy ze Świątyni.

_ Twe pogroźki niewiele znaczą dla wodza Lokapalów, Kali.

_ Lokapale już nie istnieją - odparła mu z ekranu groźna twarz. - Tym bardziej nie możesz być ich wodzem.

- Przecież na mnie spoglądasz, Durga!

_ Jama?... - zaczął niepewnie Brahma.

- Pudło - roześmiał się człowiek w turbanie. - Ale owszem, Jama także jest tutaj... wraz z Kryszną i Kubera.

-~ Agni nie żyje. Każdy nowy Agni umiera..

- Od czasu bitwy pod Keenset - dokończył obcy. - Tak, wiem, Kandi.

Niestety, nie należałem do pierwotnego zespołu Lokapalów. Rild nie zdołał

mnie zabić. Tygrys, którego imię pozostanie nieznanie, dał pokaz dobrej roboty,
228

229

ale i to nie wystarczyło. A teraz zstąpiłem z Mostu Bogów. Lokapale wybrali
mnie swym zwierzchnikiem, zamierzamy bronić Khaipur i złamać potęgę
Czarnego... o ile Niebo zechce nam pomóc.

- Sarn... - wykrztusił Brahmą. - Nie... to niemożliwe.

- Wobec tego nazywaj mnie Kalkin, Siddhartha, Tathagata, Mahasamat-
man, Zaklinacz, Budda, Majtreja, czy jakkolwiek inaczej. W każdym razie masz
przed sobą Sama. Przyszedłem tu, by dobić targu.

- Mów!

- Ludzie byli kiedyś zdolni współżyć z Niebem - zaczął Sam. - Nirriti
nigdy się tego nie nauczy. Jama i Kubera zaopatrzyli miasto w broń. Jeśli
jeszcze Niebo połączy swe siły z naszymi, Czarny będzie musiał ponieść klęskę.
Zgodzimy się na ten sojusz, o ile przedtem Niebo uzna akceleracjonizm, ogłosi
pokój religijny oraz położy koniec władzy Panów Karmy.

- To iekka przesada. Sam... - zaczął Brahmą, dbając o zachowanie
równowagi i wystarczająco słodkiej miny.

- Nie ma w tym żadnej przesady - uciął Siddhartha. - Dwa pierwsze
warunki nie wymagają niczego więcej niż tylko pogodzenia się ze stanem
faktycznym. To, czego żądamy w trzecim punkcie, i tak nastąpi, czy tego
zechcesz, czy nie, daję ci więc szansę okazania łaski tym, którzy muszą odejść.

- Muszę pomyśleć...

- Masz minutę, nie dłużej - rzekł Sam. - Poczekam tutaj. Jeśli jednak twa
odpowiedź brzmi „nie”, wydamy miasto na pastwę Czarnego, niech zburzy
Świątynię. Kiedy już zajmie kilka następnych miast, będziesz musiał się z nim
zmierzyć. Ale wtedy nie będziesz mógł już liczyć na naszą pomoc. Poczekamy,
aż już będzie po wszystkim. Jeśli ciągle będziesz zajęty, nie będziesz w stanie
targować się o lepsze warunki. Jeśli Czarny cię pokona, przyjmujemy jego
wyzwanie i będziemy w stanie go pokonać... jego oraz to, co zostanie z jego
zombich. Tak czy inaczej, będziemy na tarczy. Radzę więc: skorzystaj z moż-
liwości układów, póki ją masz.

- Dobrze! - ożywił się nagle Brahmą. - Natychmiast dokonam przeglądu
sił. Niechże w tej ostatniej bitwie wojska Nieba staną ramię w ramię z twoim,
Kalkinie. W Khaipur upadnie potęga Czarnego! Zostaw kogoś w tym pokoju.
żebyśmy ciągle byli w kontakcie.

- Zakładam tu główną kwaterę - uśmiechnął się Sam.

- Wobec tego uwolnij kapłana i sprowadź go tutaj. Mam mu wydać parę
boskich rozkazów i powiadomić o bliskim już czasie boskiej wizytacji...

- Tak, Brahmo.

- Aha... poczekaj! - zatrzymał go w ostatniej chwili Stworzyciel. - Po
bitwie... o ile będziemy jeszcze przy życiu... chciałbym z tobą porozmawiać na
temat wzajemnej współpracy.

- Chcesz zostać buddystą?

- Nie... - skrzywił się Brahmą. - Kobieta.

- Na wszystko przychodzi odpowiedni moment - sapnął Sam. - Wszystko
ma swoje miejsce. Ale to, o czym myślisz, jeszcze nie może się spełnić.

- Gdy nadejdzie odpowiedni moment, gdy znajdziemy się na stosownym
miejscu, nie chciałbym przegapić okazji...

230

- Dobrze. Na razie przyprowadzę ci kapłana. Nie rozłączaj się.

Teraz, po upadku Lanada, Nirriti odprawiał święte obrzędy w samym środku
miasta, pośród sterczących ruin. Modlił się o zwycięstwo także nad innymi
miastami. Sierżanci w powolnym rytmie uderzali w bębny, zombi upadli na
kolana, a Nirriti modlił się z twarzą ociekającą od potu. Światło załamywało się
w grubych kroplach, tworząc coś w rodzaju żywej maski, która powoli spływała
na czarną zbroję, dającą mu siłę wielu. Nagle wzniosł oczy ku Niebu, spój rżał na
Most Bogów i rzekł: - Amen.

Odwrócił się. Ruszył w stronę Khaipur. Za nim szła armia.

Kiedy Nirriti doszedł do Khaipur, bogowie już czekali.

Także oddziały Kilbar trwały już w pogotowiu.

Półbogowie, herosi i szlachta oczekiwali wroga, gotowi do walki.

Nawet wysocy rangą bramini oraz pewna ilość wyznawców Mahasarnatmana - oni także trwał i gotowi do bój u. Ci ostatni przyszedli w imieniu Boskiej Estetyki. Nirriti spojrzął na zaminowane łąki, dzielące go od murów miasta. Wówczas spostrzegł czterech jeźdźców, czekających u bramy z chorągwią Nieba łopoczącą na wietrze. Lokapale.

Opuścił wzjeir i zwrócił się do Olvegga.

- Miałeś rację. Ciekawe, czy Ganesza czeka razem z nimi.

- Wkrótce się przekonamy.

Nirriti ruszył przed siebie.

Było to oweg'O dnia, gdy Pan Światła stanął w polu. Wojska Pana Nirriti nigdy nie weszły do Khaipur. Ganesza zginął pod ostrzem miecza Olweggi, gdy usiłował porozumieć się z Brahmą. Stworzyciel zwał się z Czarnym na szczycie jednego z podmiejskich wzgórz. Później padł Olvegga - kurczowo ściskając brzuch potoczył się po skalistym zboczu.

Zatem Brahma i Czarny stanęli twarzą w twarz, gdy głowa Pana Ganeszy potoczyła się w dół wąwozu.

- Mówił m i, że dopiero w Kilbar... - mruknął Nirriti, wskazując na bezgłowe zwłoki.

- Owszem, miało być Kilbar - potwierdził Brahma. - Ale teraz przynajmniej wiem, dlaczego.

Zwarli się w potężnym uścisku, a zbroja Czarnego sprawiała, że jego uderzenie miało siłę jakby wielu uderzeń.

Jama bódt konia ostrogami, kierując się w stronę *wzgórza*, na którym walczyli ci dwaj, lecz nagle porwał go wir kurzu i piachu, a kiedy podniósł do oczu połę purpurowego płaszcza, wokół rozległ się wielki śmiech.

- A co z twoim śmiercionośnym spojrzeniem, Jama-Dharmo?

- Rakasza! •- parsknął.

- Tak, to ja, Taraka

23 ••

N

le

W jednej chwili spadły nań galony wody. Koń zarżał i wyrzucił się na grzbiet. Zerwał się natychmiast, ściskając w dtoni szablę, goły płonąca trąba powietrzna przybrała ludzkie kształty.

- Gruntownie cię wyczyściłem z preparatu demonobójczego. Boże Śmierci!

Teraz poznasz, czym jest śmierć z ręki Rakaszy.

Jama wyciągnął szablę w przód.

Ciął szerokim łukiem od ramienia do bioder, lecz nie utoczył ani kropli krwi.

Żaden znak nie pozostał na miejscu, gdzie było ostrze.

- Nie możesz mnie przeszyć żelazem, o Śmierci! - zawołał Taraka. - To, co udaje ci się w przypadku ludzi, z demonem ci się nie uda. 2'a to spójrz, co ja mogę z łobą zrobić.

Taraka zwałił się na niego, unieruchomił mu ręce z tyłu po c:zym rzucił go na ziemią. W górę wzbił się snop iskier.

Niedaleko, Brahma klęczał na plecach Czarnego i wbijając kolana w kręgosłup usiłował odchylić jego głowę do tyłu. Właśnie w tej samej chwili Inbra zeskoczył z wierchowca. Wzniósł miecz zwany Piorun przeciwko Brahmie,,. usłyszał suchy trzask. To pękał kręgosłup Pana Nirriti.

- Przecież płaszcz cię obroni? - krzyknął Taraka z góry, po czym znowu zwałił się na ziemię. Nagle spojrzął w oczy Śmierci...

Jama poczuł, że demon osłabł już na tyle, by mógł go odepchnąć.

Zerwał się na równe nogi. Pospieszył na szczyt wzgórza, gd /le Brahma cios za ciosem parował uderzenia Pana Indry, krwawiąc obficie z ra n na lewej ręce, na głowie i na piersi. Poczut nagle, jak stalowy chwyt unieruchamia mu nogę

- Nirriti!

Krzyknął. Szarpnął się. Wyciągnął długi sztylet i ruszył na Indrę.

Ten odwrócił się. dał krok do tyłu, tak że ostrze miecza Brahmy nie mogło go dosięgnąć, spojrzął na Jamę.

- Ze sztyletem na Piorun? - zapytał z drwiącym uśmiechem.

- Nie inaczej! - mruknął Pan w Szkarłacie, po czym uderzył.

Osirze zatrzymało się na przedramieniu Indry, który wykr. iywiony bólem wypuścił miecz z ręki. Przyskoczył, wziął rozmach i uderzył Jamę w szczękę.

Bóg Śmierci zwał się na ziemię, lecz zdążył chwycić Indrę za nogę. Ten stracił równowagę. Upadł zaraz po nim.

Teraz Pan Jama był w pełni swego Aspektu, tak że zaledwie spojrzał na przeciwnika, zdało się, iż Indra wędnie w mgnieniu oka. Zaledwie Indra skonał, na plecy zwał się Taraka. Jama próbował wprawdzie zepchnąć go, lecz z równym powodzeniem mógłby usiłować ruszyć górę.

Brahma, leżący dotychczas w bezruchu obok Pana Nirriti, poruszył się: ścigał właśnie część zbroi, nasyconej płynem demonobójczym, po czym długim łukiem przerzucił ją w stronę Jamy, tak że upadła w zasięgu ręki. Taraka drgnął. Bóg Śmierci cofnął głowę i spojrzał. Piorun - przed chwilą jeszcze miecz Indry - potoczył się po ziemi, mierząc w pierś Pana w Purpurze. Jama chwycił ostrze obiema rękami; ostrze mierzyło prosto w serce, brakowało zaledwie parę cali... Chociaż usiłował je powstrzymać, ostrze ciągle parło do przodu. Z palców Jamy ściekały krople krwi, spadały na ziemię, znacząc czerwone śladv..

232

Także i Brahma skupił swe śmiertelne spojrzenie na Panu Piekielnej Studni, mimo że teraz, siejąc śmierć, wysysało ono te resztki życia, które kołatały się jeszcze w Stworzycielu.

Jama poczuł, jak ostrze miecza dotyka miejsca, gdzie bije serce.

Nagłym ruchem obrócił się na bok. Stał ześlizgnęła się z żeber i zatrzymała się na ramieniu.

I wtedy jego oczy stały się niczym rozżalone węgle. Rakasza z wolna zaczął tracić ludzkie kształty, powoli rozwiewał się w dym. Głowa Brahmy upadła na pierś.

Gdy Siddhartha nadszedł na białym koniu, a powietrze zatrzeszczało od wyładowań, gdy wokół unosił się zapach ozonu, demon zaskamlał,

- Mistrzu, tytko nie to! - jęknął żałośnie. - Powstrzymają swą moc. Prawo do mojej śmierci ma teraz Pan Jama...

- Ty głupcze! - syknął Siddhartha. - Wcale nie musiałeś...

Ale Taraki już nie było.

Jama przykląkł obok Brahmy. Zacisnął opaskę wokół kikuta, który pozostał mu z lewej ręki,

- Kali - szepnął. - Nie umieraj. Powiedz coś...

Brahma westchnął ciężko, otworzył na moment oczy, lecz zaraz potem zamknął.

- Za późno! - mruknął Nirriti. Odwrócił się, spoglądając na Jamę.

- A może właśnie w samą porę... Jesteś Azrael, czy nie tak?... Anioł Śmierci...

Jama wymierzył mu policzek. Krew powalała twarz Czarnego. - Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy Królestwo Niebieskie

- rzekł Nirriti. - Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni.

Błogosławieni potulni, albowiem oni posiadają ziemię.

Jama spoliczkował go po raz drugi.

- Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni. Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią. Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą...

- I błogosławieni pokój czyniący - dodał Jama. - Albowiem oni synami

Bożymi nazwani będą. Nieźle się przystosowałeś do tego obrazka. Czarny.

Czym jednak synem nazwany będziesz, popełniwszy tyle niegodziwości?

Nirriti uśmiechnął się. - Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości w imię tych, do których należy Królestwo Niebieskie.

- Jesteś szalony - westchnął Jama - I dlatego długo już nie pożyjesz.

Lepiej byłoby, gdybyś sam odebrał sobie życie, bo i tak wkrótce je stracisz.

Wziął Brahme w ramiona. Ruszył w stronę miasta.

- Błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć i prześladować was będą

- mruzczał Nirriti, - I kłamliwie mówić na was wszelkie zło ze względu na

mnie...

- Wody? - zapytał Sarn, przerywając tę litanie. Uniósł głowę Czarnego.

- Kim jesteś?

- Sam.

- Ty?,,.. Znowu powstałeś...

- Trudno rzec... - odparł. - W każdym razie nie prosiłem się o to.

233

Oczy Czarnego zalśniły łzami. - Wobec tego wygrałeś raz jeszcze - wydusił z trudem. - Nie mogę pojąć, dlaczego On dopuszcza...

- To przecież zaledwie jeden świat, Panie. Kto wie, co dzieje się gdzie indziej? Wreszcie, wcale nie była to walka, w której chciałem odnieść zwycięstwo. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Przykro mi z powodu tego, co się stało i bardzo ci współczuję. Zgadzam się ze wszystkim, co przed chwilą powiedziałeś Jamie i zgadzają się z tobą ci, którzy są uczniami człowieka zwanego Budda. Nie pamiętam, czy byłem kiedykolwiek, jak również nie pamiętam, bym był kimkolwiek innym. Teraz nie ma to już znaczenia. Chcę znowu stać się człowiekiem, jeśli zaś ktoś pragnie znaleźć Buddę, niechaj go szuka w swym sercu. Przesłanie Buddy, niezależnie od tego, jakie miało źródła, było czyste w intencjach, uwierz mi. Jedynie z tego powodu zdolne było zapuścić korzenie i wydać owoc.

Czarny przełknął łyk wody.

- Tylko dobre drzewo wydaje dobre owoce... - jęknął - Wola silniejsza od mojej sprawiła, że umieram w ramionach Buddy... jego nauka przesądziła o losach tego świata... Pobłogosław mnie, Gautamo. Umieram...

Sam położył jego głowę na ziemię.

- Wiatr dmie na południe, po czym zawraca na północ. Krąży tam i z powrotem, powracając zgodnie z naturą swych cykli. Wszystkie rzeki wpadają do morza, ale morze nie występuje z brzegów. Wody, które zmiierzają od źródeł do mórz, powrócą tam skąd przyszły. To, co się stało, jest tym co jeszcze się stanie, a co było, to będzie, i nie pozostało żadne wspomnienie rzeczy, które zdążyły się już wydarzyć, tak jak nie będzie wspomnienia po tym. co przyjąć musi, ani po tym, co stanie się później...

Po czym nakrył Czarnego swym białym płaszczem, bowiem Pan Czarny Nirriti umarł.

Jana Olvegga zanieśiono do miasta na noszach. Sam posłał po Kubere i Naradę, aby wyszli mu na spotkanie w Dworze Karmy, bowiem nietrudno było się domyślać, że życie Olveggi w obecnym ciele nie potrwa już długo.

Gdy wchodzili do środka, Kubera potknął się o trupa.

- Kto to?

- Mistrz.

Na korytarzu, który wiódł do komnat transferów leżały jeszcze trzy ciała w czarnych ubraniach z żółtymi kołami na piersiach. Przy trupach wszędzie widzieli broń.

Czwartego znaleźli przy maszynach, Ostrze szpady utkwilo dokładnie w samym środku żółtego koła, tak że zwłoki sprawiały wrażenie zwykłej tarczy strzelniczej, którą ktoś postanowił wykorzystać w ćwiczeniach. Usta trupa rozwarły się, gotowe do krzyku, którego nigdy nie wydał.

- Czy to mieszkańcy miasta tak się z nimi obeszlili? - spytał Narada.

- Ostatnimi laty Mistrzowie nie cieszyli się popularnością. Może więc ktoś postanowił skorzystać z zamętu,...

- Nie - rzekł Kubera. ściągając pokrzwawione prześcieradło, skrywając zwłoki, które leżały na stole operacyjnym. Spojrzał na trupa, opuścił skrawek materiału. - Nie, To na pewno nie był żaden z tutejszych.

234

- Zatem kto?

Spojrzał na stół.

- To Brahma.

- O!

- Ktoś musi teraz powiedzieć Jamie, że maszyny nie nadają się do użytku.

- Ale gdzie go szukać?

- Nie mam pojęcia. Jeśli jednak chcemy utrzymać przy życiu Olvegga, musimy się pospieszyć.

- W porządku. Do roboty!

Jakiś młodzieniec wbiegł do Pałacu Karny, pytając o Kubere. Miał przy sobie długą, lśniąca włócznię, a gdy kazano mu poczekać, ciągle przemierzał komnatę od ściany do ściany długim, nerwowym krokiem.

Gdy wreszcie wszedł do komnaty Kubera, wystarczyło mu jedno spojrzenie na włócznię, jasną twarz młodzieńca -- wystarczyło tylko jedno słowo.

- Tak. to ja - potwierdził jego domysły włóczniarz. - Nowa włócznia, nowy

łuk. Skoro nie jestem już dłużej potrzebny jako mała, nie miałem zamiaru zwlekać z transferem. Ponieważ zaraz odjeżdżam, przyszedłem pożegnać się z tobą... i z Ratri...

- Dokąd odjeżdżasz?

- Chciałbym zwiedzić resztę świata, Kubero, zanim technika zupełnie wyprze z niego magię.

- Żadną miarą nam to nie grozi - zaprzeczył stanowczo Kubera. - Daj się przekonać i zostań tu jeszcze czas jakiś...

- Niestety, przykro mi. Kubero, ale nie mogę. Kapitan Olvegg pragnie wyruszyć natychmiast.

- Dokąd się udajecie?

- Na wschód, na zachód... kto zgadnie?... Powiedz mi, do kogo należy teraz ognisty rydwan?

Kubera wzruszył ramionami.

- Pierwotnie był w posiadaniu Siwy, ale Siwa już nie żyje... Przez jakiś czas używał go Brahma...

- Ale Brahmny też już me ma - dokończył Tak. - Po raz pierwszy Niebo zastało bez Brahmny.. Wobec tego...

- Rydwan zbudował Jama - zauważył Kubera. -- Jeśli więc ktokolwiek miałby do niego jakieś prawa, to na pewno on, jako konstruktor. .

- Ale wcale nie zamierza z nich skorzystać - zamknął dyskusję Tak

- Myślę, że pożyczę go sobie na podróż.

- Skąd wiesz, że Jama nie zamierza skorzystać ze swych praw do ognistego rydwanu? - zainteresował się Kubera. -- J już od trzech dni wszyscy go szukają i nikt nie może go znaleźć...

- Cześć. Ratri! - zawołał Tak. Do komnaty weszła Bogini Nocy. - Strzeż nas od wilka i wilczycy, strzeż nas przed złodziejem, a noc niech mija nam spokojnie!

Schylił się, a ona pogłaskała go po głowie.

Po czym spojrzała mu prosto w oczy i wtedy poczuł, jak tej jednej chwili przepelnia go boskość, od stóp do głów. Promieniowała ciemnością...

235

- W drogę - powiedział, przerywając milczenie. - Dziękuję za błogosławieństwo.

Obrócił się. Ruszył do drzwi.

- Poczekaj! - zawołał Kubera. - Mówiłeś o Jamie. Gdzie można go znaleźć?

- Szukaj go w Trójgłowym Ognistym Ptaku! - odkrzyknął przez ramię Tak.

-Jeśli 90 chcesz znaleźć, powinien tam być...Choć może byłoby lepiej, gdybyś poczekał, aż on za tobą zatęskni.

Po czym wyszedł.

Gdy Sam zbliżał się do Pałacu Karny, Tak zbiegał właśnie po schodach.

- Dzień dobry! - zawołał, ale Tak nie odpowiedział. Dopiero gdy zbliżyli się, przystanął. Zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem słońca.

- Dzień dobry, sir.

- Dokąd ci tak spieszo? - zapytał Sam. - Tryskasz energią... czy to z racji, że masz nowe ciało, czy że śniadanie było obfite?

Tak zachichotał. - Do zobaczenia. Panie Siddhartho. Ruszam w drogę.

Czekają mnie przygody.

- Coś o tym słyszałem... ostatniej nocy rozmawiałem z Olveggiem. Szczęśliwej drogi.

- Chciałem ci powiedzieć - dodał Tak - że wiedziałem, iż zwyciężysz.

Wiedziałem, że znajdziesz odpowiedź.

- To nie była dokładnie ta odpowiedź, o której myślałem... cnot owszem, można to uznać za próbę odpowiedzi. Bitwa nie wymagała zbyt wiele. Równie dobrze odbyłaby się beze mnie.

-- Miałem na myśl i coś bardziej ogólnego - rzekł Tak. - Powinieneś tu być, bowiem tropy wszystkiego, co się stało, prowadzą do ciebie.

--- Tak... przypuszczam, że masz rację... zapewne. Zawsze się tak dzieje, że muszę znaleźć się pod drzewem, którego liście zaraz strząsnie wiatr...

- Przeznaczenie sir.

- ... Raczej przypadek... samoświadomość społeczna... suma błędów i racji...

- Co zamierzasz. Panie?
- Nie wiem. Jeszcze nie podjąłem decyzji.
- Może chciałbyś dołączyć do nas?... Objechać świat dokoła? Przeżyć przygodę?
----- Dziękuję, ale chyba nie. Jestem bardzo zmęczony. Może powinienem się dowiedzieć, czy miejsce po tobie jest jeszcze wolne... wtedy mógłbym zostać Samem Archiwistą.
Tak po raz drugi zachichotał.
- Wątpię. Wkrótce się zobaczymy. Good-bye.
-- Żegnaj... poczekaj jeszcze...
- Co takiego?
••• Właściwie to nic... Tylko przez chwilę zdawało mi się, że jest w tobie coś, co przypomina mi kogoś, kogo dawniej znałem. Ale to tylko takie wrażenie... Powodzenia...

236

Poklepał go po ramieniu i odszedł.

Tak ruszył w swoją drogę.

Właściciel powiedział Kubercze, że w istocie mają tu gościa, którego wygląd odpowiada podanemu rysopisowi, że ów człowiek mieszka na drugim piętrze, w głębi korytarza, lecz że byłoby dobrze, gdyby nikt go nie niepokoił, bowiem sprawiał wrażenie osoby, która pragnie samotności.

Kubera wspiął się po schodach na drugie piętro.

Zapukał. Nikt nie odpowiadał. Pchnął drzwi.

Zamknięte od środka. Załomotał z całą siłą.

Wreszcie usłyszał głos Jamy.

- Kto tam?

- Kubera.

- Odejdź.

- Nie. Otwieraj, bo inaczej będę tu czekał, aż wyjdiesz.

- Chwileczkę.

Po jakimś czasie usłyszał, jak trzasnął skobel. Drzwi otworzyły się nieco, tworząc szare długości paru cali.

- Skoro nie czuję, żebyś się spił, mniemam, że masz dziwkę w łóżku...

- Nie mam - Jama wychylił ostrożnie głowę. - Czego chcesz?

- Chcę się przekonać, co tu nie gra. Chcę ci pomóc, o ile mogę.

- Nie możesz.

- Skąd wiesz? Też jestem rzemieślnikiem - artystą... choć, oczywiście, innego rodzaju.

Jama przez moment zastanawiał się, po czym otworzył drzwi i ustąpił mu miejsca. - Wejdz.

Na podłodze siedziała dziewczyna - przed nią stos różnych przedmiotów.

Z wieku dzieciństwa wyrosła już z całą pewnością, jednak w rękach pieściła dwie lalki - brązową i białą. Spoglądała na Kuberczę wielkimi, przestraszonymi oczami. Uspokoiła się dopiero, gdy jej pomachał ręką. Uśmiechnęła się.

- To Kubera - przedstawił go Jama.

- Koo-bra - powtórzyła.

- To moja córka - wyjaśnił. - Ma na imię Murga.

- Nie wiedziałem, że masz córkę.

- Jest upośledzona. Skaza mózgowa...

- Wrodzona, czy nabyła?

- Efekt transferu.

- Rozumiem.

- To moja córka - powtórzył Jama. - Murga.

- Widzę.

Jama kucnął przy niej. Podniósł klocek.

- Klocek- powiedział, dbając o wyraźną wymowę.

- Klocek - powtórzyła.

Podniósł łyżkę. - Łyżka...

- Łyżka...

237

Podniósł piłkę.

- Piłka...

Teraz znowu wziął do rąk klocek.

- Piłka - powiedziała dziewczyną.

Klocek wypadł mu z rąk.

- Pomóż mi - jękną).

- Chętnie... o ile w ogóle można tu cokolwiek pomóc, z pewnością niczego nie zaniedbamy.

Usiadł obok. Wyciągnął ręce.

Łyżka nagle ożyła, podobnie piłka i klocek. Dziewczynka się roześmiała.

Nawet lalki zdały się obserwować ożywione przedmioty.

- Lokapale są nie pokonani - rzekł Kubera. Dziewczynka wzięła do rąk klocek i długo mu się przyglądała, zanim wypowiedziała jego nazwę.

Teraz jest już wiadomo, że Pan Waruna wrócił do Niebiańskiego Grodu po bitwie pod Khaipur. W tym samym czasie hierarchia niebieska zaczęła się rozpadać. Panów Karmy zastąpili Strażnicy Karmy, a ich funkcje zostały oddzielone od godności kapłańskiej i urzędów świątynnych. Ponownie wynaleziono rowery. Wzniesiono siedem kaplic buddyjskich. Pałac Pana Nirriti przebudowano na galerię, w jednym skrzydle u rządzono Pawilon Karmy. Święto w Alundil święcono jak zwykle co roku, a o tancerzach powiadano, że nie mają sobie równych. Gaj drzew o purpurowych liściach i błękitnej korze rosi na dawnym miejscu, odwiedzany przez licznych pielgrzymów.

Kubera oraz Ratri pozostali w Khaipur. Tak odjechał z Olveggą na ognistym rydwanie, nikt zaś nie wiedział, dokąd się udali. W Niebie rządy sprawował Wisznu.

Ci, którzy modlili się do siedmiu Riszi, dziękowali za rowery i za awatarę Buddy, którego zwali Majtreja, czyli Pan Światła. Prosilili, by rozszerzył królestwo jasności, albo by się raczej od tego powstrzymał. Inni znowu zwali go Mahasamatman i twierdzili, że jest bogiem. On nigdy nie twierdził, że jest nim. choć też i nie zaprzeczał. Niezależnie od okoliczności, ani potwierdzenie tego faktu, ani zaprzeczanie nie mogło mu przynieść żadnej korzyści. Nie zatrzymał się też dłużej na tym świecie, by jednoznacznie rozstrzygnąć rozbieżności teologiczne, toteż wiele różnych opowieści krąży na temat jego odejścia. Jedno wszakże jest wspólne dla wszystkich legend: mówi się, że (akiś wielki czerwony ptak z ogonem trzykrotnie dłuższym od tułowia zaczął krążyć nad nim. gdy o zmierzchu jechał konno brzegiem rzeki.

Opuścił Khaipur następnego dnia przed świtem i nigdy więcej już go nie widziano.

Powiadają więc jedni, że nagle zjawienie się tego ptaka w przypadkowy sposób zbiegło się z jego zniknięciem, lecz nie miało z nim nic wspólnego. Odszedł, by cieszyć się bezimiennym pokojem mnicha w szafranowej opończy, odszedł, bowiem wypełnił misję, którą mu powierzono, odszedł, bo męczył go szum, jaki się wszczął po jego zwycięstwie. Być może ptak przypominał mu, jak szybko przemija sława... a może sam sobie to uświadomił... kto wie?

Inni znowu mówią, że wcale nie przywdział szafranowej opończy. Twierdzą, że czerwony ptak był posłańcem Sił Życia, które wezwały go do spokoju nirwany, by już na zawsze mógł zasłuchać się w pieśni, które nuca gwiazdy nad brzegami wielkich mórz. Mówią, że przekroczył Most Bogów... i że nigdy nie wróci.

Mówią też niektórzy, że przywdział nowe ciało, by już na zawsze krążyć wśród ludzi, by ich strzec i prowadzić w dniach niepokoju, by zapobiegać wyzyskowi klas upośledzonych przez tych, którzy doszli do władzy.

Niektórzy jeszcze sądzą, że wielki czerwony ptak nie był posłańcem z innego świata, lecz z tego, który istnieje, a postanie, które przyniósł, nie było przeznaczone dla niego, ale dla Pana Indry - on bowiem spojrział w oczy Śmierci. Nigdy przedtem nie widziano takiego ptaka, choć teraz już wiadomo, że taki gatunek ptaków żyje na wschodnim kontynencie - tam, gdzie Indra stoczył walkę z wiedźmami. Jeśli więc ten ptak miał w swojej flamingopodobnej głowie zaczątki Inteligencji, mógł przynieść na przykład wiadomość, że ów odległy wschodni kontynent jest w potrzebie. Trzeba przy tym wspomnieć o Pani Parwati, tej, która była dlań żoną, czy matką, siostrą, a może córką... możliwe zresztą, że była każdą z nich. Pani Parwati, jak wiadomo, uciekła na wschodni kontynent w czasie, gdy białe tygrysy goniły Sama po alejach Nteba i zamieszkała wśród wiedźm, dla których była powinowatą. Jeśli zatem ów ptak przyniósł

podobną wiadomość, nie ulega wątpliwości, że Sam natychmiast ruszył na wschód, by odsunąć od¹ jego mieszkańców grożące im niebezpieczeństwo. Istnieją cztery wersje legendy o Samie i Ptaku, Który Obwieścił Jego Odjeście, w zależności od tego, czy opowiadają je mistycy, reformatorzy stosunków społecznych, moraliści czy romantycy. Jeśli ktoś zechce, może podjąć się dzieła wskazania tych elementów legendy, które zależą od wyobraźni jej autorów. Człowiek ten powinien jednak pamiętać także i o tym, że czerwone ptaki nie zostały dotychczas odkryte na kontynencie zachodnim, natomiast na wschodzie występują nader gęsto i są płodne. Około pół wieku później Khaipur opuścił Jama-Dharma. Właściwie nic nie wiadomo o dniach jego odejścia - nic, poza zwykłą informacją, że odszedł. Swą córkę powierzył opiece Ratri i Kubery. Murga wyrosła na piękną kobietę. Pan Jama także wyjechał na wschód, prawdopodobnie drogą morską. Tutaj cytuje się inną legendę o tym, jak to Pan w Purpurze uderzył na Siedmiu Panów Kornlat, w kraju wiedźm. Nic właściwie o tym nie wiemy - podobnie jak o pewnego nie możemy powiedzieć na temat odejścia Pana Światta. Lecz spójrz tylko wokół... Śmierć i Światło są wszędzie; zaczynają się, znajdują kres, walczą i dochodzą do zgody w Śnie o Bezimiennym - tym Bezimiennym, którym jest świat, wypalający słowa w pajęczynie samsary... prawdopodobnie po to, by stworzyć piękno. Tymczasem mnisi w szafranowych opończach ciągle medytują nad Drogą Światta, a dziewczyna imieniem Murga codziennie odwiedza Świątynię, by przed posągami ciemnego bóstwa złożyć jedyny dar, który godzi się rnu przyjąć... kwiaty.

KONIEC